

HARRIS

Robert

Archangielsk

*Pamięci Dennisa Harrisa
1923 — 1996*

oraz dla Matildy

PROLOG

OPOWIEŚĆ RAPAWY

*Śmierć rozwiązuje wszelkie problemy -
nie ma człowieka, nie ma problemu.*

J. W. Stalin, 1918

Późną nocą dawno temu — zanim jeszcze się narodziłeś, chłopcze — pewien ochroniarz stał, paląc papierosa, na tylnej werandzie dużego domu w Moskwie. Noc była zimna, księżyc i gwiazdy schowały się za chmurami i palił przede wszystkim, by się rozgrzać, chowając w swoich wielkich chłopskich dłoniach żarzący się w lekturowej gilzie gruziński papieros.

Ochroniarz nazywał się Papu Rapawa. Miał dwadzieścia jeden lat i pochodził z Megrelii na północno-wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego. Jeśli chodzi o dom... może lepszym słowem byłaby forteca... był to długi na pół przeczynicy carski pałac, położony w dzielnicy dyplomatycznej, niedaleko rzeki. Na dole, gdzieś w chłodnym mroku otoczonego murami ogrodu rósł wiśniowy sad, za nim biegła szeroka ulica Sadowaja-Kudrinskaja, a jeszcze dalej ciągnęły się tereny moskiewskiego zoo.

Ulica była pusta. Kiedy, tak jak w tej chwili, panowała cisza i wiatr wiał z odpowiedniego kierunku, z oddali dobiegało ledwo słyszalne wycie zamkniętych w klatce wilków.

Dziewczyna przestała już krzyczeć, na szczęście, gdyż jej krzyk działał na nerwy Rapawie. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat, była niewiele starsza od jego młodszej siostry

i kiedy ją przywiózł, spojrziała na niego... spojrziała na niego... cóż, szczerze mówiąc, wolał o tym nie mówić nawet teraz, po prawie pięćdziesięciu latach.

Tak czy owak, dziewczyna przymknęła się i Rapawa zaciągał się właśnie z rozkoszą papierosem, gdy zadzwonił telefon. To musiało być koło drugiej nad ranem. Nigdy tego nie zapomni. Koło drugiej nad ranem drugiego marca 1953 roku. W nieruchomym mroźnym powietrzu dzwonek zabrzmiał głośno niczym alarm przeciwpożarowy.

Normalnie — musisz to zrozumieć — w nocy pełniło wartę czterech strażników: dwóch wewnątrz i dwóch na ulicy. Ale kiedy w sypialni była dziewczyna, Szefer nie lubił, żeby kręciło ich się zbyt wielu, przynajmniej w domu. Dlatego tej konkretnej nocy Rapawa był sam. Rzucił papierosa, przebiegł przez wartownię oraz kuchnię i wpadł do przedpokoju. Telefon był staroświecki, przedwojenny, zamocowany na ścianie — Matko Święta, jego jazgot zbudziłby chyba umarłego! Rapawa chwycił słuchawkę w połowie dzwonka.

- Ławrientij? — zapytał męski głos.
- Nie ma go tutaj, towarzyszu.
- Poproś go. Mówi Malenkow.

Zazwyczaj władczy głos był teraz ochryply z paniki.

- Towarzyszu...
- Poproś go. Powiedz mu, że coś się stało. Coś się stało w Bliznym.

— Wiesz, co mam na myśli, mówiąc „Bliznyj”, chłopcze? — zapytał stary.

Siedzieli obaj w tanich piankowych fotelach w małym pokoiku na dwudziestym trzecim piętrze hotelu Ukraina, tak blisko siebie, iż dotykali się niemal kolanami. Stojąca przy łóżku lampa rzucała ich niewyraźne cienie na zasłonę w oknie: jeden profil kościsty, obrany do czysta przez czas, drugi wciąż pełny, mężczyzny w średnim wieku.

— Tak — odparł mężczyzna w średnim wieku; nazywał się Fluke Kelso. — Tak, wiem, co macie na myśli. (*Jak*

10

mógłbym, do diabła, tego nie wiedzieć, miał ochotę mruknąć. W końcu przez dziesięć pieprzonych lat uczyłem w Oksfordzie historii Związku Radzieckiego...).

Bliznyj to po rosyjsku „bliski”. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych to słowo oznaczało na Kremlu „Bliską Daczę”. A Bliska Dacza mieściła się w Kuncewie pod Moskwą — podwójne ogrodzenie, trzystu żołnierzy specjalnych oddziałów NKWD i osiem zamaskowanych trzydziestomilimetrowych dział przeciwlotniczych — wszystko to ukryte w brzozowym lasku, by chronić samotnego leciwego mieszkańca daczy.

Kelso czekał, aż stary podejmie opowieść, ale Rapawa skupił nagle całą uwagę na papierosie, usiłując go zapalić klubową zapalniczką. Nie potrafił ująć w palce cienkiego paska tektury. Nie miał paznokci.

— No i co zrobiliście?

Kelso pochylał się do przodu i podał staremu ogień, mając nadzieję, że ten gest osłabi nachalność pytania. Staral się

ukryć podniecenie. Na małym stoliku, między pustymi butelkami, brudnymi kieliszkami, popielniczką oraz zmiętymi paczkami marlboro leżał miniaturowy magnetofon, który Kelso umieścił tam, gdy wydawało mu się, że Rapawa nie patrzy. Stary zaciągnął się mocno papierosem, z wdzięcznością spojrzął na żarzący się czubek i rzucił zapalki na podłogę.

— Słyszałeś o Bliźnym? — stwierdził w końcu, sadowiąc się wygodniej w fotelu. — W takim razie wiesz, co zrobiłem.

Trzydzieści sekund po odebraniu telefonu młody Papu Rapawa pukał do drzwi Berii.

Członek Politbiura, Ławrientij Pawłowicz Beria, okryty luźnym czerwonym jedwabnym kimonem, pod którym jego brzuch sterczał niczym wielki biały worek z piaskiem, wyzwał Rapawę po megrelsku od skurwysynów i pchnął go w pierś tak mocno, że ten zatoczył się do tyłu. A potem odsunął ochroniarza na bok i ruszył w stronę schodów, zostawiając na parkiecie mokre ślady spoconych białych stóp.

Przez otwarte drzwi Rapawa widział wnętrze sypialni — wielkie drewniane łóżko, ciężką mosiężną lampę w kształcie smoka, szkarłatną pościel, białe nogi dziewczyny rozrzucone w ofiarnym geście. Miała szeroko otwarte, nieobecne ciemne oczy. Na stoliku przy łóżku stał dzbanek z wodą i liczne słoiczki z lekarstwami. Na jasnożółtym dywanie z Aubusson leżały rozsypane duże białe tabletki.

Nie zapamiętał nic więcej, ani jak długo tam stał, nim Beria zbiegł z powrotem po schodach. Był zdyszany i najwyraźniej zdenerwowany rozmową / Malenkowem. Rzucił dziewczynie jej ubranie, wrzeszcząc, żeby się wyносиła, natychmiast wyносиła, i kazał Rapawie podjechać samochodem.

Rapawa zapytał, kto jeszcze ma jechać. (Myślał o Nadarii, komendancie ochrony, który normalnie wszędzie jeździł z Szefem. Albo o Sarsikowie, który w tym momencie chrapał urzęnięty w trupa w wartowni w drugim skrzydle budynku). Beria stał odwrócony plecami do Rapawy i ściągał właśnie z siebie kimono. Słyszcząc pytanie, na chwilę znieruchomiał i obejrzał się przez tłuste ramię, ostro kombinując — widać było jego połyskujące za binoklami małe oczka.

— Nikt — odparł w końcu. — Tylko ty.

Samochód był amerykański — ciemnozielony dwunastocylindrowy packard z szerokim na pół metra fetopniem, prawdziwe чудо. Rapawa wyprowadził go z garażu i cofając się, podjechał pod główne wejście budynku na Wspólnom Pierieułkie. Nie gasząc silnika, żeby szybciej zadziałało ogrzewanie, wyskoczył i stanął przy tylnych drzwiczkach w typowej pozycji enkawudzisty: lewa ręka na biodrze, płaszcz i marynarka lekko rozchylone, wystająca kabura, prawa ręka na kolbie pistoletu Makarów, wzrok penetrujący górę i dół ulicy. Beso Dumbadze, również pochodzący z Megrelii, wybiegł zza rogu, żeby zobaczyć, co się dzieje, i w tym samym momencie Szef wyszedł na ulicę.

- Jak był ubrany?
- Skąd, u diabła, mam wiedzieć, jak był ubrany, chłop-cze? — odparł z irytacją stary, — Jakie to, do diabła, ma znaczenie, w co był ubrany?

Właściwie — urwał, żeby się nad tym zastanowić — Szeff był ubrany na szaro. W szarym płaszczu, szarym garniturze i szarym pulowerze, bez krawata, w binoklach, z pochyłymi ramionami i wielką sklepioną głową wyglądał zupełnie jak sowa, stara złośliwa szara sowa. Rapawa otworzył drzwiczki, Beria usiadł z tyłu, a Dumbadze — który znajdował się w odległości mniej więcej dziesięciu metrów od samochodu — wykonał gest oznaczający „co mam, kurwa, robić?”. Rapawa odpowiedział wzruszeniem ramion — „skąd mam, kurwa, wiedzieć?”. Obiegł dookoła samochód, siadł za kierownicą, wrzucił pierwszy bieg i odjechali.

Jeździł już do odległego o dwadzieścia pięć kilometrów Kuncewa kilkadziesiąt razy, zawsze w nocy, zawsze w konwoju sekretarza generalnego — i za każdym razem było to prawdziwe wydarzenie, chłopcze, mówię ci. Piętnaście limuzyn z zaciągniętymi z tyłu zasłonami, pół Poiitbiura — Beria, Malenkow, Mołolow, Bułganin, Chruszczow, plus ochroniarze — wyjeżdżało z Kremla przez Bramę Borowicką i pędziło ulicami sto dwadzieścia na godzinę. Milicja wstrzymywała ruch na wszystkich skrzyżowaniach, dwa tysiące enkawudzistów w cywilu strzegło trasy rządowego konwoju. Aż do ostatniej chwili nie wiadomo było, w którym samochodzie jest sekretarz generalny; dopiero kiedy skręcali z szosy w las, jeden z wielkich żyłów przyspieszał i wysuwał się do przodu, a pozostałe zwalniały, żeby pozwolić zająć pierwsze miejsce Prawowitemu Następcy Lenina.

Tej nocy było jednak zupełnie inaczej. Szeroka droga była pusta i gdy przejechali przez rzekę, Rapawa mógł rozpędzić wielki jankeski samochód do maksymalnej prędkości. Strzałka szybkościomierza zbliżała się do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Beria siedział z tyłu nieruchomy jak głaz. Po dwunastu minutach zostawili za sobą miasto, przy końcu szosy z Pokłonnoj Góry,

13

zwolnili, żeby skrócić w zakamuflowany zjazd. W światłach reflektorów zamigotały białe wysokie pnie brzoź.

Jaki ten las był cichy, jaki ciemny, jaki nieogarniony — niczym łagodnie rozkołysane morze. Rapawa miał wrażenie, że ciągnie się aż po Ukrainę. Po przejechaniu ośmiuset metrów dotarli do pierwszego ogrodzenia, gdzie drogę zagradzał szlaban w białe i czerwone pasy. Dwaj uzbrojeni w pistolety maszynowe enkawudziści w pelerynach i czapkach wyszli z wartowni i na widok kamiennej twarzy Berii zasalutowali i podnieśli szlaban. Przez kilkaset metrów droga wiała się między zagajnikami, a potem w potężnych światłach packarda ukazało się kolejne ogrodzenie — wysoki na cztery i pół metra mur z otworami strzelniczymi. Niewidoczne ręce otworzyły od środka żelazną bramę.

Podjechali pod daczę.

Rapawa spodziewał się czegoś niezwykłego — sam nie wiedział dokładnie czego — samochodów, ludzi w mundurach, bieganiny. Ale w piętrowym budynku było ciemno — paliła się tylko żółta latarnia nad drzwiami wejściowymi. W kręgu jej światła zobaczyli mężczyznę — pulchną ciemnowłosą sylwetkę zastępcy przewodniczącego Rady Ministrów, Gieorgija Maksymilianowicza Malenkowa, którego

nie sposób było pomylić z kim innym. I jedno wydawało się dziwne, chłopcze: Malenkow zdjął swoje błyszczące nowe buty i wsadził je pod pachę.

Beria wyskoczył na zewnątrz, nim zatrzymał się samochód. Wziął Malenkowa pod łokieć i wysłuchał jego relacji, kiwając głową, wtrącając ciche uwagi i rozglądając się na wszystkie strony.

— Przeniosłeś go? Czy go przeniosłeś? — usłyszał w pewnej chwili Rapawa, a potem Beria odwrócił się w jego stronę i strzelił palcami, dając znak, żeby wszedł razem z nimi do środka.

Podczas poprzednich wizyt na daczycy Rapawa zawsze albo czekał na Szefa w samochodzie, albo szedł do wartowni, żeby napić się czegoś i zapalić papierosa z innymi kierownikami. Musisz zrozumieć, że wewnątrz domu było zakazanym terytorium. Nikt, z wyjątkiem personelu sekretarza general-

14

nego i zaproszonych gości, nigdy nie wchodził do środka. Idąc przez hol, Rapawa poczuł nagle, jak zapiera mu dech z przerażenia — fizycznie się dławi, jakby ktoś zaciskał palce na jego tchawicy.

Malenkow szedł przodem w samych skarpetkach i nawet Szef stapał na palcach, więc Rapawa dostosował się do nich i starał się poruszać bezszelestnie. Poza nimi w pobliżu nabyło nikogo. Dom sprawiał wrażenie wymarłego. Wszyscy trzej minęli stojące w holu pianino i weszli do jadalni. Światło było tu zapalone, zasłony zasunięte. Na stole leżały jakieś papiery i stojak z fajkami Dunhilla, w kącie stał gramofon na korbę. Nad kominkiem wisiała powiększona czarno-biała fotografia w taniej drewnianej ramce, przedstawiająca sekretarza generalnego jako młodego mężczyznę, siedzącego gdzieś w słońcu z towarzyszem Leninem. Po drugiej stronie jadalni były drzwi. Malenkow odwrócił się, przytknął do ust pulchny palec i bardzo powoli je otworzył.

Stary przymknął oczy i wyciągnął pusły kieliszek, żeby mu nalać. Westchnął.

— Ludzie krytykują Stalina, chłopcze — stwierdził — ale to jedno trzeba przyznać: żył jak robotnik. W przeciwieństwie do Berii, który uważał się za księcia. Pokój towarzysza Stalina wyglądał jak pokój prostego człowieka. Trzeba to przyznać Stalinowi. Był zawsze jednym z nas.

Płomień świeczki stojącej pod małym portretem Lenina zamigotał w przeciągu. Jedyne inne źródło światła była lampa na biurku. Pośrodku pokoju stała zasłana sofa. Prosty brązowy wojskowy koc zsunął się z niej na leżący na podłodze dywanik w tygrysie cętki. Na dywaniku leżał na plecach, oddychając ciężko, pogrążony we śnie, niski, starszy, gruby rumiany mężczyzna w brudnym białym podkoszulku i zabrudzonych kałem długich wełnianych kałesonach. W sypialni było bardzo ciepło i unosił się smród ludzkich odchodów.

Malenkow podniósł twardą dłoń do ust i zatrzymał się blisko drzwi. Beria podszedł szybko do dywanika rozpiął palto i ukląkł. Położył dłonie na czole Stalina i podniósł kciukami obie powieki, odsłaniając podbiegłe krwią nieruchome źrenice.

— Józefie Wissarionowiczu — powiedział cicho. — To ja, Ławrientij. Drogi towarzyszu, jeśli mnie słyszysz, porusz oczyma. Towarzyszu... Mówisz, że może tak już leżeć od dwudziestu godzin? — dodał, zwracając się do Malenkowa, lecz przez cały czas patrząc na Stalina.

Z zasłoniętych dłońmi ust Malenkowa wydarło się łkanie. Po jego gładkich policzkach płynęły łzy.

— Drogi towarzyszu, porusz oczyma... Porusz oczyma, drogi towarzyszu.... Towarzyszu? Kurwa mać. — Beria wstał i wytarł palce o płaszcz. — To na pewno udar. Jest sztywny. Gdzie jest Starostin i chłopcy? I Butuzowa?

Malenkow beczał głośno i Beria musiał stanąć między nim i ciałem — dosłownie zasłonić mu widok, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Złapał Malenkowa za ramiona i zaczął przemawiać do niego bardzo cicho i bardzo szybko, tak jak przemawia się do dziecka — mówił mu, żeby zapomniał 1 Stalinię, że Stalin to już historia, Stalin to warzywo, że ważne jest, co teraz zrobią, i że muszą trzymać się razem. 2 gdzie są chłopcy? Czy siedzą w wartowni?

Malenkow pokiwał głową i wytarł nos rękawem.

— Dobrze — stwierdził Beria. — Teraz powiem ci, co zrobimy.

Malenkow miał włożyć buty i pójść oznajmić strażnikom, że towarzysz Stalin śpi, że jest pijany i z jakiej, kurwa, racji on i towarzysz Beria zostali bez powodu wyciągnięci z łóżek. Miał im powiedzieć, żeby nigdzie nie dzwonili i nie wzywali żadnych lekarzy („Słuchasz mnie, Georgij?”). Zwłaszcza lekarzy, ponieważ sekretarz generalny uważa wszystkich lekarzy za żydowskich trucieli... pamiętasz? Która jest teraz godzina? Trzecia? W porządku. O ósmej... nie, lepiej o wpół do ósmej Malenkow ma zacząć dzwonić do członków kierownictwa. Ma powiedzieć, że o dziewiątej rano on i Beria chcą zwołać tutaj, w Kuncewie, posiedzenie pełnego Polit-

16

biura. Ma powiedzieć, że martwią się o zdrowie Józefa Wissarionowicza i że trzeba podjąć kolektywną decyzję w sprawie jego leczenia.

Beria zatarł ręce.

— To sprawi, że zesrają się w portki. A teraz przenieśmy go na sofę. Ty — zwrócił się do Rapawy. — Złap go za nogi.

Stary zapadł się w fotelu, wyciągnął przed siebie nogi i przymknął oczy. Miał monotony głos. Nagle wydał z siebie długie westchnienie, wyprostował się i omiół spanikowanym spojrzeniem wnętrze pokoju.

- Muszę się odlać, chłopcze. Natychmiast.
- Tam.

Rapawa podniósł się z ostrożnym dostojeństwem pijaka. Przez cienką ścianę Kelso usłyszał plusk oddawanego do sedesu moczu. Prawidłowa reakcja organizmu, pomyślał. Musiał w końcu opróżnić pęcherz. Od czterech godzin oliwił

pamięć Rapawy: najpierw piwem Bałtika w hotelowym barze, następnie zubrówką w kawiarni po drugiej stronie ulicy, wreszcie słodową whisky w ciasnym hotelowym pokoiku. To było jak zabawa z wiszącą na końcu haczyka rybą; zabawa z rybą w rzece pełnej wódki. Zauważył leżące na podłodze, rzucone przez Rapawę zapalki. Na tylnej tekturce widniała nazwa baru albo nocnego klubu — ROBOTNIK — wraz z adresem gdzieś niedaleko stadionu Dynamo. Rozległ się odgłos spuszczonej wody i Kelso schował szybko zapalki do kieszeni. Rapawa stanął w drzwiach, oparł się o framugę i zapiął rozporek.

- Która jest godzina, chłopcze?
- Dochodzi pierwsza.
- Muszę już iść. Pomyślą, że jestem twoim pieprzonym kochankiem.

Rapawa wykonał obsceniczny gest dłonią. Kelso udał, że się śmieje. Jasne, zaraz zadzwoni po taksówkę. Jasne. Ale najpierw trzeba osuszyć do dna butelkę... sięgnął po whisky, sprawdzając ukradkiem, czy kręci się taśma... dokończyć butelkę, towarzyszu, i dokończyć opowieść.

17

Stary zasepił się i wbił wzrok w podłogę. Opowiedział mu już wszystko. Nie ma nic więcej do powiedzenia. Położyli Stalina na sofie... i co z tego? Malenkow poszedł pogadać ze strażnikami. Rapawa odwiózł Berię do domu. Wszyscy wiedzą, co się stało. Dzień albo dwa później Stalin umarł. A niedługo potem zginął Beria. Co do Malenkowa, popadł na długie lata w niełaskę (Rapawa widział go raz, w latach siedemdziesiątych, drepczącego po Arbacie), ale teraz on również nie żyje. Nadaria, Sarsikow, Dumbadze, Starostin, Butuzowa... wszyscy umarli. Umarła partia. W gruncie rzeczy umarło całe to pierdolone państwo.

— Z pewnością to nie jest cała historia — powiedział Kelso. — Proszę, siadajcie, Papu Gierasimowiczu, wypijemy do końca butelkę.

Mówił grzecznie i z wahaniem, bo czuł, że narkoza alkoholu i próżności przestaje działać i że trzeźwiejąc, Rapawa może sobie nagle uświadomić, iż powiedział o wiele za dużo. Zobaczył w jego oczach kolejny błysk irytacji. Chryste, ci starzy enkawudziści byli zawsze tacy cholernie trudni i być może w dalszym ciągu niebezpieczni. Kelso miał czterdzieści kilka lat, o trzydzieści mniej od Rapawy. Ale był w nie najlepszej formie... prawdę mówiąc, nigdy nie był w dobrej formie i gdyby stary nagle się wściekł, w starciu z nim nie miałby większych szans. Rapawa przeżył w końcu obozy za kołem podbiegunowym. Na pewno pamiętał, w jaki sposób można kogoś zranić — zranić kogoś bardzo szybko, pomyślał Kelso, i być może bardzo dotkliwie.

Nalał do pełna Rapawie, dolał sobie i zmusił się, żeby mówić dalej.

- No więc jesteście tam. Macie dwadzieścia pięć lat i jesteście w sypialni sekretarza generalnego. Nie mogliście znaleźć się bliżej centrum wydarzeń. To było wewnętrzne sanktuarium, święte miejsce. O co chodziło Berii, kiedy was tam zabierał?

- Jesteś głuchy, chłopcze? Mówiłem już. Chciał, żebym przeniósł ciało.

- Ale dlaczego akurat wy? Dlaczego nie któryś z ochroniarzy Stalina? To oni go w końcu znaleźli i zaalarmowali

Malenkowa. I dlaczego Beria nie zabrał ze sobą do Kuncewa kogoś wyższego rangą? Dlaczego wybrał akurat was?

Rapawa wahał się, wpatrzony w szklanę z whisky. Kelso uznał później, że tak naprawdę wszystko, co zdarzyło się tej nocy, wynikało z tego, że Rapawa chciał się napić, że chciał tego dokładnie w tym konkretnym momencie i jego pragnienie było silniejsze od chęci wyjścia. Stary usiadł ciężko w fotelu, opróżnił jednym haustem szklanę i wyciągnął ją przed siebie.

— Papu Rapawa — kontynuował Kelso, nalewając mu po raz kolejny trzy palce szkockiej. — Siostrzeniec Awksientija Rapawy, najstarszego kumpla Berii w gruzińskiej NKWD. Młodszy od innych ochroniarzy. Dopiero od niedawna w stolicy. Może bardziej naiwny od innych. Mam rację? Młody gorliwy chłopak, ktoś, na kogo Beria mógł spojrzeć i pomyśleć: tak, mogę go zabrać, mogę zabrać młodego Rapawę, na pewno nie wyda sekretu.

Cisza przedłużała się i pogłębiała. W końcu stała się prawie namacalna, jakby ktoś trzeci wszedł do pokoju i siadł razem z nimi przy stole. Rapawa zaczął kołysać głową na lewo i prawo, a potem pochylił się do przodu, złapał oburącz za żyłasty kark i wlepił wzrok w wytarty dywan. Siwe włosy miał przycięte do samej skóry. Stara powęzłona blizna biegła od czubka głowy prawie po skroń. Wyglądała, jakby ranę zszył sznurkiem jakiś ślepiec. I te palce: poźółkłe koniuszki i nigdzie ani śladu paznokcia.

— Wyłącz swoją maszynkę, chłopcze — powiedział cicho, wskazując głową stół. — Wyłącz ją. A teraz wyjmij taśmę... o właśnie... i połóż w miejscu, gdzie będę mógł ją zobaczyć.

Towarzysz Stalin był niskiego wzrostu — sto sześćdziesiąt dwa centymetry — lecz ciężki. Matko Święta, jaki ciężki! Jakby nie był zbudowany z tłuszczu i kości, ale jakiegoś o wiele gęstszego tworzywa. Powlekli go po parkiecie... głowa sekretarza generalnego odbijała się od wypastowanych klepek... a potem musieli go podnieść, zaczynając od nóg. Rapawa zauważył — nie mógł nie zauważyć, bo miał je tuż przed oczyma — że drugi i trzeci palec lewej stopy sekretarza

generalnego są zrosnięte — diabelski znak — i kiedy inni nie patrzyli, przeżegnał się.

— Powiedz mi teraz, młody towarzyszu — odezwał się Beria, kiedy Malenkow odszedł — czy wolisz stąpać po tej ziemi, czy w niej leżeć?

W pierwszej chwili Rapawa nie wierzył własnym uszom. Wtedy właśnie zdał sobie sprawę, że jego życie nigdy już nie będzie takie samo i że będzie miał szczęście, jeśli przeżyje tę noc.

- Wolałbym po niej stąpać. Szefie — wyszeptał.
- Zuch chłopak. — Beria złączył kciuk i palec wskazujący. — Musimy znaleźć klucz. Mniej więcej tej wielkości. Wygląda jak klucz, którym nakręca się zegar. Trzymał go na mosiężnym kółku przyczepionym do sznurka. Sprawdź jego ubranie.

Znajoma szara kurtka wisiała na oparciu krzesła, na niej złożone porządnie szare spodnie. Obok stały wysokie czarne kawaleryjskie buty z wysokim na trzy centymetry obcasem. Rapawie trzęsły się ręce. Czy to jakiś sen? Ojciec i Nauczyciel

Narodu Sowieckiego, Natchnienie i Organizator Zwycięstwa Komunistów, Przywódca Całej Postępowej Ludzkości, leżał zabrudzony na sofie, z porażoną połową swego żelaznego mózgu, a oni dwaj myszkowali po jego pokoju niczym złodzieje. Tak czy inaczej, wykonał rozkaz, zaczynając od kurtki, podczas gdy Beria zaatakował z wprawą starego czekisty biurko — wyciągając szuflady, obracając je do góry dnem, przetrząsając zawartość każdej, a następnie wpychając ją z powrotem i wsuwając szuflady na miejsce.

W kurtce nie było nic, w spodniach też, z wyjątkiem brudnej chusteczki zlepionej zaschniętą kulką flegmy. Oczy Rapawy przyzwyczyły się do półmroku i lepiej widział wnętrza sypialni. Na jednej ze ścian wisiła duża chińska rycina przedstawiająca tygrysa. Na innej — i to było najdziwniejsze — Stalin przylepił fotografie dzieci. Głównie małych brzdąców. Nie porządne odbitki, ale powydzierane nierówno z czasopism i gazet zdjęcia. Musiało ich tam być kilkadziesiąt.

- Masz coś?
- Nie, Szeffie.
- Sprawdźmy kanapę.

20

Położyli Stalina na plecach, z rękoma złożonymi na brzuchu, i można było pomyśleć, że staruszek po prostu zasnął. Miał ciężki oddech, prawie chrapał. Z bliska nie przypominał wcale swoich podobizn. Mięsiłą twarz pokrywały czerwone żyłki i płytkie kraterki blizn. Brwi i wąsy miał siwobiałe, przez rzadkie włosy widać było skórę czaszki. Rapawa pochylił się nad nim — co za smród... śmierdział tak, jakby już zaczął się rozkładać — i wsunął rękę w szparę między siedzenie i oparcie sofy. Przejechał palcami w dół, pochylając się na lewo, ku stopom sekretarza generalnego, a potem z powrotem w prawo, w stronę głowy, i nagle koniuszek jego palca wskazującego dotknął czegoś twardego i żeby to wyjąć, musiał wsunąć palec jeszcze głębiej, opierając delikatnie ramię o pierś sekretarza generalnego.

I wtedy stało się coś strasznego: przerażająca, okropna rzecz. Kiedy Rapawa wyciągnął klucz i zawołał szeptem Szeffa, gensek odchrząknął i nagle otworzył oczy — zwierzęce żółte oczy, w których płonęły złość i strach. Nawet Beria zachwiał się, kiedy je zobaczył. Stalin nie poruszył żadną inną częścią ciała, ale z jego gardła wydobyło się coś w rodzaju stłumionego warczenia. Beria podszedł na palcach bliżej, przyjrzał się sekretarzowi generalnemu i przesunął dłonią przed jego oczyma. To najwyraźniej nasunęło mu pewien pomysł. Wziął od Rapawy klucz i zaczął nim kręcić kilkanaście centymetrów nad twarzą Stalina. Żółte oczy natychmiast wpiły się w klucz i śledziły go, ani na moment nie opuszczając, przez wszystkie punkty kompasu. Beria, teraz uśmiechnięty, kołysał powoli kluczem przez co najmniej pół minuty, a potem nagle złapał go w dłoń, zamknął palce i pokazał zacisniętą pięść Stalinowi.

Cóż to był za głos, chłopcze! Bardziej zwierzęcy niż ludzki. Ściagał Rapawę, gdy wychodził z sypialni i stąpał korytarzem, ściagał go przez wszystkie lata, od tamtej nocy aż do dzisiaj.

Butelka szkockiej była pusta i Kelso klęczał teraz przed minibarkiem niczym ksiądz przed ołtarzem. Zastanawiał się, co pomyślał gospodarze symposium historycznego, gdy

dostaną rachunki za alkohol, ale w tej chwili ważniejsze było, żeby stary miał się czego napić i żeby mówił. Zgarnął kilkanaście miniaturowych buteleczek — wódki, whisky, dżinu, brandy, jakiegoś niemieckiego trunku z wiśni — i przeniósł je w obu dłoniach na stół. Kiedy usiadł i wypuścił je z rąk, kilka spadło na podłogę, ale Rapawa nie zwrócił na to uwagi. Nie był już starym dziadkiem popijającym w hotelu Ukraina, lecz przestraszonym młodzieńcem za kierownicą ciemnozielonego packarda w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim. Szosa do Moskwy połyskiwała białą w światłach reflektorów, a z tyłu siedział nieruchomy jak głaz Ławrientij Beria.

Wielki samochód przemknął Kutuzowskim Prospektem i minął ciche przedmieścia w zachodniej części miasta. O wpół do trzeciej przejechał mostem Borodinskim przez rzekę Moskwę i ruszył gazem w stronę Kremla, na którego teren wjechał przez południowo-wschodnią bramę po przeciwnej stronie placu Czerwonego.

Kiedy tylko wpuszczono ich do środka, Beria pochylił się do przodu i dał Rapawie instrukcje — na lewo, obok Arsenau, a potem ostro na prawo, wąską bramą na wewnętrzny dziedziniec. W murach nie było ani jednego okna, tylko sześcioro małych drzwi. Kamienie, którymi wybrukowano dziedziniec, lśniły szkarłatem niczym mokra krew. Spoglądając w górę, Rapawa zorientował się, że stoją pod wielką neonową czerwoną gwiazdą.

Beria zniknął szybko za jednymi z drzwi i Rapawa musiał podbiec, żeby go dogonić. Krótki korytarz wyłożony był kamiennymi płytami. Idąc nim, dotarli do windy pochodzącej jeszcze sprzed rewolucji. Przy akompaniamencie chrobotu żelaza i pomruku maszynerii pojechali powoli do góry, mijając dwa ciche, pogrążone w mroku piętra. Winda zatrzymała się gwałtownie i Beria odsunął kratę. A potem znowu szybko ruszył pierwszy korytarzem, kołyszając zawieszonym na sznurku kluczem.

Nie pytaj, dokąd poszliśmy, chłopcze, bo ci nie powiem.

22

Pamiętam wyłożony dywanem długi korytarz, wzdłuż którego stały na marmurowych piedestałach wspaniałe popiersia, i spiralne schody, którymi trzeba było zejść na dół, następnie wielką salę balową, rozległą niczym pokład transatlantyku, z ogromnymi dziesięciometrowymi lustrami i stojącymi przy ścianach pięknymi połączanymi krzesłami. Wreszcie, niedaleko za salą balową, szeroki korytarz z otynkowanymi na zielono ścianami, podłogą, która cuchnęła pastą, i wielkimi ciężkimi drzwiami. Beria otworzył je jednym z kluczy, które miał na łańcuszku.

Rapawa wszedł za nim do środka. Zawieszona na starych, pamiętających cara, pneumatycznych zawiasach drzwi zamknęły się cicho za nimi.

Gabinet nie był zbyt imponujący. Mógł zadowolić dyrektora fabryki na jakimś zadupiu, w Wołogdzie albo Magnitogorsku — sześć na osiem metrów, biurko z kilkoma telefonami, kawałek dywanu na podłodze, stół, parę krzeseł, ciężkie zasłony w oknie. Na ścianie wisiała jedna z tych

wielkich, różowych zwijanych map ZSRR — było to w czasach, gdy istniał jeszcze ZSRR — a obok znajdowały się kolejne, mniejsze drzwi, ku którym skierował się natychmiast Beria. Mieściło się za nimi coś w rodzaju szafy, a w niej poczerniały samowar, butelka armeńskiego koniaku i jakieś przybory do przyrządzania ziołowej herbaty. A także wbudowany w ścianę sejf z masywnym mosiężnym przednim panelem, na którym znajdowała się tabliczka producenta z napisem nie w cyrylicy, lecz w jakimś zachodnim języku. Sejf nie był zbyt duży — trzydzieści centymetrów szerokości, może mniej. Kwadratowy. Elegancki. Prosta rączka, także z mosiądzu.

Beria zauważył, że Rapawa gapi się na sejf, i ostrym u tonem kazał mu wynosić się na korytarz.

Minęła prawie godzina. Rapawa starał się zachować czujność, ćwicząc wyciąganie pistoletu z kabury, wmawiając sobie, że każde skrzypnięcie w wielkim budynku jest czymś krokiem, każdy poszum wiatru czymś głosem. Wyobrażał

23

sobie sekretarza generalnego przemierzającego ten wypastowany korytarz w swoich kawaleryjskich butach, a potem próbował osłabić siłę tej wizji obrazem ludzkiego wraka, uwięzionego we własnym cuchnącym cieple w Kuncewie.

I wiesz co, chłopcze? Popłakałem się. Być może użalałem się również trochę nad sobą — nie przeczę, bałem się, srałem w portki ze strachu — ale naprawdę opłakiwałem towarzysza Stalina. Płakałem po Stalinie bardziej niż po własnym ojcu, kiedy umarł. Podobnie jak większość chłopaków, których znałem.

Gdzieś daleko zegar wybił czwartą.

Koło wpół do piątej pojawił się w końcu Beria. Trzymał w ręku małą skórzaną teczkę, w której były na pewno jakieś papiery, ale mogły również znajdować się inne przedmioty; Rapawa nie potrafił powiedzieć. Papiery pochodziły prawdopodobnie z sejfu, podobnie jak sama teczka. Chociaż teczkę mógł też zabrać z gabinetu. Albo mieć ze sobą — Rapawa nie mógł tego przysiąc, ale to niewykluczone — od samego początku, od chwili gdy wysiadł z samochodu. Tak czy inaczej, miał to, czego chciał, i uśmiechał się.

Uśmiechał się?

Przecież mówię, chłopcze, uśmiechał się. Ale to nie był radosny uśmiech. Było w nim coś...

Żalosego?

Zgadza się, coś żalosego. Niedowierzenie, jakby chciał powiedzieć: „Kto by w to, kurwa, uwierzył?”. Jakby właśnie przegrał w karty.

Wrócili tą samą drogą, którą przyszli, tyle że tym razem, idąc korytarzem z popiersiami, trafili na strażnika. Na widok Szefa o mało nie padł na kolana. Lecz Beria spiorunował go tylko wzrokiem i nawet nie zwolnił kroku — nikt nigdy nie dopuścił się tak bezczelnej kradzieży.

— Wspólnyj Pierieułok — powiedział w samochodzie.

Dochodziła piąta rano. Było jeszcze ciemno, ale zaczynały chodzić trolejbusy i na ulicach pojawili się ludzie — w większości babuszki, które sprzątały urzędy państwowe pod rządami cara i Lenina i które od jutra miały sprzątać je pod

rządami kogoś nowego. Przy Bibliotece Leninowskiej namalowany na murze olbrzymi Stalin spoglądał z góry na robotników stojących w kolejce do metra. Beria położył teczkę na kolanach i otworzył ją. Palila się wewnętrzna lampka. Beria czytał jakieś papiery, bębniąc niespokojnie palcami.

— Czy w bagażniku mamy łopatę? — zapytał nagle.

Rapawa odparł, że tak. Na wypadek, gdyby trafili na zasy.

— A skrzynkę na narzędzia?

— Tak, Szefie. Dużą, z podnośnikiem, łyżką do opon, nakrętkami do kół, zapasową korbą, świecami zapłonowymi...

Beria chrząknął i ponownie schował nos w papierach.

Ziemia w ogrodzie była twarda jak kamień, nakrapiana lśniącymi grudkami lodu, o wiele za twarda na łopatę i Rapawa musiał obejść dookoła szopę i poszukać kilofa. Zdjął płaszcz, złapał oburącz trzonek, tak jak to czynił, obrabiając ojcowskie pole w Gruzji, i zatoczywszy szeroki łuk nad głową, opuścił kilof w dół, pozwalając, by dzieła dokonał sam impet narzędzia. Ostrze zagłębiło się w zmarznięty grunt aż po trzonek. Rapawa szarpnął kilof w przód i w tył, wyrwał go z ziemi, ustawił się lepiej i wbił go ponownie.

Pracował w niedużym wiśniowym sadzie przy świetle sztormowej lampy wiszącej na pobliskiej gałęzi, najszybciej, jak mógł, wiedząc, że w mroku za jego plecami, daleko poza kręgiem światła, siedzi, obserwując go, niewidoczny Beria. Wkrótce tak się spocił, że mimo marcowego chłodu musiał zdjąć marynarkę i zakasać rękawy. Koszula przykleiła mu się do pleców i mimo woli przypomniał sobie innych ludzi, którzy wykonywali podobną pracę, podczas gdy on pilnował ich, trzymając w ręku karabin — innych ludzi w znacznie cieplejszy dzień, kąpiących doły w lesie, a potem kładących się w nich posłusznie twarzami do ziemi. Pamiętał zapach wilgotnej gleby, skwar, senną leśną ciszę i zastanawiał się, co zrobi, jeśli Beria każe mu się położyć na dnie dołu.

— Nie kop tak szeroko — doszedł go głos z ciemności. — To nie grób. Sam przysparzasz sobie więcej roboty.

Po jakimś czasie Rapawa zaczął używać łopaty na zmianę z kilofem, odłupując kawały gliny i zeskakując na dół, żeby uprzątnąć rumowisko. Z początku ziemia sięgała mu do kolan, potem do pasa, w końcu do piersi — w tym momencie na górze pojawiła się okrągła jak księżyc twarz Berii, który kazał mu skończyć; dół był wystarczająco głęboki, Rapawa dobrze się spisał. Szef uśmiechał się i wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wdrapać się na górę. Ujmując jego miękką dłoń, Rapawa czuł do niego taką miłość — taką falę wdzięczności i oddania, jakiej nie zaznał już potem nigdy w życiu.

Niczym dwaj starzy towarzysze — tak zapisało się to w pamięci Rapawy — złapali za dwa końce długą metalową skrzynkę na narzędzia i opuścili ją na dno dołu. Potem zasypali go, udeptali mocno ziemię, a Rapawa wygładził ją

łopatą i pokrył zeschniętymi liśćmi. Kiedy ruszyli trawnikiem w stronę domu, na niebie na wschodzie zapalały się już pierwsze szare smugi brzasku.

Kelso i Rapawa opróżnili wspólnie miniaturowe butelczki i przerzucili się na domowego wyrobu pieprzówkę, którą stary trzymał w poobijanej blaszanej manierce. Bóg jeden wiedział, z czego ją pędził. Może z szamponu do włosów. Powąchał ją, kichnął, po czym mrugnął do Anglika i nalał mu z meniskiem oleistej cieczy. Miała barwę gołębiej piersi i Kelso poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- A Stalin umarł — powiedział bełkotliwie, starając się uniknąć spełnienia toastu. Zdrętwiała mu szczeka.

- A Stalin umarł. — Rapawa potrząsnął ze smutkiem głową. Nagle pochylił się i stuknął kieliszkiem w jego kieliszek. — Za towarzysza Stalina!

— Za towarzysza Stalina!

Wypili.

26

Stalin umarł. I wszyscy oszaleli z rozpacz. Wszyscy, / wyjątkiem towarzysza Berii, który wygłosił mowę pogrzebową do zgromadzonych na placu Czerwonym tysięcy rozhisteryzowanych żałobników tonem czytającego rozkład jazdy zawiadowcy stacji, a potem stroił sobie na ten temat żarty z chłopakami.

Rozeszły się o tym słuchy.

Beria był sprytnym człowiekiem, o wiecie sprytniejszym od ciebie, chłopcze... zjadłby cię na śniadanie. Ale sprytni ludzie zawsze popełniają jeden błąd. Uważają, że wszyscy naokoło są głupi. A wszyscy nie są głupi. Potrzebują tylko trochę więcej czasu.

Szef myślał, że będzie rządził przez dwadzieścia lat. Przetwał trzy miesiące.

Ktoregoś czerwcowego ranka — Rapawa był wtedy na służbie z tym samym co zwykle zespołem: Nadarią, Sarsikowem, Dumbadze — nadeszła informacja, że ma się odbyć specjalne posiedzenie prezydium w biurze Malenkowa na Kremlu. Ponieważ było to u Malenkowa, Szef specjalnie się nie przejął. Kim był w końcu gruby Malenkow? Zerem. Głupim brązowym miśkiem. Szef trzymał Malenkowa na końcu sznura.

Dlatego wsiadając do samochodu, żeby udać się na posiedzenie, nie miał nawet krawata. Pojechał w nie zapiętej koszuli i starym znoszonym garniturze. Po co miałby wiązać krawat? Był upalny dzień, Stalin już nie żył, w Moskwie było pełno dziewczyn, a on miał rządzić przez następne dwadzieścia lat.

Niedługo przedtem przestały kwitnąć wiśnie w ogrodzie.

Przybyli do siedziby Malenkowa i Szef poszedł do niego na górę, a oni usiedli w przedpokoju przy wejściu. Jeden po drugim przyjeżdżali dygnitarze, wszyscy towarzysze, z których Beria śmiał się w kułak, kiedy tego nie widzieli — stary „Kamienny Dupek” Mołotow, tłusty wieśniak Chruszczow, ofermowaty Woroszyłow i na koniec marszałek Żuków, ten nadęty pacan z piersią udekorowaną orderami. Wszyscy udali się na górę i Nadaria

— Może byście tak poszli do kantyny, Papu Gierasimowiczu — zwrócił się do Rapawy — i przynieśli nam kawy?

Dzień mijał. Co jakiś czas Nadaria szedł na górę, żeby zobaczyć, co się dzieje, i zawsze wracał z tą samą wiadomością: posiedzenie wciąż trwa. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Posiedzenia prezydium często ciągnęły się godzinami. Ale o ósmej wieczorem szef ochrony zaczął się niepokoić, a o dziesiątej, gdy zapadł letni zmierzch, kazał wszystkim pójść z nim na górę.

Nie zważając na protesty sekretarzy Malenkowa, wdarli się do wielkiej sali. Była pusta. Sarsikow próbował zadzwonić z kogoś z telefonów, ale żaden nie działał. Jedno z krzeseł było wywrócone i leżało wokół niego kilka złożonych kartek. Na każdej zapisane było ręką Berii, czerwonym atramentem, jedno słowo: „Alarm!”.

Mogli stawić opór, ale w imię czego? Cała rzecz była ukartowana, operację przeprowadziła Armia Czerwona. Żuków sprowadził nawet czołgi... postawił dwadzieścia T-34 na tyłach domu Szefa (Rapawa dowiedział się o tym później). Na Kremlu były pojazdy opancerzone. Beznadziejna sprawa. Cała walka nie trwałaby dłużej niż pięć minut.

Chłopaków rozdzielono. Rapawę zabrali do wojskowego więzienia w północnej części miasta, gdzie tłukli go na dziesięć różnych sposobów, oskarżyli o sprowadzanie małych dziewczynek, pokazali zeznania świadków, fotografie ofiar i na koniec listę trzydziestu nazwisk, które Sarsikow (wielki chojrak Sarsikow... takim okazał się twardzielem) dostarczył im już drugiego dnia.

Rapawa nic nie powiedział. Rzygał na to wszystko.

A potem, któreś nocy, mniej więcej dziesięć dni po zamachu stanu — Rapawa zawsze uważał całą tę historię za zamach stanu — połatali go jakoś, umyli, dali czyste więzienne pasiaki i zawlekli skutego kajdankami do gabinetu dyrektora na spotkanie z jakimś oficjelem z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Dygnitarz, facet między czterdziestką i pięćdziesiątką, miał mordę twardego drania i podłe

28

oczka. Oznajmił, że jest wiceministrem i chce rozmawiać o prywatnych papierach towarzysza Stalina.

Rapawę przykuto do krzesła. Strażnicy wyszli z pokoju. Wiceminister usiadł za biurkiem dyrektora. Na ścianie za jego plecami wisiał portret Stalina.

Wszystko wskazuje na to, stwierdził wiceminister — zmierzyszy wpierw Rapawę przeciągłym spojrzeniem — że w ostatnich latach towarzysz Stalin, aby lepiej podołać swoim olbrzymim obowiązkom, nabrał zwyczaju robienia notatek. Czasami zapisywał je na zwykłych kartkach papieru, innym razem w zeszycie w czarnej ceratowej okładce. O istnieniu tych notatek wiedzieli tylko niektórzy członkowie prezydium oraz towarzysz Poskriebyszew, długoletni sekretarz towarzysza Stalina. Zdrajca Beria kazał go ostatnio uwięzić pod fałszywymi, wysnanymi z palca zarzutami. Wszyscy świadkowie zgodnie twierdzą, że towarzysz Stalin trzymał te papiery w sejfie w swoim prywatnym gabinecie,

do którego tylko on miał klucz.

Wiceminister pochylił się do przodu. Jego ciemne oczy świdrowały twarz Rapawy.

Po tragicznej śmierci towarzysza Stalina starano się odszukać ten klucz. Nie udało się go odnaleźć. W związku z tym całe prezydium postanowiło, by w obecności wszystkich jego członków wyłamać drzwi do sejfu i sprawdzić, czy towarzysz Stalin nie pozostawił jakichś materiałów o historycznym znaczeniu, które mogłyby pomóc Komitetowi Centralnemu w trudnym zadaniu wyznaczenia jego następcy.

Zgodnie z tą decyzją, drzwi pod nadzorem prezydium zostały wyłamane, lecz sejf okazał się pusty, z wyjątkiem kilku przedmiotów o mniejszym znaczeniu, takich jak legitymacja partyjna towarzysza Stalina.

— W tym momencie — wycedził wiceminister, wstając powoli z fotela — dochodzimy do sedna sprawy.

Obszedł biurko i siadł na jego skraju, dokładnie naprzeciw Rapawy. Był z niego kawał chłopca, chłopce. Kawał wielkiego sukinsyna.

Wiemy od towarzysza Malenkowa, oświadczył, że we

29

wczesnych godzinach rannych, drugiego marca, pojechałeś na dachę w Kuncewie w towarzystwie tego zdrajcy Berii i że obaj przez kilka minut przebywaliście sami z towarzyszem Stalinem. Czy coś zostało zabrane z jego sypialni?

Nie, towarzyszu.

Nic a nic? >

Nie, towarzyszu.

Dokąd pojechaliście z Kuncewa?

Odwiozłem towarzysza Bериę do domu, **towarzyszu.**

Prosto do jego domu?

Tak, towarzyszu. , >

Kłamiesz.

Nie, towarzyszu.

Kłamiesz. Mamy świadka, który widział was obu na Kremlu przed świtem. Strażnika, który spotkał was na korytarzu.

A tak, towarzyszu. Teraz sobie przypomniałem. Towarzysz Beria powiedział, że potrzebuje czegoś ze swego gabinetu...

Czegoś z gabinetu towarzysza Stalina!

Nie, towarzyszu.

Kłamiesz! Jesteś zdrajcą! Ty i ten angielski szpieg Beria włamaliście się do gabinetu Stalina i wykradliście jego papiery! Gdzie są te papiery?

Nie, towarzyszu...

Zdrajca! Złodziej! Szpieg!

> Każdemu słowu towarzyszyło uderzenie w twarz.

I tak to trwało.

Coś ci powiem, chłopce. Nikt nie zna całej prawdy o tym, co się stało z Bериą, nawet teraz — nawet po tym, jak Gorbaczow i Jelcyn sprzedali naszą pieprzoną historię kapitalistom i pozwolili CIA buszować w naszych archiwach. Papiery na temat Szefa nie są udostępniane. Wywieźli go z Kremla, zawiniętego w dywan, na podłodze samochodu, i niektórzy mówią, że Żuków zastrzelił go jeszcze tej samej

nocy. Inni twierdzą, że zabili go w następnym tygodniu. Ale

30

większość utrzymuje, że trzymali go żywego przez pięć miesięcy — pięć miesięcy! — w bunkrze pod siedzibą Moskiewskiego Okręgu Wojskowego i zastrzelili dopiero po lajnym procesie.

Tak czy inaczej, zastrzelili go. Przed Bożym Narodzeniem na pewno już nie żył.

A oto, co mi zrobili.

Rapawa podniósł w górę swoje okaleczone palce i poruszył nimi. A potem niezgrabnie rozpiął koszulę, wyciągnął ją ze spodni i obrócił swój chudy tors, żeby pokazać plecy. Kręgosłup miał poprzecinany lśniącymi błonami blizn — przezroczystymi oknami, przez które widać było żywe mięso. Brzuch i klatkę piersiową pokrywały zwoje niebiesko-czarnych tatuaży.

Kelso nie odezwał się. Rapawa ponownie usiadł, nie zapinając koszuli. Blizny i tatuaże były jego medalami. Nosił je z dumą.

Ani słowa, chłopcze. Słyszysz? Nie usłyszeli ode mnie. Ani. Jednego. Słowa.

W trakcie tego wszystkiego nie wiedział, czy Szeff jeszcze żyje i czy nie zaczął mówić. Ale to nie miało znaczenia. Papu Gierasimowicz Rapawa nie puścił pary z gęby.

Dlaczego? Czy wynikało to z lojalności? Może trochę — pamiętał o tej wyciągniętej ręce. Ale nie był aż taki młody i głupi, żeby nie wiedzieć, iż milczenie jest jego jedyną szansą. Jak długo, myślisz, pozwoliliby mu żyć, gdyby zaprowadził ich w to miejsce? Pod tym drzewem zakopał swój wyrok śmierci. Więc, spokojnie, spokojnie; ani słowa.

Przyszła zima, a on leżał wstrząsany dreszczami w nie ogrzewanej celi i wyobrażał sobie wiśniowe drzewa, z których opadają liście, gołe gałęzie sterczące na tle nieba i wycie wilków.

Gdzieś koło Bożego Narodzenia, niczym znudzone dzieci, nagle przestali się interesować całą sprawą. Bicie trwało jeszcze jakiś czas — teraz, musisz zrozumieć, było to dla obu stron kwestią honoru — ale o nic już nie pytali i w końcu

po pewnej wyjątkowo długiej i wymyślnej sesji przestali go również bić. Wiceminister nigdy już się nie pojawił i Rapawa domyślił się, że Beria na pewno nie żyje. Domyślił się również, że ktoś uznał, iż papiery Stalina, jeśli w ogóle istnieją, lepiej zostawić w spokoju.

W każdej chwili spodziewał się siedmiu gramów ołowiu. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że po likwidacji Berii zostawią go przy życiu. Dlatego nic nie zapamiętał z podróży, jaką odbył podczas śnieżnej zimy do budynku Armii Czerwonej przy ulicy Komissariatu. Nie zapamiętał ani naprędce zaadaptowanej sali sądowej z wysokimi zakratowanymi oknami, ani trzech sędziów. Śnieg przysypał jego pamięć. Widział go za oknem, widział, jak sunie falami nad rzeką i wzdłuż nabrzeża, jak przyćmiewa popołudniowe światła na drugim brzegu — idące w marszu śmierci od wschodu białe wysokie kolumny śniegu.

Głosy sędziów brzęczały gdzieś w oddali. Później, kiedy było już ciemno i wyprowadzono Rapawę na dwór, żeby go, jak sądził, rozstrzelać, zapytał, czy może się na chwilę zatrzymać i dotknąć dłonią zasy. Strażnik zapytał dlaczego.

— Żeby po raz ostatni poczuć śnieg między palcami, towarzyszu — odparł Rapawa.

Śmieli się z tego do rozpuku. A kiedy przekonali się, że mówi serio, śmieli się jeszcze bardziej.

— Jeśli istnieje jakaś rzecz, której nigdy ci nie zabraknie, Gruzynie — powiedzieli, wpychając go do więziennej karetki — to jest nią śnieg.

Tak oto dowiedział się, że skazano go na piętnaście lat ciężkich robót na Kołymie.

W pięćdziesiątym szóstym Chruszczow zwolnił na mocy amnestii pokazałą liczbę więźniów Gułagu, ale nikt nie zwolnił Rapawy. O Papu Rapawie zapomniano. Przez następne piętnaście lat Papu Rapawa na zmianę gnił i marzył w syberyjskich lasach — gnił podczas krótkiego lata, gdy każdy więzień pracował otoczony chmurą malarycznych

32

komarów, i marzył w zimie, kiedy lód skuwał na kamień moczary.

Powiadają, że ci, którzy przeżyli obozy, wyglądają wszyscy jak samo, bo kiedy człowiek raz wychudnie na szkielet, nie ma znaczenia, jak wiele nabierze później ciała i jak się ubiera — kości i tak wystają przez skórę. Kelso odbył w swoim czasie dość rozmów z byłymi więźniami Gułagu, by rozpoznać obozowy szkielet w twarzy Rapawy; nawet teraz, gdy z nim rozmawiał, widział go w oczodołach, zgięciu szczęki, stawach nadgarstków, w płaskim zarysie mostka.

Nie zwolnili go na mocy amnestii, opowiadał Rapawa, ponieważ zabił człowieka, Czeczena, który chciał go zgwałcić. Wypatroszył go szpikulcem, który zrobił z kawałka piły.

A co wam się stało w głowę, zapytał Kelso.

Rapawa dotknął palcami blizny. Nie pamiętał. Czasami, kiedy było wyjątkowo zimno, blizna bolała go i wracały do niego złe sny.

Jakie sny?

W kąciку ust Rapawy błysnął ciemny uśmiech. Nie powie. Piętnaście lat...

Wrócił do Moskwy latem sześćdziesiątego dziewiątego, w dniu, kiedy Jankesi wylądowali na Księżycu. Rapawa, który wyszedł ze schroniska dla byłych więźniów, włóczył się po zatłoczonych skwarnych ulicach i niczego nie rozumiał. Gdzie się podział Stalin? To go zadziwiło. Gdzie są jego wszystkie pomniki i portrety? Gdzie szacunek? Wszyscy chłopcy wyglądali jak dziewczyny, a wszystkie dziewczyny jak kurwy. Kraj najwyraźniej schodził na psy. Ale w tamtych czasach — musiał to przyznać — każdy mógł przynajmniej dostać pracę... nawet taki stary zek jak on. Wysłali go do lokomotywowni na Dworcu Leningradzkim, gdzie pracował jako prosty robotnik. Liczył sobie dopiero czterdzieści jeden lat i był silny jak niedźwiedź. Wszystko, co miał, mieściło się w kartonowej walizce.

Czy się kiedyś ożenił?

Rapawa wzruszył ramionami. Naturalnie, że się ożenił.

Tylko w ten sposób można było załatwić sobie mieszkanie.
Ożenił się i znalazł sobie jakiś ką. ;

33

I co się stało? Gdzie ona jest?
Zmarła. W tamtych czasach, kiedy nie było jeszcze nar-
kotyków i przestępczości, to był porządny blok, chłopcze.
Gdzie mieszka?
Pierdoleni kryminaliści...
Ma jakieś dzieci?
Miał syna. Też już nie żyje. Zginął w Afganistanie. I córkę.
Córka nie żyje?
Żyje. Jest kurwą.
A papiery Stalina?
Mimo że pijany, Kelso nie potrafił zadać tego pytania
w niewinny sposób i w oczach starego zabłysła chytryść:
chłopska chytryść.
— Mów dalej, chłopcze. Tak? Papiery Stalina? Co takiego
z papierami Stalina?
Kelso zawahał się.
• Chodzi mi o to, czy wciąż istnieją... czy jest szansa...
możliwość...
• Chcesz je zobaczyć?
— Oczywiście.
Rapawa roześmiał się.
• Dlaczego miałbym ci pomagać, chłopcze? Czy po to
spędziłem piętnaście lat na Kołymie? Żeby pomagać ci
wymyślać nowe kłamstwa? Z miłości?
• Nie. Nie z miłości. Dla historii.
• Dla historii? Odpuść sobie, chłopcze!
• Więc dobrze... dla pieniędzy.
— Że co?
— Dla pieniędzy. Za udział w zyskach. - To masa forsy.
Wieśniak Rapawa podrapał się w nos.
— Ile dokładnie?
— Dużo. Jeśli to wszystko prawda. Jeśli uda nam się
znaleźć te papiery. Wierz mi, to będzie ndasa forsy.

Ciszę przerwały głosy na korytarzu, głosy mówiące po
angielsku, i Kelso domyślił się, do kogo należą. Jego koledzy
historycy — Adelman, Duberstein i reszta — wracali z póź-

34

ncj kolacji i zastanawiali się, gdzie się podział. Nagle
uznał za szalenie ważne, żeby nikt... przynajmniej żaden
/ jego kolegów... nie dowiedział się niczego o Papu Ra-
pawie.

Do drzwi rozległo się ciche pukanie i Kelso pokazał dłonią
staremu, żeby się nie odzywał. Bardzo cicho wyciągnął dłoń
i zgasił lampę przy łóżku.

Za drzwiami słyszeli szepty, wzmocnione przez panujący
w pokoju mrok, lecz mimo to stłumione i niewyraźne.
Rozległo się kolejne pukanie, a potem któryś z nich za-
chichotał. Inni uciszali go. Może widzieli, jak Kelso zgasił
lampę. Może doszli do wniosku, że jest z kobietą — pas-
wałoby to do jego reputacji.

Po kilku sekundach głosy umilkły i na korytarzu znowu
zapadła cisza. Kelso zapalił światło. Uśmiechnął się i po-
klepał po sercu. Twarz starego zastygła w maskę, ale po

chwili on także się uśmiechnął i zaczął śpiewać. Miał drżący, zaskakująco melodyjny głos...

*Kołyma, Kołyma
Nie ma piękniejszego kraju!
Przez dwanaście miesięcy zima,
A poza tym lato...*

Po wyjściu na wolność był po prostu Papu Rapawą, robotnikiem kolejowym, który odsiedział wyrok w obozach. I na tym koniec. Jeśli ktoś chciał się dowiedzieć czegoś więcej — tak? proszę bardzo, towarzyszu! — mógł oberwać pięścią albo żelaznym łomem.

Dwaj ludzie mieli go na oku od samego początku. Antipin, który był brygadzystą w Lokomotywowni numer 1 imienia Lenina, i pewien kaleka w mieszkaniu piętro niżej, facet o nazwisku Senka. Nigdy w życiu nie spotkałeś piękniejszych ptaszków. Słychać było, jak kablują do KGB, jeszcze nim zamknęły się za tobą drzwi. Inni pojawiali się i znikali — piesi agenci, mężczyźni w zaparkowanych samochodach, ci, którzy zadawali „rutynowe pytania” — ale Antipin i Sonka byli najwierniejsi, choć nigdy nie wyciągnęli od niego ani

35

słowa, żaden z nich. Rapawa pochował swoją przeszłość w dole o wiele głębszym od tego, który wykopał dla Berii.

Sonka zmarł przed pięciu laty. Nie ma pojęcia, co stało się z Antipinem. Lokomotywownia numer 1 należy teraz do prywatnej spółdzielni importującej francuskie wino.

Papiery Stalina, chłopcze? Kogo to, kurwa, obchodzi? On, Rapawa, już niczego się nie boi.

Mnóstwo forsy, powiadasz? No, no...

Rapawa pochylił się do przodu, splunął do popielniczki, a potem znieruchomiał i wyglądał, jakby zapadł w sen. Mój chłopak zginął, mruknął po chwili. Mówiłem ci o tym?

Tak.

Zginął w zasadzce na drodze do Mazar-i-Szarif. Był jednym z ostatnich, których wysłano. Zabiły go te diabły z epoki kamienia łupanego, z czarniawymi twarzami i jankeskimi rakietami. Czy Stalin kiedykolwiek pozwoliłby, żeby nasz kraj upokorzyły takie dzikusy? Pomyśl o tym! Starłby ich na pył i rozrzucił prochy nad Syberią. Kiedy chłopak zginął, Rapawa zaczął wypuszczać się na spacer. Wielkie długie spacer, które mogły trwać cały dzień i całą noc. Przemierzał miasto, od Pierowa aż do jezior, od Bitcewskiego Parku aż do wieży telewizyjnej. I w trakcie jednego z tych spacerów... to musiało być przed sześciu, siedmiu laty, mniej więcej w czasie przewrotu — znalazł się w miejscu, które znał z własnego snu. Z początku nie zdawał sobie z tego sprawy. A potem zorientował się, że zawędrował na Wspólny Pierieulok. Szybko dał stamtąd nogę. Jego chłopak był radiotelegrafistą w jednostce czołgów. Lubił majstrować przy radiach. Żaden z niego żołnierz.

A dom, zapytał Kelso. Czy dom wciąż tam stoi?

Miał dziewiętnaście lat.

A dom? Co się stało z domem?

Głowa opadła Rapawie na piersi.

Dom, towarzyszu...

Był tam czerwony półksiężyc i pojedyncza czerwona gwiazda. Domu pilnowały diabły z czarniawymi twarzami.

Po tych słowach Kelso nie zdołał już wyciągnąć z Rapa wy nic sensownego. Powieki starego zatrzepotały i opadły w dół. Usta rozchyliły się. Żółta ślina pociekła po policzku.

Kelso obserwował go przez kilka minut, czując, jak w jego żołądku wzbiera napięcie, i nagle podniósł się z krzesła i pobiegł szybko do łazienki, gdzie złapały go gwałtowne i obfite torsje. Oparł rozpalone czoło o chłodny emaliowany skraj sedesu i oblizwał wargi. Własny język wydał mu się wielki i gorzki, niczym spuchnięty kawałek czarnego owocu, (oś utkwiło mu w gardle. Próbował odkaszlnąć, ale bez skutku. Potem chciał to połknąć i znowu zrobiło mu się niedobrze. Kiedy podniósł głowę, krany odłączyły się od rur łazienki i zaczęły krążyć wokół niego w powolnym plemiennym tańcu. Między jego nosem i sedesem zawisła srebrna lśniąca nitka śluzu.

Wytrzymaj, powiedział sobie. To także minie.

A później, czując, jak tonie, zacisnął znowu ręce na chłodnym białym sedesie. Horyzont przechylił się, łazienka pociemniała i osunęła się...

Coś zaszeleściło w czerni jego snów. Para żółtych **oczu**.
— Kim jesteś, żeby kraść moje prywatne papiery? —za*
pytał Stalin i skoczył na niego z sofy niczym wilk.

Kelso obudził się nagle i rąbnął głową o wystający skraj wanny. Jęknął, obrócił się na plecy i obmacał czaszkę, szukając śladów krwi. Był pewien, że wyczuł jakąś lepka wilgoć, ale kiedy zbliżył palce do oczu i przyjrzał im się zmrużonymi oczyma, były czyste.

Jak zawsze, nawet teraz, gdy leżał na podłodze moskiewskiej łazienki, jakaś część jego umysłu pozostawała nieubłagane trzeźwa, niczym kapitan na zasnutym dymami mostku trafionego okrętu, domagający się spokojnym tonem oceny szkód. Ta właśnie część umysłu uznała, że choć czuje się paskudnie, zdarzało się — o dziwo! — iż czuł się jeszcze

gorzej. I ta część umysłu zarejestrowała w tle dudniącego sucho pulsu skrzypnięcie butów i odgłos zamykanych cicho drzwi.

Kelso zacisnął szczęki i dźwignął się, pokonując siłą woli wszystkie szczeble ludzkiej ewolucji — od śluzu na podłodze, poprzez pozycję na czworakach aż do czegoś w rodzaju małpiego przysiadu. Sypialnia była pusta. Szare światło sączyło się przez cienkie pomarańczowe zasłony, oświetlając nocne pobojuwisko. Od kwaśnego odoru rozlanej wódki i stęchłego dymu żołądek podchodził mu do gardła. Mimo to — powodowany w równym stopniu heroizmem i desperacją — ruszył do drzwi.

— Papu Gierasimowiczu! Zaczekajcie!

Korytarz był pusty i pogrążony w półmroku. Z samego końca, zza rogu dobiegł go sygnał zbliżającej się windy. Krzywiąc się, pognął w tamtą stronę, ale kiedy dopadł windy,

drzwi właśnie się zamykały. Próbował otworzyć je palcami, krzycząc przez szparę do Rapawy, żeby wrócił. Walnął kilka razy otwartą dłoń w przycisk przy drzwiach, ale nic się nie stało, w związku z czym ruszył na dół schodami. Już na dwudziestym pierwszym piętrze dał za wygraną. Wezwał ekspresową windę i czekał na nią oparty o ścianę, zdyszany, targany torsjami, mając wrażenie, że ktoś wbił mu nóż między oczy.

Stał tak bardzo długo, a kiedy w końcu wszedł do windy, ta zawiozła go szybko na dwudzieste trzecie piętro, z którego przed chwilą zbiegł. Drzwi otworzyły się urągliwie na pusty korytarz.

Wysiadł na parterze z zatkanymi od szybkiej jazdy uszami, ale Rapawa zniknęła. W marmurowym holu Ukrainy nie było nikogo poza babuszką odkurzającą czerwony dywan i kłócącą się z ochroniarzem platynową dziwką z zarzuconym na ramiona fałszywym sobolem. Idąc w stronę wyjścia, Kelso zdał sobie sprawę, że wszyscy troje przestali robić to, co robili, i wbili w niego wzrok. Dotknął ręką czoła. Był cały zlany potem.

Na zewnątrz było zimno i niezbyt jasno. Rzeński październikowy ranek. Od rzeki ciągnęło chłodem. Mimo to przez

38

Kutuzowski Prospekt aż po most Kaliniński walił już sznur samochodów. Kelso doszedł do głównej ulicy i stał tam minutę albo dwie, drżąc z zimna w samej koszuli. Nigdzie nie było ani śladu Rapawy. Chodnikiem po jego prawej stronie dreptał stary szary pies, wielki i na pół zagłodzony, mijając masywne budynki i kierując się na wschód, w stronę budzącego się miasta.

CZEŚĆ PIERWSZA

MOSKWA

*Wybrać swoją ofiarę, przygotować wszystko skrupulatnie,
wydać ją na pastwę nieubłaganej zemsty, a potem pójść spać...
nie ma nic słodsze pod słońcem.*

J. W. Stalin w rozmowie
7 Kamieniem i Dzierżyńskim

Rozdział 1

Olga Komarowa z Rosyjskich Archiwów Państwowych, Rosarchiw, poganiała swych dostojnych podopiecznych różową składaną parasolką, kierując ich w stronę obrotowych drzwi hotelu Ukraina. Drzwi były stare, z szybkami osadzonymi w masywnym drewnie, zbyt wąskie, by między skrzydłami zmieściła się więcej niż jedna osoba, i historycy ustawili się przed nimi w kolejce, niczym spadochroniarze nad strefą zrzutu. Zanim każdy z nich wyskoczył na mroźne moskiewskie powietrze, Olga muskała lekko jego ramię parasolką, licząc swoje stadko.

Pierwszy, z racji wieku i urzędu, kroczył Franklin Adelman z Yale, potem Moldenhauer z Bundesarchiv w Koblencku, ze swoim absurdalnym podwójnym doktoratem — doktor doktor Franz-francowaty-Moldenhauer — następnie neomarksista, Enrico Banfi z Mediolanu i Erie Chambers z LSE, za nimi zaprawiony w bojach Phil Duberstein z New York University, potem Ivo Godelier z Ecole Normale Supérieure wraz z posępnym Davem Richardsem z St Antony College w Oksfordzie — kolejnym sowietologiem, którego świat legł w gruzach — następnie Velma Byrd z US National Archive oraz Alastair Findlay z edynburskiego Wydziału Studiów Wojennych, wciąż wierzący, że słońce świeci z tyłka towarzysza Stalina, wreszcie Arthur Saunders

43

z Stanfordu i na koniec — człowiek, przez którego spóźnienie musieli czekać w holu dodatkowe pięć minut — doktor C. R. A. Kelso, znany powszechnie jako Fluke.

Drzwi uderzyły go mocno w piętę. Pogoda na dworze pogorszyła się. Zaczął prószyć śnieg. Drobne płatki, twarde jak ziarna piasku, padały na szeroki szary dziedziniec i siekły go po twarzy i włosach. Na dole schodów dygotał w chmurze białych spalin sfatygowany autobus, który miał ich zabrać na sympozjum. Kelso przystanął, żeby zapalić papierosa.

— Jezu, Fluke! — zawołał wesoło Adelman. — Wyglądasz po prostu okropnie.

Kelso pozdrowił go drżącą ręką. Widział grupkę przytupujących z zimna taksówkarzy w pikowanych kurtkach. Robotnicy wyładowywali rolkę blachy ze skrzyni ciężarówki. Koreański biznesmen w futrzanej czapce fotografował dwudziestu innych tak samo ubranych Koreańczyków. Ale po Papu Rapawie ani śladu.

— Doktorze Kelso, proszę, znowu na pana czekamy.

Parasol skierował się z wyrzutem w jego stronę. Kelso przesunął papierosa w kącik ust, zarzucił torbę na ramię i ruszył do autobusu.

„Sterany życiem Byron” — tak nazwano go w niedzielnym dodatku jakiejś gazety, kiedy zrezygnował z profesury w Oksfordzie i przeniósł się do Nowego Jorku. To określenie nawet do niego pasowało: ciemne kręcone włosy, zbyt długie i gęste, żeby utrzymać je w porządku, wilgotne pełne usta, blade policzki oraz specyficzna reputacja — gdyby Byron nie zmarł w Missolonghi, ale przeżył następne dziesięć lat,

pijąc whisky, pałac, nie wychodząc na dwór i celowo unikając wszelkich fizycznych ćwiczeń, on również mógłby przypominać trochę z wyglądu Fluke'a Kelso.

Ubrany był tak samo jak zawsze: w rozpiętą pod szyją spłowiałą granatową koszulę z grubej bawełny, luźno związany, poplamiony ciemny krawat, czarny sztruksowy garnitur z czerwoną chusteczką w kieszonce na piersi, czarny skórzany pasek, znad którego wystawał lekko brzuch, znośzone buty z brązowego zamszu i stary niebieski deszczowiec. Taki był jego uniform, niezmienny od dwudziestu lat.

44

„Chłopcze”, mówił do niego Rapawa, i to słowo, chociaż absurdalne w stosunku do mężczyzny w sile wieku, wydawało się jednak dziwnie trafne. Miał w sobie coś z chłopca.

Ogrzewanie było włączone na pełny regulator. Pasażerowie prawie się nie odzywali. Kelso usiadł samotnie z tyłu i przetań mokrą szybę. Autobus wytoczył się z hotelowego podjazdu na ulicę i ruszył w stronę mostu. Siedzący po drugiej stronie przejścia Saunders ostentacyjnie opędzał się od dymu z papierosa. Niżej płynęła pod prąd, prując brudne wody rzeki, pogłębiarka z zamontowanym na śródkręciu dźwigiem.

O mało co w ogóle nie przyjechałby do Rosji. Na tym polegał cały dowcip. Wiedział dobrze, jak to będzie wyglądać: fatalne jedzenie, stare plotki, czysta esencja akademickiej nudy... coraz więcej słów na coraz bardziej kurczący się temat — to była jedna z przyczyn, dla których wypiął się na *Oksford* i zamieszkał w Nowym Jorku. Ale książka, którą zamierzał napisać, nie ujrzała jakoś światła dziennego. A poza tym nigdy nie mógł się oprzeć urokowi Moskwy. Nawet teraz, jadąc wysłużonym autobusem w porannej godzinie szczytu, czuł za zabloconą szybą oddech historii: w ciemnych, nazywanych na nowo ulicach, olbrzymich blokach mieszkalnych, obalonych pomnikach. Był silniejszy niż w jakimkolwiek innym miejscu, które znał, silniejszy nawet niż w Berlinie. To właśnie przyciągało go zawsze do Moskwy — historia, która unosiła się między poczerńiałymi gmachami niczym zapach siarki po uderzeniu błyskawicy.

Myślisz, że wiesz wszystko o towarzyszu Stalinie, prawda, chłopcze? Pozwól, że ci powiem: gównno wiesz.

Wczoraj wieczorem Kelso wygłosił już swój krótki referat o Stalinie i archiwach; wygłosił go w charakterystyczny dla siebie sposób — bez notatek, z jedną ręką w kieszeni, prowokacyjnie. Jego rosyjscy gospodarze wydawali się zakłopotani. Kilka osób nawet wyszło. Jednym słowem, sukces.

Pozostawiony samemu sobie, co było do przewidzenia, postanowił wrócić pieszo do hotelu. Spacer był długi, robiło się ciemno, ale musiał odetchnąć świeżym powietrzem. W którymś momencie — nie pamiętał gdzie; może to było w jednej z uliczek za instytutem, a może później, na Nowym Arbacie — zdał sobie sprawę, że jest śledzony. Nie było to nic konkretnego, po prostu ulotne wrażenie, że widzi kogoś zbyt często — mignięcie jego płaszcza albo owal głowy — lecz Kelso bywał w Moskwie wystarczająco często w dawnych złych czasach, żeby wiedzieć, iż człowiek rzadko się myli w takich sprawach. Zawsze wiadomo, kiedy film jest źle zsynchronizowany, choćby głos i obraz rozmijały się tylko o ułamek sekundy; zawsze wiadomo, kiedy ktoś się

w tobie zabuja, choćby wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne; i zawsze wiadomo, kiedy ktoś cię śledzi.

Zdażył wejść do swojego pokoju i miał właśnie zbadać wstępnie zawartość minibarku, kiedy z recepcji zadzwonili, że pragnie się z nim widzieć jakiś mężczyzna. Kto? Nie chce podać nazwiska, proszę pana, ale bardzo nalega i nie chce odejść. Kelso zjechał więc niechętnie na dół i zastał w holu Papu Rapawę. Siedział na jednej z sof ze sztucznej skóry, gapiąc się prosto przed siebie, ubrany w lichy niebieski garnitur, z wystającymi niczym kije od szczotki chudymi kośćmi nadgarstków.

— Myślisz, że wiesz wszystko o towarzyszu Stalinie, prawda, chłopcze?

To były jego pierwsze słowa.

I w tym momencie Kelso zdał sobie sprawę, gdzie po raz pierwszy go zobaczył: na sympozjum, w pierwszym rzędzie widowni, słuchającego uważnie symultanicznego tłumaczenia w słuchawkach, pomrukującego groźnie na każdą nieprzyjazną wzmiankę o J. W. Stalinie.

Kim jesteś, pomyślał teraz, wyglądając przez brudną szybę autobusu. Mitomanem? Naciągaczem? Spełnieniem modlitwy?

Sympozjum miało trwać jeszcze tylko jeden dzień — za co, zdaniem doktora Kelso, należało dziękować losowi. Odbywało się w Instytucie Marksizmu-Leninizmu, ortodoksyjnej świątyni z szarego betonu, konsekrowanej w czasach

46

Breżniewa, z gigantycznymi płaskorzeźbami Marksa, Engelsa i Lenina nad kolumnadą głównego wejścia. Parter wynajęto bankowi, który zdażył tymczasem zbankrutować, co pogłębiało wrażenie dekadencji.

Po drugiej stronie ulicy, na oczach kilku znudzonych policjantów demonstrowało około stu ludzi, w większości starszych, ale również kilku młodzieńców w czarnych беретach i skórzanych kurtkach. Stanowili zwykłą mieszankę fanatyków i frustratów — marksistów, nacjonalistów i antysemitów. Szkarłatne flagi z sierpem i młotem powiewały obok chorągwi z wyszytym carskim orłem. Jakaś staruszka trzymała portret Stalina; inna sprzedawała kasety z marszami SS. Starszy mężczyzna, nad którym trzymano parasol, przemawiał do tłumu metalicznym, zniekształconym przez tubę głosem. Kilka osób rozdawało bezpłatną gazetkę pod tytułem „Aurora”.

- Nie zwracajcie państwo na nich uwagi — powiedziała Olga Komarowa, stając obok kierowcy i pukając się w czoło. — To wariaci. Czerwoni faszyci.

- Co on mówi? — dopytywał się Duberstein, cieszący się sławą światowego znawcy sowieckiego komunizmu, mimo że nigdy nie nauczył się rosyjskiego.

- Mówi, że Instytut Hoovera próbował wykupić archiwum partii za pięć milionów dolarów — odparł Adelman. — Twierdzi, że chcemy ukraść ich historię.

Duberstein wydał szyderczo wargi.

— Komu by się chciało kraść ich pieprzoną historię? — Popukał sygnetem w szybę. — Patrzcie, czy to nie ekipa z telewizji?

Na widok kamery, jak łatwo można było przewidzieć,

wśród akademików rozległy się tęskne westchnienia.

- Chyba tak...
- Bardzo to nam pochlebia...
- Jak się nazywa wydawca „Aurory”? Czy wciąż wydaje ją ten sam facet? — zapytał Adelman i odwrócił się do tyłu. — Fluke, powinieneś to wiedzieć. Jak on się nazywa? Ten stary kagebista...
- Mamantow — odparł Kelso. Autobus ostro zahamo-

47

wał i musiał przełknąć ślinę, żeby nie zwymiotować.

Władimir Mamantow.

— To wariaci — powtórzyła Olga, łapiąc równowagę. — Przepraszam w imieniu Rosarchiwu. Oni nie są reprezentatywni. Proszę za mną. Ignorujcie ich państwo.

Wysiedli z autobusu i telewizyjny kamerzysta sfilmował, jak ściągani gwiazdami idą przez asfaltowy dziedziniec, mijając obwisłe srebrzyste jodły.

Kelso stał ostrożnie z tyłu kolumny, pielęgnując kaca, trzymając delikatnie przechyloną głowę, jakby balansował dzbankiem z wodą. Pryszczaty młodzieniec w drucianych okularach podał mu egzemplarz „Aurory”. Kelso zobaczył na pierwszej stronie karykaturę syjonistycznych spiskowców oraz dziwny kabalistyczny symbol, przypominający swastykę i czerwony krzyż, a potem wcisnął chłopakowi gazetkę z powrotem. Wśród demonstrantów podniosły się gwizdy.

Termometr przy wejściu pokazywał minus jeden stopień. Starą tablicę usunięto i przykręcono na jej miejsce nową, która jednak niezbyt dobrze pasowała, w związku z czym łatwo było poznać, że gmach został przemianowany. Obecnie mieścił się w nim Rosyjski Ośrodek Studiów nad Dokumentami Historii Najnowszej.

Inni weszli do środka, ale Kelso ponownie zamarudził chwilę na dworze, zerkając na wykrzywione nienawiścią twarze po drugiej stronie ulicy. Stało tam wielu zarumienionych od mrozu starszych mężczyzn w wieku Rapawy, ale nie widział go wśród nich. Wszedł do pogrążonego w półmroku holu, oddał płaszcz i torbę szatniarce i minawszy znajomy posąg Lenina, ruszył w stronę sali wykładowej.

Zaczynał się kolejny dzień.

W sympozjum brało udział dziewięćdziesięciu jeden uczestników i prawie wszyscy tłoczyli się w małym przedpokoju, gdzie podawano kawę. Kelso wziął filiżankę i zapalił następnego papierosa.

— Kto dziś pierwszy przemawia? — zapytał go ktoś z tyłu.

To był Adelman.

— Chyba Askenow. Na temat mikrofilmowania zbiorów.

48

Adelman jęknął. Miał siedemdziesiąt lat, pochodził z Bos-
i>iu i znajdował się w schyłkowym momencie swej kariery,
ply całe życie zdaje się upływać w samolotach i zagranicznych
hotelach: sympozja, konferencje, doktoraty honoris
i; i usa. Duberstein twierdził, że Adelman zrezygnował z po-
goni za prawdą historyczną na rzecz zaliczania kolejnych
kilometrów w powietrzu. Ale Kelso nie zazdrościł mu za-
szczytów. Był dobry. I odważny. Trzydzieści lat temu, kiedy
każdy użyteczny idiota ze stopniem naukowym głądził o od-
prężeniu, trzeba było odwagi, żeby pisać takie książki jak

on, o Wielkim Głodzie i Terrorze.

- Przepraszam za wczorajszą kolację, Frank.
- Nie ma sprawy. Ktoś przebił nasze zaproszenie?
- Tak jakby.

Bufet znajdował się na tyłach instytutu i wychodził na wewnętrzny dziedziniec, gdzie między zaroślami leżały na boku posągi Marksa i Engelsa — dwóch wiktoriańskich dżentelmenów, zażywających porannej drzemki po długim marszu przez historię.

— Nie mieli skrupułów, zdejmując z piedestałów tych dwóch — powiedział Adelman. — To łatwe. Są cudzoziemcami. I jeden z nich jest Żydem. Dopiero gdy strąca Lenina, będzie wiadomo, że coś się tu naprawdę zmieniło.

Kelso pociągnął łyk kawy.

• Odwiedził mnie wczoraj pewien mężczyzna — powiedział.

- Mężczyzna? Zawiodłem się na tobie.
- Czy mogę zasięgnąć twojej rady, Frank?

Adelman wzruszył ramionami.

- Strzelaj.
- Na osobności?

Adelman pogładził się po podbródku.

- Masz jego nazwisko? Tego faceta? "
- Oczywiście.
- To jego prawdziwe nazwisko?
- Skąd mam wiedzieć, czy jest prawdziwe?*

49

- No to jego adres? Masz jego adres?
- Nie, Frank, nie mam jego adresu, Ale zostawił to.

Adelman zdjął okulary i przyjrzał się uważnie kartonikowi zapalek.

• To mistyfikacja — stwierdził w końcu, oddając je. — Nie angażowałbym się w to. Kto kiedy słyszał o barze Robotnik? „Robotnik”? Wygląda mi to na jakąś blagę.

• Ale skoro to mistyfikacja — odparł Kelso, waząc zapalki w dłoni — dlaczego uciekł?

• Oczywiście dlatego, że nie chce, by to wyglądało na mistyfikację. Chce, żebyś trochę się przy tym potrudził: odnalazł go, przekonał, żeby ci pomógł. Na tym polega psychologia sprytnego oszustwa. Ofiara tyle się nabiega, tyle nachodzi, że w końcu sama chce, aby okazało się to prawdą. Przypomnij sobie pamiętniki Hitlera. Masz do czynienia albo z oszustem, albo z wariatem.

• Był bardzo przekonujący.

• *Wariaci często są przekonujący. A może to jakiś kawał!* Ktoś chce zrobić z ciebie głupka. Pomyślałeś o tym? Nie jesteś najbardziej lubianym uczniem w klasie.

Kelso spojrział w stronę sali wykładowej. Niegłupia hipoteza. Wielu z obecnych utopiłoby go w łyżce wody. Wystąpił w zbyt wielu telewizyjnych wywiadach, napisał zbyt wiele felietonów, zrecenzował zbyt wiele ich bezużytecznych książek. Saunders przestępował z nogi na nogę w kącie, udając, że rozmawia z Moldenhauerem., ale obaj najwyraźniej nadstawiali uszu, żeby usłyszeć, o czym tak szepcze z Adelmanem. (Po wygłoszonym przez doktora Kelso referacie Saunders zarzucał mu „subiektywizm”: „Chciałbym wiedzieć, dlaczego go w ogóle tutaj zaproszono? Dano nam

do zrozumienia, że to sympozjum dla poważnych uczonych...").

- Nie mają na to dość sprytu — uznał. Pomachał im ręką i z zadowoleniem spostrzegł, że usuwają się z pola widzenia. — Ani wyobraźni.
- Z pewnością masz talent do robienia sobie wrogów.
- Cóż... znasz to powiedzenie: im więcej wrogów, tym większy zaszczyt.

50

Adelman uśmiechnął się i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem najwyraźniej się rozmyślił.

- Jak się miewa Margaret, jeśli wolno spytać? — zagadnął zamiast tego.
- Kto? A, masz na myśli biedną Margaret? Jest zdrowa, il/iękuje. Zdrowa i zła jak osa. Według adwokatów.
- A chłopcy?
- Wchodzą w wiosnę okresu dojrzwania.
- A książka? Minęło już trochę czasu. Co z tą nową książką, którą właśnie pisziesz?
- Piszę ją.
- Dwieście stron? Sto? ;
- O co ci chodzi, Frank?
- Ile stron?
- Nie wiem. — Kelso oblizwał wyschnięte wargi. Z niedowierzaniem uświadomił sobie, że chętnie by się czegoś napił. — Może sto.

Przed oczyma stanął mu pusty szary monitor z kursorem, który migotał słabo niczym puls na ekranie podtrzymującej życie aparatury, błagając, żeby go wyłączyć. Nie napisał dotąd ani jednego słowa.

- Słuchaj, Frank, w tym może coś być, przyznaj. Nie zapominaj, że Stalin lubił wszystko chomikować. Chruszczow znalazł po jego śmierci kilka listów ukrytych w tajnej skrytce w biurku. — Kelso pomasaował obolałą głowę. — List od Lenina, który skarżył się na to, jak Stalin traktuje jego żonę. I spis członków Politbiura z krzyżykami przy nazwiskach tych, którzy mieli paść ofiarą czystki. A jego biblioteka... pamiętasz bibliotekę Stalina? Robił notatki na marginesach prawie każdej książki.
- No więc co chcesz powiedzieć?
- Twierdzą tylko, że to możliwe, nic więcej. Że Stalin to nie Hitler. Że pewne rzeczy zapisywał.
- *Quod volimus credimus libenter* — zaintonował Adelman. — Co znaczy...
- Wiem, co to znaczy...
- Co znaczy, mój drogi Fluke, że zawsze wierzymy w to, w co chcemy uwierzyć. — Adelman poklepał go po ramie-

niu. — Nie to chciałeś ode mnie usłyszeć, prawda? Przykro mi. Jeśli wolisz, mogę skłamać. Mogę ci powiedzieć, że na milion ludzi z podobnymi historiami ten jeden nie naopowiadał ci bzdur. Mogę powiedzieć, że facet zaprowadzi cię do nie opublikowanych pamiętników Stalina, że napiszesz na nowo historię tego stulecia, że zarobisz miliony dolarów, kobiety będą leżały u twoich stóp, a Duberstein i Stein będą śpiewać chórem hymny na twoją cześć na głównym dziedzińcu Harvardu...

- W porządku, Frank. — Kelso oparł tył głowy o ścia-

nę. — Bardzo to obrazowo przedstawiłeś. Sam nie wiem. Po prostu... Może powinieneś być tam razem z nim — ciągnął nie chcąc przyznać się *do* porażki. — Po prostu *coś mi* dzwoni w głowie. Tobie nie dzwoni?

- Jasne. Dzwonek alarmowy. — Adelman wyciągnął z kieszeni stary zegarek. — Musimy wracać. Nie pogniewasz się? Olga będzie się niepokoić. — Położył dłoń na ramieniu Fhike'a i poprowadził go korytarzem. — Tak czy owak, nie możesz nic zrobić. Jutro lecimy do Nowego Jorku. Porozmawiamy po powrocie. Zobaczę, czy uda mi się znaleźć dla ciebie coś na wydziale. Byłeś wspaniałym nauczycielem.

- Byłem kiepskim nauczycielem.

- Byłeś wspaniałym nauczycielem, zanim tania pokusa zaistnienia w mediach nie zwiódła cię z drogi rzetelnych studiów. Cześć, Olgo.

- Tu jesteście! Sesja już się zaczyna. Och, doktorze Kelso... to nieładnie... tutaj nie wolno palić, dziękuję.

Pochyliła się i wyjęła mu z ust papierosa. Miała lśniąca twarz z wyszczypanymi brwiami i bardzo rzadkim farbowanym na białą wąsikiem. Wrzuciła niedopałek do fusów kawy i zabrała mu filiżankę.

— Olgo, Olgo, dlaczego tu jest tak jasno?—jęknął Kelso, podnosząc dłoń do czoła.

Z sali wykładowej bił silny blask lamp wolframowych.

- Telewizja — odparła z dumą. — Robią o nas program.

- Lokalna? — Adelman poprawił muszkę. — Ogólnokrajowa?

- Satelitarna, profesorze. Międzynarodowa.

52

- Gdzie są nasze miejsca? — szepnął Adelman, osłaniając oczy przed światłem.

- Doktorze Kelso? Może chciałby pan powiedzieć kilka słów do mikrofonu?

Amerykański akcent. Kelso odwrócił się i zobaczył rosnącego młodego człowieka, którego skądś znał.

- Słucham pana?

- R. J. O'Brian — odparł młody mężczyzna, podając mu rękę. — Moskiewski korespondent Satellite News System. Robimy specjalny program na temat kontrowersji...

- Nie sądzę — przerwał mu Kelso. — Ale tu obecny profesor Adelman... jestem pewien, że z przyjemnością udzieli wam wywiadu.

Widząc, że ma szansę pojawić się na wizji, Adelman fizycznie urósł, niczym nadmuchiwana lalka.

— Cóż, jeśli moja wypowiedź zostanie potraktowana nieoficjalnie...

O'Brian zignorował go.

- Na pewno nie da się pan skusić? — zapytał, zwracając się do Fluke'a Kelso. — Nie ma pan nic do powiedzenia światu? Czytałem pańską książkę o upadku komunizmu.

Kiedy pan ją wydał? Przed trzema laty?

- Przed czterema — odparł Kelso.

- Właściwie wydaje mi się, że przed pięcioma — stwierdził Adelman.

Właściwie, pomyślał Kelso, prawie przed sześcioma: dobry Boże, co on robił przez te wszystkie lata?

- Nie — powiedział. — Bardzo dziękuję, ale ostatnio staram się nie występować w telewizji. — Spojrzał na Adelmana. — To taka tania pokusa...

• Później, proszę — syknęła Olga. — Wywiady będą później. Teraz przemawia dyrektor. Proszę. — Kelso poczuł ponownie wbijający się w jego plecy parasol. — Proszę. Proszę...

Kiedy na salę wykładową weszli rosyjscy delegaci, kilku dyplomatów, prasa i mniej więcej pięćdziesiąt osób publicz-

53

ności, w środku zrobił się prawdziwy tłok. Kelso osunął się ciężko na fotel w drugim rzędzie. Na mównicy profesor Walentin Askenow z Rosyjskich Archiwów Państwowych wyjaśniał rozwlekłe, w jaki sposób mikrofilmują partyjne akta. Kamerzysta O'Brian schodził tyłem w stronę podium, filmując widownię. Wzmocniony głośnikami, przenikliwy głos Askenowa rozrywał jakąś obolałą komorę w uchu Fluke'a Kelso. Na sali zapanował już rodzaj metalicznego, neonowego letargu. Minuty wlokły się niemiłosiernie wolno. Kelso schował twarz w dłoniach.

Dwadzieścia pięć milionów arkuszy... recytował Askenow, dwadzieścia pięć tysięcy rolek mikrofilmów... siedem milionów dolarów...

Kelso opuścił dłonie w dół, aż jego palce zetknęły się i zakryły usta. Oszuści, miał ochotę krzyknąć. Kłamcy! Dlaczego nikt ze słuchaczy nie protestuje? Wiedzą równie dobrze jak on, że dziewięćdziesiąt procent najwartościowszych materiałów wciąż jest pod kluczem, a obejrzenie reszty wymaga łapówki. Słyszał, że aktualna stawka za akta wziętego do niewoli nazisty wynosi tysiąc dolarów i butelkę szkockiej.

- Wynoszę się stąd — szepnął do Adelfmana.
- Nie możesz.
- A to dlaczego?
- To będzie niegrzeczne. Siedź tutaj, do diabła, i tak jak inni udawaj, że cię to strasznie interesuje.

Adelfman powiedział to wszystko półgębkiem, nie odrywając wzroku od podium. Kelso wytrzymał kolejne pół minuty.

- Powiedz im, że się rozchorowałem.
- Nie powiem.
- Puść mnie, Frank. Zaraz się porzygam.
- Jezu...

Adelfman przesunął nogi na bok i wsunął się głębiej w fotel. Pochylony nisko, żeby nie rzucić się w oczy, Kelso potykał się o stopy kolegów i kopnął w zgrabną czarną łydkę panią Velmę Byrd.

— Au... niech cię szlag, Kelso — jęknęła Velma.

54

Profesor Askenow podniósł wzrok znad notatek i przerwał w pół słowa. Kelso zdał sobie sprawę z dzwoniącej w głośnikach ciszy i poruszenia wśród widzów. Miał wrażenie, jakby jakieś wielkie pasące się na polu zwierzę odwróciło się, by obserwować jego wędrówkę. Trwało to bardzo długo, co najmniej do chwili, gdy udało mu się dotrzeć do drzwi sali. Dopiero kiedy przeszedł pod marmurowym wrokiem Lenina i skręcił w pusty korytarz, mówca podjął przerwany wątek.

Siedząc za zamkniętymi drzwiami ubikacji na parterze byłego Instytutu Marksizmu-Leninizmu, Kelso otworzył swoją płócienną torbę. W środku były narzędzia jego zawodu: żółty blok, ołówki, gumka, mały szwajcarski wojskowy scyzoryk, zestaw powitalny od organizatorów sympozjum, słownik, plan Moskwy, magnetofon oraz filofaks: palimpsest zapomnianych numerów, zerwanych kontaktów, dawnych przyjaciółek, minionych wcieleń.

W opowieści starego było coś znajomego, ale nie mógł sobie przypomnieć, co to jest. Wziął do ręki magnetofon, wcisnął najpierw przewijanie, a po jakimś czasie odtwarzanie, po czym przystawił go do ucha i usłyszał blaszany, upiorny głos Rapawy.

...pokój towarzysza Stalina wyglądał jak pokój prostego człowieka. Trzeba to przyznać Stalinowi. Był zawsze jednym z nas...

Przewijanie. Odtwarzanie.

...jedno wydawało się dziwne, chłopcze: Malenkov zdjął swoje błyszczące nowe buty i wsadził je pod pachę...

Przewijanie. Odtwarzanie.

...wiesz, co mam na myśli, mówiąc „Bliznyj”, chłopcze? ' «

...mówiąc „Bliznyj”, chłopcze?

...mówiąc „Bliznyj”...

Rozdział 2

Moskiewskie powietrze pachniało Azją — kurzem, sadzą, wschodnimi przyprawami, tanią benzyną, czarnym tytoniem i ludzkim potem. Kelso wyszedł z Instytutu i postawił na sztorc kołnierz płaszcza. Omijając zmarznięte kałuże, miał ochotę pomachać ponurym demonstrantom, ale opanował się — odczytano by to jako „zachodnią prowokację”.

Ulica biegła w dół na południe, ku centrum miasta. Wszystkie pozostałe budynki oplatały rusztowania. Niedaleko niego gruz posypał się w dół metalowym rękawem i podniósł z ziemi chmurę kurzu. Kelso minął anonimowe mroczne kasyno, opatrzone znakiem, na którym widać było toczące się kości. Potem sklep z futrami. Butik, w którym sprzedawano wyłącznie włoskie buty. Za jedną parę szytych ręcznie pantofli każdy z demonstrantów musiałby zapłacić miesięczną pensję i Kelso zorientował się, że im współczuje. Pamiętał słowa Evelyn Waugh, którymi posłużył się już raz, pisząc o Rosji: „Tworzenie imperium często przysparza nieszczęść; jego rozpad przysparza ich zawsze”.

U stóp wzniesienia skręcił w prawo, pod wiatr. Śnieg przestał padać, ale silne zimne podmuchy przeszywały go na wylot. Po drugiej stronie ulicy, pod czerwonym, przypominającym skałę murem Kremla, przemykały pochylone ludz-

logicznej aparatury, wznosiły się złote kopuły cerkwi.

Na wprost siebie miał cel swojej wędrówki. Podobnie jak Instytut Marksizmu-Leninizmu, Biblioteka Leninowska zmieniła nazwę. Teraz była Centralną Biblioteką Federacji Rosyjskiej, lecz wszyscy i tak nazywali ją Leninowską. Kelso wszedł do środka przez znajome potrójne drzwi, oddał torbę i płaszcz babuszcze w szatni, po czym pokazał starą kartę biblioteczną uzbrojonomu strażnikowi w oszklonej budce.

Wpisując się do rejestru, podał godzinę. Było jedenaście po dziesiątej.

Bibliotekę Leninowską czekała dopiero komputeryzacja, co oznaczało, że czterdzieści milionów tytułów znajdowało się na kartach katalogowych. U szczytu szerokich kamiennych schodów, pod sklepionym sufitem rozciągało się morze drewnianych szafek i Kelso krążył między nimi, tak jak to robił przed wieloma laty, wysuwając kolejne szuflady i kartkując znajome tytuły. Potrzebował Radzińskiego oraz drugi tom Wołkogonowa, poza tym Chruszczowa i Allilujewą. Dwie ostatnie pozycje oznaczone były przekreśloną rosyjską literą , co informowało, że przed rokiem 1991 znajdowały się w tajnym katalogu. Ile wolno mu było zamówić książek? Chyba pięć. Ostatni, piąty, rewers wypisał na serię wywiadów Czujewa ze zgrzybiałym Mołotowem. Zaniósł rewery bibliotekarce i patrzył, jak wkłada je do metalowego pojemnika i wysyła pocztą pneumatyczną w przepastne czeluście Leninowskiej.

— Jak długo się dzisiaj czeka?

Bibliotekarka wzruszyła ramionami. Skąd miała to wiedzieć?

— Godzinę?

Ponownie wzruszyła ramionami.

Nic się nie zmieniło, pomyślał.

Cofnął się korytarzem do czytelnicy numer trzy i stąpając miękko po wytartym zielonym dywanie, dotarł do swojego starego miejsca. Tu także nic się nie zmieniło — głębokie brązy boazerii, galeryjka na górze, suche powietrze, świętokradcze szepty. W jednym końcu sali stał posąg Lenina

57

czytającego książkę, w drugim zegar astrologiczny. Nad stolikami pochylało się około dwustu osób. Przez okno po lewej stronie widział kopułę i wieżę soboru Świętego Mikołaja. Tak jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał; minione osiemnaście lat mogło mu się przyśnić.

Usiadł, rozłożył swoje rzeczy i w tym momencie znowu poczuł się dwudziestosześcioletnim studentem, mieszkającym w pojedynczym pokoju w akademiku numer pięć Uniwersytetu Moskiewskiego, płacącym dwieście sześćdziesiąt rubli za biurko, łóżko, krzesło oraz szafkę, jadającym w stołówce w piwnicy, gdzie roilo się od karaluchów, spędzającym dnie w Leninowskiej, a noce z dziewczyną — z Nadią, Katią, Margaritą albo Iriną. Irina. To była kobieta. Przesunął dłonią po porysowanym blacie stołu. Ciekawe, co się z nią stało? Może powinien był z nią zostać? Z poważną, piękną Iriną, z jej wydawanymi w samizdacie gazetkami i zebraniem w piwnicy. Uprawiali seks przy akompaniamencie powielacza, a potem ślubowali, że będą inni, że zmienią świat.

Irina. Zastanawiał się, jak by się jej spodobała nowa Rosja. Kiedy dostał od niej ostatnią wiadomość, pracowała jako pomoc dentystryczna w południowej Walii.

Rozejrzał się po czytelniku i zamknął oczy, próbując jeszcze przez chwilę pozostać w przeszłości — przybierający na wadze, ubrany w czarny sztruksowy garnitur skacowany historyk w średnim wieku.

Zamówione przez niego książki dotarły do czytelnika tuż po jedenastej, to znaczy dotarły cztery z nich: dostarczyli mu pierwszy tom Wołkogonowa zamiast drugiego i musiał odesłać go z powrotem. Mimo to miał dość do czytania. Zaniósł książki do swojego stolika i stopniowo zagłębił się w lekturze, robiąc notatki i porównując różne relacje naocznych świadków na temat śmierci Stalina. Jak zwykle estetyczną przyjemność sprawiała mu sama detektywistyczna praca badacza. Relacje z drugiej ręki oraz spekulacje z miejsca odrzucał. Interesowały go wyłącznie osoby, które znajdowały się w tym samym pokoju co sekretarz generalny

58

i pozostawiły relację, którą można było porównać z opowieścią Rapawy.

Z tego, co wiedział, było ich siedem: członkowie Politbiura, Chruszczow i Malenkow; córka Stalina, Świetłana Allilujewa; dwaj jego ochroniarze, Rybin i Łozgaczew; oraz dwaj członkowie personelu medycznego, lekarz Miasnikow i specjalistka od reanimacji, niejaka Czesnokowa. Inni naoczni świadkowie albo popełnili samobójstwo (jak ochroniarz Chrustalew, który zapił się na śmierć po obejrzeniu sekcji zwłok), albo zmarli wkrótce potem, albo zniknęli.

Relacje różniły się w szczegółach, ale nie co do sedna sprawy. Gdzieś między godziną czwartą rano i dziesiątą wieczorem w niedzielę pierwszego marca 1953 roku przebywający samotnie w swojej sypialni Stalin doznał fatalnego wylewu krwi do lewej półkuli mózgowej. Akademik Winogradów, który badał mózg po śmierci, stwierdził poważne stwardnienie arterii, co oznaczało, że Stalin był prawdopodobnie od dłuższego czasu, być może nawet od kilku lat, chory psychicznie. Nikt nie potrafił dokładnie powiedzieć, kiedy nastąpił wylew. Drzwi do sypialni były zamknięte przez cały dzień, a domownicy bali się wejść. Ochroniarz Łozgaczew opowiedział Radzińskiemu, że on pierwszy zdobył się na odwagę:

Otworzyłem drzwi... Sze flezał na podłodze, trzymając prawą rękę w ten sposób. Zamarłem z przerażenia. Ręce i nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Prawdopodobnie nie stracił jeszcze przytomności, ale nie mógł mówić. Dobrze słyszał, na pewno usłyszał, jak wchodzę, i podniósł chyba lekko rękę, dając znak, że bym mu pomógł. Podbiegłem do niego i zapytałem: „Co się stało, towarzyszu Stalinie?”. On... no wiecie... zmoczył się i leżąc tam, próbował coś wygładzić lewą ręką. „Może powinienem wezwać doktora?”, powiedziałem. Wtedy wydał z siebie jakiś niezrozumiały dźwięk, podobny do „dz” i był w stanie tylko powtarzać to swoje „dz”.

*

Zaraz potem ochroniarze wezwali Malenkowa. Malenkow wezwał Berię. A rozkaz Berii, równoznaczny z morderstwem

przez zaniedbanie, brzmiał: Stalin się upił i nie wolno go

budzić.

Kelso zrobił dokładne notatki. Nic nie było tu sprzeczne z opowieścią Rapawy. Nie świadczyło to oczywiście, że Rapawa powiedział prawdę — mógł dotrzeć sam do relacji Łozgaczewa i przykroić swoją tak, by do niej pasowała. Ale nic nie sugerowało kłamstwa, a szczegóły z pewnością się zgadzały: ramy czasowe, rozkaz, żeby nie wzywać lekarzy, to, że Stalin się zmoczył, i że odzyskiwał przytomność, ale nie mógł mówić. Zdarzyło się to przynajmniej dwukrotnie w ciągu trzech dni, które minęły, nim umarł. Raz, według Chruszczowa, kiedy sprowadzeni w końcu przez Politbiuro lekarze karmili go zupą i słabą herbatą, podniósł rękę i wskazał jedno z wiszących na ścianie zdjęć dzieci. Drugi powrót do świadomości nastąpił tuż przed zgonem i spostrzegli go wszyscy, a zwłaszcza jego córka Świetlana:

Kiedy wydawało się, że to jego ostatnia chwila, otworzył niespodziewanie oczy i przyjrzał się wszystkim obecnym w pokoju. Było to straszne spojrzenie, chore, a może gniewne; widać było, że boi się śmierci i pochylających się nad nim nieznanym lekarzy. Omiótł nim wszystkich w jedną sekundę. A potem zdarzyło się coś niepojętego i straszego, coś, czego do dzisiaj nie potrafię zapomnieć i nie rozumiem. Podniósł nagle lewą rękę, jakby pokazywał coś wysoko nad nami i rzucał na nas wszystkich kłutwę. Gest był niezrozumiały i złowrogi. Nikt nie potrafił powiedzieć, przeciwko komu albo czemu < mógł być skierowany. Chwilę później, po tym ostatnim wysiłku dusza uwolniła się z oków ciała.

Allitujewa pisała to w roku 1967. Gdy serce przestało bić, lekarze kazali reanimatorce Czesnokowej — młodej silnej kobiecie — zastosować masaż i sztuczne oddychanie. Robiła to aż do chwili, kiedy Chruszczow usłyszał, jak Stalinowi pękają zębra, i nakazał jej, żeby dała spokój. *Nikt nie potrafił powiedzieć, przeciwko komu albo czemu mógł być skierowany...* Kelso podkreślił te słowa lekko ołówkiem. Jeśli Rapawa

60

mówił prawdę, wydawało się oczywiste, komu groził Stalin: człowiekowi, który ukradł klucz do jego prywatnego sejfu — Ławrientijowi Berii. Mniej jasne było, dlaczego wskazał fotografię dziecka.

Kelso postukał się ołówkiem w zęby. Wszystko to było bardzo poszlakowe. Wyobrażał sobie reakcję Adelmanna, gdyby próbował przedstawić te relacje w charakterze dowodów. Na myśl o Adelmanie zerknął na zegarek. Gdyby teraz wyszedł z czytelni, zdążyłby bez trudu na lunch. Istniało duże prawdopodobieństwo, że na sympozjum nie zauważą nawet jego nieobecności. Zabrał książki i odniósł je bibliotekarce, której dostarczono właśnie drugi tom Wołkogo-nowa.

— No więc jak? — zapytała, zaciskając gniewnie wąskie wargi. — Bierzecie go, czy nie?

Kelso zawahał się. Miał ochotę powiedzieć, że nie, ale potem uznał, że powinien doprowadzić do końca to, co zaczął. Oddał inne tomy i zabrał książkę Wołkogo-nowa do czytelni.

Leżała przed nim na blacie stolika niczym brązowa nudna cegła. *Triumf i tragedia: Polityczeskij portret J. W. Stalina,*

Wydawnictwo Nowosti, Moskwa 1989. Przeczytał ją zaraz po opublikowaniu i nie odczuwał potrzeby, żeby do niej wracać. Przyglądał się jej teraz bez entuzjazmu, po czym otworzył palcem okładkę. Wołkogonow był trójgwiazdkowym generałem Armii Czerwonej. Miał kontakty na samym Kremlu i specjalny dostęp do archiwów za Gorbaczowa i Jelcyna, dostęp, który wykorzystał do napisania trzech pomnikowych biografii — Stalina, Trockiego i Lenina — każdej bardziej rewizjonistycznej od poprzedniej. Kelso zajrzał do indeksu, szukając haseł odnoszących się do śmierci Stalina, i po jakimś czasie znalazł to, co tłuło się gdzieś w zakamarkach jego pamięci od momentu, gdy Papu Rapa-wa rozpląnął się w moskiewskiej szarówce:

Były wiceminister bezpieczeństwa państwowego A. A. Jepiszew poinformował mnie, że Stalin miał zeszyt w czarnej ceratowej okładce, w którym sporadycznie coś noto-

61

wał, i że przez jakiś czas przechowywał listy od Zino-wiewa, Kamieniewa, Bucharina, a nawet Trockiego. Wszelkie próby odzyskania tego zeszytu oraz listów spa-liły na panewce, a Jepiszew nie zdradził swojego źródła.

Jepiszew nie zdradził swojego źródła, choć według Wołkogonowa miał pewną teorię. Uważał, że prywatne papiery Stalina zabrał z jego kremłowskiego sejfu Ławrientij Beria, kiedy sekretarz generalny leżał sparaliżowany po wylewie.

Beria popędził na Kreml, gdzie, co bardzo prawdopodobne, wyczyścił sejf, zabierając prywatne papiery szefa, a wraz z nimi, jak się sądzi, zeszyt w czarnej okładce... Niszcząc zeszyt Stalina, jeśli naprawdę się tam znajdował, Beria torował sobie drogę do sukcesji. Być może prawda nigdy nie wyjdzie na jaw, lecz Jepiszew był przekonany, że Beria opróżnił sejf, zanim dotarli do niego inni.

Nie podniecaj się, uspokój, to jeszcze o niczym nie świadczy, rozumiesz? Kompletnie o niczym.

Ale to czyni całą sprawę tysiąc razy bardziej prawdopodobną.

Kelso ponownie wyszedł z czytelnicy, wysunął z szafki wąską drewnianą szufladę i przerzucał szybko karty katalogowe. Po chwili znalazł nazwisko A. A. Jepiszewa (1908 —1985). Facet napisał wiele książek, wszystkie tak samo nudne i toporne: *Historia nauczycielką życia: Lekcje dwudziestej rocznicy zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej* (1965), *Broń ideologiczna i problemy militarne* (1974), *Jesteśmy wierni ideom partii* (1981)...

Kac ulotnił się i zastąpiła go znajoma faza postalkoholowej euforii — w przeszłości zawsze jego najbardziej produktywna pora dnia. Dla niej jednej warto było się upić. Kelso zbiegł po schodach i ruszył mrocznym korytarzem w stronę działu wojskowego biblioteki. W niewielkiej sali paliły się jarzeniówki i miało się wrażenie, że czytelnicy znajdują się

62

w podziemiach. Młodzieniec w szarym pulawce opierał się

o biurko, czytając komiks *MAD* z lat siedemdziesiątych.

- Co pan ma na temat wojskowego o nazwisku Jepiszew? — zapytał go Kelso. — A. A. Jepiszew?

- Kto chce wiedzieć?

Kelso wręczył mu swoją kartę biblioteczną. Młody człowiek przyjrzał się jej z ciekawością.

— To pan napisał kilka lat temu książkę o upadku partii?

Kelso zawahał się — potwierdzenie mogło mu zaszkodzić lub pomóc — ale w końcu przyznał się do winy. Młodzieniec odłożył komiks i uściśnął mu rękę.

— Andriej Efanow. Wspaniała książka. Niezle pan dokopał sukinsynom. Zobaczę, co mamy.

Artykuły na temat Jepiszewa zamieszczono w *Wojskowej Encyklopedii ZSRR* oraz *Słowniku Bohaterów Związku Sowieckiego* i jeśli potrafiło się czytać między wierszami, oba potwierdzały tę samą prawdę, taką mianowicie, że Aleksiej Aleksiejewicz Jepiszew był niezatapialnym stalinowskim pancernikiem starej szkoły: w latach dwudziestych i trzydziestych instruktor Komsomołu i partii; w 1938 w Akademii Wojskowej Armii Czerwonej; w 1942 fabryczny komisarz Kominternu w Charkowie; w 1943 w Radzie Wojskowej Trzydziestej Ósmej Armii Pierwszego Frontu Ukraińskiego. W tym samym roku pełnił funkcję zastępcy komisarza ludowego budowy maszyn średnich...

- Co to są „maszyny średnie”? — zapytał Efanow, który zaglądał Anglikowi przez ramię. Jak się okazało, służbę wojskową spędził na Litwie — dwa lata piekła — a potem nie przyjęto go za komunizmu na Uniwersytet Moskiewski, bo był Żydem. Teraz z dużą przyjemnością odgrzebywał z popiołów szczegóły kariery Jepiszewa.

- To kryptonim sowieckiego programu atomowego. Oczko w głowie Berii — odparł Kelso. *Beria!* Zanotował to.

W 1946 sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy...

63

— Oczyszczali wtedy po wojnie Ukrainę z kolaborantów — powiedział Efanow. — Krwawy okres.

W 1950 pierwszy sekretarz obwodowego komitetu partii w Odessie; w 1951 wiceminister bezpieczeństwa państwowego...

Wiceminister...

Oba artykuły ozdobione były tym samym oficjalnym zdjęciem Jepiszewa. Kelso popatrzył ponownie na kwadratową szczękę, gęste brwi, ponurą twarz, kark boksera.

Był z niego kawał chłopca, chłopcze. Kawał wielkiego sukinsyna.

— Mam cię — szepnął pod nosem Kelso.

Po śmierci Stalina Jepiszew przestał piąć się w górę. Najpierw został odesłany do Odessy, potem za granicę. W latach 1955—1961 był ambasadorem w Rumunii, w latach 1961—1962 w Jugosławii. A potem nadeszło wreszcie długo oczekiwane wezwanie do Moskwy i awans na szefa Centralnego Wydziału Politycznego sowieckich sił zbrojnych — funkcję komisarza ideologicznego, którą pełnił przez następne dwadzieścia trzy lata. A kto był jego zastępcą? Nie

kto inny jak Dymitr Wołkogonow, trojgwiazdkowy generał i przyszły biograf Józefa Stalina.

Żeby dotrzeć do tych molekuł informacji, trzeba było przedrzeć się przez złoza nowomowy i partyjnego bełkotu, pochwał Jepiszewa za „ważną rolę, jaką odegrał w kształtowaniu właściwej postawy politycznej, szerzeniu w siłach zbrojnych ideologii marksistowsko-leninowskiej, umacnianiu dyscypliny wojskowej i ideowej gotowości”. Zmarł, mając siedemdziesiąt siedem lat. Wołkogonow, Kelso wiedział o tym, odszedł z tego świata dziesięć lat później.

Resztę artykułu o Jepiszewie zajmował spis otrzymanych przez niego nagród oraz medali: był bohaterem Związku Radzieckiego, laureatem Nagrody Leninowskiej, kawalerem czterech Orderów Lenina, Orderu Rewolucji Październikowej, czterech Orderów Czerwonego Sztandaru, dwóch Orderów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, trzech Orderów Czerwonej Gwiazdy oraz Orderu za Służbę Ojczyźnie...

— Cud, że nie przewrócił się pod ich ciężarem...

64

• I założę się, że nigdy nikogo nie zastrzelił — mruknął szyderczo Efanow. — Z wyjątkiem własnych ziomków. Co pana ciekawi w tej postaci, jeśli wolno spytać?

• A to co? — zapytał nagle Kelso, wskazując nazwisko „W. P. Mamantow”, które widniało na dole kolumny.

• To autor hasła.

• Mamantow napisał artykuł o Jepiszewie? Władimir Mamantow? Ten kagebista?

• Ten sam. I co z tego? Biogramy są na ogół pisane przez przyjaciół. Dlaczego? Zna go pan?

• Tego bym nie powiedział. Spotkałem się z nim. — Kelso przyglądał się ze zmarszczonym czołem nazwisku. — Jego ludzie demonstrowali dziś rano...

• Ach, oni? Oni zawsze demonstrowają. Kiedy spotkał się pan z Mamantowem?

Kelso sięgnął po swój notes i zaczął przerzucać kartki.

— Chyba jakieś pięć lat temu. Zbierałem wtedy materiały do książki o partii.

Władimir Mamantow. Mój Boże, od pięciu lat nie zaprzątał sobie głowy Władimirem Mamantowem i nagle jego nazwisko pojawiło się dwa razy w ciągu jednego ranka. Lata przesuwały się między palcami — dziewięćdziesiąty piąty, dziewięćdziesiąty czwarty... Przypomniał sobie teraz szczegóły towarzyszące spotkaniu: ranek, późna wiosna, psia padlina wylaniająca się z topniejącej zasy śniegu, jędzowata żona. Mamantow odsiedział właśnie czternaście miesięcy w Lefortowie za udział w nieudanym puczu przeciwko Gorbaczowowi i Kelso był pierwszą osobą przeprowadzającą z nim wywiad po wyjściu z więzienia. Wieki trwało, nim zgodził się umówić na spotkanie, które potem, jak to często bywa w takich wypadkach, okazało się niewarte starań. Mamantow kategorycznie odmówił rozmowy o sobie i na temat puczu i powtarzał slogany żywcem przeniesione z „Prawdy”.

Odnalazł domowy telefon Mamantowa z 1991 roku tuż obok biurowego adresu szeregowego funkcjonariusza partii Gennadija Ziuganowa.

— Chce pan się z nim spotkać? — zapytał z niepokojem

w głosie Efanow. — Wie pan, że on nienawidzi wszystkich ludzi z Zachodu? Prawie tak samo mocno jak nienawidzi Żydów.

— Ma pan rację — odparł Kelso, wpatrując się w siedmiocyfrowy numer.

M amantów był groźnym człowiekiem nawet w godzinie kłęski: w sowieckim garniturze wiszącym luźno na szerokich barach, z policzkami okrytymi szarą więzienną bladością i żądzą mordy w oczach. W swojej pracy Kelso nie wyrażał się zbyt pochlebnie o Władimirze Mamantowie. A książkę przetłumaczono na rosyjski — Mamantow musiał ją widzieć.

— Ma pan rację — powtórzył. — Głupotą byłoby nawet próbować się z nim spotkać.

Tego popołudnia Christopher Kelso wyszedł z Biblioteki Lenińskiej kilka minut po drugiej, zatrzymawszy się przedtem przy kiosku w holu, żeby kupić dwie bułki i butelkę słonawej wody mineralnej.

Pamiętał, że naprzeciwko Kremla, przy biurze Inturistu, minął rząd automatów telefonicznych i że pogryzając bułkę, zszedł najpierw na dół, do metra, żeby kupić plastikowe żetony na telefon, a potem wrócił ulicą Mochowa w kierunku wysokiego czerwonego muru i złotych kopuł.

Miał wrażenie, że nie jest sam. Towarzyszyło mu jego młodsze ja — rozczochny, zapalający papierosa od papierosa, stale się gdzieś spieszący wieczny optymista, przyszły pisarz. („Dr Kelso wnosi do studiów nad współczesną sowiecką historią talent pierwszorzędnego uczonego i energię wytrawnego reportera” — „New York Times”). Ten młodszy Kelso nie wahałby się zadzwonić do Władimira Mamantowa, to nie ulega kwestii — na Boga, gdyby to było konieczne, waliłby już teraz do jego cholernych drzwi.

Pomyśl tylko: skoro Jepiszew opowiedział o notesie Stalina Dymitrowi Wołkogonowowi, czy mógł nie napomknąć o nim Mamantowowi? Czy nie pozostawił jakichś papierów? Czy nie miał jakiejś rodziny?

Gra była warta świeczki. « • »; , -

66

Kelso wytarł usta i palce papierową serwetką. Biorąc do ręki słuchawkę i wrzucając żetony, poczuł znajome zaciśnięcie mięśni żołądka i trzepotanie serca. Czy to, co robił, było rozsądne? Nie. Ale kto by się tym przejmował? Adelman — on był rozsądny. I Saunders — ten był bardzo rozsądny.

Do dzieła.

Wystukał numer.

Pierwszy telefon okazał się niewypałem. Mamantowowie wyprowadzili się i mężczyzna, który mieszkał pod ich starym adresem, nie bardzo chciał podać nowy numer. Zdradził go dopiero po prowadzonych z kimś szeptem konsultacjach. Kelso nacisnął widelki i zatelefonował ponownie. Tym razem telefon dzwonił bardzo długo, zanim ktoś go odebrał. Żetony wpadły i w słuchawce odezwał się drżący głos starej kobiety.

• Kto mówi?

Kelso przedstawił się.

• Czy mogę mówić z towarzyszem Mamantowem?

Celowo użył słowa „towarzysz”; „pan” byłoby nie na

miejscu.

— Tak? A kto mówi?

Kelso był cierpliwy.

• Jak już powiedziałem, nazywam się Kelso. Dzwonię z automatu. To pilne.

• Tak, ale kto mówi?

Był gotów przedstawić się po raz trzeci, kiedy usłyszał coś, co zabrzmiało jak szarpanina, i w słuchawce odezwał się szorstki męski głos.

• W porządku. Tu Mamantow. Z kim mówię?

• Nazywam się Kelso. — Chwila ciszy. — Doktor Kelso.

Może mnie pan pamięta?

• Pamiętam pana. Czego pan chce?

• Spotkać się z panem.

• Dlaczego miałbym się z panem spotykać po tych wszystkich bredniach, które pan napisał?

• Chciałem panu zadać parę pytań.

• Na jaki temat?

”

;

67

i — Na temat zeszytu w czarnej ceratowej okładce, który należał do Józefa Stalina. n

• Zamknij się — warknął Mamantow.

• Słucham? h

Kelso zmarszczył brwi.

— Powiedziałem, żeby pan się zamknął. Zastanawiam się. Gdzie pan teraz jest?

— Obok biura Inturistu przy ulicy Mochowej.

W słuchawce znowu zapadła cisza.

— To niedaleko — stwierdził w końcu Mamantow. —

Lepiej będzie, jak pan zaraz przyjdzie — dodał po chwili.

Podał swój adres i połączenie urwało się.

Połączenie urwało się i siedzący w swoim gabinecie w dzielnicy Jaseniewo, w południowo-wschodniej części Moskwy, major Feliks Suworin z rosyjskiego wywiadu SWR ostrożnie zdjął słuchawki i wytarł różowe uszy czystą białą chusteczką. „Zeszyt w czarnej ceratowej okładce, który należał kiedyś do Józefa Stalina”..., zapisał w leżącym przed nim bloku.

Rozdział 3

„:;:;:;:;% :;:;:;:.

Stawić czoło przeszłości
Międzynarodowe Sympozjum na temat
archiwów Federacji Rosyjskiej

• "<'

Wtorek, 27 października
Ostatnia sesja popołudniowa

v<.

Doktor Kelso: Panie i panowie, za każdym razem, gdy myślę o Józefie Stalinie, przed oczyma pojawia mi się pewien konkretny obraz. Widzę go jako starego człowieka stojącego przy gramofonie.

Kończył pracować późno, na ogół o dziewiątej albo dziesiątej, a potem szedł do kremlowskiego kina obejrzeć film. Często był to jeden, z filmów o Tarzanie — z jakiegoś powodu Stalinowi podobała się idea młodego człowieka dojrzewającego i żyjącego wśród dzikich zwierząt. Następnie razem ze swoimi kumplami z Politbiura jechał na kolację na dach w Kuncewie, a po kolacji podchodził do gramofonu i nastawiał płytę. Jego ulubionym nagraniem, według Miłowana Dżilasa, była piosenka, w której głosy ludzi zastępowało wycie psów. Nastawiwszy płytę, Stalin kazał członkom Politbiura tańczyć.

Niektórzy całkiem dobrze tańczyli. Na przykład Mikojan był uroczym tancerzem. Bułganin też był niezły; miał poczucie

69

rytmu. Ale Chruszczow tańczył fatalnie — Jak krowa na lodzie" — podobnie zresztą jak Malenkov i Kaganowicz.

Tak czy inaczej, pewnego wieczoru — zwabiona, jak możemy mniemać, szczególnym hałasem, jaki wydają dorośli mężczyźni tańczący przy akompaniamencie wycia psów, do pokoju zajrzała córka Stalina, Świetłana, i jej również Stalin kazał tańczyć. Po pewnym czasie zmęczyła się. Ledwie powłóczyła nogami i to rozzłościło Stalina. „Tańcz!”, wrzasnął na nią. „Już tańczyłam, papo. Jestem zmęczona”, odparła. W tym momencie Stalin — tu cytuję Chruszczowa — „złapał ją za włosy, o tak, całą dłoń, za loki z przodu i pociągnął, rozumiecie, bardzo mocno... pociągnął i zaczął szarpać”.

Mając w pamięci ten obraz, zastanówmy się nad losem rodziny Stalina. Jego pierwsza żona zmarła. Jego najstarszy syn Jaków próbował się w wieku dwudziestu jeden lat zabić, ale udało mu się tylko ciężko postrzelić. (Według Świetłany, widząc go, Stalin roześmiał się. „Spudłował! Nie potrafił nawet dobrze wycelować”, oznajmił). Podczas wojny Jaków został wzięty do niewoli przez Niemców i kiedy Stalin nie zgodził się na wymianę jeńców, próbował ponownie popełnić samobójstwo — tym razem skutecznie — rzucając się na naelektryzowane druty obozu jenieckiego.

Stalin miał jeszcze jedno dziecko, syna Wasyla, alkoholika, który zmarł w wieku czterdziestu jeden lat.

Druga żona Stalina, Nadieżda, nie chciała rodzić mężowi więcej dzieci — według Świetłany poddała się kilku aborcjom — i pewnej nocy, mając trzydzieści jeden lat, strzeliła sobie w serce. (A może raczej powinniśmy powiedzieć, że ktoś ją zastrzelił: nie znaleziono nigdy żadnego listu pożegnalnego).

Nadieżda miała troje rodzeństwa. Jej starszy brat Paweł został zamordowany przez Stalina podczas czystek; w świadectwie zgonu jako przyczynę śmierci podano atak serca. Jej młodszy brat Fiodor zwariował, kiedy przyjaciel Stalina, armeński włamywacz, niejaki Kamo, wręczył mu wyrwane z piersi ludzkie serce. Jej siostra Anna została aresztowana na rozkaz Stalina i skazana na dziesięć lat w pojedynczej celi. Kiedy wyszła na wolność, nie poznawała własnych dzieci. Tak to wyglądało w wypadku rodziny drugiej żony.

70

A co z rodziną pierwszej? Jej brata, Aleksandra Swanidze, aresztowano w trzydziestym siódmym i rozstrzelano w czterdziestym pierwszym. Żonę Swanidze, Marię, także aresztowano; została rozstrzelana w czterdziestym drugim. Ich syna Iwana — siostrzeńca Stalina — zesłano do upiornego państwowego sierocińca dla dzieci „wrogów państwa” i kiedy po

niespełna dwudziestu latach ponownie się pojawił, cierpiał na poważne zaburzenia psychiczne. Była jeszcze szwagierka Stalina, Maria. Ją także aresztowano w trzydziestym siódmym i zmarła w więzieniu w tajemniczych okolicznościach.

Powróćmy teraz do tej sceny ze Świetlaną. Jej matka nie żyje. Jej przyrodni brat nie żyje. Drugi brat jest alkoholikiem. Dwaj wujkowie nie żyją, jeden jest psychicznie chory. Dwie ciotki nie żyją, jedna jest w więzieniu. Jej ojciec szarpie ją za włosy w obecności najbardziej wpływowych ludzi w Rosji, którzy zmuszeni są tańczyć przy akompaniamencie wycia psów.

Koledzy, kiedy siedzę w archiwum lub, co ostatnio zdarza mi się coraz rzadziej, uczestniczę w tego rodzaju sympozjach, staram się mieć zawsze w pamięci tę scenę, ponieważ nakazuje mi ona ostrożnie odnosić się do oglądu przeszłości przez pryzmat jakiejś racjonalnej struktury. W tutejszych archiwach nie ma nic, co wskazałoby, że zastępca przewodniczącego Rady Ministrów albo ludowy komisarz spraw zagranicznych, podejmując różne decyzje, byli w stanie skrajnego wyczerpania i prawdopodobnie ciężko przerażeni — że do trzeciej nocy tańczyli, żeby ocalić swoje życie, i wiedzieli, że tej nocy może również będą musieli tańczyć.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Stalin był szalony. Wprost przeciwnie. Ktoś mógłby dowodzić, że człowiek obsługujący gramofon był najzdrowszą psychicznie osobą w całym pokoju. Kiedy Świetlana zapytała go, dlaczego ciotka Anna siedzi w pojedynczej celi, odparł: „Bo za dużo gada”. Działania Stalina były na ogół logiczne. Nie potrzebował czytać szesnastowiecznego angielskiego filozofa, aby wiedzieć, że „wiedza to władza”. Ta prawda stanowi kwintesencję stalinizmu. Wyjaśnia między innymi, dlaczego Stalin wymordował tak wielu członków własnej rodziny i bliskich kolegów. Chciał zniszczyć wszystkich, którzy wiedzę o nim czerpali z pierwszej ręki.

71

Ta polityka, musimy przyznać, okazała się w znacznym stopniu skuteczna. Zebraliśmy się oto w Moskwie czterdzieści pięć lat po śmierci Stalina, aby dyskutować o niedawno otwartych archiwach tamtej epoki. Nad naszymi głowami, w ognioszczelnych pomieszczeniach, w temperaturze osiemnastu stopni, przy wilgotności powietrza wynoszącej sześćdziesiąt procent, leży półtora miliona teczek — całe archiwum Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego.

Ale ile tak naprawdę to archiwum mówi nam o Stalinie? Co możemy spostrzec dzisiaj, czego nie widzieliśmy, kiedy komuniści byli u władzy? Listy Stalina do Molotowa. Możemy je obejrzyć i jest tam wiele interesujących rzeczy. Lecz nie ulega kwestii, że zostały bardzo dokładnie ocenzurowane. Co więcej, kończą się w roku trzydziestym szóstym, zanim zaczęła się prawdziwa jatka.

Możemy także obejrzyć podpisane przez Stalina spisy osób skazanych na śmierć. I jego terminarz. Wiemy w związku z tym, że ósmego grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku Stalin podpisał trzydzieści list, zawierających pięć tysięcy nazwisk, wśród których było wielu jego tak zwanych przyjaciół. I wiemy także, dzięki terminarzowi, że tego samego wieczoru poszedł do kremłowskiego kina i obejrzał, tym razem nie film o Tarzanie, lecz komedię pod tytułem „Happy Guys”.

Ale co można dostrzec między tymi dwoma epizodami, między zabijaniem i śmiechem? Co można dostrzec? Kogo?

Tego nie wiemy. Dlaczego? Ponieważ Stalin postawił sobie za punkt honoru wymordować prawie wszystkich, którzy mogliby nam coś o nim powiedzieć...

Rozdział 4

Nowe mieszkanie Mamantowa znajdowało się zaraz po drugiej stronie rzeki, w dużym bloku mieszkalnym przy ulicy Sierafimowicza, znanym jako Dom przy Nabrzeżu. To w tym gmachu towarzysz Stalin, z typową dla siebie szczodroblewością, zakwaterował wraz z rodzinami wszystkich czołowych członków partii. Budynek miał dziesięć pięter i dwadzieścia pięć wejść od ulicy. Przy każdym z nich zapobiegliwy sekretarz generalny postawił wartownika z NKWD — wyłącznie dla waszego bezpieczeństwa, towarzysze.

W trakcie czystek zlikwidowano sześciuset lokatorów gmachu. Teraz mieszkania należały do osób prywatnych i były całkiem niezłe, z widokiem przez rzekę na Kreml. Ceny sięgały pół miliona dolarów. Kelso zastanawiał się, skąd Mamantow wziął takie pieniądze.

Zszedł po schodach z mostu i przeciął ulicę. Przy klatce Mamantowa stała zaparkowana biała kanciasta łada z otwartymi oknami. Z przodu siedzieli, żując gumę, dwaj mężczyźni. Jeden z nich miał siną bliznę biegnącą od kącika oka aż po górną wargę. Kiedy Kelso minął ich, kierując się do wejścia, przyjrzeni mu się z jawnym zainteresowaniem.

Na klatce, tuż przy windzie, ktoś napisał po angielsku, używając dużych i małych liter *Fuck Off*. Wyrazy uznania

73

dla sowieckiego systemu oświatowego, pomyślał Kelso. Pogwizdywał nerwowo wymyśloną na poczekaniu melodię. Winda pomknęła szybko do góry. Na dziewiątym piętrze powitało go dobiegające gdzieś z oddali dudnienie zachodniej muzyki rockowej.

Zewnętrzne drzwi mieszkania Mamantowa były ze stali. Na metalu ktoś namalował sprayem czerwoną swastykę. Farba była stara i spłowiała, ale nikt nie próbował jej nawet zmyć. Wyżej na ścianie zamontowana była mała ruchoma kamera.

Wszędzie tutaj było mnóstwo rzeczy, które nie podobały się doktorowi Kelso: zaostrome środki bezpieczeństwa, faceci w samochodzie na dole — i przez chwilę niemal poczuł w nozdrzach woń terroru sprzed lat sześćdziesięciu, tak jakby pot ofiar wsiąkł w ściany: stukanie obcasów, walenie w drzwi, pospieszne pożegnania, szloch, cisza. Jego ręka zawisła nad dzwonkiem. Kto świadomie wybiera mieszkanie w takim miejscu?

Nacisnął dzwonek.

Po dłuższej chwili drzwi otworzyła starsza kobieta. Pani Mamantowa była dokładnie taka, jak ją zapamiętał — wysoka i szeroka, nie gruba, lecz dobrze zbudowana. Miała na sobie luźny kwiecisty fartuch i wyglądała, jakby właśnie

przestała płakać. Jej zaczerwienione oczy spoczęły na nim na chwilę z roztargnieniem, ale zanim zdążył otworzyć usta, usunęła się na bok i w głębi ciemnego korytarza pojawił się Władimir Mamantow, ubrany, jakby właśnie wybierał się do biura: w białej koszuli, niebieskim krawacie i czarnym garniturze z wpiętą w klapę małą czerwoną gwiazdą.

Nie powiedział ani słowa, lecz wyciągnął rękę. Miał miazdzący uścisk dłoni, który, jak mówiono, doprowadził do perfekcji, ściskając gumowe kulki podczas posiedzeń KGB. (O Mamantowie opowiadano wiele rzeczy: na przykład — i Kelso umieścił to w swojej książce — że w trakcie pamiętnego spotkania na Łubiance w nocy 20 sierpnia 1991, gdy spiskowcy zdali sobie sprawę, iż gra jest skończona, Mamantow zaproponował, że polecą do Foros nad Morzem Czarnym, gdzie znajdowała się dacha Gorbaczowa, i osobiście

74

zastrzeli sowieckiego prezydenta. Mamantow określił to jako „prowokację”).

W półmroku za gospodarzem pojawił się młody człowiek w czarnej koszuli, z kaburą pod pachą.

— Wszystko w porządku, Wiktor. Panuję nad sytuacją — oznajmił Mamantow.

Miał twarz biurokraty — stalowe włosy, stalowe oprawki okularów i obwisłe policzki niczym u podejrzliwego psa. Można było taką twarz minąć sto razy na ulicy i w ogóle nie zauważyć. Ale płonęły w niej oczy fanatyka; Kelso potrafił sobie wyobrazić, że takie właśnie oczy miał Eichmann albo jakiś inny nazistowski morderca z za biurka. Stara kobieta zaczęła wydawać dziwne dźwięki w innej części mieszkania i Mamantow kazał Wiktorowi pójść ją uspokoić.

- Bierze więc pan udział w tym zjeździe złodziei — zwrócił się do swego gościa.

- Słucham?

- Mówię o sympozjum. W „Prawdzie” opublikowano listę zagranicznych historyków, których zaproszono do zabrania głosu. Było tam pańskie nazwisko.

- Historyków trudno określić mianem złodziei, towarzyszu Mamantow. Nawet zagranicznych historyków.

- Czyżby? Dla narodu nie ma nic ważniejszego od historii. To podstawa, na której opiera się każde społeczeństwo. Nam ukradziono naszą historię; nasi wrogowie i potwarczy zafałszowali ją i ludzie kompletnie się pogubili.

Kelso uśmiechnął się. Mamantow wcale się nie zmienił.

- Nie wierzy pan chyba w to, co mówi.

- Nie jest pan Rosjaninem. Niech pan sobie wyobrazi, że pański kraj oferuje na sprzedaż swoje archiwa i pozwala, żeby za kilka marnych milionów dolarów kupiło je zagraniczne mocarstwo.

- Nie sprzedajecie waszych archiwów. Plan polega na tym, żeby przenieść je na mikrofilmy i udostępnić naukowcom.

— Naukowcom w Kalifornii — stwierdził Mamantow, jakby to rozstrzygało sprawę. — Ale to staje się nudne. Mam pilne spotkanie. — Spojrzał na zegarek. — Mogę

panu poświęcić tylko pięć minut, więc przejdźmy do rzeczy. Co to za historia z notesem Stalina?

- To wchodzi w zakres prowadzonych przez mnie badań.

- Badań? Co takiego pan bada?
- Kelso zawahał się.
- Wydarzenia towarzyszące śmierci Stalina.
 - Niech pan mówi dalej.
 - Gdybym mógł zadać panu kilka pytań, wtedy być może udałoby mi się wyjaśnić znaczenie...
 - Nie — przerwał mu Mamantow. — Zrobimy odwrotnie. Pan opowie mi o notesie, a ja być może odpowiem na pańskie pytania.
 - Być może?
- Mamantow ponownie spojrzął na zegarek.
- Cztery minuty.
 - Dobrze — zgodził się szybko Kelso. — Pamięta pan oficjalną biografię Stalina, autorstwa Dymitra Wołkogonowa?
 - Tego zdrajcy Wołkogonowa? Marnuje pan mój czas.
- Ta książka to stek bzdur.
- Czytał pan ją?
 - Oczywiście, że nie. Na tym świecie jest dość łąjna, żebym chciał się w nim tarzać.
 - Wołkogonow twierdzi, że Stalin przechowywał pewne papiery... prywatne papiery, między innymi zeszyt w czarnej ceratowej okładce... w swoim sejfie na Kremlu i że te papiery zostały skradzione przez Berię. Poinformował go o tym człowiek, którego, jak sądzę, dobrze pan zna. Aleksiej Aleksiejewicz Jepiszew.
- Coś zabłysło w twardych szarych oczach Mamantowa — na ułamek sekundy, nie dłużej. Słyszał o tym, pomyślał Kelso, wie o notesie...
- I...?
 - I zastanawiałem się, czy nie trafił pan na tę informację, pisząc biogram Jepiszewa do słownika. Zakładam, że to pański przyjaciel?
 - A panu co do tego? — Mamantow zerknął na torbę Anglika. — Znalazł pan ten notes?
 - Nie.

76

— Ale zna pan kogoś, kto być może wie, gdzie on się znajduje.

— Ktoś do mnie przyszedł... — zaczął Kelso i urwał.

W mieszkaniu było teraz bardzo cicho. Stara kobieta przestała zawodzić, ale ochroniarz nie pojawił się z powrotem. Na stoliku w holu leżał egzemplarz „Aurory”.

Kelso zdał sobie sprawę, że nikt w Moskwie nie wie, gdzie w tej chwili się znajduje. Wypadł z mapy.

- Zabieram panu niepotrzebnie czas — powiedział. — Może odwiedzę pana ponownie, kiedy...

- To nie będzie konieczne — odparł łagodniejszym tonem Mamantow, mierząc go od stóp do głów uważnym spojrzeniem, badając jego twarz i ręce, oceniając potencjalną siłę ramion i klatki piersiowej, powtórnie przyglądając się twarzy. Miał czysto leninowską technikę prowadzenia rozmowy, pomyślał Kelso. Uderz bagnetem. Jeśli trafisz na i tłuszcz, pchnij głębiej. Jeśli ostrze trafi na żelazo, cofnij je i spróbuj innego dnia.

— Powiem panu, co zrobimy, doktorze Kelso — oznajmił Mamantow. — Coś panu pokażę. Na pewno to pana zainteresuje. Potem coś panu opowiem. A potem pan opowie coś mnie. — Zakreślił palcami. — Coś za coś. Zgoda?

Kelso próbował później to wszystko spisać, ale eksponatów było zbyt dużo, żeby je spamiętać; olbrzymi olejny obraz pędzla Gierasimowa, przedstawiający Stalina stojącego na murach Kremla, podświetlona jarzeniówką szklana gablota z bibelotami — talerze ze Stalinem, pudełka ze Stalinem, znaczki ze Stalinem, medale ze Stalinem — komplet dzieł Stalina, książki o Stalinie, fotografie Stalina, podpisane i nie podpisane, kartka z odręcznym pismem Stalina — niebieski ołówek, liniowany papier, format *in quarto* — oprawiona w ramkę i wisząca nad popiersiem Stalina dłuta Wuczeticza („...nie oszczędzajcie jednostek, bez względu na to, jaką zajmują pozycję, miejcie na uwadze tylko sprawę, dobro sprawy...”).

Oglądał kolekcję pod okiem obserwującego go uważnie Mamantowa.

77

Ta próbka odręcznego pisma, zapytał, to chyba notatki do jakiegoś wystąpienia, prawda? Zgadza się, odparł Mamantow, październik 1920 roku, przemówienie do aktywistów Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej. A ten obraz Gierasimowa? Czy nie przypomina innego dzieła tego artysty z roku 1938, na którym widać Stalina i Woroszyłowa na murach Kremla? Mamantow pokiwał ponownie głową, najwyraźniej zadowolony, że ma okazję porozmawiać z podobnym do siebie koneserem; tak, sekretarz generalny kazał Gierasimowowi namalować drugą wersję, bez Woroszyłowa — w ten sposób chciał przypomnieć generałowi, że rzeczywistość (jak to ująć?) można zawsze zaaranżować tak, by naśladowała sztukę. Kolekcjoner z Marylandu i inny z Dusseldorfu proponowali Mamantowowi sto tysięcy dolarów za ten obraz, ale on nigdy nie pozwolił, by opuścił rosyjską ziemię. Nigdy. Któregoś dnia ma nadzieję wystawić go w Moskwie wraz z resztą swojej kolekcji. „Kiedy sytuacja polityczna będzie bardziej sprzyjająca”.

- Uważa pan, że któregoś dnia sytuacja będzie bardziej sprzyjająca?
- Och, tak. Obiektywnie historia przyzna Stalinowi rację. Tak to jest ze Stalinem. Z subiektywnego punktu widzenia może wydawać się okrutny, nawet podły. Ale chwałę tego człowieka można odnaleźć w obiektywnej perspektywie. Wtedy przytłacza swoją wielkością. Wierzę niezłomnie, że kiedy przywróci się właściwą perspektywę, znowu będą mu stawiać pomniki.
- Góring powiedział to samo o Hitlerze podczas procesu w Norymberdze. Nie widzę żadnych pomników...
- Hitler przegrał.
- Ale Stalin chyba też? Ostatecznie? Z „obiektywnego punktu widzenia”?
- Stalin zastał naród, który orał ziemię drewnianą sochą, i pozostawił nam imperium dysponujące bronią atomową. Jak może pan mówić, że przegrał? Przegrali ludzie, którzy przyszli po nim. Chruszczow, Mołotow, Beria, Malenkow... uważali się za twardych, ale on przejrzał ich na wylot. „Kiedy odejdę, kapitaliści potopią was jak ślepe kocięta”. Jego analiza była jak zwykle trafna.

78

- Więc myśli pan, że gdyby Stalin żył... '*'''
- Wciąż bylibyśmy supermocarstwem? Absolutnie. Ale

ludzie o geniuszu Stalina rodzą się w danym kraju może raz na sto lat. I nawet on nie potrafił wymyślić strategii, która pozwoliłaby mu pokonać śmierć. Widział pan wyniki badań opinii publicznej z okazji czterdziestej piątej rocznicy jego /gonu?, „-“; -“.

- Tak.
- I co pan o nich myśli?
- Moim zdaniem były... — Kelso usiłował znaleźć neutralne słowo. — Były znaczące.

(Znaczące? Chryste. Były przerażające. Jedna trzecia Rosjan uważała, że Stalin był wielkim wojennym przywódcą. Co szósty uważał go za największego władcę, jakiego kiedykolwiek miał ten kraj. Stalin cieszył się siedem razy większą popularnością niż Borys Jelcyn. Biedny Gorbaczow nie zdobył nawet dosyć głosów, by uwzględnić go w wynikach. Badania przeprowadzono w marcu. Kelso był do tego stopnia wstrząśnięty, że próbował zamieścić felieton w „New York Timesie”, ale redakcja nie była zainteresowana).

— Znaczące — zgodził się Mamantow. — Powinienem nawet powiedzieć „zdumiewające”, pamiętając o tym, jak oczernili go tak zwani historycy.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Zgromadzenie takiej kolekcji musiało trwać całe lata — stwierdził Kelso. I kosztować pana fortunę, miał ochotę dodać.

• Prowadzę pewne interesy — odparł wymijająco Mamantow. — I mam dużo wolnego czasu, odkąd odszedłem na emeryturę. — Wyciągnął rękę, żeby dotknąć popiersia, ale po chwili zawahał się i cofnął ją. — Problem, z którym boryka się każdy kolekcjoner, polega oczywiście na tym, że Stalin zostawił tak mało, jeśli idzie o osobiste przedmioty. W przeciwieństwie do tych skorumpowanych świń, których mamy obecnie na Kremlu, własność prywatna w ogóle go nie interesowała. Kilka rządowych mebli... to wszystko, co miał. To i ubrania, w których chodził. No i oczywiście prywatny notes. — Rzucił doktorowi Kelso chytre spo-

jrzenie. — To byłaby nie lada gratka. Coś... jak brzmi to amerykańskie powiedzenie... za co warto byłoby umrzeć?

— Więc słyszał pan o nim?

Na wargach Mamantowa — coś niebywałego — ukazał się uśmiech: wąski, szybki uśmiech podobny do nagłego pęknięcia tafli lodu.

- Interesuje pana Jepiszew?
- Wszystko, co może mi pan o nim powiedzieć.

Mamantow podszedł do półki z książkami i wyciągnął duży oprawny w skórę album. Na wyższej półce Kelso zobaczył dwa tomy Wołkogonowa. Mamantow oczywiście je przeczytał.

— Po raz pierwszy spotkałem Aleksieja Aleksiejewicza — oznajmił — w pięćdziesiątym siódmym, kiedy był ambasadorem w Bukareszcie. Wracalem z Węgier po tym, jak zrobiliśmy tam porządek. Dziewięć miesięcy pracy bez przerwy. Potrzebowałem odpoczynku, mówię panu. Pojechaliśmy razem na polowanie w rejonie Azugi.

Ostrożnie odwinął bibułkę i podał ciężki album Anglikowi. Był otwarty na małej amatorskiej fotografii i Kelso musiał natężyć wzrok, żeby zorientować się, co przedstawia. W tle widać było las. Na pierwszym planie stało dwóch, trzy-

mających w rękach strzelby uśmiechniętych mężczyzn w skórzanych myśliwskich czapkach i wysokich butach, ze stosem martwych ptaków u stóp. Jepiszew po lewej, Mamantow po prawej — trochę szczuplejszy niż teraz, ale z taką samą grubo ciosaną twarzą: zimnowojenna karykatura kagebisty.

— Gdzieś tu jest jeszcze jedno zdjęcie. — Mamantow stanął tuż za Anglikiem i przewrócił kilka kartek. Z bliska pachniał starością, naftaliną i karbolem, i niedokładnie się ogolił, co zdarza się często starszym ludziom. Pod nosem i na szerokim podbródku miał szarą szczecinę zarostu. — Tutaj.

Ta fotografia była o wiele większa i zrobiona przez zawodowca. Przedstawiała około dwustu mężczyzn ustawionych w czterech szeregach, jak podczas wręczania dyplomów. Część ubrana była w mundury, część w cywilne ubrania. „Swierdłowski, 1980”, informował podpis pod spodem.

80

— To była konferencja ideologiczna zorganizowana przez Sekretariat Komitetu Centralnego. Ostatniego dnia przemawiał do nas osobiście towarzysz Susłow. Tu jestem ja — powiedział Mamantow, pokazując ponurą twarz w trzecim rzędzie, a potem wskazał palcem zrelaksowanego mężczyznę w mundurze, siedzącego po turecku na ziemi. — A to... uwierzy pan?... jest Wołkogonow. Tutaj mamy jeszcze raz Aleksieja Aleksiejewicza.

Kelso miał wrażenie, że ogląda zdjęcie carskich oficerów sprzed rewolucji — ta sama pewność siebie, ten sam szyk, ta sama męska arogancja! A jednak po dziesięciu latach cały ich świat legł w gruzach: Jepiszew zmarł, Wołkogonow wystąpił z partii, Mamantow poszedł siedzieć.

Jepiszew zmarł w 1985 roku, oznajmił Mamantow. Zaraz po tym, jak do władzy doszedł Gorbaczow. Dla porządnego komunisty był to, zdaniem Mamantowa, najlepszy moment, żeby odejść: Aleksiejowi Aleksiejewiczowi wiele zostało oszczędzone. To był człowiek, który całe życie spędził w służbie marksizmu-leninizmu, który brał udział w udzielaniu braterskiej pomocy w Czechosłowacji i Afganistanie. Co za szczęście, że nie dożył czasów, kiedy wszystko wzięło w łeb. Pisanie biogramu Jepiszewa do *Księgi Bohaterów* było zaszczytem, a jeśli nikt już dzisiaj jej nie czyta... cóż, o to właśnie chodzi. Kraj został obrabowany ze swojej historii.

- Czy Jepiszew opowiedział panu o papierach Stalina to samo co Wołkogonowowi?
- Owszem. Pod koniec mówił bardziej swobodnie. Często chorował. Odwiedzałem go w klinice rządowej. Jego i Breżniewa leczył ten sam uzdrowiacz Dawitaszwili.
- Nie sądzę, żeby zostawił jakieś papiery...
- Papiery? Ludzie tacy jak Jepiszew nie trzymają żadnych papierów.
- Miał jakichś krewnych?
- Nikogo, o kim bym wiedział. Nigdy nie rozmawialiśmy o naszych rodzinach. — Mamantow wymówił to słowo, jakby było pozbawione sensu. — Wie pan, że jedną z rzeczy, które musiał robić Aleksiej, było przesłuchiwanie Berii? Noc w noc. Wyobraża pan sobie, jak to musiało wyglądać? Ale

Beria nigdy się nie załamał, ani razu przez blisko pół roku. Pękł dopiero pod sam koniec, już po procesie, kiedy przy-

wiązywali go przed wykonaniem wyroku. Nie wierzył, że ośmielią się go zabić.

- Co to znaczy „pękl”?

- Kwiczają jak świnia... tak twierdził Jepiszew. Wrzeszczał coś o Stalinie i wrzeszczał o jakimś archaniele. Wyobraża pan sobie? Kto jak kto, ale żeby Beria stał się religijny! A potem zawiązali mu szarfę na ustach i rozstrzelali. Nie wiem nic więcej. — Mamantow zamknął z nabożeństwem album i odłożył go na półkę. — Tak więc—oznajmił ze złowieszczą niewinną miną — ktoś przyszedł pana odwiedzić. Kiedy to było?

Kelso natychmiast zdał sobie sprawę, że powinien mieć się na baczności.

- Wolałbym tego nie mówić.

- I opowiedział panu o papierach Stalina. Zakładam, że to był mężczyzna. Naoczny świadek z tamtego okresu?

Kelso zawahał się.

— Nazwisko?

Doktor Kelso uśmiechnął się i potrząsnął głową. Mamantowowi najwyraźniej zdawało się, że jest z powrotem na Łubiance.

- W takim razie jego zawód?

- Tego też nie mogę panu powiedzieć.

- Czy wie, gdzie znajdują się te papiery?

- Niewykluczone.

- Zaproponował, że je panu pokaże?

- Nie.

- Ale pan poprosił, żeby je panu pokazał?

- Nie.

- Rozczarowuje mnie pan jako historyk, doktorze Kelso. Wydawało mi się, że słynie pan ze swojej dociekliwości.

- Jeśli chce pan wiedzieć, facet zniknął, nim zdążyłem to zrobić.

Pożałował tych słów już w momencie, kiedy je wymawiał.

- Co to znaczy „zniknął”?

- Piliśmy — mruknął Kelso. — Zostawiłem go na chwilę samego. Kiedy wróciłem, uciekł.

82

Brzmiało to mało prawdopodobnie nawet w jego własnych uszach.

- Uciekł? — Oczy Mamantowa były szare jak syberyjska zima. — Nie wierzę panu.

- Mogę pana zapewnić, że to prawda, Władimirze Pawłowiczu — odparł Kelso, wytrzymując jego spojrzenie.

- Kłamie pan. Dlaczego? Dlaczego? — Mamantów potarł podbródek. — Moim zdaniem dlatego, że ma pan już ten notes.

- Niech pan sam siebie zapyta: czy przychodziłbym tutaj, gdybym go miał? Wracałbym chyba pierwszym samolotem do Nowego Jorku. Czy nie tak właśnie postępują złodzieje?

Mamantow gapił się na niego jeszcze kilka sekund, a potem odwrócił wzrok.

- To znaczy, że musimy odnaleźć tego człowieka.

My...

- Moim zdaniem on nie chce, żeby go odnaleziono.

- Znowu się z panem skontaktuje.

— Wątpię. — Kelso strasznie chciał się stąd wydostać.

Nie wiadomo dlaczego, poczuł się zdemaskowany; współwinni. — Poza tym jutro odlatuję do Ameryki. W związku z czym naprawdę powinienem teraz...

Ruszył w stronę drzwi, ale Mamantow zablokował mu drogę.

— Jest pan jakiś nieswój, doktorze Kelso? Czuje pan nawet zza grobu moc towarzysza Stalina?

Kelso roześmiał się żałośnie.

- Nie wydaje mi się, żebym podzielał tę pańską... obsesję.
- Job twoju mać! Czytałem tę pańską książkę. Dziwi to pana? Nie będę się wypowiadał na temat jej poziomu. Ale powiem panu jedno: jest pan tak samo ogarnięty obsesją jak ja.

- Być może. Lecz w inny sposób.

- Władza — powiedział Mamantow, smakując to słowo w ustach niczym wino. — Absolutne mistrzostwo i zrozumienie władzy. Żaden człowiek nigdy mu w tym nie dorównał. Zrób to, zrób tamto. Pomyśl to, pomyśl tamto. Teraz żyjesz, a za chwilę umrzesz, i możesz powiedzieć tylko

83

„dziękuję za uprzejmość, Towarzyszu Stalinie”. To jest obsesja.

- Owszem, ale jeśli pan pozwoli, różnica między nami polega na tym, że pan chciałby, żeby on wrócił.

- A pan lubi sobie tylko popatrzeć, prawda? Ja lubię jebanie, pan lubi pornografię. — Mamantow pokazał kciukiem pokój. — Powinien pan na siebie spojrzeć. „To chyba notatki do wystąpienia?”. „Czy to nie kopia wcześniejszego obrazu?”. Z wybałuszonymi oczyma, wywalonym jęzorem... zachodni liberał doznający bezpiecznego dreszczyku emocji. On oczywiście też to świetnie rozumiał. A teraz chce mi pan wmówić, że nie zamierza pan szukać jego prywatnego notesu i tak po prostu da pan nogę do Ameryki?

- Czy mogę przejść?

Kelso zrobił krok w lewo, ale Mamantow przesunął się szybko w tę samą stronę.

- To może być jedno z największych historycznych odkryć epoki. A pan chce uciec? Trzeba to odnaleźć. Musimy to razem odnaleźć. A później musi pan to zaprezentować światu. Nie zależy mi na sławie, obiecuję panu. Wolę pozostać w cieniu. Może pan przypisać całą zasługę sobie.

- Co to ma wszystko znaczyć, towarzyszu Mamantow? — zapytał Kelso, uśmiechając się z przymusem. — Czy jestem waszym więźniem?

Od zewnętrznego świata dzielił go, jak obliczał, jeden wysportowany i najwyraźniej szalony były kagebista, jeden uzbrojony ochroniarz i dwoje drzwi, w tym jedne z pancernej blachy. Przez moment wydawało mu się, że Mamantow naprawdę nie chce go wypuścić; miał tyle innych pamiątek po Stalinie, dlaczegoż nie dołączyć do nich piszącego o Stalinie historyka, zamarynowanego w formaldehydzie i leżącego w szklanej gablocie niczym Włodzimierz Iljicz Lenin?

- Co się tam dzieje? — zawołała nagle z korytarza pani Mamantowa i zakłęcie przysło.

- Nic — odkrzyknął Mamantow. — Przestań podsłuchiwać. Wracaj do swojego pokoju. Wiktor!

- Ale kim są ci wszyscy ludzie? — zapytała płacząco

84

kobieta. — Tylko to chcę wiedzieć. I dlaczego jest zawsze tak ciemno?

Zaczęła szlochać. Usłyszeli szuranie stóp i odgłos zamykanych drzwi.

- Przykro mi — powiedział Kelso.
- Niepotrzebne mi pańskie współczucie. — Mamantow ustąpił mu z drogi. — Skoro tak, niech pan idzie. Niech pan się wynosi. Już! — dodał, ale kiedy Kelso był w połowie korytarza, zawołał za nim: — Porozmawiamy jeszcze o tej sprawie. Tak czy inaczej.

W samochodzie na dole siedziało teraz trzech mężczyzn, Kelso jednak był zbyt roztrzęsiony, żeby zwracać na nich uwagę. Zatrzymał się w mrocznym portalu Domu przy Nabrzeżu, żeby poprawić płócienną torbę na ramieniu, a potem ruszył pod górę, na most Bolszoi Kamiennyj.

• To on, majorze — powiedział człowiek z blizną i Feliks Suworin pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć. Jak na majora wywiadu był dość młody: koło trzydziestki, typ eleganta, z blond włosami i niebieskimi jak bławatki oczyma. Używał także zachodniego płynu po goleniu, czego w tym momencie trudno było nie zauważyć: w małym samochodzie unosił się zapach wody Eau Sauvage.

- Miał tę torbę, kiedy wchodził?
- Tak, majorze.

Suworin zerknął na mieszczący się na dziewiątym piętrze apartament Mamantowa. Potrzebował więcej ludzi. Na początku operacji SWR udało się umieścić pluskwę w mieszkaniu, ale już po trzech godzinach ludzie Mamantowa znaleźli ją i zniszczyli.

Kelso zaczął się wspinać po schodach prowadzących na most.

— Ruszaj, Bunin — powiedział Suworin, klepiąc lekko po ramieniu siedzącego przed nim mężczyznę. — I nie bądź nachalny. Postaraj się po prostu nie stracić go z oczu. Nie chcemy żadnych dyplomatycznych protestów.

Bunin mruknął coś pod nosem i wylazł z samochodu.

85

Kelso szedł bardzo szybko, dotarł już prawie do poziomu jezdni i Rosjanin musiał podbiec, żeby zmniejszyć trochę dzielący ich dystans.

No, no, pomyślał Suworin, wygląda na to, że nasz ptaszek bardzo się gdzieś spieszy. A może po prostu chce jak najprędzej dać stąd nogę?

Sledził nad kamienną balustradą dwie niewyraźne różowe twarze mężczyzn, dopóki, kierując się na północ, nie przeszli przez most i nie zniknęli w popołudniowej szarówce.

Rozdział 5

Kelso wszedł na stację metra Borowickaja, zapłacił dwa ruble, odebrał plastikowy żeton i zstąpił z ulgą w moskiewskie podziemia. Przy wejściu na peron północny odruchowo się obejrzał, ale nie zobaczył Mamantowa wśród rzędów

zmęczonych twarzy na ruchomych schodach.

To była głupia myśl — próbując śmiać się z własnej paranoi, odwrócił się z powrotem ku przyćmionym światłom i ciepłym podmuchom, przesyconym wonią smarów i elektryczności. Prawie natychmiast w tunelu zatańczyły żółte światła i pęd pociągu pociągnął go do przodu. Razem z falą ludzi wszedł do wagonu. Obecność milczącego, nędznie ubranego tłumu dodawała mu w dziwny sposób otuchy. Trzymając się metalowego uchwytu, kołysał się wraz z innymi, gdy wjechali w tunel.

Nie ujechali daleko, kiedy pociąg nagle zwolnił i stanął — okazało się, że na następnej stacji ogłoszono alarm bombowy. Milicja musiała ją sprawdzić, stali więc wszyscy w półmroku, prawie się nie odzywając. Co jakiś czas słychać było tylko czyjś kaszel. Napięcie niepostrzeżenie rosło.

Kelso przyglądał się swojemu odbiciu w ciemnej szybie. Był spięty, musiał to przyznać. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że naraził się na niebezpieczeństwo. Informując Mamantowa o notesie, popełnił grubą nieostrożność i błąd. Jak określił to Rosjanin? Coś, za co warto umrzeć?

87

Odetchnął z ulgą, gdy w wagonie zamigotały światła i pociąg ruszył do przodu. Powrócił kojący rytm normalności.

Kiedy wyszedł z metra, minęła już czwarta. Na zachodzie, tuż nad szczytami drzew otaczających ogród zoologiczny w pokrywie chmur otworzyła się cytrynowa szczelina. Do zachodu słońca zostało niewiele ponad godzinę. Musiał się pospieszyć. Złożył mapę w niewielki kwadrat i przekreślił ją tak, by mieć stację metra po prawej stronie. Po drugiej stronie ulicy była brama do zoo — czerwone skały, wodospad, wieża — a trochę dalej zamknięty o tej porze roku piwny ogródek z poskładanymi plastikowymi stołami i furkoczącymi złożonymi parasolami. Słyszał szum dobiegający od oddalonego o dwieście metrów Sadowego Kolca. Minie je, skręci ostro w lewo, potem w prawo i powinien znaleźć się u celu. Schował mapę do kieszeni i stąpając po bruku, ruszył pod górę w kierunku wielkiego skrzyżowania.

Dziesięć pasm ruchu tworzyło tu olbrzymią, płynącą wolno rzekę światła i stali. Przeciął ją na ukos i nagle znalazł się w dzielnicy dyplomatycznej: szerokie ulice, imponujące gmachy, stare brzozy, zeschnięte liście sypiące się na lśniącej czarnej limuzynie. Ruch był tu niewielki. Minął siwowłosego mężczyznę, który wyprowadzał na spacer pudła, i kobietę w zielonych kaloszach, wystających dziwacznie spod islamskiej szaty. Zza gęstych firanek błyskały żółte konstelacje żyrandoli. Zatrzymał się na rogu Wspólnego Pierieulka i omiół uliczkę wzrokiem. Z prawej podjechał do niego bardzo powoli, po czym oddalił się milicyjny samochód. Ulica była pusta.

Odnalazł dom od razu, ale chcąc sprawdzić, czy nikt nie kręci się w pobliżu, minął go i dotarł do końca ulicy, a potem wrócił, idąc po drugiej stronie. *Był tam czerwony półksiężyc i pojedyncza czerwona gwiazda. Domu pilnowały diabły z czarniawymi twarzami...* Kelso zdał sobie nagle sprawę, co miał na myśli stary. Czerwony półksiężyc i pojedyncza czerwona gwiazda — to musiała być flaga, islamska flaga. A czarne twarze? W domu musiała się mieścić ambasada — był za

duży na coś innego — ambasada islamskiego państwa, prawdopodobnie z północnej Afryki. Był pewien, że się nie myli. Gmach był wielki, to nie ulegało kwestii, odpychający i brzydki, wzniesiony z piaskowego koloru kamienia, który upodabniał go do bunkra. Ciągnął się przez co najmniej czterdzieści metrów po północnej stronie ulicy. Kelso naliczył trzynaście okien na jednym piętrze. Nad masywnym wejściem znajdował się balkon z podwójnymi drzwiami. Nie było żadnej tablicy ani flagi. Jeśli mieściła się tu kiedyś ambasada, dyplomaci wyprowadzili się; budynek był pusty.

Kelso przeszedł przez ulicę. Poklepał dłonią szorstki kamień, stanął na palcach i próbował zajrzeć do środka przez któreś z okien. Ale były umieszczone zbyt wysoko, a poza tym wszędzie zasłaniały je szare firanki. Po chwili dał za wygraną i ruszył wzdłuż fasady aż do rogu. W bocznej ścianie budynku znowu naliczył trzynaście okien. Nie było tu żadnych drzwi, masywna i niedostępna elewacja ciągnęła się przez trzydzieści albo czterdzieści metrów. W miejscu, gdzie się kończyła, zaczynał się wysoki na trzy metry mur z takiego samego kamienia, a w nim, mniej więcej w połowie, znajdowała się nabijana gwoździami drewniana furtka. Mur biegł aż do skrzyżowania, następnie wzdłuż obwodnicy i w końcu wzdłuż wąskiej alejki, która tworzyła czwarty bok posesji. Idąc nią, Kelso zrozumiał, dlaczego Beria wybrał ten budynek i dlaczego jego przeciwnicy uznali, że jedynym miejscem, gdzie zdołają go ująć, jest Kreml. Okopawszy się w tej fortecy, mógł przetrwać oblężenie.

Światła w sąsiednich domach jaśniały coraz silniej, w miarę jak popołudnie przechodziło w zmierzch. Ale dom Berii pozostał czarnym sześcianem. Wydawało się, że sam wsysa w siebie mrok. Kelso usłyszał trzaśnięcie samochodowych drzwiczek i po chwili znalazł się ponownie na rogu Wspólnego Pierieulka. Kiedy obchodził dookoła posesję, pod frontowe drzwi podjechała furgonetka.

Po krótkim wahaniu ruszył w jej stronę.

Biała nie oznakowana furgonetka była rosyjskiej marki. Silnik stygł, cicho tykając. Zrównawszy się z pojazdem, Kelso zerknął na drzwi do budynku i spostrzegł, że są lekko

uchylone. Znowu się zawahał, po czym spojrzał w górę i w dół ulicy, wsadził głowę w szparę i wykrzyczał słowa powitania.

Jego głos odbił się echem w pustym holu. Paliło się tam słabe niebieskawe światło. Nawet nie wchodząc do środka, widział, że podłoga ułożona jest w czarno-białą szachownicę. Po lewej stronie zobaczył szerokie schody. W domu unosił się silny zapach kwaśnego kurzu i starych dywanów. Panowała w nim głęboka cisza, tak jakby od wielu miesięcy stał zamknięty na głucho. Kelso pchnął drzwi, zrobił krok do środka i ponownie zawołał.

Miał teraz dwie możliwości. Mógł zostać przy drzwiach albo wejść głębiej. Zdecydował się na tę drugą ewentualność i natychmiast, niczym laboratoryjny szczur w labiryncie, odkrył, że liczba stojących przed nim opcji pomnożyła się. Mógł zostać tam, gdzie stał, mógł otworzyć drzwi po lewej stronie, mógł wspiąć się po schodach, ruszyć korytarzem prowadzącym w mrok za schodami lub wybrać jedno z trojga

drzwi po prawej stronie. Na chwilę sparaliżowała go niemożność dokonania wyboru. Ale schody były prosto przed nim i ta droga wydawała się najbardziej oczywista — być może podświadomie chciał znaleźć się wyżej albo na tym samym poziomie, co ludzie, którzy weszli przed nim do środka.

Stopnie były kamienne. Kelso miał na nogach brązowe zamszowe buty ze skórzanymi podeszwami, które kupił przed wielu laty w Oksfordzie, i chociaż stapał ostrożnie na palcach, każdy krok brzmiał niczym wystrzał pistoletowy. Ale to nawet dobrze. Nie był przecież złodziejem.

— *Priwiet!* Kto tam? — zawołał ponownie, żeby to podkreślić.

Schody zakreślały i po prawej stronie widział teraz dobrze niebieską studnię sieni, przeszytą jaśniejszym promieniem błękitu, padającym z otwartych drzwi. Pokonał ostatnie stopnie i znalazł się pośrodku biegnącego w lewo i w prawo szerokiego korytarza, który ginał po obu stronach w rembrandtowskim mroku. Przed sobą miał drzwi. Próbował ustalić swoje położenie. Drzwi musiały prowadzić do pokoju nad głównym wejściem, tego z żelaznym balkonem. Co się

90

za nimi znajdowało? Sala balowa? Główna sypialnia? Korytarz wyłożony był parkietem i Kelso przypomniał sobie to, co Rapawa powiedział o śladach mokrych stóp, które Beria zostawiał na drewnianych klepkach, pędząc do telefonu od Malenkowa.

Otworzył drzwi i stanął przed ścianą stęchłego powietrza. Musiał zatkać dłonią usta i nos, żeby się nie zakrztusić. To stąd chyba rozchodził się odór, którym przesycony był cały dom. Pokój był duży, nieumeblowany, oświetlony przez prześwitujące szaro prostokąty trzech zasłoniętych firankami wysokich okien. Ruszył w ich stronę. Podłoga wydawała się usłana czarnymi plewami. Pomyślał, że jeśli odsunie firanki, do pokoju wpadnie więcej światła i zobaczy, po czym stąpa. Ale kiedy dotknął szorstkiego nylonu, miał wrażenie, że materiał pęka i marszcząc się, osuwa na podłogę. Na jego dłoń i kark posypał się grad czarnych granulek. Szarpnął ponownie firankę i grad stał się kaskadą, wodospadem martwych skrzydlatych owadów. Całe miliony musiały się tu wylegnać i zginąć w lecie, uwięzione w pozbawionej powietrza sali. Miały papierowy kwaśny zapach. Zaplątały się w jego włosy. Słyszał, jak chrzęszczą mu pod stopami. Zrobił kilka kroków do tyłu, otrzepując się wściekle i potrząsując głową.

— *Kto idiot?* — zawołał na dole w holu jakiś mężczyzna.

Kelso wiedział, że powinien odpowiedzieć. Jak inaczej mógł udowodnić, że ma uczciwe zamiary — że jest niewinny — niż wychodząc natychmiast na korytarz, przedstawiając się i prosząc o wybaczenie. Bardzo mu przykro. Drzwi były otwarte. Zobaczył interesujący stary dom. Jest historią. Ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem. Oczywiście nie ma tu nic, co można by ukraść. Naprawdę bardzo mu przykro...

To była jego alternatywna historia. Ale nie wybrał jej. Nie postanowił, że jej nie wybierze. Po prostu nie zrobił nic, co też stanowiło formę wyboru. Stał tam w starej sypialni Ławrientija Berii, zastygły w bezruchu, na pół pochylony, jakby mogło go zdradzić skrzywienie własnych kości, i nasłuchiwał. Z każdą mijającą sekundą malały szanse na to, że

wytłumaczy jakoś swoją obecność w budynku. Mężczyzna zaczął wchodzić na górę. Pokonał siedem stopni — Kelso liczył je — po czym zatrzymał się i stał nieruchomo może przez minutę.

A potem zszedł z powrotem na dół, przeciął hol i frontowe drzwi się zamknęły.

Dopiero teraz Kelso się poruszył. Podeszedł do okna. Nie dotykając firanki, stwierdził, że może spojrzeć zza skraju zakurzonego nylonu na ulicę. Patrząc pod ostrym kątem, zobaczył mężczyznę w czarnym mundurze, który stał na chodniku koło furgonetki i trzymał w ręku latarkę. Facet po chwili zszedł na jezdnię i zerknął na dom. Był niski i podobny do małpy; jego ręce wydawały się zbyt długie w stosunku do napakowanego tułowia. Nagle spojrzął prosto na Anglika — miał brutalną głupią twarz — i Kelso cofnął się. Kiedy ośmielił się ponownie zerknąć na dół, mężczyzna otwierał już drzwi furgonetki. Rzucił do środka latarkę i siadł za kierownicą. Zawarczał silnik i furgonetka odjechała.

Kelso dał mu trzydzieści sekund i zbiegł na dół. Był uwięziony. Nie potrafił w to uwierzyć. Jego położenie stało się tak absurdalne, że o mało się nie roześmiał. Siedział zamknięty w domu Berii! Frontowe drzwi były ogromne, z zamkiem wielkości książki telefonicznej i wielką żelazną gałką w charakterze klamki. Nacisnął ją bezradnie i rozejrzał się dookoła. Czy jest tu alarm antywłamaniowy? W ciemności nie widział żadnych urządzeń na ścianie, ale może to staroświecki system — to było więcej niż prawdopodobne — coś uruchamianego raczej przez zapadkę niż fotokomórkę. Ta myśl sprawiła, że zastygł w bezruchu.

Tym, co kazało mu się w końcu ruszyć z miejsca, był zapadający mrok oraz świadomość, że jeśli nie znajdzie teraz drogi ucieczki, może tu tkwić po ciemku przez całą noc. Przy drzwiach był kontakt, ale nie miał odwagi go przekroczyć — strażnik nabrał najwyraźniej jakichś podejrzeń i mógł wrócić, żeby ponownie sprawdzić budynek. Tak czy inaczej, panująca w tym miejscu cisza, jego skrajna martwota upewniła go, że wszelkie systemy podtrzymania życia zostały odłączone. Dom pozostawiono, by rozsypał się w proch.

92

Kelso próbował przypomnieć sobie rozkład pomieszczeń, które przebył Rapawa, spiesząc się do telefonu. Wybiegł z werandy, przebiegł przez dyżurkę, obok kuchni i znalazł się w holu...

Ruszył ciemnym korytarzem za schodami, macając ścianę z lewej strony. Tynk był chłodny i gładki. Pierwsze drzwi, na które trafił, były zamknięte. Drugie nie — w twarz uderzył go chłodny przeciąg. Wyczuł zejście w dół, prawdopodobnie do piwnicy, i szybko je zamknął. Za trzecimi połyskiwały metaliczne niebieskie powierzchnie i czuć było słaby odór nieświeżego jedzenia. Czwarte znajdowały się na samym końcu, na wprost, i wchodziło się przez nie do pomieszczenia, w którym, jak sądził, musieli kiedyś przesiadywać ochroniarze Berii.

W przeciwieństwie do reszty domu, który został chyba ogołocony z całego wyposażenia, było tutaj kilka mebli — prosty drewniany stół, krzesło, stary kredens... oraz jakieś ślady życia. Egzemplarz „Prawdy” — poznawał znajomy krój liter — kuchenny nóż, popielniczka. Dotknął stołu

i poczuł pod dłonią okruszyny. Przez dwa małe okienka sączyło się blade światło. Między nimi były drzwi. Zamknięte. W zamku nie było klucza. Kelso przyjrzał się ponownie oknom. Były zbyt wąskie, by zdołał się przez nie przecisnąć. Wziął głęboki oddech. Niektóre nawyki są chyba międzynarodowe? Przesunął palcami wzdłuż, parapetu po prawej stronie i znalazł klucz, który obrócił się bez trudu w zamku.

Otworzywszy drzwi, wyjął klucz i — jak to miło z twojej strony, pamiętał, że pomyślał — położył go z powrotem na parapecie.

Weranda miała może dwa metry szerokości, sfatygowane deski podłogi i złamaną balustradę. Słysząc było ruch uliczny i strudzony huk silników wielkiego odrzutowca podchodzącego do lądowania na lotnisku Szeremietiewo. Chłodny wiatr niósł zapach dymu z ognisk. Na niebie gasły ostatnie światła dnia.

Domyślił się, że ogród musiał zostać opuszczony w tym samym czasie co dom. Nikt nie pielęgnował go od wielu

93

miesiący. Po lewej stronie była ozdobna oranżeria z żelaznym kominem, częściowo zarośnięta pnączami. Po prawej gęste ciemnozielone krzaki. Prosto przed nim drzewa.

Zszedł z werandy na dywan liści, które wiatr porywał z trawnika i toczył w stronę domu. Rozgarniając stopami ich sterty, ruszył w stronę sadu — jak zauważył teraz, gdy podszedł bliżej — wiśniowego; rosło tam może ze sto dużych starych drzew, sięgających sześciu metrów, scena jak z Czechowa. Nagle zatrzymał się. Grunt pod wiśniami był płaski i równy, z wyjątkiem jednego miejsca. Pod jednym z drzew, obok kamiennej ławki, widać było spleciec czerni, ciemniejszy niż ziemia dookoła. Kelso zmarszczył brwi. Może tylko mu się wydawało?

Podszedł bliżej, ukląkł i powoli wsunął dłonie między liście. Na powierzchni były suche, niżej wilgotne i przegniłe. Odgarnął je i w nozdrza uderzyła go intensywna woń mokrej ziemi — czarnej pachnącej ziemi Matki Rosji.

Nie kop tak szeroko. To nie grób. Sam przysparzasz sobie więcej roboty.

Zgarnął liście z obszaru mniej więcej jednego metra kwadratowego i chociaż nie widział wiele, zobaczył i wyczuł dosyć. W tym miejscu ktoś usunął trawę i wykopał dół. A potem zasypał go i starał się umieścić kępki trawy tam, gdzie się pierwotnie znajdowały. Niektóre jednak porozrywały się, inne zsunęły na skraj wykopu i w rezultacie powstał bałagan: rozsypana zabłocona układanka. Dół wykopano w pośpiechu i zrobiono to niedawno, może nawet dzisiaj. Wstał i otrzepał mokre liście z płaszcza.

Czuje pan nawet zza grobu moc towarzysza Stalina?

Zza wysokiego muru dobiegał szum szerokiej arterii. Normalność była na wyciągnięcie ręki. Zgarniając liście bokiem stopy, Kelso zasypał z powrotem skałeczoną ziemię, złapał swoją torbę i potykając się, ruszył ku skrajowi ogrodu, ku odgłosom życia. Musiał stąd uciec. Nie bał się do tego przyznać. Był przerażony. Wiśniowy sad dochodził prawie do samego muru, który stał pionowy i niedostępny niczym w wiktoriańskim więzieniu. Nie było mowy, żeby zdołał się na niego wdrapać.

Wzdłuż muru biegła wysypana żużlem wąska ścieżka. Ruszył nią w lewo. Ścieżka skręciła przy rogu i szedł nią leraż z powrotem w stronę domu. Mniej więcej w połowie drogi zobaczył ciemniejszy prostokąt — ogrodową furtkę, którą pamiętał z ulicy. Zarosły ją krzaki i musiał odciągać ścielące się po ziemi gałęzie, żeby się do niej dostać. Była zamknięta na klucz. Niewykluczone, że zamek po prostu zarzewiał. Zapalił zapalniczkę i przysunął ją bliżej, żeby mieć lepszy widok. Drzwi były solidne, lecz futryna nie wyglądała na mocną. Cofnął się i kopnął ją, ale ani drgnęła. Spróbował ponownie. Beznadziejna sprawa.

Wrócił na ścieżkę. Od domu dzieliło go teraz około trzydziestu metrów. Niski dach rysował się wyraźnie na tle nieba. Widział antenę i wysoki komin, na którym zamontowany był satelitarny talerz — zbyt duży, by służył do domowego użytku.

Gapiąc się na antenę, ujrzał nagle błysk światła w oknie na górze. Zgasło tak szybko, że doszedł do wniosku, że to złudzenie. Weź się w garść, rozkazał sobie, znajdź jakieś narzędzie i jak najszybciej stąd wuj. Ale potem światło błysnęło ponownie, niczym promień latarni morskiej — słabo, mocno i znowu słabo — jakby ktoś trzymał w rękę potężną latarkę i zataczał nią kręgi w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara, ku oknu i z powrotem w stronę ciemnego wnętrza pokoju.

Wrócił podejrzliwy strażnik.

— Boże. — Kelso miał wargi tak mocno zaciśnięte, że z trudem wymówił te dwie sylaby. — Boże, Boże, Boże.

Pobiegnął ścieżką do oranżerii. Rozklekotane drzwi ustąpiły akurat na tyle, by zdołał się przez nie przecisnąć. Pokrywające szkło pnącza sprawiły, że w środku było ciemniej niż na zewnątrz. Stoły na kozłach, stara lubianka, puste skrzynki po sadzonkach, doniczki — nic, kompletnie nic. Kelso posuwał się po omacku wąskim przejściem. Jakiś liść otarł się o jego twarz. Chwilę później zderzył się z dużym metalowym obiektem. Stary pękaty piec z kutego żelaza. Obok niego leżały porozrzucane przybory — łopatka, wiaderko, rzeszoto, pogrzebacz. Pogrzebacz.

Trzymając w rękę swój łup, wrócił ścieżką i wsadził końcówkę pogrzebacza w szparę między furtką i futryną, tuż nad zamkiem. Podważył go i usłyszał trzask. Pogrzebacz wypadł ze szpary. Wsadził go z powrotem i znowu podważył. Kolejny trzask. Przesunął go niżej. Z futryny posypały się drzazgi.

Zrobił kilka kroków do tyłu, a potem rozpedził się, uderzył furtkę ramieniem i jakaś siła, która nie miała wiele wspólnego z fizyką — była raczej połączeniem czystej woli, strachu i wyobraźni — sprawiła, że wyważył drzwi i znalazł się na cichej pustej ulicy.

Rozdział 6 *

O szóstej wieczorem tego samego dnia major Feliks Suworin wraz z porucznikiem Wissarijem Nettem zdawał dzienny raport swemu bezpośredniemu zwierzchnikowi, pułkownikowi Jurijowi Arseniewowi, szefowi dyrektoriatu RT.

Atmosfera była jak zwykle swobodna. Arseniew siedział, przysypiając, za biurkiem, na którym położył mapę Moskwy i magnetofon. Suworin rozparł się na kanapie i palił fajkę. Netto obsługiwał sprzęt.

— Pierwszy głos, jaki pan usłyszy, pułkowniku — powiedział do Arseniewa — należy do pani Mamantow.

Nacisnął odtwarzanie.

Kto mówi?

Christopher Kelso. Czy mogę mówić z towarzyszem Mamantowem?

Tak? A kto mówi?

Jak już powiedziałem, nazywam się Kelso. Dzwonię z automatu. To pilne.

Tak, ale kto mówi?

Netto nacisnął pauzę.

— Biedna Ludmiła Fiedorowa — stwierdził ze smutkiem Arseniew. — Znałeś ją, Feliksie? Pamiętam ją z czasów, kiedy pracowała na Łubiance. To była kobieta! Ciało niczym

97

pagoda, umysł niczym brzytwa. Nie sposób było jej przegadać.

- To już przeszłość — powiedział Suworin. — Przynajmniej jeśli chodzi o umysł.

- Następny głos będzie bardziej znajomy, pułkownik — oznajmił Netto.

Odtwarzanie.

W porządku. Tu Mamantow. Z kim mówię?

Nazywam się Kelso. Doktor Kelso. Może mnie pan pamięta?

Pamiętam pana. Czego pan chce?

Spotkać się z panem.

Dlaczego miałbym się z panem spotykać po tych wszystkich bredniach, które pan napisał?

Chciałem panu zadać parę pytań.

Na jaki temat?

Na temat zeszytu w czarnej ceratowej okładce, który należał do Józefa Stalina.

Zamknij się.

Slucham?

Powiedziałem, żeby pan się zamknął. Zastanawiam się. Gdzie pan teraz jest?

Obok biura Inturistu przy ulicy Mochowej.

To niedaleko. Lepiej będzie, jak pan zaraz przyjdzie.

Stop.

— Puść to jeszcze raz — powiedział Arseniew. — Nie Ludmiłę. Tę drugą część.

Przez pancerną szybę za plecami Arseniewa Suworin widział światła biurowca, odbijające się w pomarszczonej tafli jasińskiego jeziora, oświetloną reflektorami wielką głowę Lenina, a dalej ciemną linię lasu, postrzępioną na tle wieczornego nieba. Spomiędzy drzew mrugnęły i zgasły światła jakiegoś samochodu. Patrol bezpieczeństwa, pomys-

łał Suworin i stłumił ziewnięcie. Cieszył się, że pozwolił Wissarijowi mówić. Trzeba dać chłopakowi szansę.

Na temat zeszytu w czarnej ceratowej okładce, który należał do Józefa Stalina...

— Niech mnie szlag — zaklął cicho Arseniew i jego obwisła twarz nagle stężała.

98

- Do Mamantowa dzwonił dziś po południu o czternastej czternaście ten człowiek — podjął Netto, wręczając szefowi dwa cienkie kolorowe foldery. — Christopher Andrew Kelso, znany powszechnie jako „Fluke”.

- Całkiem ładne — stwierdził Suworin, który nie widział wcześniej zdjęcia. Lśniące, dostarczone prosto z ciemni, wciąż zalatywało tiosiarczanem sodu. — Gdzie stacjonujemy?

- Na trzecim piętrze, przy wewnętrznym dziedzińcu, naprzeciwko wejścia na klatkę Mamantowa.

- Więc stać nas teraz na apartament w Domu przy Nabrzeżu? — zamruczał Arseniew.

- Jest pusty. Nie kosztuje nas nawet rubla.

- Jak długo tam siedział?

- Przybył o czternastej trzydzieści dwie, pułkownik.

Wyszedł o piętnastej zero siedem. Jeden z naszych oficerów operacyjnych, porucznik Bunin, ruszył w ślad za nim.

Kelso wsiadł do metra na stacji Borowickaj, o tutaj, przesiadł się raz, dojechał do stacji Krasnopriesnienskaja i doszedł do tego domu... — Netto jeszcze rzucił dotknął palcem mapy — na Wspólnym Pierieulku. To pusta posesja. Wszedł bezprawnie na jej teren i spędził tam około czterdziestu pięciu minut. Ostatnio widziano go w tym miejscu, kiedy szedł na południe Sadowym Kolcom. Było to dziesięć minut temu.

- Co to dokładnie znaczy? „Fluke”?

- Uśmiech losu, pułkownik — odparł Netto zadowolony, że może się popisać. — Nieoczekiwany sukces.

- Sergo? Gdzie jest ta cholerna kawa?

Arseniew, niesamowicie gruby, zasypiał, jeśli co godzina nie naszprycował się kofeiną.

— Już podaje, Juriju Siemionowiczu — odezwał się głos z interkomu.

— Rodzice tego Anglika przekroczyli oboje czterdziestkę, kiedy się urodził.

Arseniew spojrzał ze zdziwieniem na Wissarija Netta.

- Co nas, u diabła, obchodzą jego rodzice?

- Chodzi o to... ; ! ;

Młody człowiek stropił się, umilkł i rzucił błagalne spojrzenie Suworinowi.

- Kelso był dla nich uśmiechem losu — mruknął major. — To taki żart.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego.

Wybawiło ich pojawienie się asystenta Arseniewa, który przyniósł kawę. Na niebieskim kubku widniał napis I LOVE NEW YORK i Arseniew wznosił go, jakby pił ich zdrowie.

- Opowiedzcie mi coś więcej — powiedział, mrużąc oczy przed unoszącą się z kubka parą — na temat pana Fluke'a.

- Urodzony w Wimbledonie w tysiąc dziewięćset pięć-

dziesiątym czwartym — przeczytał z akt Netto. (Dobrze się spisał, gromadząc te wszystkie informacje w ciągu jednego popołudnia, pomyślał Suworin; nie można było odmówić chłopakowi ambicji). — Ojciec, typowy drobnomieszczanin, urzędnik w kancelarii adwokackiej; trzy siostry, wszystkie starsze; typowe wykształcenie; w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim otrzymał stypendium, żeby studiować historię w St John College w Cambridge; ukończył studia z wyróżnieniem w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym...

Suworin przejrzał już to wszystko — dane personalne pobrane z kartoteki, kilka gazetowych wycinków, hasło z *Who's Who* — i teraz usiłował dopasować te informacje do zrobionego ukradkiem zdjęcia mężczyzny w przeciwdeszczowym płaszczu. Gruboziarnista fotografia miała w sobie coś ze stylu lat pięćdziesiątych; oglądający się przez ramię mężczyzna z papierosem w ustach przypominał rozmąlanego francuskiego aktora, który grał rolę sprytnego gliniarza. Fluke. Czy przezwisko przykleja się do człowieka dlatego, że do niego pasuje, czy też człowiek, podświadomie, dostosowuje się do przezwiska? Fluke, rozpieszczany przez wszystkie kobiety w rodzinie leniwy nastolatek, który zdumiewa nauczycieli, dostając stypendium w Cambridge — jako pierwszy w historii swojej mało znanej szkoły średniej. Fluke, wiecznie balujący student, który po trzech latach bez większego wysiłku kończy studia z najlepszym wynikiem na

100

swoim roku. Fluke, który złożył właśnie wizytę najbardziej niebezpiecznemu człowiekowi w Moskwie — chociaż naturalnie jako cudzoziemiec był przekonany, że włos nie spadnie mu z głowy. Owszem, trzeba uważać na tego Fluke'a.

- Stypendium na Harvardzie w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym; w dziewięćset osiemdziesiątym przyjęty na Uniwersytet Moskiewski w ramach programu „Studenci dla Pokoju”; kontakty z dysydentami... patrz aneks A... doprowadziły do zmiany kategorii z „burżuazyjno-liberalnej” na „konserwatywno-reakcyjną”; pracę doktorską pod tytułem „Władza na roli: Chłopi z Nadwołża, 1917—1922”, obronił w osiemdziesiątym czwartym; od osiemdziesiątego trzeciego do dziewięćdziesiątego czwartego wykładał historię najnowszą na uniwersytecie w Oksfordzie; obecnie mieszka w Nowym Jorku; autor *Oksfordzkiej historii Europy Wschodniej, 1945—1987*, monografii *Zawirowanie: Upadek imperium sowieckiego*, którą wydał w dziewięćdziesiątym trzecim, oraz licznych artykułów...

- W porządku, Netto — powiedział Arseniew, podnosząc dłoń. — Robi się późno. Czy próbowaliśmy go kiedyś zwerbować?

To pytanie zaadresowane było do Suworina.

- Dwukrotnie — odparł major. — Po raz pierwszy oczywiście na uniwersytecie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. Po raz drugi w Moskwie w dziewięćdziesiątym pierwszym, kiedy próbowaliśmy wziąć go na lep demokracji i Nowej Rosji.

- I co?
- Co piszą o tym w raporcie? Powiedzmy, że roześmiał się nam w twarz.

- Czy może być zachodnią wtyczką?

— Mało prawdopodobne. Napisał artykuł do „New Yor-

kera" ... jest w aktach... o tym, jak próbowały go zwerbować Agencja oraz SIS. Dość dowcipny tekst.

Arseniew zmarszczył brwi. Nie pochwalał wywlekania na światło dzienne takich spraw, po obu stronach.

- Żona? Dzieci?
- Ożenił się trzy razy — włączył się ponownie Netto,

101

zerkając na Suworina, który dał mu przyzwalający znak dłonią; major cieszył się, mogąc z powrotem zasiąść na tylnej ławce. — Po raz pierwszy jako student z Katherine Jane Owen. Małżeństwo zostało rozwiązane w siedemdziesiątym dziewiątym. Po raz drugi w osiemdziesiątym pierwszym z Iriną Michaiłowną Pugaczowa.

- Ożenił się z Rosjanką?
 - Z Ukrainką. Prawie na pewno było to małżeństwo fikcyjne. Pugaczowa została wydalona z uniwersytetu za działalność antypaństwową. Tak zaczęły się kontakty pana Kelso z dysydentami. Otrzymała wizę w osiemdziesiątym czwartym.
 - Przez trzy lata blokowaliśmy jej wyjazd do Wielkiej Brytanii?
 - Nie, pułkowniku, to Brytyjczycy przez trzy lata nie chcieli jej wpuścić. Kiedy przyjechała w końcu do Anglii, Kelso był już związany z jedną ze swoich studentek, stypendystką Rhodesa. Małżeństwo z Pugaczowa zostało rozwiązane w osiemdziesiątym piątym. Obecnie jest żoną ortodonty z Glamorgan. Mamy jej akta, ale obawiam się...
 - Nieważne — mruknął Arseniew. — Zaraz utoniemy w tych papierach. A trzecia żona? Istny Romeo! — dodał, mrugając do Suworina.
 - Margaret Madeline Lodge, amerykańska studentka...
 - To ta stypendystka Rhodesa?
 - Nie, to inna stypendystka Rhodesa. Ożenił się z nią w osiemdziesiątym szóstym. Małżeństwo zostało rozwiązane rok temu.
 - Dzieci?
 - Dwaj synowie. Mieszkają z matką w Nowym Jorku.
 - Trudno nie podziwiać tego faceta — stwierdził Arseniew, który mimo swojej tuszy miał kochankę w dziale technicznym. Przyglądał się przez chwilę fotografii, wydymając z podziwem wargi. — Co robi w Moskwie?
 - Rosarchiw zorganizowało konferencję dla zagranicznych naukowców — powiedział Netto.
 - Feliks?
- Major Suworin siedział ze skrzyżowanymi nogami i łok-

102

"1

ciami wspartymi o oparcie sofy; w rozpiętej marynarce, rozluźniony, pewny siebie. W amerykańskim stylu — jego stylu. Zanim się odezwał, zaciągnął się fajką.

- Słowa użyte w rozmowie telefonicznej są naturalnie dwuznaczne. Może z nich wynikać, że Mamantow ma ten notes, a historyk chce go obejrzeć. Albo że sam historyk ma notes. Albo że o nim słyszał i chce o coś zapytać Mamantowa. Bez względu na to, jak ma się sprawa, Mamantow najwyraźniej wie, że telefon jest na podsłuchu. Dlatego skraca rozmowę do minimum. Czy wiemy, kiedy Kelso ma

zamiar opuścić Federację, Wissarij?

- Jutro w porze lunchu — odparł Netto. — Samolot Dety do Nowego Jorku odlatuje z Szeremietiewa Dwa o trzynastej trzydzieści. Bilet jest zarezerwowany i potwierdzony.

- Proponuję, żebyśmy zatrzymali i przeszukali Anglika — powiedział Suworin. — Łącznie z rewizją osobistą... jeśli to okaże się konieczne, trzeba będzie opóźnić odlot... w związku z podejrzeniem, że wywozi przedmioty o wartości historycznej lub kulturalnej. Jeśli zabrał coś z domu przy Wspólnom Pierieułkie, będziemy mu to mogli odebrać. Jednocześnie będziemy nadal obserwować Mamantowa.

Na biurku Arseniewa zabrzączał interkom.

- Jest telefon do Wissarija Pietrowicza — rozległ się głos Serga.

- W porządku, Netto — mruknął Arseniew. — Odbierz w sekretariacie. — Gdy za porucznikiem zamknęły się drzwi, rzucił posępne spojrzenie Suworinowi. — Obrotny mały sukinsyn, nie?

— Jest raczej nieszkodliwy, Jurij. Po prostu się stara.

Arseniew chrząknął, strzyknął sobie dwa razy w gardło z inhalatora i popuścił pasa o jedną dziurkę, pozwalając, by jego brzuch oparł się o biurko. Tusza pułkownika była rodzajem kamuflażu: maskującą bystry umysł pulchną, po-fałdowaną siatką, dzięki której, podczas gdy inni, szczuplejsi, dawno się wykruszyli, Arseniew przetrwał wszystkie zagrożenia — zimną wojnę (był rezydentem KGB w Canberze i Ottawie), *glasnost*, nieudany zamach stanu, rozbicie Ko-

103

mitetu i tak dalej, i tak dalej, schowany przez cały czas pod miękkim pancierzem swego tłuszczu, aż do chwili obecnej, gdy czekał go ostatni skok na taśmę; dotrwanie do oddalonej o rok emerytury, którą miał zamiar spędzić na dacy z kochanką. Reszta świata mogła go wtedy pocałować w dupę. Suworin raczej go lubił.

- W porządku, Feliks. Co o tym myślisz?

- Celem inwigilacji Mamantowa — zaczął ostrożnie major — jest odkrycie, w jaki sposób z funduszy KGB wyciekło pięćset milionów rubli, gdzie Mamantow je ukrył i jak wspiera tymi pieniędzmi antydemokratyczną opozycję. Wiemy już, że finansuje tę faszystowsko-czerwoną szmatę...

- „Aurorę”...

- „Aurorę”. I jeśli teraz się okaże, że wydaje forszę na broń, jestem zainteresowany. Jeśli kupuje bądź też sprzedaje pamiątki po Stalinie... cóż, to jest chore, ale...

- To nie są zwykłe pamiątki, Feliksie. To... ta słynna historia... w sprawie tego notesu prowadzone było dochodzenie. To jedna z „legend Łubianki”.

W pierwszej chwili Suworin miał ochotę się roześmiać. Stary nie mówi chyba serio? Notes Stalina? Ale potem zobaczył wyraz twarzy Arseniewa i szybko obrócił śmiech w kaszel.

- Przepraszam, Juriju Siemionowiczu. Proszę wybaczyć. Jeśli traktujecie to serio, w takim razie ja też oczywiście traktuję to serio.

- Bądź tak dobry, Feliksie, i puść jeszcze raz tę taśmę. Nie mam drygu do tych cholernych urządzeń.

Pułkownik wyciągnął owłosiony tłusty palec wskazujący i pchnął magnetofon w jego stronę. Suworin podniósł się

z sofy i razem wysłuchali nagrania, Arseniew ciężko dysząc i skubiąc się po grubym karku, co robił zawsze, gdy wietrzył kłopoty.

...na temat zeszytu w czarnej ceratowej okładce, który należał do Józefa Stalina...

Wciąż pochylali się nad magnetofonem, kiedy do gabinetu wślizgnął się z powrotem Netto, z twarzą o trzy odcienie bledszą niż zwykle. Miał do przekazania złe wieści. w;

104

Feliks Stiepanowicz, z depczącym mu po piętach Nettem, wracał z ponurą miną do siebie. Wędrówka z zachodniego skrzydła, gdzie mieściły się gabinety kierownictwa, do działu operacyjnego we wschodniej części budynku, trwała długo i w jej trakcie pozdrowiło go z uśmiechem co najmniej kilkanaście osób. W urządzonych w fińskim stylu, wyłożonych drewnem i białymi płytami korytarzach Jaseniewa major był złotym chłopcem, wschodzącą gwiazdą. Mówił po angielsku z amerykańskim akcentem, prenumerował czołowe amerykańskie czasopisma i miał kolekcję współczesnego amerykańskiego jazzu, którego słuchał razem ze swoją żoną, córką jednego z najbardziej liberalnych doradców gospodarczych prezydenta. Nawet ubranie Suworina pochodziło z Ameryki — koszula z zapinanym kołnierzykiem, krawat w paski, sportowa brązowa marynarka — wszystko to kupił w Waszyngtonie, gdzie spędził kilka lat jako rezydent KGB.

Spójrzcie tylko na Feliksa Stiepanowicza, mówiły ich oczy, kiedy przemykali w swoich zimowych paltach, żeby zdążyć na autobus do domu. Pełniący funkcję zastępcy tego starego grubasa Arseniewa, typowany na szefa całego dyrektoriatu w wieku trzydziestu ośmiu lat. I to nie było jakiego dyrektoriatu, ale RT — najbardziej tajnego ze wszystkich! — którego zadaniem było śledzenie operacji zagranicznego wywiadu na rosyjskiej ziemi. Spójrzcie, jak spieszy do swojego gabinetu, żeby trochę jeszcze popracować, podczas gdy my wracamy na noc do domu...

- Dobry wieczór, Feliksie Stiepanowiczu!
- Cześć, Feliksie! Głowa do góry!
- Widzę, że znowu pracujecie do późna w nocy, towarzyszu majorze!

Suworin uśmiechał się półgębkiem, zaaferowany kiwał głową i unosił w geście pozdrowienia fajkę.

Szczegóły, przekazane mu przez Netta, były skąpe, lecz wymowne. Fluke Kelso wyszedł z domu Mamantowa o piętnastej zero siedem. Kilka minut później to miejsce opuścił również Suworin. O piętnastej dwadzieścia dwie zauważono,

105

jak z bloku wychodzi Ludmiła Fiedorowa Mamantowa, udając się w towarzystwie ochroniarza, Wiktora Bubki, na swój codzienny popołudniowy spacer po nabrzeżu Bołotnaja (ze względu na stan zdrowia, ktoś musiał jej towarzyszyć). Ponieważ na posterunku był tylko jeden agent, nikt za nimi nie ruszył.

Nie wrócili do domu.

Krótko po godzinie siedemnastej sąsiad mieszkający pod Mamantowem doniósł, że z góry dobiegają przeciągłe histeryczne krzyki. Wezwano portiera, otwarto — nie bez

pewnych trudności — drzwi mieszkania i znaleziono w nim samą panią Mamantowa, w bieliźnie, zamkniętą w szafie, w której drzwiczkach udało jej się wybić dziurę bosą stopą. W stanie skrajnego stresu zabrano ją do Lecznicy Dyplomatycznej. Miała złamane obie kostki u nóg.

— To awaryjny plan ucieczki — stwierdził Suworin, kiedy dotarli do jego gabinetu. — Przygotowywał go najwyraźniej od dłuższego czasu, przyzwyczajając nas do spacerów żony. Pytanie brzmi: co stanowi tę awaryjną sytuację?

Wcisnął kontakt i pod sufitem zamrugały jarzeniówki. Z okna Suworina nie rozciągał się tak jak z gabinetów kierownictwa widok na jezioro i drzewa, lecz na moskiewską obwodnicę i niskie zatłoczone bloki osiedla mieszkaniowego. Major usiadł na krześle i oparł nogi na parapecie. W szybie zobaczył wchodzącego i zamykającego za sobą drzwi porucznika. Arseniew zmył mu głowę, co naprawdę nie było fair. Jeśli można tu było w ogóle kogokolwiek winić, to Suworina, który kazał Buninowi śledzić Anglika.

- Ilu ludzi mamy w tej chwili w mieszkaniu Mamantowa?
- Dwóch, majorze.
- Podziel ich. Jeden niech jedzie do Lecznicy i pilnuje żony, drugi niech zostanie na miejscu. Bunin musi mieć na oku Anglika. W jakim hotelu się zatrzymał?
- W Ukrainie.
- Racja. Skoro szedł na południe Sadowym Kolcem, wraca prawdopodobnie do siebie. Zadzwoń do Szesnastki,

106

do Gromowa, i powiedz mu, że chcemy mieć wszystkie rozmowy telefoniczne doktora Kelso. Odpowie ci, że nie ma środków. Odeślij go do Arseniewa. Za piętnaście minut chce mieć na swoim biurku zezwolenie.

- Tak jest, majorze. •>
- Dziesiątkę zostaw mnie. ;
- Dziesiątkę, majorze? t "

Departament Dziesiąty obejmował archiwa.

• Zdaniem pułkownika powinny tam być akta na temat tego notesu Stalina. — Legenda Łubianki, też mi coś! — Muszę wymyślić jakiś pretekst, żeby je obejrzeć. Sprawdź ten dom przy Wspólnom Pierieułkie: co tam się mieści? Boże, potrzebujemy więcej ludzi. — Sfrustrowany Suworin walnął pięścią w biurko. — Gdzie jest Kołosow?

- Wyleciał wczoraj do Szwajcarii.
 - Mamy kogoś jeszcze? Co z Barsukowem?
- Barsukow jest w Iwanowie ze swoimi Niemcami.

Suworin jęknął. Ta operacja prowadzona była na słowo honoru i na tym polegał problem. Nie miała nazwy ani budżetu. Formalnie rzecz biorąc, była nielegalna.

Netto pisał szybko w notesie.

- Co mam zrobić z Anglikiem?
- Miej go w dalszym ciągu na oku.
- Nie zgarniać go?
- Za co konkretnie? I gdzie go wsadzimy? Nie mamy aresztu. Nie mamy podstawy prawnej, żeby go aresztować. Jak długo Mamantow jest na wolności?

• Od trzech godzin, majorze. — Netto był bliski łez. — Przykro mi, majorze, nie...

- Nie przejmuj się, Wissi. To nie twoja wina. — Suworin uśmiechnął się do odbicia młodego człowieka w szybie. — Mamantow wywijał podobne numery, kiedy my byliśmy w łonie matki. Znajdziemy go wcześniej czy później — dodał z pewnością, której wcale nie miał. — Teraz możesz odejść. Muszę zatelefonować do żony.

Po wyjściu Netta Suworin wyjął fotografię doktora Kelso z teczki i przypiął ją do tablicy przy biurku. Mając tyle

107

innych rzeczy na głowie — wywiad gospodarczy, biotechnologia, światłowody — tkwił tutaj, zamartwiając się, czy i dlaczego Władimir Mamantow poluje na notes Stalina. To był absurd. Gorzej niż absurd. To było żałosne. W jakim on żyje kraju? Powoli nabił fajkę i zapalił ją. A potem splótł ręce za plecami i stał przez całą minutę, trzymając ją w zębach i mierząc historyka nienawistnym spojrzeniem.

Rozdział 7

Fluke Kelso leżał na plecach na łóżku, paląc papierosa i gapiąc się w sufit swego pokoju na dwudziestym trzecim piętrze hotelu Ukraina. Palce jego lewej ręki obejmowały znajomy owal butelki szkockiej.

Nie zadał sobie trudu, żeby zdjąć płaszcz albo zapalić lampę przy łóżku. Właściwie jej nie potrzebował. Jaskrawe białe światło reflektorów, którymi iluminowano stalinowskogotycki pałac, wpadało do pokoju, wypełniając go niespokojną poświatą. Przez zamknięte okno słyszał daleko na dole mlaskanie opon po mokrym asfalcie.

Dla cudzoziemca w obcym mieście ta pora jest zawsze godziną melancholii — zmrok, kłujące w oczy światła, spadająca temperatura, spieszący do domu urzędnicy, biznesmeni, którzy nadrabiają miną w hotelowych barach.

Pociągnął kolejny łyk szkockiej, a potem sięgnął po popielniczkę, położył ją sobie na piersi i strzepnął popiół z papierosa. Obsługa nie wyczyściła porządnie popielniczki. Do zakurzonego dna wciąż przylegała, niczym małe zielone jajo, grudka flegmy Papu Rapawy.

Ustalenie, że przy Wspólnom Pierieułkie rzeczywiście mieściła się kiedyś afrykańska ambasada (konkretnie Republiki Tunezji), zajęło mu tylko kilka minut — tyle, ile trwała krótka wizyta w hotelowym centrum biznesu, gdzie przejrzał starą moskiewską książkę telefoniczną.

109

I tylko trochę dłużej trwało dotarcie do pozostałych informacji, które uzyskał telefonicznie od attache prasowego ambasady tunezyjskiej, siedząc na skraju twardego i wąskiego łóżka i udając, że interesuje go rozwijający się żywiołowo moskiewski rynek nieruchomości oraz dokładny wygląd tunezyjskiej flagi.

Według attache prasowego, sowiecki rząd zaoferował

Tunezyjczykom dom przy Wspólnom Pierieulkie w roku 1956 na zasadzie odnawialnej co siedem lat krótkoterminowej dzierżawy. W styczniu ambasador został powiadomiony, że po upływie kolejnego terminu dzierżawa nie zostanie przedłużona, i w sierpniu się wyprowadzili. I szczerze mówiąc, drogi panie, zrobili to bez żalu, naprawdę, mając w pamięci ten niefortunny incydent z roku 1993, kiedy robotnicy odkopali dwanaście ludzkich szkieletów, ofiar stalinowskich represji, pochowanych pod chodnikiem przed domem. Nie podano żadnych powodów rozwiązania umowy, ale wszyscy wiedzą, że w śródmieściu Moskwy prywatyzuje się teraz całe hektary należącej do państwa ziemi, sprzedając je zagranicznym inwestorom; ludzie zarabiają na tym kokosy.

A flaga? Flagę Republiki Tunezji, drogi panie, tworzy czerwony półksiężyc i czerwona gwiazda w białym kole na czerwonym tle.

...był tam czerwony półksiężyc i pojedyncza czerwona gwiazda...

Niebieskie kłęby papierosowego dymu rozbijały się o zakurzony tynk sufitu.

Och, jak to wszystko do siebie pięknie pasowało, pomyślał: opowieść Rapawy i opowieść Jepiszewa, fakt, że dom Berii był akurat pusty, świeżo rozkopana ziemia i bar o nazwie Robotnik.

Dopił do końca szkocką, zgasił papierosa i leżał przez jakiś czas na łóżku, po wielokroć obracając w palcach kartonik zapalek.

Wciąż nie wiedząc, co ma zrobić, Kelso zszedł na dół i wymienił na ruble swoje ostatnie czeki podróżnicze. Będzie

110

mu potrzebna gotówka, bez względu na to, co się stanie. Będą mu potrzebne żywe pieniądze. Na kartę kredytową nie bardzo mógł ostatnio liczyć, o czym przekonał się w trakcie niefortunnego incydentu w hotelowym sklepie, próbując kupić na nią butelkę szkockiej.

Wydawało mu się, że zobaczył jakieś znajome twarze — prawdopodobnie uczestników sympozjum — i podniósł rękę, ale oni zdążyli się już odwrócić.

Na ladzie recepcji stała tabliczka informująca, że „gość pragnący zatelefonować za granicę, proszony jest o pozostawienie kaucji w gotówce”. Widząc ją, poczuł kolejne ukłucie nostalgii. Tyle się działo, a on nie miał o tym komu opowiedzieć. Wiedziony nagłym impulsem, wręczył recepcjonistce pięćdziesiąt dolarów i ruszył z powrotem przez zatłoczony hol w stronę wind.

Trzy małżeństwa. Kontemplował swój niezwykły wyczyn w windzie, która wiozła go ku niebu. I trzy rozwody, każdy bardziej gorzki od poprzedniego.

Kate... Kate właściwie prawie się nie liczyła, oboje studiowali, sprawa była przegrana od samego początku. Do czasu gdy wyjechał do Nowego Jorku, przysyłała mu nawet kartki na Boże Narodzenie. Irina... Irina dostała przynajmniej paszport, co, jak podejrzewał, było zawsze głównym powodem całej imprezy. Margaret — biedna Margaret — była w ciąży, gdy się z nią ożenił, i dlatego się z nią ożenił. Zaraz po pierwszym synu urodził się następny i nagle ugrzęźli w czterech ciasnych pokoikach przy Woodstock

Road: nauczyciel historii i studentka historii, którzy, prawdę mówiąc, nie mieli żadnej wspólnej historii. Trwało to dwanaście lat — „tyle samo co Trzecia Rzesza”, wyznał pijany Kelso w rozmowie ze wścibskim redaktorem kroniki towarzyskiej w dniu, gdy wyszło na jaw, że Margaret wniosła pozew o rozwód. Nie zostało mu to nigdy wybaczone.

Mimo to była przecież matką jego dzieci. Maggie. Margaret. Zadzwoń do biednej Margaret.

Sygnał brzmiał dziwnie od momentu, gdy telefonistka połączyła go z centralą międzynarodową. Te rosyjskie tele-

111

fony, pomyślał w pierwszej chwili. Kiedy zaczął dzwonić numer w Nowym Jorku, potrząsnął energicznie słuchawką.

• Halo? — odezwał się znajomy głos, zaskakująco pogodny.

• To ja.
• Aha. — Apatycznie, bez życia. Nawet nie wrogo.
• Przepraszam, że zepsułem ci dzień. — To miał być żart, ale zabrzmiał fatalnie, gorzko, jakby użalał się nad sobą. Spróbował od nowa. — Dzwonię z Moskwy.

- Dlaczego?
- Dlaczego dzwonię, czy dlaczego dzwonię z Moskwy?
- Piłeś?

Zerknął na pustą butelkę. Zapomniał, że potrafi wyczuć zapach alkoholu z odległości pięciu tysięcy kilometrów.

- Jak się czują chłopcy? Mogę z nimi porozmawiać?
- Jest wtorek, jedenasta rano. Gdzie twoim zdaniem są?
- W szkole?

• Brawo, tatusiu.

Roześmiała się mimo woli.

• Słuchaj — powiedział. — Przepraszam.
• Za co konkretnie?
• Za to, że nie przysłałem forsy za ostatni miesiąc.
• Za ostatnie trzy miesiące.
• Był jakiś zator płatniczy w banku.
• Załatw sobie pracę, Fluke.
• Tak jak ty?
• Pierdol się.
• W porządku. Cofam to, co powiedziałem. — Postanowił spróbować jeszcze raz. — Rozmawiałem dziś rano z Adelmanem. Może będzie coś dla mnie miał.
• Ponieważ dłużej tak nie może być, rozumiesz?
• Rozumiem. Słuchaj. Być może na coś tu trafiłem...
• Co ci proponuje Adelman?
• Adelman? Posadę nauczyciela. Ale nie o tym chciałem mówić. Trafiłem tu na pewien trop. W Moskwie. Może się okazać, że to nic specjalnego. Ale to może być duża rzecz.

- Co takiego?

112

Na linii działał się coś zdecydowanie dziwnego. Kelso słyszał, jak wraca do niego jego własny głos, zbyt późno, żeby to było echo. *Ale to może być duża rzecz*, usłyszał sam siebie.

- Nie chcę o tym mówić przez telefon.
- Nie chcesz o tym mówić przez telefon...

Nie chcę o tym mówić przez telefon.

- ...no jasne, nie chcesz. Wiesz dlaczego? Ponieważ to ten sam kit co zawsze...
- Poczekaj, Maggie? Czy słyszysz mnie dwa razy?
- ...a teraz Adelman proponuje ci porządną robotę, ale ty oczywiście jej nie chcesz, ponieważ musiałbyś wtedy wziąć...

Czy słyszysz mnie dwa razy?

— ...odpowiedzialność za to, co robisz.

Kelso odłożył cicho słuchawkę. Przyglądał się jej przez chwilę, przygryzając wargę, a potem położył się z powrotem na łóżku i zapalił kolejnego papierosa.

Stalin, jak wiadomo, miał nie najlepszą opinię na temat kobiet.

Faktycznie uważał, że samo pojęcie „inteligentna kobieta” jest wewnętrznie sprzeczne: określał je mianem „śledzi z ideałmi”. O żonie Lenina, Nadzieździe Krupskiej, powiedział kiedyś do Mołotowa: „Być może używa tej samej ubikacji co Lenin, ale to jeszcze nie oznacza, że wie cokolwiek na temat leninizmu”. Po śmierci Lenina Krupska sądziła, że pozycja wdowy po wielkim człowieku uchroni ją przed represjami, ale Stalin szybko wybił jej to z głowy. „Jeśli się nie przymkniesz, znajdziemy partii nową wdowę po Leninie”, oznajmił jej.

To jednak nie cała historia. I tu dochodzimy do jednej z tych dziwnych rewizji ogólnie przyjętej wiedzy, czasami dodających blasku naszej profesji. Choć według powszechnej opinii Stalin był w dużym stopniu obojętny na sprawy seksu — klasyczny przypadek polityka, który zaspokaja wszystkie swoje zmysłowe apetyty, sprawując władzę — okazuje się, że prawda wygląda zupełnie inaczej. Stalin był kobieciarzem.

Dopiero niedawno poznaliśmy ten rys jego charakteru.

113

Pierwszy był Mołotow, który w 1988 roku nieśmiało oznajmił Czujewowi („Sto sorok biesied z Mołotowym”, Moskwa), że Stalin „zawsze pociągał kobiety”. Chruszczow, którego ostatnie wywiady opublikowano pośmiertnie w roku 1990 („The Glasnost’ Tapes”, Boston) uniósł kurtynę nieco wyżej. A teraz z archiwów dowiadujemy się wielu dalszych interesujących szczegółów.

Co to były za kobiety? Czyimi względami cieszył się przed samobójstwem drugiej żony i po nim? O niektórych wiemy. Na przykład o żonie pierwszego zastępcy ludowego komisarza obrony A. I. Jegorowa, znanej w kręgach partyjnych ze swoich licznych romansów. O żonie innego wojskowego, Gusiewa, z którą Stalin był podobno w łóżku tej nocy, gdy zastrzeliła się Nadzieźda. O Rosie Kaganowicz, z którą, już będąc wdowcem, rozważał przez jakiś czas ożenek. Najbardziej interesującą z nich wszystkich jest jednak Żenia AUilujewa, żona szwagra Stalina, Pawia. Stosunki Żeni ze Stalinem opisane są w pamiętniku, który przechowywała jej szwagierka Maria. Ów pamiętnik został skonfiskowany podczas aresztowania Marii i dopiero niedawno go ujawniono (F45 OI D1).

Wymienione są tu oczywiście wyłącznie kobiety, o których coś wiemy. Inne giną w mrokach historii, jak choćby młoda pokojówka Waleczka Istomina, która weszła w skład osobistego personelu Stalina w 1935 („to, czy była, czy nie była żoną Stalina, nie powinno nikogo obchodzić”, oznajmił Mołotow Czujewowi), albo „piękna młoda kobieta o ciemnej skórze”, którą Chruszczow widział raz na dacy Stalina. „Po-

wiedziano mi później, że była guwernantką jego dzieci", stwierdził, „ale nie zabawiała tam długo. Później zniknęła. Była tam z rekomendacji Berii. Beria wiedział, jak wybierać guwernantki...”.

Później zniknęła...

Ponownie potwierdza się znana prawda: nie było zbyt rozsądnie wiedzieć zbyt wiele o prywatnym życiu towarzysza Stalina. Jegorow, jeden z mężczyzn, któremu przyprawił rogi, został rozstrzelany; innego, Pawła Auiłujewa, otruto. A samą Żenię, jego kochankę iszwagierkę, „różę nowogrodzkich pól”, aresztowano na rozkaz Stalina i spędziła tak wiele lat w poje-

114

dynczej celi, że kiedy ją w końcu po jego śmierci uwolniono, nie mogła mówić — jej struny głosowe uległy atrofii... ^{if,j}

Musiał chyba zasnąć, ponieważ nagle zdał sobie sprawę, że dzwoni telefon.

W pokoju panował półmrok. Zapalił lampę i spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma.

Opuścił nogi z łóżka, wstał, podszedł sztywno do małego biurka przy oknie i po krótkim wahaniu podniósł słuchawkę.

Ale to był tylko Adelman, który chciał wiedzieć, czy zejdzie na kolację.

- Na kolację?
- Mój drogi kolego, to wielki bankiet na zakończenie sympozjum, nie wolno ci nawalić. Olga wyjdzie ze środka tortu.
- Chryste. Czy mam jakiś wybór?
- Niestety nie. Swoją drogą wieść gminna niesie, że tego ranka miałeś kaca o tak epickich rozmiarach, że musiałeś wrócić do hotelu się przespać.
- Och, to miło z twojej strony, Frank. Dziękuję.
- No więc co się dzieje? — zapytał po krótkiej pauzie Adelman. — Znalazłeś swojego człowieka?

- Oczywiście, że nie.
- To wszystko lipa? > r, t\
- Absolutnie. Nic w tym nie ma. , • -> <
- Tyle że... wiesz... nie było cię cały dzień...
- Odwiedziłem starego przyjaciela. *
- Rozumiem — odparł z przekąsem Adelman. — Ten sam stary Fluke co zawsze. Słuchaj, patrzysz, przez okno?

W dole rozpościerał się roziskrzony nocny pejzaż. Neony unosiły się nad miastem niczym chorągwie atakującej armii. Philips, Mariboro, Sony, Mercedes-Benz. Pamiętał czasy, kiedy po zachodzie słońca Moskwa wyglądała jak pierwsza lepsza afrykańska stolica. Te czasy bezpowrotnie minęły.

W zasięgu wzroku nie było ani jednego rosyjskiego słowa.

— Nigdy nie sądziłem, że tego dożyję, a ty? — Adelman parsknął śmiechem. — To zwycięstwo, na które czekaliśmy, przyjacielu. Zdajesz sobie z tego sprawę? Totalne zwycięstwo.

115

Naprawdę, Frank? Mnie to wygląda tylko na mnóstwo kolorowych światełek.

- Och, nie. To coś więcej, wierz mi. Nie cofną się już z tej drogi.
- Chcesz mi powiedzieć, że czeka nas „koniec historii”?
- Może. Ale na pewno nie koniec historyków. Dzięki Bogu — odparł ze śmiechem Adelman. — Dobrze, spotkamy

się w holu, powiedzmy, za dwadzieścia minut — dodał i odłożył słuchawkę.

Do pokoju wpadało jasne światło reflektora umieszczonego po drugiej stronie rzeki, obok Białego Domu. Kelso otworzył najpierw wewnętrzną, a potem zewnętrzną drewnianą ramę okna, wpuszczając do środka strzępy żółtej mgły i odgłosy ulicznego ruchu. Kilka płatków śniegu zatrzepotało w powietrzu i roztopiło się na parapecie.

Koniec historii? Takiego wała, pomyślał. W tym mieście właśnie toczy się historia. Toczy się w całym tym cholernym kraju.

Wystawił głowę na chłodne powietrze i wychylił się, żeby zobaczyć jak najwięcej miasta, którego krańce ginęły w mroku za rzeką.

Skoro co szósty Rosjanin uważał, że Stalin był ich największym przywódcą, oznaczało to dwadzieścia milionów zwolenników. (Ubóstwiany Lenin miał ich oczywiście więcej). Jeśli nawet podzieliło się tę liczbę na pół, żeby dotrzeć do samego rdzenia, wciąż zostawało dziesięć milionów. Dziesięć milionów stalinistów w Federacji Rosyjskiej po czterdziestu latach miażdżącej krytyki tamtego okresu?

Mamantow miał rację. To była zdumiewająca liczba. Chryste, gdyby co szósty Niemiec oświadczył, że uważa Hitlera za największego przywódcę, jakiego kiedykolwiek mieli, „New York Times” błagałby go na kolanach o komentarz i zamieściłby go na pierwszej stronie.

Kelso zamknął okno i zaczął kompletować rzeczy, które, jak sądził, będą mu potrzebne wieczorem: ostatnie dwie paczki bezcłowych papierosów, paszport z wizą (na wypadek gdyby go zgarnęli), zapalniczkę, pękaty portfel, kartonik zapalek z adresem Robotnika. t.,

116

Nie było sensu udawać, że to wszystko go bawi, zwłaszcza po przygodzie w ambasadzie. Gdyby nie Mamantow, być może pozostawiłby sprawy ich biegowi — rozegrałby to na sposób Adelfmana, bezpiecznie; wrócił, by odnaleźć Rapawę, za tydzień albo dwa, być może wyłudziwszy najpierw zaliczkę od jakiegoś życzliwego wydawcy (zakładając, że wciąż jeszcze istnieje taka mityczna postać).

Jeśli jednak Mamantow był na tropie, Kelso nie mógł sobie pozwolić na zwłokę. Do takiego doszedł wniosku. Mamantow dysponował środkami, na które on nie mógł w żadnym wypadku liczyć. Był kolekcjonerem, fanatykiem.

Zaczynała go również dręczyć myśl o tym, co Mamantow zrobi z notesem, jeśli go pierwszy odnajdzie. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej skłaniał się do przekonania, że to, co napisał Stalin, musiało być ważne. Nie mógł to być jakiś zbiór starych zapisków, skoro Beria tak bardzo chciał ukraść ten notes, a potem, podejmując duże ryzyko, nie zniszczył go, lecz ukrył.

Kwiczal jak świnia... wrzeszczał coś o Stalinie i wrzeszczał o jakimś archaniele... ale potem zawiązali mu szarfę na ustach i rozstrzelali...

Kelso rozejrzał się po raz ostatni po pokoju i zgasił światło.

Dopiero kiedy zszedł na dół do restauracji, zdał sobie

sprawę, jak bardzo jest głodny. Od półtora dnia nie miał w ustach porządnego posiłku. Zjadł kapuśniak, marynowaną rybę, następnie jagnięcinę w kremowym serowym sosie, popijając ją gruzińskim czerwonym winem i siarczaną mineralną wodą Narzan. Wino było ciemne i ciężkie i po kilku kieliszkach (oraz wypitej wcześniej whisky) poczuł, że się niebezpiecznie odpręża. Przy czterech długich stołach siedziało ponad stu gości; gwar rozmów, szczerkanie sztućców i brzęk szkła sprawiły, że zachciało mu się spać. Z głośników płynęła ukraińska muzyka ludowa. Zaczął rozcieńczać wino.

Ktoś — jakiś japoński historyk, którego nazwiska nie znał — pochylił się i zapytał, czy to był ulubiony trunek

117

Stalina. Kelso odparł, że nie, Stalin wolał słodsze gruzińskie wina, Kindzmarauli oraz Hwanczkarę. Stalin lubił słodkie wina, syropowate brandy, słodzone ziołowe herbatki, mocny tytoń...

- I filmy z Tarzanem — dodał ktoś.
- I głosy śpiewających psów...

Kelso roześmiał się również. Co innego miał zrobić? Stuknął się kieliszkiem z Japończykiem, pochylił głowę w ukłon i usiadł z powrotem, popijając swoje rozwodnione wino.

- Kto za to wszystko płaci? — zapytał ktoś.
- Pewnie ten sam sponsor, który zapłacił za symposium.
- Kto to jest? >
- Amerykanin?
- Słyszałem, że jakiś Szwajcar...

Rozmowa potoczyła się dalej bez jego udziału. Po mniej więcej godzinie, kiedy wydawało mu się, że nikt nie patrzy, złożył serwetkę i odsunął do tyłu krzesło.

• Znowu? — zapytał Adelman, podnosząc wzrok. — Nie wolno ci się znowu na nich wypiąć.

• Zew natury — stwierdził Kelso i, mijając Adelmana, nachylił się nad nim. — Jaki jest plan na jutro? — zapytał szeptem.

• Autobus odjeżdża na lotnisko po śniadaniu — odparł Adelman. — Odprawa paszportowa na Szeremietiewie jest o jedenastej piętnaście. Mówiłeś, zdaje się, że to wszystko lipa? — mruknął, łapiąc go za ramię.

- Mówiłem. Chcę tylko sprawdzić, jakiego rodzaju lipa. Adelman potrząsnął głową.
- To nie jest historia, Fluke...

• — A to jest? — odparł Kelso, zataczając krąg ręką.

Nagle rozległ się brzęk uderzanego nożem kieliszka i z krzesła uniósł się ciężko Askenow. Obecni zaczęli w dowód uznania uderzać dłońmi w stoły.

- Koledzy... — zaczął Askenow.
- Wolę zaryzykować, Frank. Do zobaczenia.

Kelso wyzwolił się delikatnie z uścisku Adelmana i ruszył ku wyjściu.

118

Szatnia była przy toaletach, obok drzwi do restauracji. Wręczył szatniarce swój numerek i napiwek, odebrał płaszcz i właśnie zaczął go wkładać, gdy nagle w końcu korytarza, który prowadził do recepcji, zauważył mężczyznę. Facet nie patrzył w jego stronę. Chodząc w tę i z powrotem, rozmawiał przez komórkę. Gdyby Kelso zobaczył jego twarz z przodu,

zapewne wcale by go nie rozpoznał i wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale z profilu nie sposób było nie dostrzec biegnącej z boku twarzy blizny. To był jeden z ludzi, którzy siedzieli w samochodzie zaparkowanym przed domem Mamantowa.

Zza zamkniętych drzwi słychać było śmiechy i brawa. Nie spuszczać ani na moment z oka mężczyzny, Kelso cofnął się ku nim i gdy tylko poczuł pod dłonią klamkę, nacisnął ją i szybko wszedł z powrotem do restauracji.

Askenow wciąż stał i przemawiał. Na widok Anglika przerwał w pół zdania.

- Doktor Kelso — oświadczył — nie znosi chyba dźwięku mojego głosu.

- On ma awersję do każdego głosu, z wyjątkiem własnego — zawołał Saunders.

Wybuchły kolejne śmiechy. Kelso ruszył dalej.

Za wahadłowymi drzwiami kuchni zaczynało się pandemonium. W twarz uderzyły go kłęby pary, hałas, gorący smród kapusty i gotowanej ryby. Ubrany w poplamiony smoking facet z czerwoną twarzą wrzeszczał na kelnerów, którzy stali w kolejce / . tacami filiżanek i dzbanków z kawą. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na Anglika, który przeszedł szybko prze/, całe pomieszczenie aż do miejsca, gdzie kobieta w zielonym fartuchu rozładowywała z wózka brudne naczynia.

— Którędy do wyjścia? — zapytał ją.

— Tam — odparła, wskazując podbródkiem. — Tam.

Drzwi były uchylone, żeby wpuścić do środka trochę chłodnego powietrza. Kelso zbiegł po ciemku po betonowych stopniach, wyszedł na zewnątrz i stąpając po śniegowej brei, przeciął małe podwórko zastawione popękkanymi plastikowymi workami i przepelnionymi pojemnikami na śmieci.

119

Jakiś szczur przebiegł mu drogę, szukając bezpiecznego schronienia w ciemności. Minutę trwało, nim odszukał wyjście i znalazł się na dużym dziedzińcu na tyłach hotelu. Z trzech stron otaczały go ciemne mury nakrapiane jasnymi prostokątami okien. Niskie chmury nad głową wydawały się kipieć szarą zólcą w miejscu, gdzie przecinał je snop reflektora.

Kelso wyszedł z bocznej uliczki na Kutuzowski Prospekt i brnąc przez mokry śnieg, próbował znaleźć taksówkę. Kierowca brudnej nie oznakowanej wołgi, która podjechała do krawężnika, przecinając dwa pasma ruchu, starał się go namówić, żeby wsiadł, lecz on odprawił go skinieniem ręki i szedł dalej aż do postoju taksówek przed hotelem. Nie miał ochoty się targować. Wsiadł do pierwszej, stojącej w rzędzie żółtej taksówki i kazał kierowcy szybko ruszać.

Rozdział 8

*, '• i "(fi

1 v',*!

Na stadionie Dynamo trwał właśnie ważny mecz — Rosja grała z jakąś zagraniczną drużyną, wynik był dwa do dwóch w dogrywce. Taksówkarz słuchał transmisji radiowej i kiedy

podjechali blisko stadionu, owacje z taniego plastikowego głośnika zwały się z rykiem dobywającym się z gardeł oddalonych zaledwie o dwieście metrów osiemdziesięciu tysięcy moskwian. Tumany śniegu unosiły się niczym żagle w świetle reflektorów nad trybunami.

Musieli pojechać dalej Leninowskim Prospektem, a potem zakręcić i wrócić do stadionu Młodych Pionierów. Taksówka, stare, cuchnące kwaśnym potem żiguli, skręciła w prawo, minęła żelazną bramę i podskakując na wertepach wjechała na boisko. Obok trybun parkowało na śniegu kilka samochodów, przed żelaznymi drzwiami z zamontowanym pośrodku wizjerem stała kolejka ludzi, w większości dziewcząt. Nad wejściem widniał napis „Robotnik”.

Kelso zapłacił taksówkarzowi sto rubli — absurdalną sumę, na którą zgodził się bez targów na samym początku — i patrzył z niepokojem, jak czerwone światełka samochodu oddalają się, podrygując na nierównym gruncie, a potem skręcają i znikają z pola widzenia.

Z rozświetlonego nieba nad drzewami buchnęła nagle

121

potężna fala hałasu i przetoczyła się po przysypanym białą boisku.

- Trzy do dwóch — oświadczył mężczyzna z australijskim akcentem, po czym wyciągnął z ucha małą czarną słuchawkę i schował ją do kieszeni. — Już po meczu.

- O której otwierają? — zapytał Kelso najbliższą stojącą dziewczynę.

Odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem. Była olśniewająco piękna: duże ciemne oczy i szerokie kości policzkowe. Musiała mieć koło dwudziestu lat. Śnieg przyprószył jej czarne włosy.

— O dziesiątej — odparła i wsunęła mu rękę pod ramię, przyciskając pierś do jego łokcia. — Możesz mnie poczęstować papierosem?

Dał jej papierosa, sam wziął drugiego i ich głowy musnęły się, gdy pochylili się nad płomykiem zapalniczki. Razem z dymem wciągnął do płuc zapach jej perfum. Wyprostowali się.

— Zaraz wracam — powiedział, uśmiechając się, i odsunął się. Dziewczyna odwzajemniła uśmiech i pomachała do niego papierosem.

Kelso ruszył skrajem boiska, pałac i przyglądając się dziewczętom. Czy wszystkie uprawiały płatną miłość? Nie wyglądały na dziwki. Kim w takim razie były? Mężczyźni byli na ogół cudzoziemcami. Rosjanie sprawiali wrażenie milionerów. Samochody były duże i niemieckie, z wyjątkiem jednego bentleya i jednego rollsa. Widział siedzących w nich z tyłu mężczyzn. W bentleyu ogień wielkości żarzącego się węgla rozjaśniał się i przygasał, gdy ktoś zaciągał się olbrzymim cygarem.

Pięć po dziesiątej drzwi się otworzyły — żółte światło, sylwetki dziewcząt, jasne obłoki perfumowanych oddechów. Z samochodów wysiadły poważne pieniądze. O tym, jak były poważne, świadczyła nie tylko waga pelis i biżuterii, lecz sposób, w jaki ich posiadacze ruszyli na początek kolejki, oraz liczba ochroniarzy, których pozostawili kręcących się przy wejściu. Na terenie lokalu uzbrojeni mogli być tylko szefowie, co Kelso uznał za krzepiące. Przeszedł przez bram-

kę wykrywacza metalu, a potem drab ze specjalnym przyrządem sprawdził, czy nie ma w kieszeniach materiałów wybuchowych. Opłata za wstęp wynosiła trzysta rubli — pięćdziesiąt dolarów, przeciętne tygodniowe wynagrodzenie, płatne w dowolnej walucie — w zamian dostał ultrafioletową pieczętkę na przegubie i kupon na jednego darmowego drinka.

Spiralne schodki prowadziły na dół, w mrok, dym i promienie lasera, ku ścianie muzyki techno nastawionej tak głośno, że wpadał od niej w wibracje żołądek. Kilka dziewczyn tańczyło apatycznie ze sobą, mężczyźni stali, gapiąc się i popijając. Pomyślał, że pojawi się tutaj skrzywiona gęba Papu Rapawy, był po prostu niedorzeczny i Kelso obróciłby się od razu na pięcie i wyszedł, ale miał ochotę na kolejnego drinka, no i żał mu było pięćdziesięciu dolarów. Wręczył kupon barmanowi i dostał butelkę piwa. Po chwili, tak jakby coś sobie przypomniał, nachylił się i dał mu znak, żeby zrobił to samo.

— Rapawa — zawołał. Barman zmarszczył brwi i przystawił dłoń do ucha. Kelso nachylił się jeszcze bardziej. — Rapawa! — krzyknął.

Barman pokiwał powoli głową. > , : iśr '> . •; v

• Znam — powiedział po angielsku. > .; ?..»;. . .);,A

• Zna pan?

Młody człowiek jeszcze raz kiwnął głową. Miał rzadką jasną bródkę i złoty kolczyk w uchu. Kiedy odwrócił się do kolejnego gościa, Kelso wyjął portfel i położył na barze sto rubli. Młodzieniec ponownie się nim zainteresował.

— Szukam Rapawy — krzyknął Kelso.

Pieniądze zostały starannie złożone i wsunięte do kieszonki na piersi.

• Później — oznajmił barman. — Okej? Powiem panu.

• Kiedy?

Ale młody człowiek wyszczerzył tylko zęby i przeszedł dalej.

— Przekupuje pan barmanów? — odezwał się ktoś z boku. — To sprytne. Nigdy o tym nie pomyślałem. Żeby

obsłużyli pana w pierwszej kolejności? Chce pan zaimponować paniom? Witam, doktorze Kelso. Pamięta mnie pan? W półmroku przystojną twarz pokrywały kolorowe cętki świateł i Kelso przez kilka sekund zastanawiał się, z kim ma do czynienia.

— Pan O'Brian.

Telewizyjny reporter. Cudownie. Tego właśnie potrzebował.

Uścisnęli sobie ręce. Dłoń młodego człowieka była wilgotna i mięsista. Miał na sobie uniform, który wkładał po godzinach pracy — wyprasowane niebieskie dzinsy, biały T-shirt i skórzaną marynarkę. Kelso dostrzegł szerokie ramiona, nabita klatkę i lśniące włosy nasmarowane jakimś pachnącym żelem.

— Nowa Rosja — zawołał O'Brian, wskazując butelką parkiet. — Kupujesz wszystko, na co masz ochotę. Ktoś zawsze będzie miał to na sprzedaż. Gdzie pan mieszka?

— W Ukrainie.

O'Brian wyduł wargi.

— Niech pan zachowa łapówkę na później, oto moja rada. Będzie pan jej potrzebował. W starej Ukrainie nie wpuszczają na górę panienek. A te ich łóżka... Chłopie...

Reporter potrząsnął głową i dopił do końca piwo. Kelso uśmiechnął się i też pociągnął łyk.

- Ma pan jakieś inne rady? — zawołał.
- Mnóstwo, skoro pan pyta. — O'Brian dał mu znak, żeby się nachylił. — Dobre panienci zażądadają sześciuset. Niech pan im zaproponuje dwieście. Zgodzi się na trzysta. Mówimy tutaj o stawkach za całą noc, więc niech pan zachowa trochę forsy na później. W charakterze zachęty. I niech pan uważa na naprawdę superlaski, bo mogą być zamówione przez kogoś innego. Jeśli facet jest Rosjaninem, niech pan da sobie spokój. Tak będzie bezpieczniej i ma pan do wyboru mnóstwo innych... nie mówimy przecież o partnerce na całe życie. Aha, i niech pan nie próbuje potrójnych układów. Z zasady. To są porządne dziewczęta.

- Nie wątpię.

.>.

j

124

O'Brian zerknął na niego.

- Pan nic nie kapuje, prawda, profesorze? To nie jest burdel. Anna... — objął ramieniem w talii stojącą obok niego blondynkę i użył butelki po piwie w charakterze mikrofonu. — Anno, powiedz panu profesorowi, jak zarabiasz na życie.

- Wynajmuję nieruchomości skandynawskim biznesmenom — odparła poważnie Anna do butelki.

O'Brian dotknął wargami jej policzka, polizał po uchu i cofnął rękę.

- Galina, tam dalej... ta chuda dziewczyna w niebieskiej sukience... pracuje na moskiewskiej giełdzie. Kto jeszcze? Do diabła, wszystkie wyglądają tak samo, kiedy człowiek spędzi tu trochę czasu. Natalia, ta, z którą rozmawiał pan na dworze... tak, tak, profesorze, obserwowałem cię, ty szczywany stary lisie. Anno, kochanie, gdzie pracuje Natalia?

- W Comstarze, R. J. — odpowiedziała Anna. — Natalia pracuje w Comstarze, nie pamiętasz?

- Oczywiście, oczywiście. Jak się nazywała ta fajna mała z Uniwersytetu Moskiewskiego? Ta psycholog, znasz ją...

- Alissa.

- Zgadza się, Alissa. Jest tu dzisiaj? ' > i ; i

- Zastrzelili ją, R. J. ^ ?

- Rany! Zastrzelili ją? Naprawdę? '

- Dlaczego obserwował mnie pan na dworze? — zapytał Kelso.

- Na tym chyba polega cały biznes. Chce się zarabiać pieniądze, trzeba ryzykować. Trzysta za noc. Powiedzmy trzy noce w tygodniu. Dziewięćset dolarów. Z tego odejmujemy trzysta na ochronę. Wciąż zostaje na czysto sześćset. Dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie... całkiem nieźle. Ile to jest? Siedmiokrotność przeciętnych rocznych dochodów? Bez podatku. Trzeba płacić za to cenę. Trzeba ryzykować. Tak jak ryzykuje się, pracując przy szybie naftowym. Pozwoli pan, że postawię mu piwo? Dlaczego miałbym pana nie obserwować? Jestem przecież, do cholery, reporterem. Każdy

tutaj obserwuje innych. Dzisiejsi goście warci są przynajmniej pół miliarda dolarów. Mówię tylko o Rosjanach.

- Mafia?
- Nie, po prostu biznesmeni. Tak samo jak wszędzie indziej.

Parkiet był teraz zatłoczony, muzyka głośniejsza, dym gęstszy. Włączono nowego rodzaju światła — wszystko, co było białe, stawało się w nich oślepiająco jasne. Zęby, oczy, paznokcie i banknoty świeciły w półmroku niczym noże. Kelso był zdezorientowany i trochę pijany. Nie tak pijany jednak, pomyślał, jak udawał, że jest pijany, O'Brian. W dziennikarzu było coś, od czego przechodziły go ciarki. Ile mógł mieć lat? Trzydzieści? Młody człowiek, któremu się spieszy, jeśli kiedykolwiek takiego widział.

- O której godzinie zamykają? — zapytał Annę.

Podniosła w górę pięć palców.

- Chce pan zatańczyć, panie profesorze?
- Później — odparł Kelso. — Może później.
- To Republika Weimarska — stwierdził O'Brian, wracając z dwiema butelkami piwa i puszką diet coke dla Anny. — Czy nie tak pan właśnie napisał? Niech pan spojrzy. Chryste. Brakuje tylko Marleny Dietrich w smokingu i można by pomyśleć, że jesteśmy w Berlinie. Swoją drogą, podobna mi się pańska książka, profesorze. Czy już to mówiłem?

- Mówił pan. Dziękuję. Zdrowie.
- Zdrowie. — O'Brian podniósł butelkę, pociągnął łyk, a potem nachylił się Anglikowi do ucha. — Republika Weimarska, tak to widzę. Zupełnie tak jak pan. Sześć analogii, prawda? Po pierwsze: mamy duży kraj, dumny kraj, który stracił imperialną pozycję, naprawdę przegrał wojnę, ale nie rozumie dlaczego... uważa, że to musiał być cios w plecy, i stąd bierze się mnóstwo resentymentów, prawda? Po drugie: demokracja w państwie, które nie ma demokratycznych tradycji... szczerze mówiąc, Rosja nie odróżnia demokracji od pierdolonej dziury w ziemi, ludzie nie lubią jej, mają po dziurki w nosie kłótni, chcą twardej linii, jakiegokolwiek linii. Po trzecie: kłopoty graniczne. Wielu ich rodaków znalazło się nagle w innych państwach i skarżą się

126

na prześladowania. Po czwarte: antysemityzm. Na litość boską, na rogu ulicy można kupić kasety z marszami SS. To nam zostawia dwa punkty.

- Zgadza się. — Deprymujące było wysłuchiwanie własnych poglądów, tak beznadziejnie strywializowanych; zupełnie jak na zajęciach w Oksfordzie...

- Ekonomiczna katastrofa, która powinna nadejść, nie sądzi pan?

- I co jeszcze?

- Czy to nie oczywiste? Hitler. Nie znaleźli jeszcze swojego Hitlera. Ale kiedy to się stanie, wtedy świat powinien mieć się na baczności.

O'Brian przyłożył sobie lewy palec wskazujący do nosa i podniósł prawą rękę w nazistowskim salucie. Stojący po drugiej stronie baru rosyjscy biznesmeni roześmieli się i zaczęli bić brawo.

Po tej rozmowie wieczór rozkręcił się. Kelso tańczył z Anną, O'Brian tańczył z Natalią, zamówili kolejne drinki — Amerykanin pozostał wierny piwu, podczas gdy Kelso próbował koktajli: B-52 i kamikaze — potem zamienili się dziewczętami i znowu tańczyli, aż zrobiło się dobrze po północy. Natalia była w obcisłej czerwonej sukience, śliskiej jak plastik, ale jej ciało pod spodem mimo gorąca wydawało się chłodne i twarde. Coś wzięła. Jej oczy były szeroko otwarte i lekko zamglone. Zapytała, czy chce z nią gdzieś pójść — bardzo go polubiła, szepnęła, i może to zrobić za pięćset — ale on dał jej pięćdziesiąt, za samą przyjemność tańca, i wrócił do baru.

Ogarnęło go przygnębienie. Nie bardzo wiedział dlaczego. W powietrzu czuć było desperację, to było to; czuć ją było tak samo wyraźnie jak perfumy i pot. Desperację, żeby coś kupić. Desperację, żeby coś sprzedać. Desperację w udawaniu świetnej zabawy. Dziewczyna o twardych rysach i długich blond włosach ciągnęła za krawat młodego człowieka w garniturze, tak upitego, że ledwie trzymał się na nogach. Kelso postanowił, że wypali papierosa przy barze i wyjdzie — nie,

po namyśle, może sobie właściwie darować papierosa; Ra-
dział go z powrotem do paczki. , -!•

- Rapawa — zawołał barman.

Kelso przystawił dłoń do ucha.

- Co?
- To ona. Jest tutaj.
- Co?

Kelso spojrział tam, gdzie wskazywał barman, i od razu ją zobaczył. Jego wzrok prześliznął się po niej, pobiegł dalej, a potem wrócił. Była starsza od innych: przycięte krótko czarne włosy, czarne jak sińce cienie pod oczyma, czarna szminka, martwa biała twarz, jednocześnie szeroka i pociągła, z kośćmi policzkowymi wystającymi niczym w trupiej czaszce. Azjatyckie rysy. Megrelskie.

Papu Rapawa; zwolniony z obozu w 1969. Ożenił się, powiedzmy, w 1970 albo 1971 roku. Syn urodził się dość dawno, żeby walczyć w Afganistanie. A córka?

Moja córka jest kurwą...

— Dobranoc, profesorze...

O'Brian minął go, mrugając przez ramię, prowadząc pod jedną rękę Natalię, pod drugą Annę. Resztę jego słów zagłuszył hałas. Natalia odwróciła się, zachichotała i posłała Anglikowi całusa. Kelso uśmiechnął się lekko, pomachał do niej, odstawił kieliszek i ruszył wzdłuż baru.

Czarna koktajlowa sukienka — ze lśniącego materiału, długa do kolan, bez rękawów — odsłonięta biała szyja i ramiona (nie miała nawet zegarka), czarne pończochy, czarne pantofle. I coś wokół niej... coś, co było niezupełnie w porządku, jakieś zakłócenie w przestrzeni, tak że nawet siedząc w zatłoczonym barze, była samotna. Nikt z nią nie rozmawiał. Piła wodę mineralną prosto z butelki, patrząc przed siebie i kiedy powiedział „cześć”, obróciła się do niego bez zainteresowania. Zapytał, czy chce się czegoś napić. „,

Nie.

Więc może zatańczyć?

Zmierzyła go wzrokiem, przez chwilę się namyślała i wrzfe

szyla ramionami.

Dobrze.

. -r\-.i.i.

! t*

sit:kq:

128

Dopiła wodę, postawiła na barze butelkę, precyzyjnie się na parkiet, po czym odwróciła się i zaczekała na niego.

Kelso ruszył w ślad za nią.

Nie mizdrzyła się zbyt i nawet ją za to polubił. Taniec był wyłącznie grzecznym preludium do interesu, niczym wymiana zdań między klientem i maklerem, którzy przez dziesięć sekund pytają się, jak zdrowie. Przez mniej więcej minutę poruszała się leniwie na skraju parkietu, po czym przysunęła się bliżej.

— Czteryście?

Ani śladu perfum, wyłącznie słaby zapach mydła.

• Dwieście — odparł Kelso.

• Dobrze.

Nie oglądając się, zeszła od razu z parkietu i Kelso był tak zaskoczony jej niechęcią do targów, że przez chwilę został sam. A potem ruszył za nią na górę po spiralnych schodach. W czarnej obcisłej sukience jej biodra wydawały się pełne, talia szeroka i przyszło mu do głowy, że nie zostało jej dużo czasu w tej branży i że błędem było prowokowanie porównań z kobietami osiem, dziesięć, być może nawet dwanaście lat młodszymi.

W milczeniu odebrali swoje płaszcze. Jej był tani, cienki, zbyt krótki na tę porę roku.

Wyszli na zewnątrz i ona wzięła go pod rękę. Wtedy właśnie ją pocałował. Trochę się wstawił, a sytuacja była tak nierealna, że przez chwilę wydawało mu się, że może połączyć przyjemne z pożytecznym. Był poza tym ciekaw, musiał to przyznać. Zareagowała natychmiast, z większą pasją, niż się spodziewał. Rozchyliła wargi i jej język dotknął jego zębów. Pachniała nieoczekiwanie czymś słodkim i pamiętał, że pomyślał, iż może jej szminka nasycona jest lukrecją; czy to możliwe?

Odsunęła się od niego.

• Jak masz na imię? — zapytał.

• Jakie imię lubisz?

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Miał szczęście: trafił na pierwszą postmodernistyczną dziwkę w Moskwie. Widząc, że się uśmiecha, zmarszczyła brwi.

• Jak ma na imię twoja żona?

f *

• Nie mam żony.

• Dziewczyna?

• Dziewczyny też nie mam.

Zadrżała z zimna i wsunęła ręce głębiej w kieszenie płaszcza. Śnieg przestał padać i teraz, kiedy zamknęły się za nimi metalowe drzwi, noc wydawała się cicha.

• W jakim hotelu mieszkasz? — zapytała.

• W Ukrainie.

Przewróciła oczyma.

— Słuchaj — zaczął. Nie znał jej imienia i to utrudniało rozmowę. — Słuchaj, nie chcę się z tobą przespać. A właściwie — poprawił się — chętnie bym to zrobił, ale nie o to mi chodzi.

Czy wyraził się jasno?

• Aha — mruknęła i posłała mu chytre spojrzenie; po

raz pierwszy spojrzenie rasowej dziwki. — Cokolwiek to jest, cena wynosi dwieście.

- Masz samochód?
- Tak. Dlaczego? — dodała po chwili.
- Chodzi o to — oznajmił, krzywiąc się, gdyż musiał skłamać — że jestem przyjacielem twojego ojca. Chcę, żebyś mnie do niego zawiozła.

To był dla niej wstrząs. Zatoczyła się do tyłu i nerwowo zaśmiała.

— Nie możesz znać mojego ojca.

— Rapawa. Nazywa się Papu Rapawa.

a

§

4

Patrzyła na niego przez chwilę z otwartymi ustami i nagle uderzyła go w twarz — mocno, trafiając otwartą dłoń w kość policzkową — po czym odeszła szybkim krokiem, lekko się potykając; na wysokich obcasach trudno było stąpać po zamrażniętym śniegu. Pozwolił jej się oddalić i otarł usta palcami. Zostało na nich coś czarnego. Zdał sobie sprawę, że to nie krew, lecz szminka. Swoją drogą, nieźle mu przysunęła: bolał go policzek. Drzwi za jego plecami otworzyły się. Czuł, że jest obserwowany, słyszał szmer dezaprobaty. Zgadywał, co myślą: bogaty facet z Zachodu zabrał uczciwą rosyjską dziewczynę na dwór, próbo-

130

wał renegocjować warunki albo zaproponował coś tak obrzydliwego, że mogła tylko odwrócić się i uciec. Sukinsyn. Dziewczyna skręciła na pokryte dziewiczym śniegiem boisko i stanęła w miejscu, gdzieś w okolicy środkowej linii, wpatrując się w ciemne niebo. Kelso ruszył śladem jej drobnych stóp, zatrzymał się w odległości kilku metrów i czekał.

— Nie wiem, kim jesteś — powiedział po chwili. — I nie chcę tego wiedzieć. Nie powiem twojemu ojcu, jak go znalazłem. Nie powiem nikomu. Daję ci słowo. Chcę tylko, żebyś zawiozła mnie tam, gdzie mieszka. Zawieź mnie, tam gdzie mieszka, to dam ci dwieście dolarów.

Nie odwróciła się. Nie widział jej twarzy.

— Czteryście — powiedziała.

Rozdział 9

Feliks Suworin, ubrany w granatowe palto Crombiego, zakupione u Saksa przy Fifth Avenue, przyjechał na Łubiankę rządową wołgą, kilka minut po ósmej tego wieczoru.

Jego przybycie poprzedziła rozmowa telefoniczna, którą Jurij Arseniew odbył ze swoim starym przyjacielem Nikołajem Oborinem — kumplem od polowań i kielicha, a obecnie szefem Dziesiątego Dyrektoriatu, względnie Specjalnego Biura Federalnych Zasobów Archiwalnych, czy jak jeszcze Wiewiórki postanowiły się nazwać w tym konkretnym tygodniu.

— Słuchaj, Niki, jest tu ze mną w gabinecie młody człowiek, nazywa się Suworin, i mamy na tapecie pewną sprawę... Tak, to on. Słuchaj, Niki, mogę powiedzieć tylko tyle: pewien zachodni dyplomata, wysoko postawiony, zamie-

szany jest w nielegalną działalność, przemyt... nie, tym razem to nie ikony, zaczekaj... chodzi o pewne dokumenty i pomyśleliśmy, że zastawimy na niego pułapkę... Owszem, zgadza się, wyjęliście mi to z ust, towarzyszu... coś dużego, coś przed czym nie sposób się oprzeć... Tak, to niezły pomysł, ale co powiesz na coś innego? Pamiętasz ten zeszyt, o którym opowiadali starzy enkawudziści? Co mam na myśli?... Zgadza się, „Testament Stalina”... No więc właśnie dlatego dzwonię. Mamy pewien problem. Suworin spotyka się z nim

132

jutro... Dziś wieczorem? Oczywiście, że może do was wpaść dziś wieczorem, Niki, jestem tego pewien... patrzę teraz na niego i kiwa głową... dziś w nocy mu pasuje.

Suworin nie musiał nawet powtarzać tej bajeczki, nie mówiąc o jej dopracowaniu. Wylegitymował się i zadzwonił zgodnie z instrukcją do faceta o nazwisku Błok, który miał na niego czekać. Przez kilka minut stał pośrodku pustego marmurowego holu Łubianki, obserwowany przez milczących, obojętnych strażników, przyglądając się wielkiemu białemu popiersiu Andropowa. W końcu rozległy się kroki. Błok — pochylony, przykurzony facet w nieokreślonym wieku, z pękiem kluczy przy pasie — zaprowadził go w głąb gmachu, potem na zewnątrz i przez ciemny mokry dziedziniec do budynku, który wyglądał jak mała forteca. Schodami na drugie piętro: niewielki pokój, biurko, krzesło, drewniana podłoga, zakratowane okna.

- He pan chce zobaczyć? v
- Wszystko. ;
- Sam pan tego chciał — odparł Błok i wyszedł.

Suworin zawsze wolał wybiegać myślą naprzód, niż żyć przeszłością; to było coś, co tak podziwiał u Amerykanów. Jaki inny wybór miał współczesny Rosjanin? Paraliż! Koniec historii wydawał mu się świetnym pomysłem. Jeśli chodziło o Feliksa Suworina, historia mogła się skończyć choćby zaraz.

A jednak nawet on nie mógł w tym miejscu uciec przed upiorami przeszłości. Po minucie wstał i zaczął krążyć po pokoju. Wyciągając szyję, wyjrzał przez wysokie okno i zobaczył za nim wąski pasek nocnego nieba, a niżej małe okienka na poziomie chodnika. Tam właśnie znajdowały się stare cele Łubianki. Pomyślał o uwięzionym gdzieś na dole Izaakowi Bablu, torturowanym tak, że obciążył swoich przyjaciół, a potem gorączkowo wszystko odwoływał, o Bucharinie i jego ostatnim liście do Stalina („*Żywię do was, do partii i do całej sprawy wyłącznie wielką bezgraniczną miłość: ściskam was w moich myślach, żegnajcie na zawsze...*”) i o Zinowiewie, który do końca nie wierzył, że go stracą, i którego

133

strażnik włókł na rozstrzelanie („*Proszę, towarzyszu, na litość boską, zadzwonić do Józefa Wissarionowicza...*”).

Wyciągnął komórkę i wystukał numer żony.

— Cześć, nigdy nie zgadniesz, gdzie jestem... Kto to może wiedzieć? — Słyszając jej głos, natychmiast poczuł się lepiej. — Przykro mi z powodu dzisiejszego wieczoru. Ucałuj dzieci w moim imieniu. I jeden całus dla ciebie, Serafimo Suworino...

Tajna policja była poza zasięgiem czasu i historii, zmienna

niczym proteusz. To stanowiło jej sekret. Czeka przeobraziła się w GPU, potem w OGPU, potem w NKWD, potem w NKGB, potem w MGB, potem w MWD i w końcu w KGB — najwyższe stadium ewolucji. Następnie zaś, słuchajcie, słuchajcie, potężne KGB w wyniku nieudanego puczu zostało zmuszone do podziału na dwa zupełnie nowe skróty: SWR — szpiegów — przeniesiono do Jaseniewa, podczas gdy FSB — kontrwywiad — pozostał tu, na Łubiance, na starych śmieciach.

W najwyższych kręgach Kremla panował pogląd, że przynajmniej FSB nie jest niczym innym niż ostatnim w długiej tradycji zmienianych inicjałów — że według nieśmiertelnych słów samego Borysa Nikołajewicza, które Arseniew usłyszał w parowej łaźni na prezydenckiej daczce, „te skurwysyny z Łubianki są tymi samymi skurwysynami co zawsze”. I dlatego, kiedy prezydent postanowił, że trzeba wziąć pod obserwację Mamantowa, zadania nie można było powierzyć FSB, musiało je wykonać SWR — nie bacząc na to, że nie dysponowało odpowiednimi środkami.

Suworin miał czterech ludzi na mieście. Zadzwoił do Wissarija Netta. Sytuacja nie zmieniła się: główny cel — numer 1 — nie wrócił do domu, żona — numer 2 — znajdowała się pod działaniem środków uspokajających, historyk — numer 3 — przebywał w hotelu i jadł aktualnie kolację.

— Niektórzy to mają szczęście — mruknął Suworin. Coś zaszurgotało na korytarzu. — Informuj mnie na bieżąco — dodał stanowczym tonem i rozłączył się. Jego zdaniem zabrzmiało to dokładnie tak, jak powinno.

134

Spodziewał się jednej teczki, może dwóch. Zamiast tego Błok otworzył drzwi i wtoczył do środka stalowy wózek zavalony aktami. Było ich dwadzieścia lub trzydzieści — niektóre tak stare, że kiedy Błok stracił panowanie nad ciężkim wózkiem i rąbnął nim w ścianę, uniósł się z nich w ramach protestu obłok kurzu.

- Sam pan tego chciał — powtórzył.
- To wszystko?
- Razem sześćdziesiąt jeden teczek. Chce pan resztę?
- Oczywiście. -y> ; .

Nie był w stanie wszystkiego przeczytać. Zająłoby mu to cały miesiąc. Rozwiązywał po prostu wstążkę przy każdej teczce, przerzucał podarte, kruche kartki, żeby sprawdzić, czy nie zawierają czegoś ciekawego, a potem zawiązywał wstążkę z powrotem. To była brudna robota. Po kilkunastu minutach miał czarne ręce. Spory zaatakowały słuzówkę w jego nosie i rozboleła go głowa.

Ściśle tajne

28 czerwca 1953

Do Komitetu Centralnego, do towarzysza Malenkowa
Załączam niniejszym protokół przesłuchania więźnia
A. N. Poskricbyszewa, byłego asystenta J. W. Stalina,
dotyczący jego antysowieckiej działalności szpiegow-
skiej.

Śledztwo jest w toku.

Wiceminister bezpieczeństwa państwowego ZSRR, ,

A. A. Jepiszew

Od tego się wszystko zaczęło — od kilku kartek z przesłuchania Poskriebyszewa, podkreślonych na czerwono prawie przed półwieczem czyjąś przejętą ręką.

Śledczy: Opiszcie zachowanie sekretarza generalnego w ciągu czterech lat, od 1949 do 1953.

Poskriebyszew: Sekretarz generalny był coraz bardziej

135

zamknięty w sobie i tajemniczy. Po 1951 ani razu nie opuścił okręgu moskiewskiego. Bardzo podupadł na zdrowiu, zwłaszcza, jak mi się wydaje, po swoich siedemdziesiątych urodzinach. Kilka razy byłem świadkiem zaburzeń, prowadzących do utraty przytomności, którą jednak szybko odzyskiwał. „Pozwólcie mi wezwać lekarzy, towarzyszu Stalinie. Potrzebujecie doktora”, mówiłem mu. Sekretarz generalny odmawiał, twierdząc, że czwarty departament Ministerstwa Zdrowia znajduje się pod kontrolą Berii i choć bez wahania powierzyłby Berii zabicie człowieka, nigdy nie powierzyłby mu jego wyleczenia. Zamiast tego przygotowywałem dla sekretarza generalnego napary z ziół.

Śledczy: Opiszcie, jaki wpływ miały te problemy zdrowotne na wykonywanie przez sekretarza generalnego jego obowiązków.

Poskriebyszew: Zanim zaczęły się omdlenia, sekretarz generalny potrafił przejrzeć w ciągu jednego dnia około dwustu dokumentów. Potem ich liczba znacznie się zmniejszyła i przestał widywać się z wieloma swoimi kolegami. Dużo sam pisał, ale nie miałem do tych notatek dostępu.

Śledczy: Opiszcie formę tych prywatnych zapisków.

Poskriebyszew: Te prywatne zapiski przybierały różne formy. W ostatnim roku, na przykład, założył zeszyt.

Śledczy: Opiszcie ten zeszyt.

Poskriebyszew: To był całkiem zwyczajny zeszyt, można go kupić w każdym sklepie papierniczym, z czarną ceratową okładką.

Śledczy: Kto jeszcze wiedział o istnieniu tego zeszytu?

Poskriebyszew: Wiedział o nim szef ochrony, generał Własik. Wiedział o nim również Beria i kilkakrotnie prosił, żebym dostarczył mu kopię zapisków. Ale to było niemożliwe, nawet dla mnie, ponieważ sekretarz generalny zamykał zeszyt w biurowym sejfie, do którego tylko on miał klucz.

Śledczy: Co waszym zdaniem mogło się znajdować w zeszytce?

136

Poskriebyszew: 'Nic nie pzzycbodzi sn* do ghwwy; ^
Nie wiem. . \ .

Ściśle tajne

30 czerwca 1953

Do wiceministra bezpieczeństwa państwowego ZSRR,
A. A. Jepiszewa.

Macie ustalić przy użyciu wszelkich niezbędnych środków, gdzie znajdują się osobiste zapiski, o których wspo-

mniał A. N. Poskriebyszew. Potraktujcie to jako sprawę najwyższej wagi.

Komitet Centralny, , ::
Malenkov

Przesłuchanie więźnia, generała porucznika N. S. Własika

1 lipca 1953 (fragment):

Śledczy: Opiszcie czarny zeszyt należący do J. W. Stalina.

Własik: Nie pamiętam takiego zeszytu.

Śledczy: Opiszcie czarny zeszyt należący do J. W. Stalina.

Własik: Teraz sobie przypominam. Po raz pierwszy dowiedziałem się o jego istnieniu w grudniu 1952. Pewnego dnia zobaczyłem go na biurku towarzysza Stalina. Zapytałem Poskriebyszewa, co zawiera, ale Poskriebyszew nie potrafił mi powiedzieć. Towarzysz Stalin zobaczył, że spoglądam na zeszyt, i zapytał, co robię. Odpowiedziałem, że nic nie robię, że mój wzrok padł po prostu na zeszyt, ale go nie dotknąłem. „Ty też, Własik, po przeszło trzydziestu latach?“, powiedział towarzysz Stalin. Nazajutrz rano zostałem aresztowany i przewieziony na Łubiankę.

Śledczy: Opiszcie okoliczności, w jakich zostaliście aresztowani.

Własik: Zostałem aresztowany przez Berię i doznałem z jego rąk licznych okrucieństw. Beria wypytywał mnie wiele razy o zeszyt towarzysza Stalina. Nie byłem w stanie

137

podać mu szczegółów. **Nie wiem nic** więcej na temat tej sprawy.

Oświadczenie porucznika A. P. Titowa, **Gwardia** Kreml o wska

6 lipca 1953 (fragment):

1 marca 1953 od godziny 22.00 do 6.00 następnego dnia pełniłem służbę w sektorze kierownictwa na Kremlu. Około godziny 4.40 spotkałem w Pasażu Bohaterów towarzysza Berię oraz drugiego towarzysza, którego tożsamości nie znałem. Towarzysz Beria niósł małą teczkę albo torbę.

Przesłuchanie porucznika P. G. Rapawy, NKWD

7 lipca 1953 (fragment):

Śledczy: Opiszcie, co się stało, kiedy odjechaliście z dączy J. W. Stalina ze zdrajcą Berią.

Rapawa: Odwiozłem towarzysza Berię do domu.

Śledczy: Opiszcie, co się stało, kiedy odjechaliście z dączy J. W. Stalina ze zdrajcą Berią.

Rapawa: Teraz sobie przypominam. Odwiozłem towarzysza Berię na Kreml, żeby mógł zabrać jakieś materiały ze swojego gabinetu.

Śledczy: Opiszcie, co się stało, kiedy odjechaliście z dączy J. W. Stalina ze zdrajcą Berią.

Rapawa: Nie mam nic do dodania ponad to, co powiedziałem.

Śledczy: Opiszcie, co się stało, kiedy odjechaliście z dą-

czy J. W. Stalina ze zdrajcą Berią.

Rapawa: Nie mam nic do dodania ponad to, co powiedziałem.

Przesłuchanie Ł. P. Berii >

8 lipca 1953 (fragment):

Śledczy: Kiedy po raz pierwszy dowiedzieliście się o osobistym zeszycie należącym do J. W. Stalina?

Beria: Odmawiam odpowiedzi na wszelkie pytania,

138

dopóki nie będę mógł wystąpić na forum Komitetu Centralnego w jego pełnym składzie.

Śledczy: Zarówno Własik, jak i Poskriebyszew potwierdzili, że interesowaliście się tym zeszytem.

Beria: Posiedzenie Komitetu Centralnego jest odpowiednim miejscem na omawianie tych spraw.

Śledczy: Nie zaprzeczacie, że interesowaliście się tym zeszytem?

Beria: Odpowiednim forum jest posiedzenie Komitetu Centralnego.

Ściśle tajne

30 listopada 1953

Do wiceministra bezpieczeństwa państwowego, A. A. Jępiszewa

Macie doprowadzić szybko do końca śledztwo przeciwko antypartyjnemu zbrodniarzowi i zdrajcy Berii i przekazać sprawę do sądu.

Komitet Centralny,

Malenkow

Chruszczow

Przesłuchanie Ł. P. Berii

2 grudnia 1953 (fragment):

Śledczy: Wiemy, że weszliście w posiadanie zeszytu J. W. Stalina, a mimo to wciąż temu zaprzeczacie. Co was tak zainteresowało w tym zeszycie?

Beria: Skończę z tym.

Śledczy: Co was tak zainteresowało w tym zeszycie?

Beria [Oskarżony daje gestem do zrozumienia, że odmawia współpracy].

Ściśle tajne

23 grudnia 1953

Do Komitetu Centralnego, na ręce towarzyszy Maleńko wa i Chruszczowa

Uprzejmie donoszę, że wyrok śmierci przez rozstrzela-

nie wydany na Ł. P. Berię został wykonany dzisiaj o godzinie 1.50.

T. R. Falin,

Prokurator Generalny

27 grudnia 1953

Wyrok Specjalnego Sądu Ludowego w sprawie porucznika P. G. Rapawy: 15 lat ciężkiego więzienia.

Suworin nie mógł już dłużej znieść brudu na rękach. Błąkał się po pustym korytarzu tak długo, aż znalazł toaletę z umywalką. Wciąż tam stał, próbując wymyć resztki żałoby spod paznokci, kiedy zabręczała jego komórka. W ciszy Łubianki dzwonek zabrzmiał tak głośno, że aż podskoczył. w

— Suworin.

- Tu Netto. Straciliśmy go. Numer trzeci.
- Kogo? O czym ty mówisz?
- O numerze trzecim. O historyku. Poszedł coś zjeść razem z innymi, ale nie wyszedł. Wygląda na to, że dał nogę z restauracji przez kuchnię.

Suworin jęknął, odwrócił się i oparł o ścianę. Ta cała sprawa wymykała się spod kontroli.

- Jak dawno to się stało?
- Mniej więcej przed godziną. Na usprawiedliwienie Bunina muszę powiedzieć, że jest na służbie od osiemnastu godzin. — Netto na chwilę umilkł. — Majorze?

Suworin wcisnął słuchawkę między podbródek i ramię. Wycierając ręce, zastanawiał się. W gruncie rzeczy nie winił Bunina. Żeby zorganizować porządną inwigilację, trzeba co najmniej czterech ludzi; dla pewności sześciu.

- Jestem, jestem. Odwołaj go.
- Chce pan, żebym powiedział szefowi?
- Chyba nie. Po dwóch takich meldunkach jednego dnia mógłby dojść do przekonania, że jesteśmy niekompetentni. — Suworin oblizał wargi i poczuł na nich kurz. — Sam też idź do domu, Wissarij. Spotkamy się jutro w moim gabinecie. O ósmej rano. > <> . >

140

- Odkrył pan coś? < *>'! ^tri'
- Tylko to, że mówią o „dobrych starych CzAitdlitj ludzie pieprzą głupoty. * <'

Wytarł wargi, splunął i wrócił do pracy. . ••*

Berię rozstrzelano, Poskriebyszewa uwolniono, Własik dostał dziesięć lat, Rapawę wysłano na Kołymę, Jępiszewowi odebrano sprawę i dochodzenie stanęło w martwym punkcie.

Dom Berii przeszukano od piwnicy po strych, nie uzyskano jednak żadnych dalszych dowodów, z wyjątkiem kilku ludzkich szczątków (kobięcych), które zostały częściowo rozpuszczone w kwasie i zamurowane. Ławrientij Pawłowicz miał swoje prywatne cele w piwnicy. Jego posesję zapieczętowano. W roku 1956 Ministerstwo Spraw Zagranicznych zapytało KGB, czy nie dysponuje budynkiem, który można by zaoferować na ambasadę nowo powstałej Republice Tunezji, i dom Berii przekazano Tunezyjczykom.

Własik był jeszcze dwukrotnie przesłuchiwany w sprawie zeszytu Stalina, nie dodał jednak nic nowego. Poskriebyszewa obserwowano, podsłuchiowano i zachęcano do napisania pamiętników, które, gdy je ukończył, „na stałe zabezpieczono”. Do akt dołączono pojedynczą stronę, stanowiącą ich fragment.

Nie wiem, co się działo w umyśle tego geniusza w ostatnim roku, gdy uświadomił sobie oczywisty fakt własnej

śmiertelności. Najbardziej osobiste refleksje Józef Wisarionowicz zawarł być może w zeszycie, z którym rzadko się rozstawał w trakcie ostatnich miesięcy znoej pracy, prowadzonej dla dobra narodu i całej postępowej ludzkości. Zawierający, jak można domniemywać, kwintesencję jego wiedzy jako czołowego teoretyka marksizmu-leninizmu, ten znaczący dokument, zostanie, miejmy nadzieję, któregoś dnia odnaleziony i opublikowany dla dobra...

141

Suworin ziewnął, zamknął teczkę, odłożył ją na bok i wziął do ręki następną. W środku były tygodniowe raporty obozowego kapusia o nazwisku Abidow, który miał obserwować więźnia Rapawę w trakcie odbywania przez niego wyroku w kopalni uranu w Butugiczagu. Skopiuwane przez kalke, poplamione donosy, w których nie było nic ciekawego, kończyły się nagle lakoniczną notatką obozowego funkcjonariusza KGB o śmierci Abidowa w wyniku rany kłutej oraz przeniesieniu Rapawy do brygady pracującej przy wyрубie lasu.

Kolejne akta, kolejni kapusie, kolejne jałowe raporty. Papiery, na mocy których zwolniono Rapawę po odsiedzeniu przez niego wyroku, przejrzane przez specjalną komisję Drugiego Dyrektoriatu — zaaprobowane, opatrzone właściwymi pieczęciami, zatwierdzone. Stosowne dla byłego zeka zatrudnienie, które znaleziono mu w lokomotywowni Dworca Leningradzkiego; informator KGB w miejscu pracy: brygadzysta Antipin. Stosowne dla bytego zeka mieszkanie, które przydzielono mu w nowo wybudowanym osiedlu mieszkaniowym Zwycięstwa Rewolucji; informator KGB w domu: Senka, dozorca bloku. Kolejne raporty. Nic ciekawego. W 1975 sprawę zrewidowano i zaklasyfikowano jako „zatajenie informacji”. Nic nowego w aktach aż do roku 1983, kiedy Rapawa został poddany krótkiemu przesłuchaniu na żądanie zastępcy szefa Piątego Dyrektoriatu (któremu podlegała ideologia i dysydenci).

No, no.

Suworin wyciągnął fajkę, posłał ją, podrapał się cybuchem w czoło i wrócił do kartkowania akt. Ile lat mógł mieć ten facet? Rapawa, Rapawa, Rapawa — o tutaj, Papu Gierasimowicz Rapawa, urodzony 9.9.27.

A więc był już stary — przekroczył siedemdziesiątkę. Ale nie aż tak stary. Nie aż tak stary, żeby nawet w kraju, gdzie przeciętna długość życia mężczyzny wynosiła pięćdziesiąt osiem lat i ciągle spadała — poniżej poziomu, jaki osiągnięto w latach stalinowskich — musiał już być koniecznie nieboszczykiem.

Wrócił do raportu z 1983 i dokładnie go przejrzął. Nie

142

było w nim nic ponad to, co już wiedział. Swoją drogą, prawdziwy był twardziel z tego Rapawy — ani jednego słowa przez trzydzieści lat. Suworem podskoczył na krześle dopiero, kiedy zerknął na dół i zobaczył zalecenie, by nie podejmować żadnych dalszych działań, oraz nazwisko oficera, który to zalecenie zaaprobował.

Klnąc pod nosem, wyciągnął z kieszeni komórkę, wystukał numer oficera dyżurnego SWR i kazał mu się połączyć

Rozdział 10

Zgodzili się na trzysta dolarów i za to domagał się dwóch rzeczy: po pierwsze, żeby sama go tam zawiozła, po drugie, żeby godzinę zaczekała. O tej porze nocy sam adres nic by mu nie dał, a jeśli dzielnica Rapawy była tak niebezpieczna, jak to sugerował stary („w tamtych czasach, kiedy nie było jeszcze narkotyków i przestępczości, to był porządnny blok, chłopcze...”), to żaden cudzoziemiec o zdrowych zmysłach nie powinien się tam sam zapuszczać.

Jej samochód, poobijana stara łada w kolorze piasku, stał w ciemnej uliczce prowadzącej do stadionu. Podeszli do niego w milczeniu. Rapawa pierwsza wsiadła do środka i odblokowała drzwi. Na fotelu pasażera leżał stos książek — podręczników prawa — które przełożyła szybko na tylną kanapę.

- Jesteś prawniczką? — zapytał. — Studiujesz prawo?
- Trzysta dolarów — powiedziała, wyciągając rękę. — Amerykańskich.
- Później.
- Teraz.
- Połowę teraz — odparł chytrze. — Połowę później.
- Mogę znaleźć innego klienta, mój panie. Czy pan znajdzie innego kierowcę?

Była to jej najdłuższa wypowiedź tej nocy.

144

— Dobrze, dobrze. — Kelso wyjął portfel. — Będzie z ciebie dobry adwokat.

Jezus. Trzysta dla niej, przedtem ponad sto, które wydał w klubie — w ten sposób prawie kompletnie się splukał. Myślał, że zaproponuje starymu dziś wieczór trochę gotówki w charakterze zaliczki za notes, ale to było już niemożliwe.

Przeliczyła banknoty, ostrożnie je złożyła i schowała do kieszeni płaszcza. Podskakując na wybojach, mały samochód dojechał do Leningradzkiego Prospektu. Dziewczyna skręciła w prawo, w cichą ulicę, potem zawróciła i wyjechali ze śródmieścia, mijając opuszczony stadion Dynamo i kierując się na północny zachód, w stronę lotniska.

Jechała szybko. Zgadywał, że chce się go jak najprędzej pozbyć. Kim była? Wnętrze łady nic mu nie mówiło. Było pedantycznie czyste, prawie puste. Ukradkiem przyjrzał się jej twarzy. Pochylała się lekko do przodu, wpatrując się ponuro w drogę. Czarne wargi, białe policzki, małe, leciutko spiczaste uszy, przylizane, krótko przycięte czarne włosy — miała wygląd wampirzycy, wygląd, który wytrącał z równowagi, pomyślał znowu. Wytrącony z równowagi. Wciąż czuł w ustach jej smak i nie mógł przestać myśleć o tym, jak wyglądałby z nią seks — była teraz taka niedostępna, mimo że jeszcze przed piętnastu minutami zrobiłaby wszystko, o co by poprosił.

Zerknęła w tylne lusterko i zobaczyła, że jej się przygląda.

— Niech pan przestanie.

Nie zważając na jej protesty, gapił się na nią dalej — teraz bardziej otwarcie, ostentacyjnie; zapłacił przecież za kurs. Ale potem zrobiło mu się głupio i odwrócił się.

Ulice za szybko stały się o wiele ciemniejsze. Nie miał pojęcia, gdzie się znajdują. Minęli park Przyjaźni, to wiedział, potem elektrownię i węzeł kolejowy. Po drugiej stronie drogi biegły grube rury doprowadzające ciepłą wodę do mieszkań, ze złączy sączyła się para. Co jakiś czas widział w ciemnościach płonące ogniska i gromadzących się wokół nich ludzi. Po kolejnych dziesięciu minutach skręcili w lewo, w ulicę szeroką i nierówną niczym pole, wysadzaną po obu stronach nędznymi brzożami. Wpadli w dziurę i karoseria zatrzesz-

145

czała i otarła się o kamień. Dziewczyna gwałtownie skręciła i wpadli w następną dziurę. Za drzewami, w przyćmionym świetle pomarańczowych lamp, widać było pomosty i klatki schodowe wielkiego kompleksu mieszkaniowego.

Dziewczyna zwolniła niemal do prędkości pieszego i zatrzymała się obok połamanej drewnianej wiaty przystanku autobusowego.

— To tutaj — powiedziała. — Blok numer dziewięć. Budynek stał w odległości stu metrów, za pasem zaśniewanego ugoru.

- Zaczekasz tutaj?
- Klatka D. Piąte piętro. Mieszkanie numer dwanaście.
- Ale poczekaasz?
- Jeśli chcesz.
- Uzgodniliśmy to.

Kelso zerknął na zegarek. Było dwadzieścia pięć po pierwszej. A potem spojrzął ponownie na budynek, zastanawiając się, co powie Rapawie i z jakim spotka się przyjęciem.

— To tutaj dorastałaś?

Nie odpowiedziała. Wyłączyła silnik, postawiła kolnierz płaszcza, wsadziła ręce do kieszeni i wpatrywała się prosto przed siebie. Kelso westchnął, wysiadł i okrążył samochód. Puszysty śnieg skrzypiał, gdy ubijał go stopami. Drżąc z zimna, ruszył po nierównym gruncie.

Mniej więcej w połowie drogi usłyszał jazgot zapłonu i dźwięk zapalnego silnika. Kiedy się odwrócił, samochód odjeżdżał powoli z ledwie jarzącymi się światłami. Nie czekała nawet, aż zniknie jej z oczu. Dziwka. Zaczął ku niej bieć. Zawołał coś — niezbyt głośno i w gruncie rzeczy bez złości; zabrzmiało to bardziej jak skarga na własną głupotę. Małe auto zadygotało, stanęło i przez moment wydawało mu się, że je dogoni, ale potem silnik zaskoczył, światła zabłyśły jaśniej i łada zaczęła się od niego oddalać. Patrzył bezradnie, jak znika w betonowym labiryncie.

Został sam. Nigdzie ani żywej duszy.

Odwrócił się i ruszył szybko po własnych śladach w stronę budynku. Na otwartym terenie czuł się zupełnie odsłonięty i panika wyostrzyła jego zmysły. Gdzieś po lewej słyszał

146

szczekanie psa i płacz dziecka, przed sobą muzykę — była cicha, prawie nie łączyła się w linię melodyczną, ale dobiegała z bloku dziewiątego i z każdym jego krokiem nabierała mocy. Rozróżniał teraz detale: zbrojony beton, pograżone w mroku wejścia, ciasne balkony zawalone grata-

mi — rami łóżek, szkielety rowerów, stare opony, zwędłe rośliny. W trzech oknach paliło się światło, reszta była ciemna.

Przy klatce D coś zachrząściło pod jego obcasem. Pochylił się, żeby to podnieść, i natychmiast rzucił z powrotem na ziemię. Jednorazowa strzykawka.

Na klatce schodowej unosił się kloaczny smród moczu, wymiocin, poplamionych gazet, zużytych kondomów i zeschłych liści. Była winda, która mogła nawet działać — byłby to prawdziwy moskiewski cud — ale nie miał ochoty tego sprawdzać. Ruszył na górę po schodach. Na trzecim piętrze usłyszał muzykę o wiele wyraźniej. Ktoś puszczał stary sowiecki hymn narodowy — *stary* hymn, ten, który śpiewano, zanim ocenzurował go Chruszczow. „Partia Lenina!”, grzmiał chór. „Partia Stalina!”. Kelso szybciej pokonał dwa ostatnie piętra, czując nagły przypływ nadziei. Nie oszukała go do końca, bo ktoś, jeśli nie Rapawa, puszczałby największe hity Józefa Stalina o wpół do drugiej nad ranem?

Na piątym piętrze ruszył obskurnym korytarzem tam, skąd dobiegał hałas, do numeru dwunastego. Większość mieszkań była porzucona, drzwi zabite deskami. Ale nie drzwi Rapawy. O nie, chłopcze. Drzwi Rapawy nie były zabite deskami, drzwi Rapawy były uchylone, a przed nimi, na korytarzu, z powodów, których Kelso jeszcze nie zaczął się domyślać, leżało pierze.

Muzyka ucichła. !,- ; .1

Wejść do środka, chłopcze. Na co czekasz? Co się stało?

Nie powiesz mi, że nie masz jaj...

Przez kilka sekund Kelso stał w progu, nasłuchując.

Nagle rozległo się bicie w bębny.

Ponownie rozpoczął się hymn. •

147

Ostrożnie pchnął drzwi. Były częściowo uchylone, ale nie chciały otworzyć się dalej. Coś blokowało je z drugiej strony.

Przecisnął się przez szparę. W środku paliło się światło.

Wielki Boże...

Wiedziałem, że będziesz pod wrażeniem, chłopcze! Wiedziałem, że się zdziwisz! Skoro już ktoś robi cię w chuja, dobrze, że przynajmniej robią to profesjonaliści, nie?

U swoich stóp Kelso zobaczył więcej piór, które wysypały się z rozprutej poduszki. Nie można było powiedzieć, że leżały na podłodze, ponieważ podłogi nie było. Wszystkie klepki zerwano i poustawiano przy ścianach. Na betonowych belkach leżały resztki skromnego dobytku Rapawy — książki z oderwanymi grzbietami, podziurawione obrazy, szkielety krzeseł, telewizor, w którym eksplodował kineskop, stół z nogami sterczącymi w powietrzu, skorupy naczyń, okruchy szkła, podarte ubrania. Wewnętrzne ściany odarto z tapet, odsłaniając szpary. Zewnętrzne obtłuczono i podziurawiono, prawdopodobnie kowalskim młotem. Duża część sufitu zwisała z belek stropu. Na wszystkim osiadła gruba warstwa pyłu.

Pośrodku tego chaosu, między czarnymi porozbijanymi płytami stał wielki gramofon Telefunkena z lat siedemdziesiątych, nastawiony na automatyczne powtarzanie.

Partia Lenina!

Partia Stalina!

Kelso przeskoczył ostrożnie z belki na belkę i podniósł głę.
W ciszy słychać było kapanie wody z nieszczelnego kranu.

Rozmiary zniszczenia były tak porażające, tak dalece
przekraczały wszystko, co kiedykolwiek widział, że gdy zdał
sobie sprawę, że mieszkanie jest puste, nie przyszło mu nawet
do głowy, że powinien się bać. Przynajmniej z początku.
Rozglądał się dookoła, zdezorientowany.

*No więc gdzie jestem, chłopcze? Oto jest pytanie. Co zrobili
z biednym starym Papu? No chodź, chodź i znajdź mnie. Hop,
hop, towarzyszu... nie mamy przecież całej nocy!*

Balansując, niczym na linie, Kelso ruszył po jednej z belek
do aneksu kuchennego: porozrywane opakowania, prze-

148

wrócona do góry nogami lodówka, oderwane od ściany
szafki...

Cofnął się i skręcił w wąski korytarzyk, łapiąc się ścian,
żeby nie stracić równowagi.

*Masz tu dwoje drzwi, chłopcze, po prawej i po lewej stronie.
Wybieraj.*

Zachwiał się niezdecydowany, a potem wyciągnął rękę.

Pierwsze drzwi — sypialnia.

*Coraz cieplej, chłopcze. Swoją drogą, czy miałeś ochotę
przelecieć moją córkę?*

Rozerwany materac. Rozerwana poduszka. Przewrócone
łóżko. Puste szuflady. Mały postrzępiony nylonowy dywan,
zwinęty i oparty o ścianę. Wszędzie kawałki tynku. Zerwana
podłoga.

Kelso wycofał się na korytarzyk, oddychając ciężko, ba-
lansując na belce i zbierając odwagę.

Drugie drzwi...

Coraz cieplej, chłopcze!

Drugie drzwi: łazienka. Spluczka oparta o sedes. Ode-
rwana od ściany umywalka. Biała plastikowa wanna wypeł-
niona po brzegi różowawą wodą, która przypomniała mu
rozwodnione gruzińskie wino. Zanurzył w niej palec i gwał-
townie wyciągnął, wstrząśnięty tym, jaka jest zimna, z paz-
nokciem obleczonym czerwienią.

Na powierzchni wody pływał kosmyk włosów wyrwanych
razem ze skórą.

Idziemy, chłopcze.

Z belki na belkę, z pyłem we włosach, na rękach, na
całym płaszczu, na butach...

Spanikowany potknął się, stracił równowagę i jego lewy
but wpadł w dziurę w podłodze. Od stropu mieszkania piętro
niżej oderwał się kawałek tynku. Usłyszał, jak spada w mrok
pustego pokoju. Pół minuty trwało, nim, używając obu rąk,
uwolnił stopę i uciekł stamtąd.

Przecisnął się przez drzwi i, mijając puste mieszkania,
pobiegł szybko korytarzem w stronę schodów. Nagle usłyszał
jakieś łupnięcie.

Zatrzymał się i nadstawił ucha.

;: i

Łup.

Gorąco, chłopcze, teraz gorąco, bardzo gorąco.

To była winda. Ktoś był w windzie.

Łup.

Łubianka, środek nocy, wielki czarny samochód z zapaloną silnikiem, dwaj zbiegający po stopniach agencji w długich płaszczach — czy naprawdę nie można uciec przed przeszłością, pomyślał z goryczą Suworin, gdy ruszali z miejsca. Dziwił się, że żaden turysta nie sfotografował tej tradycyjnej sceny zżycia Matki Rosji. *Może powinniśmy wkleić ją do albumu, kochanie, między soborem Świętego Wasyla i pędzącą przez zaśnieżone pole trojką?*

U podnóża wzniesienia, niedaleko hotelu Metropol, podskoczyli na wyboju i głowa Suworina zetknęła się z podsufitką. Siedzący z przodu, obok kierowcy, Netto rozkładał mapę Moskwy, zawierającą szczegóły, których nie miał szansy obejrzeć żaden turysta: oficjalnie wciąż była utajniona. Suworin zapalił wewnętrzną lampkę i pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć. Budynki osiedla Zwycięstwa Rewolucji rozrzucone były niczym znaczki pocztowe po obu stronach linii metra Taganskaja-Krasnopriesnienskaja, na dalekich północno-zachodnich obrzeżach miasta.

- Za ile tam będziemy? Za dwadzieścia minut?
- Za piętnaście — odparł zawadiacko kierowca.

Dodał gazu i przejeżdżając przez czerwone światła, skręcił w prawo tak ostro, że Suworin oparł się o lewe drzwi. Przed oczyma mignęła mu przez moment Biblioteka Leninowska.

— Uspokój się, na litość boską — powiedział. — Nie chcesz chyba, żebyśmy zapłacili mandat.

Kiedy wyjechali ze śródmieścia, Netto otworzył schowek i wręczył Suworinowi dobrze naoliwionego makarowa wraz z zapasowym magazynkiem. Major wziął niechętnie broń, zważył ją w dłoni, sprawdził zamek i wycelował w mijaną brzozę. Nie dlatego wstąpił do służby, by pociągały go tego rodzaju rzeczy. Wstąpił do niej, ponieważ jego ojciec był dyplomata i bardzo wcześnie wbił mu do głowy, że najlepszą

150

rzeczą, jaką można zrobić, kiedy ktoś żyje w Związku Sowieckim, jest wyjazd na placówkę zagraniczną. Broń palna? Suworin od roku nie postawił stopy w strzelnicy. Oddał pistolet porucznikowi, który wzruszył ramionami i schował go do kieszeni.

Na drodze z tyłu pojawił się hałaśliwy niebieski punkt, który szybko rósł i w końcu bzyknął obok nich niczym wściekła mucha — samochód patrolowy moskiewskiej policji.

— Dupek — mruknął kierowca.

Kilka minut później skręcili z głównej ulicy w stronę betonowej pustyni Zwycięstwa Rewolucji. Piętnaście lat na Kołymie, pomyślał Suworin, a potem mieszkanie tutaj. Dowcip polegał na tym, że Rapawie to miejsce musiało się wydawać rajem.

- Według mapy — stwierdził Netto — blok dziewiąty powinien być zaraz za rogiem.
- Zwolnij — rzucił nagle Suworin, kładąc dłoń na ramieniu kierowcy. — Słyszycie coś?

Opuścił szybę. Z lewej strony słychać było kolejną syrenę. Na chwilę przycichła, stłumiona przez, budynek, a potem zawyła bardzo głośno i zobaczyli przed sobą, nawet ładne, błękitne i żółte ruchome światła. Wydawało im się, że pędzą prosto na nich, ale po kilku sekundach samochód patrolowy

zjechał nagle z ulicy i potoczył się po nierównym gruncie. Po chwili zrównali się z nim i sami zobaczyli rozświetlone niczym w bajce wejście na klatkę, a przed nim trzy samochody, karetkę pogotowia, kręcących się ludzi, ślady opon na śniegu.

Okrażyli budynek kilka razy, nie zauważone przez nikogo upiorne trio, zanim sanitariusze wynieśli ciało, a potem zabrano z miejsca zdarzenia Christophera Kelso.

Rozdział 11

Simonów opowiada następującą historię:

Na posiedzeniach Rady Komisarzy Ludowych towarzyszył Stalin miał zwyczaj wstawać ze swego miejsca u szczytu długiego stołu i przechadzać się za plecami uczestników. Nikt nie śmiał się obejrzeć; mogli się domyślać, gdzie się aktualnie znajduje, wyłącznie po cichym skrzypieniu skórzanych butów i zapachu fajki Dunhilla. Tym razem tematem posiedzenia była rosnąca liczba katastrof lotniczych. Szef sił powietrznych Rychagow był pijany. „Wysoki poziom wypadkowości będzie się utrzymywać dopóty, dopóki będziecie nas zmuszali do startów w latających trumnach”, wypalił. Zapadła długa cisza. „Naprawdę nie powinniście tego mówić”, mruknął w końcu Stalin. Kilka dni później Rychagow został rozstrzelany.

Można przytaczać dowolną liczbę takich historii. Jego ulubiona technika, według Chruszczowa, polegała na tym, że spoglądał nagle na kogoś i pytał: „Dlaczego macie dzisiaj taki rozbiegany wzrok? Dlaczego nie potraficie spojrzeć towarzyszowi Stalinowi prosto w oczy?”. W tym momencie czyjeś życie wisi na włosku.

Użytek, jaki czynił z terroru, wydaje się częściowo instynktowny (fizyczna przemoc leżała w jego naturze: czasami bil swoich podwładnych po twarzy), częściowo wykalkulowany. „Ludziom potrzebny jest car”, powiedział Marii Swanidze.

152

A carem, na którym się wzorował, był Iwan Groźny. Mamy na to pisemne dowody w tym archiwum, w osobistej bibliotece Stalina, gdzie przechowywany jest egzemplarz napisanej w roku 1942 sztuki A. M. Tolstoja „Iwan Groźny” (F558 03 D350). Stalin nie tylko poprawił mowy Iwana, by były bardziej zwarte i lakoniczne, by w gruncie rzeczy bardziej przypominały jego własne — lecz nabazgrał kilka razy na stronie tytułowej wyraz „Nauczyciel”.

Właściwie miał do swego pierwowzoru tylko jedną pretensję: że był za słaby. Jak oznajmił reżyserowi Siergiejowi Eisensteinowi: „Iwan Groźny ścinał kogoś, a potem długi czas spędzał na pokucie i modlitwach. W tej kwestii przeszkadzał mu Bóg. Powinien być jeszcze bardziej zdecydowany!” („Moskówskie Nowosti”, nr 32, 1988).

O Stalinie można powiedzieć wszystko oprócz tego, że nie był zdecydowany.

Profesor I. A. Kuganow ocenia, że w latach 1917—1953 w Związku Sowieckim poniosło śmierć około sześćdziesięciu

sześciu milionów ludzi— w wyniku rozstrzelania, tortur, głodu, zamarnięcia i pracy ponad siły. Inni twierdzą, że prawdziwa liczba wynosi tylko czterdzieści pięć milionów. Kto to może wiedzieć?

Żaden z tych szacunków nie uwzględnia trzydziestu milionów Rosjan, którzy, jak dzisiaj wiemy, zginęli podczas drugiej wojny światowej.

Umieścimy te straty w jakimś kontekście: liczba ludności Federacji Rosyjskiej wynosi obecnie, z grubsza, sto pięćdziesiąt milionów. Zakładając, że nie byłoby prześladowań, które przyniósł komunizm, i utrzymywałyby się normalne trendy demograficzne, ludność kraju powinna liczyć trzysta milionów.

A mimo to — / jest to z pewnością jeden z najbardziej zdumiewających fenomenów tej epoki— Stalin wciąż cieszy się bardzo dużą popularnością w tym wyludnionym o połowę kraju. Jego pomniki zostały obalone, to prawda. Zmieniono nazwy ulic. Ale nie było procesów norymberskich, takich jakie odbyły się w Niemczech. Nie było procesu stanowiącego ekwiwalent denazyfikacji. Nie było Komisji Prawdy, podobnej do tej, którą utworzono w Afryce Południowej.

153

A otwarcie archiwów? „Stawić czoło przeszłości?”. Naprawdę, panie i panowie, powiedzmy sobie szczerze to, o czym wszyscy dobrze wiemy. Rosyjskie władze są dziś wystraszone i właściwie trudniej jest uzyskać dostęp do archiwów niż przed sześciu albo siedmiu laty. Wszyscy znacie fakty równie dobrze jak ja. Akta Berii: zamknięte. Akta Politbiura: zamknięte. Akta Stalina — mam na myśli prawdziwe akta, a nie okno wystawowe, które nam się proponuje — zamknięte.

Widzę, że moje uwagi nie są dobrze przyjmowane przez kilku kolegów...

W porządku, postaram się je podsumować tak oto konkluzją: otóż nie ulega wątpliwości, że to raczej Stalin, a nie Hitler jest dzisiaj najbardziej przerażającą postacią dwudziestego wieku.

Mówię to...

Mówię to nie tylko dlatego, że Stalin zabił więcej ludzi niż Hitler — chociaż to oczywiście prawda — / nie dlatego, że Stalin był w większym stopniu psychopatą niż Hitler — chociaż to również prawda. Mówię to dlatego, że Stalin w przeciwieństwie do Hitlera nie został egzorcyzmowany. A także dlatego, że Stalin nie był, tak jak Hitler, odstępstwem od reguły, człowiekiem znikąd. Stalin sytuuje się w historycznej tradycji rządów terroru, tradycji, która istniała przed nim, którą udoskonalił i która może powrócić. To on, a nie Hitler, jest upiorem, którego powinniśmy się obawiać.

Panie i panowie, weźcie pod uwagę kilka faktów. Wsiadając do taksówki w Monachium, nie widzicie w środku fotki Hitlera. Domu, w którym urodził się Hitler, nie zamieniono w sanktuarium. Na jego grobie nie leży codziennie stos świeżo ściętych kwiatów. Nie zdołacie kupić na berlińskiej ulicy taśm z jego przemówieniami. Hitler nie jest codziennie wysławiany jako „wielki patriota” przez czołowych niemieckich polityków. Stara partia Hitlera nie otrzymała ponad czterdziestu procent głosów w ostatnich niemieckich wyborach.

Lecz wszystkie te rzeczy są prawdą w wypadku Stalina w dzisiejszej Rosji i dlatego słowa Jewtuszenki ze „Spadkobierców Stalina” są obecnie bardziej uzasadnione niż kiedykolwiek:

„Więc proszę nasze władze
 Zeby podwoiły
 Potroili
 Straż
 Przy jego grobie”.

Christopher Kelso został przywieziony na komendę stołeczną moskiewskiej policji tuż przed godziną trzecią w nocy. I tam go zostawiono, wraz z innymi nocnymi rozbitkami — sześcioma dziwkami, czeczeńskim alfonsem, dwoma pobladłymi belgijskimi bankierami, trupą transseksualnych tancerzy z Turkiestanu oraz normalnym chórem podenerwowanych wariatów, lumpów oraz zakrwawionych ćpunów. Gzymsy pod sufitami i żyrandole z przepaloną połówką żarówek nadawały całej procedurze rewolucyjny epicki charakter.

Kelso siedział samotnie na twardej drewnianej ławce, opierając głowę o łuszczący się tynk i gapiąc się nie widzącym wzrokiem przed siebie. A więc tak... tak to właśnie wygląda? Mogłeś spędzić pół życia, pisząc o tym wszystkim, pisząc o milionach — powiedzmy, o skatowanym na miazgę marszałku Tuchaczewskim; w archiwum było jego zeznanie poplamione zaschniętą krwią... trzymałeś je nawet w rękach — i wydawało ci się przez moment, że wiesz, ale potem stajesz twarzą w twarz z rzeczywistością i zdajesz sobie sprawę, że niczego nie pojąłeś, nawet w przybliżeniu nie wiesz, jak to wyglądało.

Po jakimś czasie przy metalowym kraniku z wodą obok jego ławki stanęli dwaj milicjanci i zaczęli dyskutować o uzbeckim bandycie Tsekserze, zabitym wcześniej tego samego wieczoru w szatni restauracji Babilon.

- Czy ktoś zajmuje się moją sprawą? — przerwał im Kelso. — Chodzi o morderstwo.
- Ach, o morderstwo!

Jeden z milicjantów przewrócił oczyma z udawanym zdziwieniem. Drugi roześmiał się. Rzucili papierowe kubeczki do kosza i odeszli.

— Zaczekajcie! — zawołał Kelso. •

Po drugiej stronie korytarza zaczęła krzyczeć starsza kobieta z zabandażowaną głową.

Kelso osunął się z powrotem na ławkę.

W końcu po schodach zszedł znużonym krokiem trzeci policjant, potężnie zbudowany, z wąsem a la Maksym Gorki. Przedstawił się jako śledczy Bielenki z wydziału zabójstw.

- Pan jest świadkiem w sprawie tego starego, Rapazina?
- Rapawy — poprawił go Kelso.
- Zgadza się. Rapawy. — Bielenki zerknął na trzymaną w rękę brudną kartkę. Może sprawiały to jego sumiaste wąsy, a może załzawione oczy, ale wydawał się bardzo smutny. — Dobrze — westchnął. — Musi pan złożyć zeznanie.

Zaprowadził go po okazałych schodach na drugie piętro, do pokoju z łuszczącymi się zielonymi ścianami i nierównym parkietem. Wskazał Anglikowi, żeby usiadł, i położył przed nim blok poliniowanych formularzy.

— Ten stary miał jakieś papiery Stalina — zaczął Kelso,

zapalając papierosa. Zaciągnął się i szybko wypuścił powietrze. — Musi pan to wiedzieć. Na pewno ukrył je w swoim mieszkaniu. Dlatego...

Ale Bielenki nie słuchał go.

- Wszystko, co pan pamięta — powiedział, kładąc na biurku niebieski długopis.
- Słyszysz pan, co mówię? Papiery Stalina...
- Tak, tak. — Rosjanin go nie słuchał. — Szczegóły ustalimy później. Teraz potrzebne nam jest zeznanie.
- Mam wszystko napisać?
- Oczywiście. Kim pan jest. Jak pan poznał tego starego. Co pan robił w jego mieszkaniu. Całą historię. Niech pan to napisze. Niedługo wrócę.

Po jego wyjściu Kelso przez kilka minut wpatrywał się w czystą kartkę. Mechanicznie wpisał elegancką cyrylicą swoje nazwisko, datę urodzenia i adres. W głowie miał mętlik. „Przyleciałem...”, napisał i przerwał. Plastikowy długopis tkwił w jego dłoni ciężki niczym łom. „Przyleciałem do Moskwy...”. Nie mógł przypomnieć sobie daty. On, który normalnie tak świetnie je pamiętał (25 października 1917

156

krążownik *Aurora* strzela salwami w Pałac Zimowy i zaczyna się rewolucja; 17 stycznia 1927 roku Lew Trocki zostaje wykluczony ze składu Politbiura; 23 sierpnia 1939 następuje podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow...). Pochylił głowę nad biurkiem. „Przyleciałem do Moskwy z Nowego Jorku w poniedziałek 26 października na zaproszenie Rosyjskich Archiwów Państwowych, aby wygłosić krótki wykład na temat Józefa Stalina...”.

Skończył pisać zeznanie po niespełna godzinie. Zgodnie z poleceniem Rosjanina niczego nie pominął — wspomniawszy o sympozjum, wizycie Rapawy, notesie Stalina, Bibliotece Leninowskiej, Jepszewie, spotkaniu z Mamantowem, domu na Wspólnym Pierieułkie, świeżo rozkopanej ziemi, klubie Robotnik i córce Rapawy. Zapisał siedem kartek swoim drobnym charakterem pisma, coraz bardziej się rozkręcając, opisując pospiesznie scenę w mieszkaniu, odkrycie ciała, desperackie poszukiwanie działającego telefonu w sąsiednim bloku, zaspaną kobietę z niemowlęciem na biodrze, tę, która w końcu otworzyła mu drzwi. Dobrze było znowu trzymać pióro w ręce, móc nadać jakiś racjonalny ład chaosowi przeszłości.

Bielenki zajrzał do pokoju w momencie, kiedy Kelso kończył ostatnie zdanie.

- Może pan to sobie darować. > >> i •
- Już napisałem.
- Nie? — Bielenki spojrzał na plik'kartek, a potem na Anglika. Na korytarzu za jego plecami coś się działo. Mili-cjant zmarszczył brwi. — Każcie mu poczekać — zawołał przez ramię, po czym wszedł do środka i zamknął drzwi.

Był jakiś zmieniony, to nie ulegało kwestii. Miał rozpiętą kurtkę, rozluźniony krawat. Ciemne plamy potu znaczyły jego koszulę khaki. Nie spuszczał oczu z twarzy Anglika, wyciągnął potężną dłoń i Kelso podał mu zeznanie. Bielenki odchrząknął, usiadł po drugiej stronie biurka i wyciągnął z kieszonki na piersi plastikowy futerał. Wyjął z niego zaskakująco delikatne okulary w złotych oprawkach, nałożył je na czubek nosa i zaczął czytać.

Jego ciężka dolna szczęka wysunęła się do przodu. Co

jakiś czas zerkał znad kartki na Anglika, przyglądał mu się przez chwilę i wracał do lektury. Skrzywił się. Wąsy opadły mu na zaciśnięte wargi. Zaczął zuć kciuk prawej ręki. Odłożywszy ostatnią kartkę, głęboko westchnął.

- To wszystko prawda?
- Wszystko.
- Job twoju mać. — Bielenki zdjął okulary i potarł oczy wierzchem dłoni. — I co ja mam teraz zrobić?

- Mamantow — powiedział Kelso. — Musi w to być zamieszany. Nie podałem mu żadnych szczegółów, ale...

Drzwi otworzyły się i do środka zajrzał mały chudy człowieczek, przy Bielenkim wyglądający jak Laurel przy Hardym.

— Sima! Szybko! Już przyjechali! — oznajmił wystraszo-
nym głosem.

Bielenki rzucił Anglikowi znaczące spojrzenie, zabrał zeznanie i odsunął do tyłu swoje krzesło.

— Będziemy musieli zamknąć pana na krótko w areszcie. Proszę się nie denerwować.

Na wzmiankę o areszcie Kelso poczuł skurcz paniki.

— Chciałbym porozmawiać z kimś z mojej ambasady.

Bielenki wstał, zacisnął z powrotem węzeł krawata, zaplął guziki i obciągnął kurtkę, starając się na próżno ją wygładzić.

— Czy mógłbym porozmawiać z kimś z mojej ambasady? — powtórzył Kelso. — Chciałbym wiedzieć, jakie przy-
sługują mi prawa.

Bielenki wyprostował ramiona i ruszył w stronę drzwi.

— Za późno — mruknął.

W areszcie komendy stołecznej moskiewskiej policji Kelso został pobieżnie przeszukany i musiał rozstać się z paszportem, portfelem, zegarkiem, wiecznym piórem, paskiem, krawatem oraz sznurowadłami. Zobaczył, jak wsuwają je do wnętrza tekturowej koperty, po czym podpisał formularz i dostał pokwitowanie. Potem, z płaszczem przewieszonym przez ramię, z butami w jednej i kwitem w drugiej dłoni,

158

pomaszerował za strażnikiem. Po obu stronach otynkowanego na biało korytarza znajdowały się stalowe drzwi. Strażnik obsypany był przyszciami — sterczący nad przepoconym i brązowym kołnierzem kark wyglądał jak talerz czerwonych klusek. Na dźwięk jego kroków niektórzy lokatorzy cel zaczęli wściekle wrzeszczeć i walić w drzwi. Nie zwracał na to uwagi.

Ósma cela po lewej stronie. Trzy na cztery metry. Bez okna. Metalowa prycza. Bez koca. W kącie emaliowane wiadro z kwadratową poplamioną dyktą w charakterze pokrywy.

Kelso wszedł powoli w skarpetkach do środka i rzucił płaszcz i buty na pryczę. Drzwi za jego plecami zatrzasnęły się głucho niczym na łodzi podwodnej.

Pogodzenie się z losem. To, nauczył się dawno temu w Rosji, stanowiło sekret przetrwania. Na granicy, kiedy po raz piętnasty sprawdzają twoje papiery. Podczas kontroli drogowej, kiedy każą ci bez powodu zjechać na bok i czekać

przez półtorej godziny. W ministerstwie, dokąd idziesz, żeby wbito ci wizę, i gdzie nikt nie chce się do ciebie pofatygować. Pogódź się z tym. Poczekaj. Niech system sam się zmęczy. Protesty podniosą ci tylko ciśnienie krwi.

Klapka zakrywająca wizjer pośrodku drzwi odsunęła się, przez chwilę pozostała otwarta, a potem opadła. Usłyszał oddalające się kroki strażnika.

Siadł na pryczy, zamknął oczy i natychmiast, niczym pozostawiony na siatkówce ślad ostrego światła, zobaczył wbrew swej woli obracające się w przeciagu windy nagie białe ciało — ramiona, pięty i skrępowane ręce, które odbijały się miękko od ścian szybu.

Skoczył do drzwi i krzycząc, walił w nie butami tak długo, aż się wyładował. A potem odwrócił się twarzą do wąskiej celi, oparł plecami o metal i powoli przysiadł na piętach, obejmując ramionami kolana.

Czas. To szczególnie towar, chłopcze. Jak go mierzyć? Najlepiej oczywiście zegarkiem. Kiedy nie ma zegarka, czło-

159

wiek może śledzić przyplawy i odpływy światła i mroku. Kiedy nie ma okna, przez które mógłby je obserwować, musi polegać na jakimś wewnętrznym mechanizmie umysłu. Jeśli jednak umysł jest w stanie szoku, mechanizm nie działa i czas staje się, podobnie jak grunt dla pijaka, niestały.

I tak Kelso w jakimś bliżej nieokreślonym momencie przeniósł się z podłogi na pryczę i zarzucił na siebie płaszcz. Zęby szczykały mu z zimna.

Przez jego głowę przelatywały luźne przypadkowe myśli. Myślał o Mamantowie, bez końca analizując ich spotkanie, próbując przypomnieć sobie, czy nie powiedział czegoś, co mogło zaprowadzić go do Rapawy. Myślał o córce starego i o tym, że złamał słowo, wspominając o niej w zeznaniu. Zostawiła go. A teraz on zdradził, że jest dziwką. Tak bywa. Milicja ma na pewno gdzieś jej adres. I nazwisko. Poinformują ją o śmierci ojca, a ona...? Nie uroni ani jednej łzy, tego był pewien. Ale będzie chciała się zemścić.

We śnie próbował ją znowu pocałować, lecz ona wymyślała się z jego objęć. Tańczyła sztywno na śniegu przed blokiem numer dziewięć, podczas gdy O'Brian paradował w tę i z powrotem, udając Hitlera. Pani Mamantowa białała nad swoim obłędem. A zamknięty za jakimiś drzwiami Papu Rapawa walił, żeby go wypuszczono. Tu jestem, chłopcze! Łup. Łup. Łup.

Kiedy się obudził, przez wizjer przyglądało mu się chłodne błękitne oko. Metalowa klapka opadła w dół i w zamku zazgrzytał klucz. -

Za pryszczatym strażnikiem stał jeszcze jeden mężczyzna — elegancko ubrany blondyn — i Kelso natychmiast pomyślał, że to ktoś z ambasady przyszedł go stąd wyciągnąć. Ale blondyn odezwał się do niego po rosyjsku.

— Proszę włożyć buty, doktorze Kelso.

Strażnik wysypał na pryczę zawartość koperty.

Pochylając się, żeby zawiązać sznurowadła, Kelso zauważył, że blondyn ma na nogach modne zachodnie obuwie. Wyprostował się, zapiął zegarek i zobaczył, że jest dopiero

dwadzieścia po szóstej. W celi spędził tylko dwie godziny, ale wystarczyło mu to na całe życie. W butach czuł się w większym stopniu istotą ludzką. Człowiek może stawić czoło światu, kiedy ma coś na nogach. Idąc korytarzem, znowu usłyszeli desperackie krzyki i walenie.

Mysłał, że zabrają go na górę, żeby dalej przesłuchiwać, zamiast tego jednak wyszli na tylny dziedziniec, gdzie czekał samochód z siedzącymi z przodu dwoma mężczyznami. Blondyn otworzył tylne prawe drzwi.

— Proszę — powiedział z lodowatą grzecnością, po czym obszedł dookoła samochód i wsiadł z drugiej strony.

W środku było gorąco i duszno, jak po długiej podróży. Kwaśny odór łagodzony był nieco przez delikatny zapach płynu po goleniu, którego używał blondyn. Wyjechali z komendy i ruszyli cichą ulicą. Nikt się nie odzywał.

Zaczynało się robić jasno — dość jasno w każdym razie, by Kelso mógł się zorientować z grubsza, dokąd jadą. Domyślał się, że ma do czynienia z tajną policją, czyli FSB, a to oznaczało Łubiankę. Ku jego zdziwieniu skierowali się jednak na wschód, nie na zachód. Przejechali Nowym Arbatem, mijając puste sklepy, i w polu widzenia pojawił się gmach Ukrainy. Odwożą mnie do hotelu, pomyślał. Ale znowu się pomylił. Zamiast przejechać przez most, skręcili w prawo i ruszyli wzdłuż rzeki. Świt był szybki, niczym reakcja chemiczna, mrok nad wodą najpierw przeszedł w szarość, potem w alkaliczny brudny błękit. Smugi dymu i pary z fabrycznych kominów na drugim brzegu rzeki — garbarni i browaru — przybrały rdzawy kolor.

Przez kilka minut jechali dalej w milczeniu, a potem skręcili nagle z bulwaru i zatrzymali się na opuszczonym, wydartym rzece kawałku nabrzeża. Kilka wielkich morskich ptaków zatrzepotało skrzydłami, poderwało się i odfrunęło z krzykiem. Blondyn wysiadł pierwszy i po krótkim wahaniu Kelso poszedł w jego ślady. Uświadomił sobie, że to idealne miejsce, żeby zaaranżować nieszczęśliwy wypadek: jedno silne pchnięcie, zgłębienie prasowych relacji, długie dochodzenie

na użytek londyńskiego kolorowego dodatku, podejrzenia, które szybko zostaną zapomniane. Ale starał się nadrabiać miną. Cóż innego mu pozostało?

Blondyn czytał zeznanie, które Kelso złożył na milicji. Kartki furkotały na wietrze, który wiał znad rzeki. Jego twarz wydawała się znajoma.

- Pański samolot — oznajmił, nie odwracając się — odlatuje z Szeremietiewa Dwa o wpół do drugiej. Znajdzie się pan na jego pokładzie.
- Kim pan jest?
- Zostanie pan teraz odwieziony do hotelu, a potem odjedzie pan autobusem na lotnisko razem z pańskimi kolegami.
- Dlaczego pan to robi?
- Niewykluczone, że w najbliższej przyszłości będzie pan starał się odwiedzić ponownie Federację Rosyjską. Właściwie jestem pewien, że spróbuje pan to zrobić; uparty z pana facet, każdy to widzi. Lecz muszę uprzedzić, że pańskie

podanie o wizę zostanie odrzucone.

- To oburzające! — Głupotą było oczywiście dać się ponosić emocjom, ale Kelso był zbyt zmęczony i roztrzęsiony, żeby nad sobą panować. — To hańba! Ktoś mógłby pomyśleć, że to ja jestem zabójcą!

- Ale przecież to pan go zabił. — Rosjanin odwrócił się. — To pan jest zabójcą.

- To chyba jakiś żart? Nie musiałem tego zgłaszać. Nie musiałem wzywać milicji. Mogłem uciec.

/ nie myśl, że nie brałem tego pod uwagę.

— Sam pan to przyznał. — Blondyn stuknęła palcem jego zeznanie. — Odwiedził pan wczoraj po południu Mamantowa i powiedział mu, że „świadek z dawnych czasów” przekazał panu informację o papierach Stalina. To był wyrok śmierci.

Kelso zawahał się.

- Nie podałem mu żadnego nazwiska. Sto razy przeanalizowałem w myśli tę rozmowę...

- Mamantow nie potrzebował nazwiska. Znał je już przedtem.

162

- Nie może pan wiedzieć na pewno...

- Papu Rapawa został ponownie przesłuchany przez KGB w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim — oznajmił z przesadną cierpliwością Rosjanin. — Przesłuchano go na żądanie zastępcy szefa Piątego Dyrektoriatu. Władimira Pawłowicza Mamantowa. Rozumie pan?

Kelso zamknął oczy.

— Mamantow dokładnie wiedział, o kim pan mówi. Nie ma innego „świadka z dawnych czasów”. Wszyscy poza nim nie żyją. Piętnaście minut po pańskim wyjściu Mamantow także wyszedł z mieszkania. Z akt wiedział nawet, gdzie mieszka stary. Miał siedem, może osiem godzin, żeby przesłuchać Rapawę. Z pomocą swoich przyjaciół. Niech pan mi wierzy, zawodowiec pokroju Mamantowa może w osiem godzin zrobić człowiekowi bardzo dużą krzywdę. Chce pan, żebym podał kilka danych medycznych? Nie? W takim razie niech pan wraca do Nowego Jorku, doktorze Kelso, i bawi się w swoje historyczne gry w jakimś innym kraju, ponieważ to nie jest Anglia ani Ameryka, przeszłość nie została tu bezpiecznie złożona do grobu. W Rosji przeszłość niesie ze sobą brzytwy i kajdanki. Niech pan zapyta Papu Rapawę.

Podmuch wiatru omiół powierzchnię rzeki i podniósł fale. Pobliskie boje zadzwoniły na rdzewiejących łańcuchach.

— Mogę zeznawać — oznajmił po chwili Kelso. — Żeby arestować Mamantowa, potrzebujecie moich zeznań.

Rosjanin po raz pierwszy się uśmiechnął.

> ; ' ? <

- Jak dobrze zna pan Mamantowa?

• ; <

- Prawie w ogóle go nie znam.

- Prawie w ogóle go pan nie zna. Ma pan szczęście.

Niektórzy z nas poznali go całkiem dobrze. I mogę pana zapewnić, że towarzysz W. P. Mamantow będzie miał nie mniej niż sześciu świadków... wszystkich w randze nie niższej od dyplomowanego pułkownika... którzy przysięgną, że spędził z nimi cały wieczór, dyskutując na temat działalności charytatywnej ponad sto kilometrów od mieszkania Papu Rapawy. Tyle, jeśli chodzi o wartość pańskiego zeznania.

Blondyn przedarł oświadczenie na pół, a potem jeszcze i jeszcze raz — robił to tak długo, aż nie sposób było zredukować bardziej kartek. Zmiał strzępy w dłoniach i rzucał je do wody. Wiatr porwał fragmenty. Mewy zapikowały w nadziei zdobycia pożywienia, i skrzecząc głośno, odfrunęły rozczarowane.

- Nic nie jest takie, jak było — oświadczył Rosjanin. — Powinien pan to wiedzieć. Dochodzenie zacznie się dzisiaj ponownie od zera. Nie złożył pan żadnego zeznania. Nie został pan w ogóle zatrzymany przez milicję. Funkcjonariusza, który pana przesłuchiwał, awansowano i w chwili, gdy rozmawiamy, przewożony jest wojskowym samolotem transportowym do Magadanu.

- Do Magadanu?

Magadan leżał na wschodnim skraju Syberii, tysiące kilometrów od Moskwy.

- Sprowadzimy go z powrotem — rzucił lekkim tonem Rosjanin — kiedy tylko uporamy się z tą sprawą. Nie chcemy, żeby moskiewscy korespondenci wszystko nam zadeptali. To naprawdę byłoby kłopotliwe. Mówię to, wiedząc świetnie, że nie możemy panu w żaden sposób zabronić opublikowania za granicą własnej wersji wydarzeń. Z naszej strony nie będzie jednak oficjalnego potwierdzenia. Wprost przeciwnie. Rezerwujemy sobie prawo ujawnienia naszych raportów o tym, co robił pan w ciągu tego dnia, raportów, w których pańskie motywy będą przedstawione w zupełnie innym świetle. Na przykład: został pan aresztowany za obnażanie się w ogrodzie zoologicznym przed dwiema małymi dziewczynkami, córkami jednego z moich podwładnych. Albo: zabrano pana z Nabrzeża Smoleńskiego, gdy w stanie upojenia alkoholowego oddawał pan mocz do rzeki, i musieliśmy pana zamknąć z powodu agresywnego i obelżywego zachowania.

- Nikt w to nie uwierzy — odparł Kelso, próbując obudzić w sobie resztki oburzenia. Ale wiedział, że są osoby, które w to łatwo uwierzą. Mógł sporządzić ich listę. — Więc tak to wygląda — stwierdził rozgoryczony. — Mamantowowi ujdzie wszystko na sucho. A może będziecie chcieli

164

sami znaleźć papiery Stalina, żeby je gdzieś ukryć, tak jak ukrywacie to, co może okazać się „kłopotliwe”?

- Naprawdę mnie pan irytuje — mruknął Rosjanin i teraz on z kolei uznał za stosowne stracić nad sobą panowanie. — Ludzie tacy jak pan. Czego od nas jeszcze chcecie? Wygraliście, czy to nie dosyć? Nie, wy nie dajecie nam o tym zapomnieć... Stalin, Lenin, Beria; rzygać mi się chce, kiedy słyszę te nazwiska... chcecie, żebyśmy wywlekali na światło dzienne wszystkie nasze brudy, żebyśmy nigdy nie pozbyli się poczucia winy, żebyście wy mogli poczuć się lepsi.

- Mówi pan to samo, co Mamantow — parsknął Kelso.

- Gardzę Mamantowem — stwierdził Rosjanin. — Czy pan mnie nie rozumie? Z tego samego powodu, dla którego gardzę panem. Chcemy skończyć z towarzyszem Mamantowem i ludźmi jego pokroju... o cóż innego pana zdaniem tu w ogóle chodzi? Ale nagle zjawia się pan... wtrąca się w coś, co pana przerasta... coś, czego nie jest pan nawet w stanie zrozumieć...

Rosjanin urwał nagle, nie chcąc — to było oczywiste — powiedzieć więcej, niż zamierzał — i w tym momencie Kelso zdał sobie sprawę, że widział go już wcześniej.

— Był pan tam, prawda? — powiedział. — Kiedy poszedłem z nim porozmawiać? Siedział pan w ładzie przed jego blokiem...

Mówił jednak sam do siebie. Blondyn ruszył z powrotem do samochodu.

- Odwieźcie go do Ukrainy — polecił kierowcy — a potem wróćcie tu po mnie. Chcę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Kim pan jest?

— Niech pan jedzie. I dziękuje losowi.

„
*?!”

Kelso zawahał się, ale nagle zdał sobie sprawę, że jest zbyt zmęczony, żeby się kłócić. Odrętwiały i pokonany, wsiadł do samochodu. Blondyn zatrzasnął za nim mocno tylne drzwi, kierowca zapalił silnik. Kelso przymknął powieki i ponownie ujrzał obracające się w ciemności ciało Rapawy. Łup. Łup. Otworzył oczy i zobaczył, że to blondyn puka w szybę. Opuścił ją.

165

— Ostatnia myśl. — Rosjanin znowu starał się być uprzejmy. Nawet się uśmiechnął. — Zakładamy oczywiście, że notes ma teraz Mamantow. Ale czy wziął pan pod uwagę inną możliwość? Niech pan pamięta, że Papu Rapawa wytrzymał w pięćdziesiątym trzecim sześć miesięcy przesłuchań, a potem spędził piętnaście lat na Kółymie. Niewykluczone, że Mamantowowi i jego znajomym nie udało się złamać go w jeden wieczór. To tylko hipoteza, lecz wyjaśnia poniekąd... okrucieństwo, z jakim go potraktowali. Byli sfrustrowani. W takim wypadku, kogo chciałby pan na miejscu Mamantowa przesłuchać w następnej kolejności? — Rosjanin stuknął w dach samochodu. — Pogodnych snów w Nowym Jorku.

Suworin patrzył, jak samochód podskakuje na wybojach i znika z pola widzenia, a później odwrócił się w stronę rzeki i pałac fajkę, ruszył nabrzeżem aż do osadzonego w betonie dużego metalowego pala, do którego cumowano statki za komunizmu, nim prawa rynku doprowadziły do tego, co nie udało się nigdy bombowcom Hitlera, i doki zostały zamknięte. Rola, którą odgrywał przed Anglikiem, zmęczyła go. Wytarł słupek chusteczką, usiadł na nim i wyciągnął kopię zeznania doktora Kelso. Żeby napisać tak dużo — około dwóch tysięcy słów — w tak krótkim czasie, z taką jasnością i po takich przejściach... Potwierdzało to intuicję Suworina: ten facet, Fluke, był całkiem sprytny.

Kłopotliwy. Uparty. Sprytny.

Trzymając w ręku złoty automatyczny ołówek, przerzucił ponownie kartki i zaczął robić listę spraw, które powinien sprawdzić Netto. Muszą wybrać się na Wspólny Pierieulok — odwiedzić dom Berii. Muszą odnaleźć córkę Rapawy. Muszą sporządzić listę wszystkich mieszkających w rejonie Moskwy ekspertów od starych dokumentów, którym Mamantow mógł pokazać zeszyt z prośbą o potwierdzenie jego autentyczności. A także wszystkich grafologów. Powinni skontaktować się z kilkoma lojalnymi historykami i poprosić ich o najbardziej prawdopodobne hipotezy w kwestii, co

taki zeszyt może zawierać. Powinni, powinni, powinni. Miał wrażenie, że próbuje gołymi rękoma wepchnąć benzynę do cylindra.

Wciąż pisał, gdy wrócili Netto i kierowca. Wstał sztywno. Ku swemu zdenerwowaniu odkrył, że słupek zostawił rdzawą plamę na jego pięknym płaszczu, i przez większą część jazdy do Jaseniewa obsesyjnie tartał materiał, próbując go oczyścić.

Rozdział 12

Pokój pogrążony był w mroku, tanie nylonowe zasłony zasunięte. Kelso odsunął je. W powietrzu unosił się dziwny zapach talku, a może płynu po goleniu. Eau Sauvage? Blondyn używał Eau Sauvage. Kelso podniósł słuchawkę telefonu i usłyszał ciągły sygnał. Poczul, że brakuje mu tchu. Ciarki chodziły mu po plecach. Miał ochotę na whisky, ale minibarek był wciąż pusty po popijawie z Rapawą; została w nim tylko woda mineralna i sok pomarańczowy. I miał ochotę się wykapać, lecz w wannie nie było korka.

Domyślał się teraz, kim był blondyn. Znał ten typ ludzi — gładkich, elegancko ubranych, zeuropeizowanych, wykorzenionych — zbyt bystrych, by należeli do tajnej policji. Od ponad dwudziestu lat spotykał ich na przyjęciach w ambasadzie, odrzucał subtelne zaproszenia na lunch i na drinka, słuchał ostrożnie niedyskretnych żartów na temat życia w Moskwie. W swoim czasie nazywali się Pierwszym Dyrektoriatem KGB, obecnie SWR. Nazwa zmieniła się, zadania pozostały te same. Blondyn był agentem wywiadu. I prowadził dochodzenie w sprawie Mamantowa. Władimirem Mamantowem zajął się wywiad, co stanowiło swego rodzaju wotum nieufności do FSB.

Na myśl o Mamantowie podszedł szybko do drzwi, za-

mknął je na ciężką zasuwę i założył łańcuch. Przez **ryls|f oko** wizjera widać było pusty korytarz. *msii*

Ale to pan go zamordował... Pan jest zabójcą.

Trząsł się teraz cały, przeżywając opóźniony szok. Czul się brudny, splugawiony. Wspomnienie nocy sprawiało mu fizyczną przykrość.

Wszedł do małej, wyłożonej zielonymi kaflami łazienki, zdjął ubranie, odkręcił najgorętszą, jaką mógł znieść, wodę, po czym wszedł pod prysznic i namydlił się od stóp do głów. Mydliny poszarzały od moskiewskiego brudu. Stał pod parującym wodnym biczem przez dziesięć minut, pozwalając, by siekl jego ramiona i klatkę piersiową, a potem wyszedł z wanny, zachlapując nierówne linoleum. Zapalił papierosa i przesuwał go z jednego kącika ust w drugi i manewrując brzytwą, zaczął się golić. Następnie wytarł się, położył do łóżka i podciągnął kołdrę pod samą brodę. Ale nie zasnął.

Krótko po dziewiątej zadzwonił telefon — jego dźwięk

wwiercał mu się w uszy. Dzwonił bardzo długo, potem umilkł i po chwili odezwał się ponownie. Tym razem jednak telefonujący szybko odłożył słuchawkę.

Kilka minut później ktoś zapukał cicho do jego drzwi.

Bez ubrania czuł się bezbronny. Odczekał dziesięć minut, po czym zrzucił z siebie kołdrę, ubrał się, spakował — nie trwało to długo — i usiadł twarzą do drzwi w jednym z piankowych foteli. Zauważył fałdy na drugim fotelu: wciąż pozostało w nim lekkie wgłębienie po biednym Papu Rapa wie.

O dziesiątej piętnaście, z przeciwdeszczowym płaszczem przewieszonym przez jedną rękę i z walizką w drugiej, Christopher Kelso otworzył zasuwę, zdjął łańcuch w drzwiach, sprawdził korytarz, zjechał ekspresową windą na gwarny parter i oddał klucz w recepcji.

— Profesorze! — zawołał ktoś, kiedy ruszył w stronę wyjścia.

To był O'Brian, który biegł do niego od stoiska z gazetami. Wciąż miał na sobie to samo ubranie co w nocy — dzinsy

169

nie były już tak gładko wyprasowane, T-shirt nie tak biały — i trzymał pod pachą plik gazet. Nie ogolił się. W jasnym świetle dnia wydawał się jeszcze większy.

— Dzień dobry, profesorze. Co słysząc?

Kelso jęknął w głębi duszy, ale udało mu się przywołać na usta uśmiech.

- Niestety wyjeżdżam — oznajmił, pokazując walizkę, torbę i płaszcz.

- Przykro mi to słyszeć. Pozwoli pan, że mu pomogę.

- Nie trzeba. — Kelso próbował go ominąć. — Naprawdę.

- Niech pan da spokój. — Reporter wyciągnął rękę i złapał za uchwyt, miażdżąc przy okazji palce Anglika. W sekundę zabrał mu walizkę i przełożył ją do drugiej ręki, poza jego zasięgiem. — Gdzie idziemy, profesorze? Na dwór?

- Co pan, do cholery, wyprawia? — Kelso ruszył za nim wielkimi krokami. Siedzący w holu ludzie odwrócili się w ich stronę. — Niech pan mi odda moją walizkę!

- To była upojna noc, prawda, profesorze? Ten lokal. I te dziewczyny. — O'Brian potrząsnął głową i wyszczerzył zęby. — A potem odjechał pan, znalazł tego trupa i tak dalej... to musiał być straszny szok. Niech pan uważa, profesorze, wychodzimy.

Dał nurka między skrzydła obrotowych drzwi i Kelso po chwili zrobił to samo. Kiedy wylądował po drugiej stronie, O'Brian miał poważną minę.

- W porządku — oznajmił — przestańmy się bawić w ciuciubabkę. Wiem, co jest grane.

- Proszę mi oddać walizkę.

- Zeszłej nocy postanowiłem zaczekać przed klubem.

Zrezygnować z ziemskich rozkoszy.

- Moja walizka...

- Powiedzmy, że coś mnie tknęło. Zobaczyłem, jak pan wychodzi z dziewczyną. Zobaczyłem, jak ją pan całuje, a potem jak ona daje panu po buzi... swoją drogą, co to wszystko miało znaczyć? Zobaczyłem, jak wsiada pan do jej samochodu. Jak wchodzi pan do tego bloku. I dziesięć minut

później wypada pan stamtąd, jakby gonili pana wszyscy

170

diabli. Potem zobaczyłem, że przyjechała policja. Niezły z pana numer, profesorze. Lubi pan sprawiać niespodzianki.

- A pan jest nudny jak flaki z olejem. — Kelso zaczął wkładać płaszcz, starając się nie pokazywać po sobie wzburzenia. — Co pan, tak naprawdę, robił w Robotniku? I niech pan mi nie mówi, że to był zbieg okoliczności.

- Owszem, bywam w Robotniku — odparł O'Brian. — Lubię, kiedy stosunki międzyludzkie opierają się na zdrowych finansowych zasadach. Dlaczego mieć dziewczynę za darmo, skoro można za nią zapłacić? Oto moja filozofia.

- Boże. — Kelso wyciągnął rękę. — Niech pan mi po prostu odda walizkę.

- Dobrze, już dobrze. — O'Brian obejrzał się przez ramię. Autobus, który miał odwiedzić historyków na lotnisko, stał w tym samym miejscu, gdzie zawsze. Moldenhauer robił zdjęcie Saundersowi na tle hotelu. Olga przyglądała im się z rozrzewnieniem. — Jeśli chce pan znać prawdę, to Adelman.

Kelso odchylił powoli głowę do tyłu.

- Adelman?

- Tak, wczoraj na sympozjum. W trakcie **porannej przerw**y zapytałem go, gdzie pan się podział, i **odparty** **Że szuka** pan jakichś papierów Stalina.

- Powiedział to panu Adelman?

- Niech pan mi nie mówi, że tak bardzo mu pan ufał... — O'Brian uśmiechnął się. — Zapach sensacji sprawia, że *paparazzi* wyglądają przy was jak chłopcy z kościelnego chóru. Adelman zaproponował mi interes. Dzielimy się na pół. Powiedział, że powinienem znaleźć te papiery, zobaczyć, czy coś w nich jest, a jeśli tak, on potwierdzi ich autentyczność. Powtórzył mi wszystko, co pan mu powiedział.

- Łącznie z Robotnikiem?

- Łącznie z Robotnikiem.

- Sukinsyn.

Olga robiła teraz zdjęcie Moldenhauerowi i Saundersowi. Stali nieśmiało obok siebie i Kelso uświadomił sobie nagle, że są gejami. Dlaczego nie zwrócił na to wcześniej uwagi? Ten wyjazd obfitował w same niespodzianki...

- Spokojnie, profesorze. Niech pan się tak na mnie nie gniewa. I nie gniewa się na Adelmana. To niesamowita historia. Niesamowita. I zapowiada się coraz lepiej. Nie tylko znalazł pan tego biednego sukinsyna wiszącego w szybie windy z własnym fiutem w ustach, ale oznajmił pan milicji, że sprawcą jest nie kto inny jak Władimir Maman-tow. I to nie wszystko... całe śledztwo zostało teraz zamknięte na rozkaz Kremla. Tak w każdym razie słyszałem. Co pana tak bawi?

- Nic. — Kelso nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl o blondynie. *{Nie chcemy, żeby moskiewscy korespondenci wszystko nam zadeptali...}* — To jedno muszę panu przyznać, panie O'Brian. Ma pan dobre kontakty.

Reporter machnął lekceważąco ręką.

— Nie ma w tym mieście sekretu, którego nie można by kupić za butelkę szkockiej i pięćdziesiąt dolców. I, człowieku, mówię ci, ludzie są tutaj wściekli. Przeciekają niczym reaktor

171

atomowy. Nie lubią, kiedy inni mówią im, co mają robić.

Kierowca autobusu nacisnął klakson. Saunders był już w środku. Moldenhauer wyjął chusteczkę, żeby pomachać na pożegnanie. Kelso spojrzął na tkwiące za szybą niczym rybki w akwarium blade twarze innych historyków.

- Naprawdę powinien mi pan oddać walizkę. Muszę jechać — powiedział.

- Nie może pan tak po prostu zwać, profesorze — zachnął się O'Brian, lecz w jego głosie pobrzmiwał ton klęski i tym razem pozwolił Anglikowi złapać za uchwyt walizki. — Nie wygłupiaj się, Fluke, zgódź się na mały wywiadzik. No to chociaż krótki komentarz? — Deptał mu po piętach niczym namolny żebrak. — Potrzebuję wywiadu, żeby ruszyć tę sprawę z miejsca.

- To byłoby nieodpowiedzialne.

- Nieodpowiedzialne? Bzdury! Nic nie mówisz, bo chcesz zachować wszystko dla siebie! Masz nie po kolei w głowie. Tej historii nie da się utrzymać w tajemnicy. Ujrzy światło dzienne... jeśli nie dzisiaj, to jutro.

- A pan chce ją naturalnie mieć już dzisiaj, zanim na trop wpadnie cała sfora?

172

— Na tym polega moja praca. Naprawdę, profesorze. Niech pan przestanie strugać takiego waśniaka. Wcale się tak bardzo nie różnimy...

Kelso stanął przy drzwiach autobusu, które otworzyły się z pneumatycznym westchnieniem. Z wnętrza dobiegły go ironiczne brawa.

— Do widzenia, panie O'Brian.

Reporter jednak nie chciał dać za wygraną. Wdrapał się na pierwszy schodek i wcisnął Anglikowi plik gazet do kieszeni płaszcza.

— Niech pan zobaczy, co się tutaj dzieje. Niech pan zobaczy. Taka jest Rosja. Nic tutaj nie odkłada się na jutro. Jutro może w ogóle nie być tego kraju. Jest pan... o cholera!

Musiał zeskoczyć, żeby nie przycięły go zamykające się drzwi. Stojąc na ziemi, walnął desperacko w bok autobusu.

- Doktorze Kelso — przywitała go kamiennym tonem Olga.

- Olgo — pozdrowił ją Kelso.

Zrównawszy się z Adelmanem, zatrzymał się i Adelman, który musiał obserwować całą rozmowę, odwrócił wzrok. Za zabloconą szybą widać było reportera, który wracał pochylony, z rękoma w kieszeniach, do hotelu. Biała chusteczka Moldenhauera zatrzepotała na pożegnanie.

Autobus szarpnął. Kelso odwrócił się i ruszył chwiejnym krokiem do tyłu. Usiadł samotnie, tam gdzie zawsze. ;.. ^

Przez pięć minut nie robił nic, gapił się po prostu przez okno. Wiedział, że powinien to wszystko zapisać, zarejestrować fakty, póki miał je świeżo w pamięci. Ale nie był w stanie się do tego zmusić, nie teraz. W tej chwili wszystkie jego myśli wracały do tego samego obrazu — wiszącego w szybie windy człowieka.

Niczym tusza wołowa u rzeźnika...

Szukając papierosów, poklepał się po kieszeniach i wyjął gazety, które dał mu O'Brian. Rzucił je na sąsiednie siedzenie i próbował ignorować. Po kilku minutach zorientował się jednak, że zezuje na odwrócone do góry nogami tytuły,

i niechętnie wziął je do ręki.

; ,i

173

Były to darmowe anglojęzyczne gazetki, które można znaleźć w każdym hotelu: nic specjalnego.

„Moscow Times”. Z kraju: prezydent był znowu albo chory, albo pijany, albo jedno i drugie. Kanibal w regionie kemerowskim zabił podobno i zjadł osiemdziesiąt osób. Agencja Interfaks donosiła, że sześćdziesiąt tysięcy dzieci nocuje codziennie na ulicach Moskwy. Gorbaczow nagrał kolejną telewizyjną reklamę dla Pizza Hut. Grupa protestująca przeciwko planom usunięcia zmumifikowanego ciała Lenina z mauzoleum na placu Czerwonym podłożyła bombę na stacji metra Nagornaja.

Z zagranicy: Międzynarodowy Fundusz Walutowy zagroził cofnięciem siedmiuset milionów dolarów pomocy, jeśli Moskwa nie zredukuje deficytu budżetowego.

Gospodarka: w bankach odsetki trzykrotnie wzrosły, na giełdzie ceny spadły do połowy.

Wiadomości religijne: dziewiętnastoletnia zakonnica z dziesięcioma tysiącami wyznawców przepowiedziała, że w dniu Wszystkich Świętych nastąpi koniec świata. Po rejonie Czarnej Ziemi obwożono posąg Najświętszej Panny, która płakała najprawdziwszymi krwawymi łzami. Święty mąż z Tarko-Sele mówił wieloma językami. Pojawili się fakirzy, zielonoświątkowcy, uzdrowiacze przez wiarę, szamani, cudotwórcy, anachoreci, marabuci oraz skopcy, którzy uważali się za wcielenie Pana. Przypominało to czasy Rasputina. W całym kraju pełno było krwawych wróżb i fałszywych proroków.

Kelso wziął do ręki drugą gazetę. Nazywała się „The eXile” i przeznaczona była dla pracujących w Moskwie młodych ludzi z Zachodu, takich jak O'Brian. Tu o religii nie było nic, za to dużo o przestępczości:

We wsi Kamienska w obwodzie smoleńskim, gdzie zbankrutował kolchoz, a państwowi pracownicy od roku nie dostają pensji, ulubionym letnim zajęciem miejscowych nastolatków jest wystawanie przy szosie z Moskwy do Mińska i wącianie benzyny, którą kupują za rubla w półlitrowych kubkach. W sierpniu dwaj najbardziej zagorzali

174

wącacze benzyny, jedenastoletni Paweł Michejenkow i trzynastoletni Anton Maliarenko, udoskonalili swoją dotychczasową rozrywkę — torturowanie kotów — przywiązując do drzewa pięcioletniego chłopca, Saszę Petroczenkowa, i paląc go żywcem. Maliarenko został deportowany do rodzinnego Taszkientu, Michejenkow musiał jednak zostać w Kamieńce i nie spotkała go żadna kara: wysłanie go do poprawczaka kosztowałoby piętnaście tysięcy rubli, a gmina nie ma tylu pieniędzy. Matce ofiary, Swietłanie Petroczenkowej powiedziano, że może wysłać tam zabójcę syna, jeśli znajdzie fundusze; jeśli nie, musi mieszkać z nim w jednej wiosce. Według policji, Michejenkow od czwartego roku życia pija regularnie wódkę ze swoimi rodzicami.

Kelso odwrócił szybko stronę i znalazł przewodnik po moskiewskich nocnych lokalach. Bary dla gejów — Dykę,

The Three Monkeys, Queer Nation; kluby ze striptizem: Nevada, Rasputin, The Intim Peep Show; nocne kluby: Buchenwald (gdzie obsługa nosiła nazistowskie mundury), Bułhakow, Utopia. Poszukał Robotnika. *Żadne miejsce nie ilustruje lepiej niż Robotnik rozpasania Nowej Rosji: kurewskie wnętrza, rozrywające bębunki techno, młodziutkie laski, ochrona ze ..Szklanej Pułapki", czarnoocy bywalcy sączący eviana. Znajdź sobie panienkę i zobacz, jak ktoś pada prze-szyty kulami.*

Brzmi to całkiem trafnie, pomyślał. ' • '

Hala odlotów Szeremietiewa 2 wypełniona była po brzegi ludźmi próbującymi wydostać się z Rosji. Kolejki formowały się niczym komórki pod mikroskopem — wyrastały nie wiadomo skąd, wiły się, pękały, formowały na nowo i łączyły w inne kolejki: kolejki do odprawy celnej, po bilety, do kontroli bagażu, do odprawy paszportowej. Po odstaniu swego w jednej stawało się w następnej. W ciemnej przepastnej hali unosił się kwaśny zapach paliwa lotniczego i kwaśny odór zdenerwowania. Adelman, Duberstein, Byrd,

175

Saunders, Kelso oraz dwaj Amerykanie, którzy mieszkali w hotelu Mir — Pete Maddox z Princeton i Vobster z Chicago — stanęli na końcu najbliższej kolejki, a Olga poszła zobaczyć, czy nie uda się przyspieszyć odprawy.

Po kilku minutach wciąż stali w tym samym miejscu. Kelso ignorował Adelmiana, który siedział na swojej walizce, czytając z olbrzymim zainteresowaniem biografię Czechowa. Sfrustrowany Saunders wzdychał i wymachiwał rękoma. Maddox zniknął gdzieś i po chwili wrócił z wiadomością, że celnicy sprawdzają każdą torbę.

- Cholera, a ja kupiłem ikonę — poskarżył się Duberstein. — Wiedziałem, że nie powinienem kupować ikony. Nie dam rady jej wywieźć.

- Gdzie ją kupiłeś?
- W tej wielkiej księgarni na Nowym Arbacie.
- Daj ją Oldze. Ona ją przesznuje. Ile zapłaciłeś?
- Pięćset dolców.
- Pięćset?

Kelso przypomniał sobie, że nie ma pieniędzy. W rogu hali był kiosk z gazetami. Musiał kupić papierosy. Jeśli poprosi o miejsce dla palących, nie będzie siedzieć razem z innymi.

— Mógłbyś mi pożyczyć dziesięć dolców, Phil? — zwrócił się do Dubersteina.

Ten zaczął się śmiać.

— A co masz zamiar zrobić, Fluke? Kupić notes Stalina? Saunders zachichotał. Velma Byrd podniosła dłoń do ust i odwróciła wzrok.

Kelso spojrział z niedowierzaniem na Adelmiana.

— Im też powiedziałeś?

- Dlaczego nie? — Adelman polizał palec i odwrócił stronę, nie podnosząc oczu. — Czy to jakiś sekret?

- Wiesz co? — Duberstein wyciągnął portfel. — Masz tu dwadzieścia. Dla mnie też kup jeden.

Wszyscy się roześmieli, tym razem otwarcie, czekając, co zrobi Kelso.

— Dobrze, Phil — odparł półgłosem, biorąc pieniądze. —

Wiesz, co ci powiem? Zawrzyjmy umowę. Jeśli notes Stalina

176

zostanie odkryty przed końcem roku, zatrzymam po prostu tę dwudziestkę i będziemy kwita. Ale jeśli nie zostanie odkryty, zapłacę ci tysiąc dolarów.

Maddox zagwizdał cicho.

- Pięćdziesiąt do jednego — stwierdził Duberstein, przykrywając ślinę. — Proponujesz pięćdziesiąt do jednego?

- Umowa stoi?

- Jasne. — Duberstein znowu się roześmiał, ale tym razem nerwowo. Spojrzał na pozostałych. — Słyszeliście to wszyscy?

Słyszeli. Gapili się na Anglika. A dla niego było to warte dziesięć tysięcy dolarów — to, jak w tej chwili wyglądali: zaskoczeni, przejęci, spanikowani. Nawet Adelman na chwilę zapomniał o swojej książce.

— Nigdy nie zarobiłem tak łatwo dwudziestu dolarów — stwierdził, po czym schował banknot do kieszeni i złapał za uchwyt walizki. — Zajmiecie mi kolejkę?

Ruszył przez zatłoczony terminal, szybko, póki miał nad nimi przewagę, przeciskając się między ludźmi i stertami bagażu. Wypełniała go dziecinna radość. Kilka przelotnych triumfów tu i tam... czegoż więcej człowiek może oczekiwać w tym życiu?

Przez ryczący megafon zachrypnięta kobieta podała komunikat o odlocie samolotu Aeroflotu do Delhi.

W kiosku sprawdził szybko, czy mają *paperback* jego książki. Naturalnie nie mieli. Spojrzał na półkę z czasopismami. „Time” i „Newsweek” z zeszłego tygodnia i aktualny „Der Spiegel”. Weźmie „Spiegla”. Dobrze mu zrobi. I na pewno starczy na jedenaście godzin lotu. Wyłowił z kieszeni banknot Dubersteina i podszedł do lady. Przez szklaną ścianę widział mokry beton, stojące w korku samochody, taksówki i autobusy, szare budynki, porzucone wózki, obserwowaną go bladą dziewczynę z przyciętymi krótko ciemnymi włosami. Odwrócił od niej obojętnie wzrok i nagle zastygł w bezruchu.

Odłożył magazyn na półkę i wrócił do okna. To była ona, bez dwóch zdań. Stała samotnie w dżinsach i obszytej barankiem skórzanej kurtce. Jego oddech osiadł mgiełką

177

na zimnej szybie. Zaczekaj, powiedział bezgłośnie. Wpatrywała się w niego martwym wzrokiem. Wskazał na jej stopy. Zostań tam.

Zęby się z nią spotkać, musiał się od niej oddalić, idąc wzdłuż szklanej ściany i szukając jakiegoś wyjścia. Pierwsze drzwi były zagrodzone łańcuchem. Drugie otworzyły się. Na dworze było zimno i mokro. Stała jakieś pięćdziesiąt metrów od niego. Spojrzał z powrotem na zatłoczoną halę — nie widział stąd innych uczestników sympozjum — a potem na nią. Zaczęła się oddalać, przechodząc przez pasy dla pieszych i nie zwracając uwagi na samochody. Zawahał się: co robić? Na chwilę zasłonił ją autobus i to pomogło mu się zdecydować. Złapał swój bagaż i ruszył za nią truchtem. Prowadziła go za sobą jak na sznurku, zawsze zachowując ten sam dystans. Kiedy znaleźli się na dużym otwartym parkingu, zgubił ją.

Szare niebo, śnieg i zamarzająca breja. Zapach lotniczej

benzyny, tu o wiele silniejszy. Kolejne rzędy pudełkowatych samochodów, niektóre przysypane bielą, inne pokryte cienką warstwą błota. Kelso szedł, nie zatrzymując się. Powietrzem wstrząsnął huk. Wielki stary tupolew przeleciał dokładnie nad jego głową, tak nisko, że widział nitki rdzy w miejscach, gdzie zespawano płyty kadłuba. Instynktownie pochylił głowę i w tym samym momencie zza rzędu samochodów wyjechała powoli piaskowego koloru łada i zatrzymała się z pracującym silnikiem.

Nawet w tym momencie nie ułatwiła mu zadania. Nie podjechała tam, gdzie przystanął; musiał do niej podejść. Nie otworzyła drzwi; musiał sam to zrobić. Nie odezwała się; to on musiał przerwać milczenie. Nie powiedziała mu nawet, jak ma na imię — w każdym razie nie wtedy; odkrył to później. Nazywała się Zinajda. Zinajda Rapawa.

Wiedziała, co się stało, poznał to po rysach jej twarzy i poczuł ulgę zmieszaną z poczuciem winy, ponieważ nie musiał przynajmniej jej o tym poinformować. Zawsze oblatywał go strach, gdy trzeba było przekazać złe wieści — to

178

stanowiło jedną z przyczyn, dla których trzy razy się ożenił. Usiadł na przednim siedzeniu i położył sobie na kolanach walizkę. Ogrzewanie było włączone. Wycieraczki przesuwają się co kilka sekund po brudnej szybie. Wiedział, że będzie musiał szybko coś powiedzieć. Odlot Deltą do Nowego Jorku był jedynym punktem programu sympozjum, z którego nie zamierzał raczej zrezygnować.

- Powiedz, jak mogę ci pomóc.
- Kto go zabił?
- Człowiek, który nazywa się Władimir Mamantow.

Były kagebista. Znał twojego ojca z dawnych czasów.

— Z dawnych czasów... — powtórzyła z goryczą.

Cisza — dość długa, żeby wycieraczki zdążyły raz i drugi przejechać po szybie.

- Skąd wiedziałas, jak mnie znaleźć?
- Przekleństwo całego mojego życia: dawne czasy.

Kolejny tupolew przeleciał z hukiem nad ich głowami.

— Posłuchaj — powiedział. — Muszę zaraz iść. Nie mogę się spóźnić na samolot do Nowego Jorku. Kiedy tam dotrę, mam zamiar wszystko opisać... słuchasz mnie? Przyślę ci kopię. Powiedz mi, gdzie mam ją przesłać. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, pomogę.

Ciężko było mu się ruszać z walizką na kolanach. Rozpiął płaszcz i sięgnął niezgrabnie do wewnętrznej kieszeni po pióro. Nie słuchała go. Patrząc w przednią szybę, mówiła w zasadzie sama do siebie.

— Nie spotykałam się z nim od wielu lat. Po co miałabym to robić? Zanim poprosił mnie pan, żeby go tam zawieźć, nie byłam w tych slumsach od ośmiu lat. — Po raz pierwszy odwróciła się do niego twarzą. Zmyła makijaż. Wyglądała młodziej i ładniej. Jej skórzana kurtka była stara, zapięta pod samą szyję. — Po tym, jak pana zostawiłam, pojechałam do domu. Ale wróciłam tam. Musiałam... rozumie pan... odkryć, co się dzieje. W całym moim życiu nie widziałam tylu gliniarzy. Wtedy już pana zabrali. Nie powiedziałam, kim jestem. Nie gliniarzom. Musiałam to wszystko przemyśleć. Chciałam... — zaczęła i umilkła. Sprawiała wrażenie

- Jak masz na imię? — zapytał. — Gdzie można cię znaleźć?
- Rano pojechałam do hotelu Ukraina. Zadzwoiłam do pana. Poszłam na górę do pokoju. Kiedy powiedzieli, że się pan wymeldował, przyjechałam tutaj i czekałam.
- Nie możesz mi po prostu powiedzieć, jak masz na imię? — Kelso spojrzął na zegarek. — Nie mogę się spóźnić na ten samolot, rozumiesz?
- Nie proszę o żadną przysługę — oświadczyła ostro. — Nigdy o nic nie proszę.
- Nie przejmuj się. Chcę pomóc. Czuję się odpowiedzialny.
- Więc niech mi pan pomoże. On powiedział, że mi pan pomoże.
- On?
- Chodzi o to, że coś mi zostawił. — Skórzana kurtka zaskrzypiała, gdy rozpinąła suwak. Wsunęła dłoń do środka i wyjęła kartkę papieru. — Coś, co jest dużo warte... W skrzynce na narzędzia... Powiedział, że może mi pan powiedzieć, co to jest

Rozdział 13

*

Jadąc z lotniska, dotarli do szosy petersburskiej i skręcili na południe w stronę miasta. Olbrzymia ciężarówka z kołami, które sięgały dachu łądy, wyprzedziła ich, ochlapując błotem. Prąd powietrza zakołysał samochodem.

Kelso obiecał sobie, że się nie obejrzy, ale oczywiście zrobił to — przypominający wielki szary transatlantyk budynek terminalu zniknął właśnie za szpalerem brzoź. W oddali widać było tylko kilka przyćmionych świateł, a potem i one zgasły.

Skrzywił się i o mało nie poprosił dziewczyny, żeby go odwiozła. Zerknął na nią z ukosa. W sfatygowanej lotniczej kurtce wyglądała jak nieustraszona pilotka za sterami swojej poobijanej maszyny.

- Kto to jest Sergo?
- Mój brat. — Zerknęła w tylne lusterko. — Nie żyje.

Obrócił w palcach list i ponownie go przeczytał. Szorstki papier. Kilka zdań skreślonych pospiesznie ołówkiem. Kartka wciśnięta była pod drzwi jej mieszkania, tak w każdym razie twierdziła. Znalazła ją, kiedy wróciła do domu po odwiezieniu go pod blok ojca.

Pozdrawiam cię, maleńka!

Byłem zły, masz rację. Wszystko, co powiedziałaś, to szczerą prawdą. Nie myśl, że o tym nie wiem. Ale jest •

szansa zrobić coś dobrego. Nie pozwoliłaś mi tego powiedzieć wczoraj, więc słuchaj teraz. Pamiętasz tę budkę, którą miałem, kiedy jeszcze żyła mama? Wciąż tam stoi. I jest

tam skrzynka na narzędzia z prezentem dla ciebie, czymś, co jest dużo warte.

Sluchasz mnie, Zinajdo?

Nie przytrafi mi się nic złego, ale jeśli się przytrafi — zabierz tę skrzynkę i dobrze ją ukryj. Ale to może być niebezpieczne, więc uważaj na siebie. Przekonasz się, co mam na myśli.

Zniszcz ten list.

Całuję cię, moja maleńka.

Papa.

Jest pewien Brytyjczyk, nazywa się Kelso, znajdziesz go w hotelu Ukraina. Zna całą historię. Pamiętaj o swoim papie!

Całuję cię jeszcze raz, Zinajdo.

Pamiętaj o Sergu!!!

— Więc przyszedł, żeby się z tobą zobaczyć... kiedy to było? Przedwczoraj?

Kiwnęła głową, nie odwracając się w jego stronę, całą uwagę skupiając na drodze.

- Spotkaliśmy się po raz pierwszy od prawie dziesięciu lat.
- Nie byliście w najlepszych stosunkach?
- Domyślny z pana facet. — Zaśmiała się z sarkazmem: szybki, chrapliwy wydech. — Owszem, nie byliśmy w najlepszych stosunkach.

Nie zwracał uwagi na jej agresywne zachowanie. Miała do niego prawo.

- Jak się zachowywał, kiedy go po raz ostatni widziałś? — zapytał.
- To znaczy?
- W jakim był nastroju?
- Drańskim. Jak zawsze. — Zerknęła w tylne lustro. — Musiał czekać przez całą noc przed moim blokiem. Wróciłam koło szóstej. Byłam w klubie, no wie pan, praco-

182

wałam. Kiedy tylko mnie zobaczył, narobił krzyku. Zobaczył moje ubranie. Wyzwał mnie od dziwek.

Potrząsnęła głową na samo wspomnienie.

- Co się potem stało?
- Ruszył za mną. Do mojego mieszkania. Jeśli mnie uderzysz, powiedziałam, wydrapię ci oczy. Nie jestem już twoją małą dziewczynką. To go trochę uspokoiło.
- Czego chciał?
- Porozmawiać, tak twierdził. To był szok, po tylu latach. Nie sądziłam, że wie, gdzie mieszkam. Nie wiedziałam nawet, czy jeszcze żyje. Myślałam, że na dobre się od niego uwolniłam. Ale on wiedział, oznajmił mi, wiedział od dawna, gdzie mieszkam. Czasami przychodził i mnie obserwował. Nie uwolnisz się tak łatwo od przeszłości, powiedział. Po co do mnie przyszedł? — Spojrzała na Anglika pierwszy raz, odkąd wyjechali z lotniska. — Może mi pan to powiedzieć?
- O czym chciał porozmawiać?
- Nie wiem. Nie słuchałam. Nie chciałam, żeby włął do mojego mieszkania i oglądał moje rzeczy. Nie chciałam słuchać jego opowieści. Zaczął nawijać o swoim pobycie w obozach. Dałam mu trochę papierosów, żeby się go pozbyć, i kazałam mu się wynosić. Byłam zmęczona i mu-

siałam iść do pracy.

- Do pracy?
 - W ciągu dnia pracuję w GUM-ie. Wieczorami studiuje prawo. W niektóre noce puszczam się. Dlaczego? Co się panu nie podoba?
 - Prowadzisz barwne życie.
 - Muszę.
- Próbował wyobrazić ją sobie za ladą GUM-u.
- Co sprzedajesz?
 - Co?
 - W domu towarowym. Co sprzedajesz?
- Nic. — Ponownie zerknęła w lusterko. — Pracuję w centrali telefonicznej.

Bliżej miasta droga była zakorkowana. Posuwali się noga za nogą. Gdzieś z przodu doszło do wypadku. Rozklekotana

183

skoda wjechała w bagażnik dużego starego ziguli. Na dwóch pasach leżały okruchy szkła i fragmenty metalu. Na miejscu była milicja. Jeden kierowca uderzył chyba drugiego; pobity miał plamy krwi na koszuli. Kiedy mijali milicjantów, Kelso odwrócił głowę w drugą stronę. Korek rozładował się. Przyspieszyli.

Próbował zebrać to wszystko razem: dwa ostatnie dni życia Papu Rapawy. Wtorek, dwudziesty siódmy października: idzie do swojej córki po raz pierwszy od dziesięciu lat, ponieważ, jak twierdzi, chce z nią pogadać. Ona wyrzuca go, dając mu na odczepnego paczkę papierosów i kartonik klubowych zapalek z napisem „Robotnik”. Po południu Rapawa pojawia się ni stąd, ni zowąd w Instytucie Marksizmu-Leninizmu i wysłuchuje wykładu Fluke'a Kelso na temat Józefa Stalina. Potem idzie za nim do hotelu Ukraina i siedzi tam całą noc, pijąc. I gadając. Gadając jak najęty. *Może opowiedział mi to, co opowiedziałby swojej córce, gdyby chciała go wysłuchać.*

O świcie opuszcza hotel. Jest środa, dwudziesty ósmy października. Co robi po wyjściu bladym rankiem na ulicę? Czy idzie na Wspólny Pierieulok do opuszczonego domu i odkopuje sekret swojego życia? Musiał to zrobić. Następnie ukrywa go i zostawia córce liścik informujący, gdzie może to znaleźć. (Pamiętasz tę budkę, którą miałem, kiedy jeszcze żyła mama?). Potem, po południu, dopadają go zabójcy. A on albo mówi im wszystko, albo nie mówi, a jeżeli nie mówi, to na pewno w jakimś stopniu z miłości. Żeby jedyna posiadana przez niego rzecz, która może mieć jakąś wartość, nie wpadła w ich ręce, lecz dostała się w ręce córki.

Boże, pomyślał Kelso, co za zakończenie. Co za śmierć... jak bardzo pasująca do całego życia.

- Musiał cię bardzo kochać — powiedział. Zastanawiał się, czy Zinajda wie, jak zginął jej ojciec. Jeśli nie, i tak nie potrafił jej tego powiedzieć. — Musiał cię kochać, skoro do ciebie przyszedł.
- Nie sądzę. W przeszłości bił mnie. Bił moją matkę. I brata. — Zerknęła w lusterko. — Lał mnie, kiedy byłam

184

mała. Co może wiedzieć małe dziecko? — Potrząsnęła głową. — Nie sądzę.

Kelso próbował sobie wyobrazić ich czworo w małym

mieszkanku. Gdzie spali jej rodzice? Na materacu w salonie? I Rapawa, po piętnastu latach na Kołymie — agresywny, niestabilny, duszący się w ciasnocie. Niełatwo było o tym myśleć.

- Kiedy umarła twoja matka?
- Czy przestaniesz pan kiedyś zadawać pytania?

Zjechali z szosy na ukończoną tylko w połowie estakadę. Jedno pasmo zakręcało niczym wodna zjeżdżalnia, kończąc się nagle rzędem ociekających metalowych prętów i trzy-metrowym uskokiem.

— Kiedy miałam osiemnaście lat, jeśli to pana interesuje.

Otaczająca ich brzydota miała w sobie coś heroicznego. W Rosji stacją było na to, żeby zaistnieć: zająć swoje miejsce w czasie i przestrzeni. Drugorzędne drogi szerokie jak autostrady, z kałużami wielkości sadzawek. Każde betonowe blokowisko, każdy plujący dymem zakład przemysłowy miał wokół siebie nieużytki, które mógł zanieczyszczać. Kelso przypomniał sobie poprzednią noc — długi bieg z bloku numer dziewięć do bloku numer osiem, żeby podnieść alarm: bieg, który nie miał końca, niczym wędrówka w sennym koszarze.

W dziennym świetle dom Rapawy wydawał się jeszcze bardziej zniszczony niż w ciemności. Przy oknach na drugim piętrze, gdzie podpalono mieszkanie, widniały smugi sadzy. Przed klatką kłębił się tłum ludzi i Zinajda zwolniła, żeby mogli im się lepiej przyjrzeć.

O'Brian miał rację. Wiadomość rozeszła się lotem ptaka. To nie ulegało kwestii. Samotny policjant blokował drzwi, nie dając wejść do środka kilkunastu kamerzystom i reporterom, na których gapili się stojący w półkołu apatyczni sąsiedzi. Jakieś dzieci kopaly piłkę. Inne kręciły się przy eleganckich zachodnich samochodach dziennikarzy.

— Kim on dla nich był? — zapytała nagle Zinajda. — Kim był dla każdego z was? Jesteście jak sępy.

185

Skrzywiła się z niesmakiem i Kelso ponownie zauważył, że зерka w tylne lusterko.

• Ktoś za nami jedzie? — zapytał, gwałtownie się obracając.

• Może. Jakiś samochód. Jechał za nami z lotniska. Ale już go nie widać.

- Jaki samochód? f

Starął się nie podnosić głosu.

- BMW. Siódemka.
- Znasz się na samochodach?

— Jeszcze jakieś pytania? — Ponownie spiorunowała go wzrokiem. — Ojciec interesował się samochodami. Samochodami i towarzyszem Stalinem. Był kierowcą, prawda? Woził jakiegoś dygnitarza w dawnych czasach. Sam pan zobaczy.

Wdepnęła pedał gazu.

Ona o niczym nie wie, pomyślał Kelso. Nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Zaczął się zastanawiać, co teraz zrobić: rozejrzy się szybko, żeby sprawdzić, czy nie ma tam skrzynki na narzędzia (nie będzie jej), a potem poprosi Zinajdę, żeby odwiozła go z powrotem na lotnisko, i spróbuje przekonać ludzi z Deltę, żeby pozwolili mu polecieć następnym rejssem.

Dwie minuty później skręcili z ulicy w błotnistą polną drogę. Minęli brzozy zagajnik i wyjechali na pole, które podzielono na małe działki. Jakaś świnia ryła w zagrodzie skleconej z powiązanych drutem samochodowych drzwiczek. Dalej zobaczył kilka wychudzonych kurczaków i przemrożone warzywa. Dzieci zdążyły ulepić bałwana z wczorajszego śniegu. Roztopiony przez mżawkę, sprawiał groteskowe wrażenie: leżący w błocie poleć białego tłuszczu.

Ten wiejski obrazek zamknięty był z prawej strony przez rząd garaży. Na długim płaskim dachu leżały szczątki kilku małych aut — czerwone od rdzy szkielety ogołocone z szyb, silników, opon i tapicerki. Zinajda zgasiła silnik i wysiedli. Jakiś starszy mężczyzna oparł się o szpadel i zaczął na nich gapić. Zinajda odwzajemniła jego spojrzenie, opierając dło-

186

nie na biodrach i po chwili staruch splunął na ziemię i wrócił do kopania.

Miała klucz. Kelso odwrócił się i spojrzał na pustą drogę. Zdrętwiały mu ręce. Schował je do kieszeni płaszcza. Z nich dwojga to ona była spokojna. Miała długie do kolan skórzane botki i nie chcąc ich ubrudzić, stąpała ostrożnie po błocie. Kelso znowu się obejrzał. Wcale mu się to nie podobało: samosiejki brzoź, wraki samochodów, ta wprawiająca go w zakłopotanie kobieta, która odgrywała coraz to nowe role: telefonistki w GUM-ie, przyszłej pani adwokatkę, dziwki na ćwierć etatu, a teraz znowu bezdusznej córki.

- Skąd masz klucz? — zapytał.
- Zostawił mi razem z listem.
- Nie rozumiem, dlaczego nie przyjechałaś tutaj od razu.

Do czego ci jestem potrzebny?

• Potrzebuję pana, bo nie wiem, czego szukam. Idzie pan, czy nie? — Próbowała wsadzić klucz do dziurki w wielkiej kłódce najbliższego garażu. — No właśnie, czego szukamy?

- Zeszytu.
- Co?

Przestała majstrować przy kłódce i wlepiła w niego wzrok.

• Zeszytu w czarnej ceratowej okładce, który należał kiedyś do Józefa Stalina — powtórzył znajomą frazę. Stała się jego mantrą. (Nie będzie go tutaj, pomyślał ponownie. To święty Graal. Najważniejsze jest samo poszukiwanie. To rzecz, której nigdy nie powinno się znaleźć).

• Zeszytu Stalina? Ile może być wart?
• Ile może być wart? — zapytał takim tonem, jakby nigdy przedtem nie przyszło mu to do głowy. — Ile może być wart? — powtórzył. — Trudno jest podać dokładną kwotę. Na świecie są bogaci kolekcjonerzy. Zależy, co w nim jest. — Rozłożył ręce. — Może pół miliona.

- Rubli?
- Dolarów.

— Dolarów? Cholera. Cholera!

Znowu zaczęła walczyć z kłódką, teraz niezgrabna w swojej nadgorliwości.

I nagle, obserwując ją, wpadł w ten sam nastrój i zdał

sobie sprawę, po co tu przyjechał. Bo tak naprawdę gra toczyła się o wszystko, czyż nie? O coś więcej niż same pieniądze. Chodziło o rekompensatę. Rekompensatę za

dwadzieścia lat odmrażania sobie tyłka w piwnicznych archiwach, łażenia zimową szarówką na wykłady, najpierw, żeby ich słuchać, potem, żeby je wygłaszać; dwadzieścia lat nau czania, akademickich intryg i pisania książek, które na ogół marnie się sprzedawały — wszystko w nadziei, że któregoś dnia trafi na coś wartościowego, wielkiego, prawdziwego, definitywnego... na kawałek historii, który wyjaśni, dlaczego potoczyła się ona tak, a nie inaczej.

— Daj — powiedział, prawie ją odpychając. — Ja spróbuję.

Poruszył kluczem w zamku. Po chwili udało mu się go przekręcić i kłódka się otworzyła. Przeciągnął łańcuch przez ciężkie skoble.

Zimny oleisty mrok. W środku nie było okien ani prądu. Na gwoździu przy drzwiach wisiała staroświecka lampa parafinowa.

Zdjął ją i potrząsnął: była pełna. Zinajda stwierdziła, że wie, jak ją zapalić. Ukłękła na glinianym klepisku, zapaliła zapałkę i przystawiła do knota. Niebieski płomyk szybko zmienił się w żółty. Zinajda podniosła lampę, a on zatrzasnął drzwi od środka.

Garaż był cmentarzyskiem poustawianych pod ścianami starych części zamiennych. W głębi stał tworzący posłanie rząd samochodowych foteli ze śpiworem i porządnie złożonym kocem. Z belki pod sufitem zwisał bloczek z łańcuchem i hakiem. Pod hakiem, na powierzchni o szerokości półtora i długości dwóch metrów, leżały deski.

- Miał tę budę, jeszcze nim się urodziłam — powiedziała. — Sypiał tutaj, kiedy w domu dochodziło do śpięć.
- Jak często dochodziło do śpięć?
- Często.

Kelso wziął lampę i obszedł dookoła garaż, oświetlając wszystkie kąty. Nigdzie nie zobaczył niczego, co wyglądałoby

188

na skrzynkę na narzędzia. Na roboczym stole leżała cynowa taca z metalową szczotką, jakimiś drażkami, cylindrem oraz małym zwojem miedzianego drutu. Do czego to wszystko mogło służyć? Ignorancja Christophera Kelso w dziedzinie mechaniki była głęboka i bardzo się nią szczycił.

- Miał własny samochód?
- Nie wiem. Reperował je ludziom. Dawali mu różne rzeczy.

Kelso zatrzymał się przy prowizorycznym posłaniu. Coś nad nim zaśniło.

— Spójrz na to — zawołał i podniósł w górę lampę.

Ze starego plakatu spoglądał na nich ponuro towarzysz Stalin. Obok przypiętych było kilkanaście innych, wydartych z czasopism, portretów sekretarza generalnego. Zamyślony Stalin przy biurku. Stalin w futrzanej czapce. Stalin wymieniający uścisk dłoni z jakimś generałem. Martwy Stalin, leżący na katafalku.

— A to kto? Ty?

Kolejna fotografia przedstawiała Zinajdę w wieku około dwunastu lat, w szkolnym mundurku. Dorosła Zinajda podeszła bliżej, zaskoczona.

— Kto by pomyślał? — Roześmiała się nieswojo. — Ja obok Stalina. — Przez chwilę wpatrywała się w zdjęcie. —

Znajdźmy tę rzecz — oznajmiła w końcu, odwracając się. — Nie chcę tu długo siedzieć.

Kelso trącił stopą jedną z desek. Opierała się o drewnianą ramę wpuszczoną w ziemię. To tutaj, pomyślał. Tutaj musiał to schować.

Obserwowani przez towarzysza Stalina zabrali się do pracy, stawiając krótkie deski pod ścianą i odsłaniając głęboki kanał. W słabym świetle wyglądał jak grób. Kelso opuścił niżej lampę. Dno pokrywał udeptany, poplamiony czarnym olejem piasek, boki podstemplowane były starymi belkami, między którymi Rapawa porobił nisze na narzędzia. Kelso oddał lampę Zinajdzie i wytarł dłonie o płaszcz. Dlaczego tak się cholernie denerwował? Usiadł na skraju kanału, zadyndał nogami w powietrzu, a potem ostrożnie spuścił się na dół. Słyszając, jak trzeszcza mu kości, uklęknął

189

i zaczął obmacywać wilgotne ciemne dno. Jego dłońmi tknęły szorstkiej tkaniny.

— Zaświeć tutaj! — zawołał.

Materiał łatwo ustąpił. Pod spodem było coś twardego, owiniętego w gazetę. Podał to Zinajdzie. Postawiła lampę na ziemi i odwinęła pistolet. Zauważył, że jest z nim zaskakująco dobrze obeznana. Wyjęła magazynek, sprawdziła, czy jest pełny — w środku było osiem naboji — wsunęła go z powrotem, po czym odbezpieczyła i zabezpieczyła broń.

- Wiesz, jak to działa?
- Oczywiście. To jego makarow. Kiedy byliśmy mali, nauczył nas, jak się go rozbiera, czyści, jak się strzela. Zawsze trzymał go przy sobie. Mówił, że jeśli będzie musiał, gotów jest zabić.

- Jakie miłe wspomnienia. — Wydawało mu się, że usłyszał jakiś hałas na zewnątrz. — Słyszałaś coś?

Ale ona potrząsnęła głową, zajęta bronią.

Kelso z powrotem ukląkł. Trochę dalej wyczuł kwadratowy bok skrzynki. Z metalu złaziły łuski rdzy i zaschłego błota. Ktoś, kto nie wiedział, czego szuka, nigdy nie zwróciłby na nią uwagi. Rapawa dobrze ją ukrył. Kelso wsunął ręce pod spód i pociągnął.

Skrzynka była ciężka. Rączki kompletnie przerdzewiały. Nie miał ją co chwycić. Przesunął ją na środek kanału, a potem podniósł do góry i przytrzymał przy samym policzku. Zapach zardzewiałej stali przypominał krew z rozbitej wargi. Zinajda pochyliła się, żeby mu pomóc. I w tym momencie stało się coś dziwnego: miał wrażenie, że ze skrzynki sączy się nieziemskie niebieskoszare światło. Powiało chłodem. Dopiero po chwili zobaczył, że drzwi garażu są otwarte i stoi w nich obserwujący ich mężczyzna.

Później zdał sobie sprawę, że to był decydujący moment: wtedy właśnie przestał kontrolować bieg wypadków. Jeśli nie dostrzegł tego od razu, to tylko dlatego, że w tamtej chwili jego główną troską było powstrzymanie Zinajdy przed zrobieniem R. J. O'Brianowi dziury w piersi.

190

Reporter stał przy ścianie z podniesionymi rękoma. Kelso widział, że nie bardzo wierzy w jej groźby. Ale pistolet to pistolet. Czasami wypala przypadkowo. A ten był stary.

— Może mi pan zrobić grzeczność, profesorze, i powiedzieć jej, żeby opuściła tę pukawkę?

Zinajda wbiła ponownie lufę w jego pierś i O'Brian jęknął i podniósł ręce jeszcze wyżej.

Już dobrze, dobrze, mruknął. Przeprasza. Jechał za nimi z lotniska. To nie było takie trudne, na litość boską. Na tym polega jego praca. Jeszcze raz przeprasza.

Jego oczy spoczęły na skrzynce na narzędzia.

— To jest to?

Widząc Amerykanina, Kelso poczuł w pierwszej chwili ulgę: chwała Bogu, że z Szeremietiewa śledził ich O'Brian, a nie na przykład Mamantow. Lecz Zinajda złapała pistolet i kazała mu się cofnąć pod ścianę.

- Zamknij się — warknęła.

- Niech pan posłucha, profesorze. Widziałem, jak te łajzy odjechały. I muszę panu powiedzieć, że narobili wielkiego szumu.

- Odlóż pistolet, Zinajdo — Kelso zwrócił się do niej po rosyjsku. Po raz pierwszy użył jej imienia. — Odlóż go i spróbujmy to jakoś załatwić.

- Nie ufam mu.

- Ja też. Ale co możemy zrobić? Odlóż broń.

- Zinajda? Kim ona jest? Czy ja jej skądś nie znam?

- Odwiedza klub Robotnik — wycedził przez zęby Kelso. — Pozwoli mi pan się tym zająć?

- Naprawdę? Na Boga! — O'Brian przesunął językiem po grubych wargach. W żółtym świetle lampy jego szeroka, dobrze odżywiona twarz wyglądała jak podświetlona na Halloween dynia. — Zgadza się. Oczywiście, że tam bywa. To ta laska, z którą był pan wczoraj wieczór. Miałem wrażenie, że skądś ją znam.

— Zamknij się — powtórzyła.

O'Brian wyszczerzył zęby.

— Słuchaj, Zinajdo, nie musimy ze sobą walczyć. Możemy się podzielić, naprawdę. Podzielić to jakby na trzy części.

191

Mnie interesuje tylko materiał prasowy. Powiedz jej, Fluke. Powiedz, że mogę zachować w tajemnicy jej nazwisko. Ona mnie zna. Zrozumie. To dziewczyna, która ma żyłkę do interesów, prawda, kochanie?

— Co on mówi?

Kelso powtórzył jej.

- *Niet* — odparła. A potem, po angielsku, do O'Briana: — Nie ma mowy.

- Rozśmieszacie mnie, wy oboje — stwierdził reporter. — Historyk i kurwa. Dobrze, powiedz jej coś. Powiedz, że albo się ze mną dogada, albo będziemy tak stać przez godzinę lub dwie i wkrótce zwali się nam na łeb cała moskiewska prasa. I milicja. A może również ci faceci, którzy zabili starego. Powiedz jej to.

Ale Kelso nie musiał tłumaczyć. Zrozumiała.

Stała tam jeszcze z groźną miną przez piętnaście sekund, a potem zabezpieczyła pistolet i powoli opuściła broń.

O'Brian odetchnął z ulgą.

- Swoją drogą, co ona tu w ogóle robi?

- To córka Papu Rapawy.

- Aha.

Amerykanin pokiwał głową. Teraz już wszystko **rozumiał**.

Skrzynka leżała na ziemi. O'Brian nie pozwolił jej otworzyć, nie tak od razu. Chciał uwiecznić podniosły moment dla, jak to ujął, „potomności oraz wieczornego wydania dziennika”. Poszedł po swoją kamerę.

Po jego wyjściu Kelso poczęstował papierosem Zinajdę. Wzięła go i spojrzała mu prosto w oczy, kiedy podał jej ogień. Płomyk zapalki odbił się w jej ciemnych oczach. Przed niespełna dwunastoma godzinami miałaś zamiar pójść ze mną do łóżka za dwieście dolarów, pomyślał. Kim jesteś, do diabła?

- O czym myślisz? — zapytała.
- O niczym. Dobrze się czujesz?
- Nie ufam mu — powtórzyła. Odchyliła do tyłu głowę i wypuściła dym w górę. — Co on tam robi?
- Powiem mu, żeby się pospieszył.

192

Na zewnątrz O'Brian siedział na przednim siedzeniu toyoty land cruiser z napędem na cztery koła i wkładał nowe baterie do niewielkiej kamery wideo. Na widok toyoty Kelso poczuł, jak na nowo ogarnia go niepokój.

- Nie jeździ pan BMW?
- BMW? Nie jestem biznesmenem. Dlaczego miałbym jeździć BMW?

Pole było puste. Stary mężczyzna, który kopał ziemię topatą, zniknął gdzieś.

- Zinajdzie zdawało się, że z lotniska jedzie za nami jakieś BMW. Siódemka.

• Siódemka? Taką jeździ mafia. — O'Brian wysiadł i przystawił kamerę do oka. — Nie przejmowałbym się tak bardzo Zinajdą. To wariatka. — Świnia wylazła ze swojej zagrody i podbiegła do nich truchtem, w nadziei, że dostanie coś do jedzenia. O'Brian zaczął ją filmować. — Świnko, świnko... Pamięta pan, co powiedział człowiek? „Pies spogląda na ciebie z dołu, kot spogląda na ciebie z góry, ale świnia patrzy ci prosto w oczy”. — Reporter obrócił się i wycelował kamerą w twarz Anglika. — Niech pan się uśmiechnie, profesorze. Uczynię pana sławnym.

Kelso zasłonił dłonią obiektyw. : \$. ••

- Niech pan posłucha, panie O'Brian... „' -'.0 ,
- R.J.
- Co oznaczają te inicjały?
- Wszyscy mówią do mnie R.J.
- Dobrze, R.J. Zrobię to dla ciebie. **Pozwolę ci się sfilmować. Ale pod trzema warunkami.** i

- Mianowicie?
- Po pierwsze, przestaniesz mnie, do cholery, nazywać profesorem. Po drugie, nie wymienisz ani razu jej nazwiska. Po trzecie, nic z tego nie zostanie wyemitowane... ani jedna sekunda, rozumiesz...? Dopóki ten zeszyt, czy cokolwiek to jest, nie zostanie sprawdzone przez specjalistów.

- Zgoda. — O'Brian wsunął kamerę do kieszeni. — Może to cię zaskoczy, ale ja też mam reputację, o którą muszę dbać. A z tego, co do mnie dotarło, *doktorze*, jest o wiele lepsza od twojej.

193

Wycelował pilota w toyotę, która miauknęła i zaryglowała drzwi. Kelso rozejrzał się po raz ostatni dookoła i ruszył za

nim do garażu.

O'Brian kazał mu schować skrzynkę z powrotem w kanale i ponownie ją wyciągnąć. Kazał mu to zrobić dwa razy, żeby mógł go sfilmować najpierw z przodu, potem z boku. Zinajda bacznie ich obserwowwała, uważając przez cały czas, żeby nie znaleźć się w kadrze. Palila papierosa za papierosem, drugą dłonią osłaniając obronnym gestem brzuch. Gdy O'Brian nakręcił to, co chciał, Kelso przeniósł skrzynkę na stół i postawił przy niej lampę. Zamiast zamka miała dwa sprężynowe zatrzaski przy obu końcach wieka. Zostały niedawno oczyszczone i naoliwione. Jeden był złamany. Drugi się otworzył.

Proszę cię bardzo, chłopcze.

— Chcę, żebyś opisywał to, co widzisz — powiedział O'Brian. — Komentował to, co się dzieje.

Kelso przyglądał się skrzynce.

- Masz jakieś rękawiczki?
- Rękawiczki?
- Jeśli to, co znajduje się w środku, to autentyk, powinny się tam znajdować odciski palców Stalina. I Berii. Nie chcę zniszczyć dowodów rzeczowych.
- Odciski palców Stalina?
- Oczywiście. Nie słyszałeś o palcach Stalina? Bolszewicki poeta Demian Biedny poskarżył się kiedyś, że nie lubi pożyczać Stalinowi książek, bo zawsze zwraca je z tłustymi odciskami palców na marginesach. Osip Mandelsztam... o wiele większy poeta... usłyszał to i włączył ten obraz do poematu o Stalinie: „Jego palce tłuste jak czerwie” *.
- Jak to się spodobało Stalinowi?
- Mandelsztam zmarł w obozie pracy.
- No tak. Powinienem się chyba tego domyślić. —

* Osip Mandelsztam, „*** Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi” tłumaczył Stanisław Barańczak.

194

O'Brian poszperał w kieszeniach. — W porządku, masz rękawiczki.

Kelso nałożył je. Uszyte z granatowej skóry, były trochę za duże, ale nadawały się. Poruszył palcami — chirurg przed operacją, pianista przed koncertem. Ta myśl sprawiła, że się uśmiechnął. Zerknął na Zinajdę. Miała spięte rysy. Twarz O'Briana była schowana za kamerą.

- W porządku. Kręcę. Nie spiesz się.
- Dobrze. Otwieram wieko, które jest... sztywne, jak można... było się tego spodziewać.

Kelso skrzywił się z wysiłku. Wieko wygięło się trochę, wystarczająco, by mógł wsadzić palce w szparę. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby ją poszerzyć. Skrzynka otworzyła się nagle niczym złamana szczeka, z jękiem zardzewiałego metalu.

— W środku jest tylko jeden przedmiot... coś w rodzaju teczki... sądząc z wyglądu skórzanej... mocno spleśniałej.

Teczkę pokrywał całun grzyba — różnych gatunków grzyba — błękity, zielenie i szarości, roślinne żyłki i białe plamy nakrapiane czernią. Cuchnęła zgnilizną. Kelso wyjął ją ze skrzynki, obrócił w świetle lampy i potarł powierzchnię kciukiem. Powoli zaczął się na niej pojawiać bardzo niewy-

rażny zarys.

— W tym miejscu widzimy wytłoczony sierp i młot. To sugeruje, że mamy do czynienia z teczką na oficjalne dokumenty. Na klamrze jest plama oleju. Część rdzy została usunięta...

Wyobrażał sobie pozbawione paznokci palce Rapawy, gmerające przy teczce, by odkryć to, co kosztowało go tyle lat życia.

Pasek wysunął się z metalowych pierścieni, zostawiając na nich podobny do mąki proszek. Teczka otworzyła się. Żywiący się wilgotną skórą grzyb dostał się do środka i Kelso, wyjmując zawartość, wiedział, że jest autentyczna. Żaden fałszerz nie zrobiłby czegoś takiego, nie pozwoliłby, żeby jego dzieło uległo takiemu zniszczeniu; urągałoby to zdrowemu rozsądkowi. To, co było kiedyś plikiem papierów, zlepiło się razem, spuchło i było pokryte takim samym

195

niszczącym grzybem jak skóra. Kartki zeszytu również się powyginały, ale nie tak bardzo, bo chroniła je gładka zewnętrzna warstwa czarnej ceraty.

Okladka otworzyła się, pękły nitki oprawy.

Na pierwszej stronie: nic.

Na drugiej: wycięta równo z gazety fotografia, przyklejona pośrodku strony. Grupa młodych kobiet poniżej dwudziestki, ubranych po sportowemu — w szorty, podkoszulki, szarfy — maszeruje z oczyma zwróconymi w prawo, trzymając w rękach portret Stalina. Sądząc ze zdjęcia, defilada odbywa się na placu Czerwonym. Podpis: „Maszeruje druga drużyna Komsomołu z oblasti archangielskiej! W pierwszym rzędzie, od lewej: I. Primakowa, A. Safanowa, D. Mierkulowa, K. Til, M. Arseniewa”. Przy młodzieńczej twarzy A. Safanowej ktoś postawił mały czerwony krzyżyk.

Kelso podniósł zeszyt i dmuchnął między kartki, żeby oddzielić je od siebie. Ręce pociły mu się w rękawiczkach. Czuł się absurdalnie niezgrabny, jakby usiłował nawlec nitkę, mając na dłoniach rycerskie rękawice.

Na trzeciej stronie: niewyraźne zapiski ołówkiem.

O'Brian dotknął jego ramienia, dając znak, żeby coś powiedział.

— To nie jest charakter pisma Stalina, jestem tego pewien... Wygląda to bardziej, jakby ktoś pisał o Stalinie... — Kelso podniósł zeszyt do lampy. — „Góruje nad innymi, wysoko nad mauzoleum Lenina. Jego ręka jest uniesiona w pozdrowieniu. Uśmiecha się. Przechodzimy niżej. Jego spojrzenie pada na nas, tak jak padają promienie słońca. Spogląda prosto w moje oczy. Przeszywa mnie jego moc. Wszędzie wokół nas zrywają się burzliwe oklaski...”. Następny fragment jest zamazany. Potem czytamy: „Wielki Stalin żył! Wielki Stalin żyje! Wielki Stalin będzie żył na wieki!”.

Rozdział 14

*Wielki Stalin żyje!
Wielki Stalin będzie żył na wieki!*

12.05.51. Nasza fotografia jest w „Ogonioku”! Maria przybiega pod koniec pierwszych zajęć, żeby mi ją pokazać. Nie podoba mi się to, jak wyszłam, i M. beszta mnie za moją próżność. (Zawsze powtarza, że za dużo myślę o tym, czy jestem ładna; coś takiego nie przystoi kandydatowi na członka Partii. Łatwo jej mówić: sama wygląda jak czołg!). Przez cały ranek towarzysze przychodzą, żeby złożyć nam gratulacje. Zapominam nawet o normalnym w tych dniach miesiąca kłopotcie. Jesteśmy takie szczęśliwe...

5.06.51. Dzień jest słoneczny i gorący. Dwina migoce złotem. Wracam do domu z Instytutu. Papa przyszedł z pracy o wiele wcześniej niż zwykle, siedzi z poważną miną. Mama jest silna jak zawsze. W domu jest także nieznanomy, towarzysz z organów Komitetu Centralnego z Moskwy! Nie boję się go. Wiem, że nie zrobiłam nic złego. Nieznajomy uśmiecha się. Niski mężczyzna — podoba mi się. Mimo upału ma na sobie skórzany płaszcz i kapelusz. Nazywa się chyba Mechlis.

197

Wyjaśnia, że po wnikliwej analizie zostałam wybrana do wypełnienia specjalnych zadań na rzecz kierownictwa Partii. Nie może powiedzieć nic więcej ze względów bezpieczeństwa. Jeśli się zgodzę, muszę pojechać do Moskwy na rok, a może na dwa lata. Potem mogę wrócić do Archangielska i kontynuować studia. Mówi, że przyjdzie jutro rano po moją odpowiedź, lecz ja odpowiadam już teraz, z całego serca: tak! Ponieważ jednak mam dopiero dziewiętnaście lat, potrzebna jest zgoda rodziców. Och, proszę cię, papo! Proszę, proszę! Papa jest głęboko wzruszony tą sceną. Wychodzi z towarzyszem Mechlisem do ogrodu i kiedy wraca, na jego twarzy maluje się powaga. Jeśli tak sobie życzę i jeśli taka jest wola Partii, nie będzie mnie powstrzymywał. Mama jest taka dumna.

Zatem do Moskwy, po raz drugi w moim życiu!

Wiem, że jest w tym Jego ręka...

Jestem taka szczęśliwa, że mogłabym umrzeć...

10.06.51. Mama odprowadza mnie na stację. Papa zostaje w domu. Całuję jej najdroższe policzki. Żegnam się z nią, żegnam się z dzieciństwem. Wagony są zatłoczone. Pociąg rusza. Inni odprowadzający biegną wzdłuż peronu, ale mama stoi w miejscu i szybko ginie mi z oczu. Przejeżdżamy przez rzekę. Jestem sama. Biedna Anna! To dla mnie najgorsza pora na podróż. Ale mam ubranie, trochę jedzenia, kilka książek i ten pamiętnik, w którym będę zapisywać swoje myśli — to będzie mój przyjaciel. Jedziemy na południe, zagłębiając się w las, w tundrę. Za drzewami plonie niczym pożar wielkie czerwone zachodzące słońce. Izakogorka. Obozierskij. Zanotowałam wszystko, co wydarzyło się do tej pory, i nie mam już o czym pisać.

11.06.51. Poniedziałek rano. Wraz ze świtem pojawia się miasto Wożega. Pasażerowie wysiadają, żeby rozprostować nogi, ale ja nie ruszam się z miejsca. Z korytarza dobiega

zapach dymu. Siedzący naprzeciwko mężczyzna obserwuje mnie, udając, że śpi. Intryguję go. Gdyby tylko wiedział! Mamy

198

jeszcze jednaście godzin do Moskwy. Jak jeden człowiek może rządzić takim narodem? Jak taki naród może istnieć bez człowieka, który nim rządzi?

Konosza. Charowsk. Nazwy na mapie stają się dla mnie rzeczywistością.

Wologda. Danitow. Jarosław.

Ogarnia mnie strach. Jestem tak daleko od domu. Ostatnim razem było nas dwadzieścia głupich rozchichotanych dziewczyn. Och, papo!

Aleksandrów.

A teraz jesteśmy już na obrzeżach Moskwy. Przez pociąg przechodzi dreszcz podniecenia. Domy i fabryki ciągną się daleko i szeroko jak tundra. Smugi dymu, metaliczna gorąca mgiełka. Czerwcowe słońce grzeje o wiele cieplej niż w domu. Znowu jestem podniecona.

16.30. Dworzec Jarosławski! I co teraz?

v

Później. Pociąg zatrzymuje się i mężczyzna, który obserwował mnie przez całą podróż, pochyla się do przodu. „Anna Michajłowna Safanowa?”. Przez chwilę jestem zbyt zaskoczona, żeby odpowiedzieć. Tak? „Witamy w Moskwie. Proszę za mną”. Ubrany jest w skórzany płaszcz, jak towarzysz Mechlis. Niesie moją walizkę przez cały peron aż do wyjścia na plac Komsomolski. Przy krawężniku czeka samochód z kierowcą. Jedziemy dość długo. Co najmniej godzinę. Nie wiem dokąd. Jak się zdaje, przez całe śródmieście i z powrotem za miasto. Szosą, która biegnie przez brzezinę. Przy wysokim ogrodzeniu żołnierze sprawdzają nasze papiery. Jedziemy trochę dalej. Kolejne ogrodzenie. A potem dom, w dużym ogrodzie.

(I mamo, owszem, to skromny dom! Tylko jedno piętro! Twoje serce dobrej bolszewiczki uradowałaby jego prostota!).

Okrążamy dom dookoła i wchodzimy od tyłu. Skrzydło dla służby połączone jest z główną częścią długim korytarzem. W kuchni czeka kobieta. Jest siwa, prawie stara. I miła. Mówi do mnie „dziecko”. Nazywa się Waleczka Istomina. Przygotowano dla mnie prosty posiłek: wędlina, chleb, mary-

199

nowany śledź, kwas. Kobieta obserwuje mnie. (Wszyscy się tutaj obserwują: dziwnie jest podnieść wzrok i ujrzyć parę wpatrujących się w ciebie oczu). Od czasu do czasu do kuchni wchodzi strażnicy, żeby pogadać i rzucić na mnie okiem. Nie mówią wiele, ale po akcencie poznaję, że to chyba Gruzini. „No i co, Waleczka — pyta jeden — w jakim humorze był Szef dzisiaj rano?”. Waleczka ucisza go i kiwa na mnie głową.

Nie jestem taka młoda i głupia, żeby zadawać jakieś pytania. Przynajmniej na razie.

„Jutro porozmawiamy. Teraz odpocznij”, mówi Waleczka.

Mam swój własny pokój. Dziewczyna, która była tu przede mną, wyjechała. Zostawiono dla mnie dwie proste czarne bluzki i spódniczki.

Z okna mam widok na skraj trawnika, mały letni domek i las. Jest wczesny letni wieczór, śpiewają ptaki. Wszystko tchnie takim spokojem. Mimo to co kilka minut pod oknem

przechodzi strażnik.

Leżę w upale na moim małym łóżku i próbuję zasnąć. Rozmyślam o Archangielsku w zimie: o kolorowych latarniach rozwieszonych nad zamarznąłą rzeką, ślizgawce na Dwinie, trzasku pękającego lodu, letnich wyprawach na grzyby do lasu. Chciałabym wrócić do domu. Ale to głupie myśli.

Muszę zasnąć.

Dlaczego ten człowiek w pociągu obserwował mnie przez całą podróż?

Później: W ciemności warkot samochodów.

Wrócił do domu.

v

12.06.51. Co za dzień! Trudno mi pisać, tak trzęsą mi się ręce. (Nie trzęsły się, kiedy to się działo, ale teraz tak). O siódmej idę do kuchni. Waleczka już wstała i sprząta potłuczone naczynia, szkło i resztki jedzenia, które leżą pośrodku wielkiego obrusu. Wyjaśnia, jak uprząta się co noc stół: dwaj strażnicy łapią obrus za dwa końce i wnoszą wszystko na zewnątrz. W związku z czym z samego rana

200

trzeba wybrać i pozmywać wszystko, co nie zostało potłuczone. Przy pracy Waleczka przedstawia mi rozkład dnia. On wstaje późno i czasami lubi popracować w ogrodzie. Potem Jedzie na Kreml i wtedy sprząta się jego pokoje. Nie wraca nigdy przed dziewiątą lub dziesiątą i wtedy podaje się kolację. Do łóżka idzie o drugiej albo trzeciej. Tak to wygląda przez siedem dni w tygodniu. Podstawowe zasady: kiedy się do niego podchodzi, trzeba to robić otwarcie. Nienawidzi, kiedy ludzie skradają się do niego na palcach. Jeśli puka się do drzwi, trzeba to robić głośno. Nie wolno sterczeć w miejscu. Ani odzywać się, chyba że zostanie się poproszonym. Mówiąc, trzeba zawsze patrzeć mu prosto w oczy.

Waleczka przygotowuje proste śniadanie — kawa, chleb i wędlina — / zanosí je. Później prosi, żebym odebrała tacę. Zanim wyjdę, każe mi związać włosy i obrócić się dookoła. Może być, stwierdza. On pracuje przy stole, mówi, na skraju trawnika od południowej strony domu. A w każdym razie pracował. Nie może usiedzieć długo w jednym miejscu. Taki już jest. Strażnicy będą wiedzieć, gdzie go szukać.

Cóż mogę napisać o tym momencie? Jestem spokojna. Bylibyście ze mnie dumni. Pamiętam, co mam robić. Obchodzę skraj trawnika i zbliżam się do Niego, przez cały czas na widoku. Siedzi na ławce sam, pochylony nad jakimiś papierami. Taca stoi na stole obok Niego. Podnosi wzrok, kiedy podchodzę, a potem wraca do swojej pracy. Ale kiedy staję z powrotem po trawniku — przysięgam, że czuję Jego oczy na plecach, przez cały czas, aż zniknę z pola widzenia. Waleczka śmieje się, widząc, jaka jestem blada.

Potem już Go nie widzę.

Przed chwilą (minęła dziesiąta): warkot samochodów.

14.06.51. Wczoraj w nocy. Późno. Jestem w kuchni z Waleczką, kiedy Łozgaczow (strażnik) wpada cały spocony i mówi, że Szefowi skończył się ararat. Waleczka wyjmuję butelkę, ale zamiast dać ją Łozgaczowowi, wręcza ją mnie:

*„Niech Anna zanieśie”. Chce mi pomóc — kochana Waleczka!
Łozgaczow idzie ze mną korytarzem do głównej części domu.*

201

Słyszę męskie głosy. Śmiech. Stuka mocno w drzwi i odsuwa się na bok. Wchodzę do środka. Wpokoju jest gorąco, duszno. Przy stole siedmiu albo ośmiu mężczyzn — wszystko znajome twarze. Jeden z nich — chyba Towarzysz Chruszczow — wstaje z krzesła i wznosi toast. Ma zaczerwienioną spoconą twarz. Nagle przerywa. W całym pokoju leżą kawałki jedzenia, tak jakby nim rzucali. Wszyscy spoglądają na mnie. Towarzysz Stalin siedzi u szczytu stołu. Stawiam koniak obok Niego. „Jak się nazywasz, młoda towarzysko?”, pyta. Ma cichy miły głos. „Anna Safanowa, Towarzyszu Stalinie”. Pamiętam, żeby patrzeć mu prosto w oczy. Są bardzo głębokie. „Ona jest z Archangielska, Szefie”, mówi mężczyzna siedzący obok niego. „Skoro Ławrientij tak mówi, to można mu wierzyć”, stwierdza Towarzysz Stalin. Znowu rozlegają się śmiechy. „Nie zwracaj uwagi na tych gburów”, mówi Towarzysz Stalin. „Dziękuję, Anno Safanowa”. Kiedy zamykam za sobą drzwi, wracają do rozmowy. Waleczka czeka na mnie przy końcu korytarza. Obejmuje mnie i wracamy razem do kuchni. Drzę cała, na pewno z radości.

16.06.51. Towarzysz Stalin powiedział, że od dzisiaj to ja mam przynosić mu śniadanie.

21.06.51. Tego ranka jest jak zwykle w ogrodzie. Jak bardzo chciałabym, żeby zobaczyli go tam ludzie! Lubi słuchać śpiewu ptaków, przycinać kwiaty. Ale trzęsą mu się ręce. Stawiając tacę, słyszę, jak klnie pod nosem. Zaciął się. Biorę serwetkę i podchodzę do niego. Z początku spogląda na mnie podejrzliwie. Ale potem wyciąga rękę. Owijam ją białym płótnem. Przesiakała przez nie jasne plamy krwi. „Nie boisz się Towarzysza Stalina, Anno Safanowa?”, pyta. „Dlaczego miałabym się was bać, Towarzyszu Stalinie?”. „Lekarze boją się Towarzysza Stalina. Kiedy przychodzą zmienić Mu opatrunek, ręce tak bardzo im się trzęsą, że musi to zrobić sam. Ale gdyby ręce im się nie trzęsły... cóż by to mogło znaczyć? Dziękuję, Anno Safanowa”.

202

Och, mamo i papo, jaki on jest samotny! Wasze serca wrywałyby się ku niemu. Jest w końcu człowiekiem z krwi i kości, tak jak my. I z bliska jest stary. O wiele starszy niż na portretach. Ma siwe wąsy, od spodu poplamione na żółto dymem z fajki. Kiedy oddycha, rzezi mu w płucach. Boję się o niego. Boję się o nas wszystkich.

30.06.51. Trzecia w nocy. Pukanie do moich drzwi. Na korytarzu stoi w nocnej koszuli Waleczka, z kieszonkową latarką w ręku. Był w ogrodzie, przycinał rośliny przy świetle księżycy i znowu się skaleczył! Wzywa mnie! Ubieram się szybko i idę za nią korytarzem. Noc jest ciepła. Mijamy szybko jadalnię i wchodzimy do jego prywatnych pokoi. Ma trzy sypialnie i stale je zmienia, jedną noc spędzając tu, drugą tam. Nikt nigdy nie wie, gdzie nocuje. Śpi na kozetce

pod kocem. Waleczka zostawia nas. Towarzysz Stalin siedzi na kozetce z wyciągniętą ręką. To tylko otarcie. W pół minuty owijam je swoją chusteczką.

„Nieustraszona Anna Safanowa...”.

Wyczuwam, że chce, żebym została. Pyta mnie o dom, o rodziców, o moją pracę partyjną, plany na przyszłość. Mówię, że interesuje mnie prawo. Parska; nie jest najlepszego zdania o prawnikach. Chce wiedzieć, jak wygląda życie w Archangielsku w zimie. Czy widziałam zorzę polarną? (Oczywiście!). Kiedy zaczyna padać śnieg? W końcu września, mówię, a w końcu października miasto jest już zupełnie zaszypane i można tam się dostać tylko pociągiem. Jest zlakniony szczygółów. Opowiadam, jak Dwina zamarza i jak kładzie się na niej drewniane drogi. Jak temperatura spada poniżej trzydziestu pięciu stopni, dzień trwa tylko cztery godziny i ludzie idą do lasu łowić ryby w przeręblach...

Ślucha z wielkim zainteresowaniem. „Towarzysz Stalin wierzy, że rosyjska dusza mieszka w lodach i pustce Dalekiej Północy. Lata, które spędził na zesłaniu — to było przed Rewolucją, w Kurejce, za kręgiem arktycznym — były najszcześniejszym okresem w jego życiu. To tam właśnie Towarzysz Stalin nauczył się polować i łowić ryby. Ta

203

świnia, Trocki, twierdził, że Towarzysz Stalin zastawiał tylko wnyki. Podle kłamstwo! Towarzysz Stalin Zastawiał wnyki, owszem, ale łowił też ryby w przeręblach i tak dobrze potrafił przewidzieć, gdzie będą brały, że miejscowi wierzyli, iż jest obdarzony nadprzyrodzoną mocą. Któregoś dnia Towarzysz Stalin przewędrował czterdzieści pięć wiorst na nartach i zabił dwudziestoma czterema strzałami dwanaście par kuropatw. Czy Trocki potrafiłby tego dokonać?”.

Chciałabym zapamiętać wszystko, co mówi. Może to powinno być moim przeznaczeniem: zachować jego słowa dla Potomności?

Kiedy od niego wychodzę, żeby położyć się spać, jest już jasno.

8.07.51. Ta sama historia co poprzednio. Waleczka puka do moich drzwi o trzeciej w nocy: skaleczył się, chce, żebym przyszła. Ale kiedy przychodzę, nie widzę żadnego skaleczenia. Śmieje mi się w twarz — zażartował sobie! — / każe na wszelki wypadek owinąć sobie rękę. Gładzi mnie po policzku, a potem szczypie go. „Widzisz, nieustraszona Anno Safanowa, jakiego uczyniłaś ze mnie więźnia?!”.

Jest w innym pokoju niż poprzednio. Na ścianach wiszą wydarte z czasopism zdjęcia dzieci. Dzieci btiwiące się w wiśniowym sadzie. Chłopiec na nartach. Dziewczynka pijąca kozie mleko z rożka. Dużo zdjęć. Widzi, że im się przyglądam, i to sprawia, że zaczyna mówić szczerze o własnych dzieciach. Jeden syn nie żyje. Drugi jest pijakiem. Jego córka wyszła dwa razy za mąż. Pierwszy mąż był Żydem; nigdy nie pozwolił mu przekroczyć progu własnego domu! Czym sobie Towarzysz Stalin zasłużył na coś takiego? Inni ludzie mają normalne dzieci. Czy to zła krew, czy złe wychowanie? Może coś było nie tak z ich matkami? (To całkiem prawdopodobne, sądząc po ich rodzinach, które stałe dawały mu się we znaki). A może dzieci Towarzysza Stalina nie mogą się po prostu rozwijać normalnie ze względu na wysoką pozycję, jaką zajmuje on

w Państwie i w Partii? To odwieczny konflikt, starszy nawet od walki klas.

; t

204

Pyta, czy znam przemówienie, które Towarzysz Trofim Łysenko wygłosił w 1948 roku na forum Wszechzwiązkowej Leninowskiej Akademii Nauk Rolniczych. Odpowiadam, że tak. Moja odpowiedź sprawia mu przyjemność.

„W rzeczywistości to przemówienie napisał Towarzysz Stalin! To Towarzysz Stalin odkrył, po latach studiów i walki, że nabyte cechy są dziedziczne. Ale te przemyślenia trzeba było naturalnie włożyć w usta innych, podobnie jak do innych należy przekucie tej zasady w praktyczną naukę.

Zapamiętaj historyczne słowa Towarzysza Stalina do Gorkiego: »Zadaniem proletariackiego państwa jest produkcja inżynierów ludzkich dusz«.

„Czy jesteś dobrą bolszewiczką, Anno Safanowa?».

Przysięgam mu, że jestem.

„Możesz to udowodnić? Zatańczysz dla Towarzysza Stalina?».

W rogu pokoju stoi gramofon. Podchodzi do niego i...

Rozdział 15

• I tak to się kończy? — zapytał O'Brian. W jego głosie brzmiało rozczarowanie. — Tak po prostu?

• Sami zobaczcie. — Kelso pokazał zeszyt Zinajdzie i reporterowi. — Dwadzieścia następnych kartek zostało wydartych. Tutaj... spójrzcie... widać, jak to zrobiono. Strzępy, które pozostały przy grzbiecie, są różnej długości.

• Dlaczego to takie ważne?

• To znaczy, że nie wyrwano wszystkich kartek jednocześnie, ale jedną po drugiej. Metodycznie. — Kelso ponownie przyjrzał się zeszytowi. — Z tyłu zostało trochę kartek, około pięćdziesięciu, ale nie są zapisane. Ktoś porysował je... powinienem raczej powiedzieć, zabazgrał... czerwonym ołówkiem. Powtarza się stale ten sam rysunek... widzicie?

• Co to jest? — O'Brian przysunął się bliżej z włączoną kamerą. — Wygląda mi to na wilki.

• To są wilki. Wilcze pyski. Stalin często rysował wilki na marginesach oficjalnych dokumentów, kiedy się nad czymś zastanawiał.

• Jezu... Więc to autentyk. Jak myślisz?

• Dopóki zeszyt nie zostanie zbadany laboratoryjnie, nie mogę nic powiedzieć. Przynajmniej oficjalnie. Przykro mi.

206

• W takim razie nieoficjalnie; opinia, na którą na razie nie będziemy się powoływać. Co o tym sądzisz?

• To autentyk — oznajmił bez wahania Kelso. — Daję za to głowę.

O'Brian wyłączył kamerę.

Znajdowali się w moskiewskim biurze Satellite News System, na najwyższym piętrze dziesięciopiętrowego biurowca na południe od Stadionu Olimpijskiego. Szklana ściana dzieliła gabinet O'Briana od głównej hali redakcyjnej, gdzie przed komputerowym monitorem siedziała apatyczna sekretarka. Obok, na ekranie nastawionego na SNS telewizora z wyłączoną fonią, szły fragmenty wczorajszych rozgrywek, baseballu. Przez świetlik Kelso widział wielki dysk anteny "V" satelitarnej, wzniesiony niczym patena z hostią ku kłębiącym się moskiewskim chmurom.

• Ile czasu zajmie nam zbadanie tych papierów? — zapytał O'Brian.

• Prawdopodobnie kilka tygodni — odparł Kelso. — Miesiąc.

• Nie ma mowy — stwierdził O'Brian. — Nie ma mowy, żebyśmy czekali tak długo.

• Zastanów się chwilę. Po pierwsze, formalnie rzecz biorąc, te materiały należą do rosyjskiego rządu. Albo spadkobierców Stalina. Czy kogoś jeszcze innego. Tak czy owak, nie należą do nas... to znaczy do Zinajdy.

Zinajda stała przy oknie, wyglądając przez żaluzje, które rozchyliła palcami. Słyszając swoje imię, zerknęła na Anglika. W ciągu ostatniej godziny — w garażu i podczas ostrożnej jazdy ulicami Moskwy w ślad za toyotą O'Briana — nie powiedziała prawie ani słowa.

— W związku z czym trzymanie tutaj tego zeszytu nie jest bezpieczne — kontynuował Kelso. — Musimy wywieźć go z kraju. To najważniejsza sprawa. Bóg jeden wie, kto go teraz szuka. Moim zdaniem, już to, że zeszyt znajduje się w tym pokoju, naraża nas na niebezpieczeństwo. Co się tyczy badań laboratoryjnych... nie możemy ich zrobić gdzie-

2Q7

kolwiek. Znam pewnych ludzi w Oksfordzie, którzy potrafią sprawdzić atrament i papier. W Niemczech i Szwajcarii są specjaliści od dokumentów...

Ale O'Brian najwyraźniej go nie słuchał. Położył nogi na biurku, splótł ręce na karku i bujał się w fotelu.

— Wiesz, co tak naprawdę powinniśmy zrobić? — oznajmił nagle. — Powinniśmy odnaleźć tę dziewczynę.

Kelso wlepił w niego wzrok.

• Odnaleźć tę dziewczynę? O czym ty gadasz? Nie ma żadnej dziewczyny. Ta dziewczyna nie żyje.

• Nie możesz tego być pewien. Jeśli żyje, ma tylko... ile?... sześćdziesiąt parę lat.

• Miałaby sześćdziesiąt sześć lat. Ale nie w tym rzecz. Ona nie umarła ze starości. Z kim, twoim zdaniem, się tutaj związała L księżciem z bajki? Nie żyła potem długo i szczęśliwie.

• Może nie, ale i tak musimy sprawdzić, co się z nią stało. Co się stało z jej rodzicami. Zaspokoić ludzką ciekawość. Na tym polega dobry materiał.

Ściana za reporterem oklejona była fotografiami: O'Brian z Yasserem Arafatem, O'Brian z Gerrym Adamsem, O'Brian w kamizelce kuloodpornej obok masowego grobu gdzieś na Bałkanach i kolejny O'Brian, w ochronnym kombinezonie, idący po polu minowym z księżną Walii. O'Brian w smokingu, odbierający nagrodę — prawdopodobnie za sam fakt,

że urodził się O'Brianem. Dyplom od dyrektora generalnego SNS, chwalcący O'Briana za „niezlomne oddanie, z jakim pozostawia w tyle naszą konkurencję”. Po raz pierwszy i zdecydowanie zbyt późno Kelso uświadomił sobie rozmiary ambicji tego człowieka.

— Nic nie zostanie publicznie ujawnione — oznajmił dobitnie, żeby nie było miejsca na żadne niedomówienia — dopóki ten zeszyt nie znajdzie się za granicą i nie zostanie laboratoryjnie zbadany. Słyszysz mnie? Tak uzgodniliśmy.

O'Brian strzelił palcami.

— Tak, tak. Oczywiście. Tymczasem jednak powinniśmy odkryć, co stało się z dziewczyną. Musimy to zrobić tak czy owak. Jeśli pokażemy na wizji zeszyt, zanim odkryjemy, co

208

przytrafiło się Annie, ktoś inny może się wtrynić i ukraść nam najlepszą część tej historii. — Zdjął nogi z biurka i obrócił się w fotelu do stojącej za biurkiem półki z książkami. — Swoją drogą, gdzie leży ten pieprzony Archangielsk?

W tym, co się działo, kryła się jakaś nieubłagana logika. Później, gdy Kelso miał czas przemyśleć swoje postępowanie, nie potrafił określić dokładnego momentu, kiedy mógł temu jeszcze zapobiec, kiedy był w stanie sprawić, by wypadki potoczyły się innym torem...

- Archangielsk. Miasto portowe w północnej Rosji — przeczytał głośno O'Brian, zaglądając do przewodnika. — Ludność: czterysta tysięcy. Położone nad rzeką Dwiną, trzydzieści mil powyżej jej ujścia do Morza Białego. Główne gałęzie gospodarki: przemysł drzewny, stoczniowy, rybołówstwo. Od końca października do pierwszych dni kwietnia Archangielsk jest zasypany śniegiem. Cholera. Którego dzisiaj mamy?

- Dwudziesty dziewiąty października.

O'Brian podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer. Ze swojego miejsca na sofie Kelso widział, jak za grubą szklaną ścianą sekretarka odbiera bezgłośnie telefon.

— Możesz coś dla mnie zrobić, kochanie? — powiedział reporter. — Połącz się z naszym centrum meteorologicznym na Florydzie i zdobądź najnowszą prognozę pogody dla Archangielska. — Przeliterował dla niej nazwę miasta. — Zgadza się. Jak najszybciej.

Kelso zamknął oczy.

Kłopot polegał na tym — wiedział to w głębi duszy — że O'Brian miał rację. Najważniejsza w tej całej historii była dziewczyna. I nie sposób było się o niej czegokolwiek dowiedzieć, siedząc w Moskwie. Jeśli pozostał po niej jakikolwiek ślad, to tylko na północy, w rodzinnym mieście, gdzie być może żyli jeszcze krewni albo przyjaciele, którzy ją zapamiętali — zapamiętali dziewiętnastoletnią komsomółkę i dramatyczne wezwanie do Moskwy w lecie 1951 roku...

209

— Miasto zostało założone przez Piotra Wielkiego — kontynuował O'Brian — i nazwane na cześć Archanioła Michała, rycerskiego anioła. Patrz Objawienie świętego Jana, rozdział dwunasty, wiersze siódmy i ósmy: „I wybuchła walka w niebie: Michał i aniołowie jego stoczyli bój ze

smokiem. I walczył smok i aniołowie jego. Lecz nie przemógł i nie było już dla nich miejsca w niebie". W latach trzydziestych...

— Czy naprawdę musimy tego słuchać?

O'Brian podniósł w górę palec.

— W latach trzydziestych Stalin zesłał dwa miliony ukraińskich kulaków do obłasti archangielskiej, porośniętego lasem i tundrą regionu o powierzchni większej niż cała Francja. Po wojnie na dużym jej obszarze prowadzono próby z bronią nuklearną. Bliżej ujścia rzeki, w porcie Siewierodwińsk mieści się ośrodek rosyjskiego programu budowy łodzi podwodnych o napędzie atomowym. Aż do upadku komunizmu Archangielsk był miastem zamkniętym, niedostępnym dla przybyszów z zewnątrz. Rada dla podróżnych: po przyjeździe na dworzec kolejowy trzeba zawsze zerknąć na cyfrowy miernik napromieniowania. Jeśli pokazuje piętnaście albo mniej mikroradów na godzinę, nie ma się czego obawiać. — O'Brian zamknął z trzaskiem przewodnik. — Zabawne miejsce. Co ty na to? Decydujesz się?

Znalazłem się w pułapce, pomyślał Kelso. Padłem ofiarą historycznej konieczności. Towarzysz Stalin byłby za.

- Wiesz, że nie mam pieniędzy?
- Pożyczę ci pieniądze.
- Nie mam zimowego ubrania... s! ..
- Mamy dość ubrań.
- Nie mam wizy.
- Drobiazg.
- Drobiazg?
- Daj spokój, Fluke. Jesteś specjalistą od Stalina. Potrzebuję cię.
- Jakie to wzruszające. Jeśli odmówię, prawdopodobnie pojedziesz sam.

O'Brian wyszczerzył zęby. Zadzwoił telefon. Amerykanin

210

odebrał go, przez chwilę słuchał i zapisał kilka rzeczy. Kiedy odkładał słuchawkę, miał zmarszczone brwi i Kelso poczuł, jak ogarnia go nadzieja. Niesłusznie.

O godzinie jedenastej czasu Greenwich (trzeciej po południu lokalnego czasu) pogoda w Archangielsku była następująca: minus cztery stopnie, lekkie zachmurzenie, słaby wiatr oraz przelotne opady śniegu. Z Syberii przesuwał się jednak na zachód głęboki układ niżowy, zapowiadający opady śniegu dość obfite, by w ciągu kilku dni miasto stało się niedostępne.

Innymi słowy, stwierdził O'Brian, muszą się pospieszyć.

Wziął atlas i otworzył go na biurku.

Najszybciej do Archangielska można się było oczywiście • dostać drogą powietrzną, ale samolot Aeroflotu odlatywał dopiero nazajutrz rano, a linia lotnicza wymagała okazania wizy, która doktorowi Kelso wygasła o północy. Samolot nie wchodził zatem w rachubę. Podróż pociągiem trwała ponad dwadzieścia godzin i nawet O'Brian dostrzegał związane z nią ryzyko — przez całą dobę tkwiliby uwięzieni jak w klatce w telepiącym się noga za nogą slipingu.

Pozostawała więc podróż szosą — dokładnie rzecz biorąc, drogą M8, mającą prawie tysiąc dwieście kilometrów i, sądząc z mapy, na ogół prostą, skręcającą tylko lekko na

wschód, by zahaczyć o Jarosław, a potem biegnącą dolinami Wagi i Dwiny przez tajgę, tundrę oraz wielkie dziewicze lasy północnej Rosji aż do samego Archangielska, gdzie się kończyła.

- To nie jest autostrada — mruknął Kelso. — Nie ma tam moteli.
- To nic, człowieku. To będzie spacer, obiecuję. He zostało nam jeszcze dnia? Może ze dwie godziny. W ciągu tego czasu powinniśmy zostawić za sobą daleko Moskwę. Masz prawo jazdy?
- Tak.
- To świetnie. Będziemy się zmieniać. Mówię ci, takie podróże zawsze gorzej wyglądają na papierze. Kiedy już się

211

rozkrećmy, będziemy połykać milę za milą. — O'Brian rachował coś na papierze. — Według moich wyliczeń powinniśmy dotrzeć do Archangielska jutro o dziewiątej, dziesiątej rano.

- Więc będziemy jechać przez całą noc?
- Jasne. Zresztą, jeśli wolisz, możemy się zatrzymać. Najważniejsze, żebyśmy przestali gadać i ruszali w drogę. Im szybciej wyjedziemy, tym szybciej dotrzemy na miejsce. Musimy zapakować w coś ten zeszyt...

O'Brian okrążył biurko i podszedł do stolika, na którym obok zlepionej masy papierów leżał zeszyt. Zanim zdążył wziąć go do ręki, złapała go Zinajda.

- To moje — powiedziała po angielsku.
- Co?
- To moje.
- Zgadza się — stwierdził Kelso. — Zostawił go dla niej ojciec.

- Chcę go tylko pożyczyć.
- *Niet!*
- Czy ona oszalała? — O'Brian szukał wsparcia u Anglika. — Przypuśćmy, że znajdziemy Annę Safanową...
- No właśnie, przypuśćmy, że ją znajdziemy... Jak to sobie dokładnie wyobrażasz? Siwowłosą kochankę Stalina siedzącą w bujanym fotelu i czytającą na głos swój pamiętnik?
- Bardzo śmieszne. Słuchaj, ludzie będą o wiele bardziej skłonni z nami gadać, jeśli będziemy mieli w ręku jakiś dowód. Moim zdaniem powinniśmy zabrać zeszyt ze sobą. Swoją drogą, dlaczego uważasz, że jest jej własnością? Należy w takim samym stopniu do niej jak i do mnie. I do kogokolwiek innego.

- Bo tak się umówiliśmy, pamiętasz?
- Umówiliśmy się? Mam wrażenie, że jedyną umowę, która tu obowiązuje, zawarliście ze sobą wy dwoje. Daj spokój, Fluke — O'Brian ponownie uderzył w przymilny ton. — W Moskwie grozi jej niebezpieczeństwo. Co będzie, jak dopadnie ją Mamantow?

Kelso nie mógł odmówić mu racji.

212

- Skoro tak, może zabierzemy ją ze sobą? Jedź z nami do Archangielska... — zwrócił się do Zinajdy.

- Z nim? — odparła po rosyjsku. — Nie ma mowy. Przez niego wszyscy zginiemy.

Kelso zaczął tracić cierpliwość.

- Więc odłóżmy tę podróż do momentu, kiedy skopujemy materiał — powiedział poirytowany do O'Briana.
- Ale słyszałeś prognozę. Za dzień albo dwa nie zdołamy tam dojechać. Poza tym to jest gorący temat. Gorące tematy nie lubią czekać. — Zdegustowany reporter podniósł ręce. — Cholera, nie mam czasu użerać się z wami przez całe popołudnie. Muszę zorganizować sprzęt. Muszę zorganizować jakiś prowiant. Muszę ruszać w drogę. Przemów jej do rozsądku, człowieku, na litość boską.
- Mówiłam ci — mruknęła Zinajda, kiedy CTBrian wymaszerował z gabinetu, zatraskując za sobą drzwi. — Mówiłam, że nie możemy mu ufać.

Kelso usiadł głębiej na sofie i potarł twarz obiema dłońmi. To zaczyna robić się coraz bardziej niebezpieczne, pomyślał. Nie pod względem fizycznym — dziwnym trafem cała sytuacja wydawała mu się nierealna — lecz profesjonalnym. Spotrzągał teraz profesjonalne zagrożenia. Adelman miał rację: wielkie fałszerstwa popełniane są na ogół według podobnego scenariusza. Należy do niego pośpiech, z jakim trzeba dokonać weryfikacji. Jest w końcu poważnym naukowcem — i oto co robi? Przeczytał zeszyt tylko raz. Tylko raz. Nie sprawdził nawet podstawowych faktów, żeby przekonać się, czy daty w pamiętniku pasują do tego, co robił Stalin latem 1951 roku. Wyobrażał sobie reakcje swoich kolegów, którzy opuszczali teraz prawdopodobnie przestrzeń powietrzną Rosji. Gdyby mogli widzieć, jak się do lego zabrał...

Ta myśl niepokoiła go bardziej, niż był gotów przyznać.

I był jeszcze ten plik leżących na stole papierów, nadgniłych i posklejanych. Na razie nawet im się nie przyjrzał.

Włożył rękawiczki O'Briana i przesunął ostrożnie palcem wskazującym po szarych sporach na pierwszej kartce. Pod spodem był jakiś napis. Kiedy potarł ponownie kartkę, pojawiły się na niej litery NKWD.

213

i — Zinajdo — powiedział.

Siedziała za biurkiem O'Briana, obracając kartki zeszytu jej zeszytu. Na dźwięk swojego imienia podniosła wzrok.

Kelso pożyczyl od niej szczypczyki i zaczął odklejać pierwszą kartkę. Odchodziła niczym martwy naskórek, płatom, ale na wystarczającej powierzchni, żeby mógł odczytać niektóre słowa na kartce pod spodem. Był to napisany na maszynie dokument, sądząc z wyglądu policyjny raport, opatrzony datą 24 maja 1951, podpisany przez majora I. T. Mechlisa z NKWD.

...ustalone do 23 bieżącego miesiąca fakty... Anna Michajłowna Safanowa, urodzona w Archangielsku 27.02.32... Akademia Maksyma Gorkiego... opinia w załączeniu... Zdrowie: dobre... dyfteryt w wieku 8 lat 3 miesięcy... różyczka w wieku 10 lat 1 miesiąca... W rodzinie nie stwierdzono żadnych wad genetycznych. W pracy partyjnej wyróżnia się... organizacja pionierska... Komsomol...

Kelso odkleił kolejne kartki. Czasami odchodziły pojedynczo, czasami po dwie albo trzy. Była to żmudna robota. Przez szklaną ścianę widział O'Briana taszczonego co jakiś czas walizy do drzwi windy, ale był zbyt zaabsorbowany lekturą, żeby zwracać na to uwagę. Miał przed sobą opis życia dziewiętnastoletniej dziewczyny, na tyle pełny, na ile

jego sporządzenie było w mocy tajnej policji. Ocierało się to niemal o pornografię. Zarejestrowano przebieg każdej choroby, którą przeszła w dzieciństwie, grupę krwi (zero), stan uzębienia (doskonały), wzrost, wagę i kolor włosów (jasno-kasztanowate), sprawność fizyczną („szczególnie sprawna w gimnastyce...”) oraz umysłową („ogólnie, w dziewięćdziesięciu procentach...”), poprawność ideologiczną („doskonała znajomość teorii marksistowskiej...”), wywiady z jej doktorem, trenerem, nauczycielami, drużynowym z Komсомоłu, koleżankami ze szkoły.

Najgorsze, co można było o niej powiedzieć, okazało się to, że ma chyba „nieco marzycielskie usposobienie” (towarzysz Oborin) oraz że przejawia „tendencję do subiektywiz-

214

mu i burżuazyjnego sentymentalizmu zamiast obiektywizmu w stosunkach osobistych” (Elena Satsanowa). Przy kolejnej krytycznej ocenie dokonanej przez tę samą towarzyszkę Satsanowa (że Anna jest „naiwna”) widniała uwaga na marginesie, dopisana czerwonym ołówkiem: „To dobrze!”, oraz późniejsza, „Kim jest ta stara kurwa?”. Cały tekst obfitował w liczne podkreślenia, wykrzykniki, znaki zapytania i dopiski na marginesach: „Ha, ha, ha”, „I co z tego?”, „Do przyjęcia!”.

Kelso spędził dosyć czasu w archiwach, by rozpoznać tę rękę i ten styl. To było charakterystyczne postrzępione pismo Stalina. Nie miał co do tego wątpliwości.

Po półgodzinie złożył kartki z powrotem i zdjął rękawiczki. Miał poobcierane i spocone ręce. Nagle ogarnął go wstret do samego siebie.

Zinajda obserwowała go.

- Co się z nią, twoim zdaniem, stało?
- Nic dobrego.
- Sprowadził ją z północy, żeby się z nią przespać?
- Tak można to ująć.
- Biedny dzieciak.
- Biedny dzieciak — zgodził się.
- Dlaczego zachował jej pamiętnik?
- Obsesja? Zauroczenie? — Kelso wzruszył ramionami.

— Kto to może wiedzieć. Był już wtedy chory. Miał przed sobą zaledwie dwadzieścia miesięcy życia. Może Anna opisała to, co jej się przytrafiło, a potem zreflektowała się i wydarła te kartki. Albo, co bardziej prawdopodobne, on przywłaszczył sobie jej pamiętnik i sam je wydarł. Nie lubił, kiedy ludzie za dużo o nim wiedzieli.

• Jedno mogę ci powiedzieć na pewno: nie przerznął jej tej nocy.

Kelso roześmiał się.

- Skąd to możesz wiedzieć?
- To bardzo łatwe. Popatrz. — Otworzyła zeszyt. —

Tutaj, dwunastego maja, ma „normalny w tych dniach miesiąca kłopot”. Potem, dziesiątego czerwca, w pociągu pisze: „to dla mnie najgorsza pora na podróż”. Możesz się

215

chyba sam domyślić? Między tymi dwiema datami minęło dokładnie dwadzieścia osiem dni. A dwadzieścia osiem dni po dziesiątym czerwca przypada ósmy lipca. Ostatni wpis w pamiętniku.

Kelso powoli wstał, podszedł do biurka i spojrzął przez

jej ramię na dziecinny charakter pisma.

- O czym ty mówisz?
- To była regularna dziewczyna. Regularna mała kom-somołka.

Kelso przetrawił tę informację, założył z powrotem rękawiczki i porównał zapiski na obu stronach. To już było czyste wariactwo, czyż nie? To było chore. Nie miał odwagi przyjąć do wiadomości podejrzenia, które formowało się w zakamarkach jego umysłu. Ale z jakiego innego powodu Stalina tak bardzo interesowałoby to, czy Anna przechodziła, czy nie przechodziła różyczki? I czy w jej rodzinie nie było żadnych chorób dziedzicznych.

- Powiedz mi, kiedy była płodna? — zapytał cicho.
- Czternaście dni później. Dwudziestego drugiego — odparła.

I nagle nie chciała tam zostać ani sekundy dłużej. Odsunęła krzesło od biurka i spojrzała ze wstrętem na zeszyt.

— Zabierz to cholerstwo — powiedziała. — Zabierz to. Zatrzymaj to sobie.

Nie chciała już dotykać pamiętnika. Nie chciała nawet na niego patrzeć.

Był przeklęty.

W ciągu kilku sekund zarzuciła sobie torbę na ramię, otworzyła drzwi gabinetu i ruszyła przez salę redakcji do windy. Kelso musiał biec, żeby dotrzymać jej kroku. O'Brian wyszedł z reżyserki, żeby zobaczyć, co się dzieje. Miał na sobie grubą przeciwdeszczową kurtkę, na szyi zawiesił dwie lornetki. Pobieglł za nimi, ale Kelso machnął ręką, żeby został.

— Ja się tym zajmę.

216

Dziewczyna stała na korytarzu, odwrócona do niego plecami.

— Posłuchaj, Zinajdo — zaczął. Drzwi windy otworzyły się i wszedł do środka w ślad za nią. — Posłuchaj. Nie jesteś tutaj bezpieczna...

Ledwie ruszyli, drzwi ponownie się otworzyły i do kabiny wszedł mężczyzna — w średnim wieku, potężnie zbudowany, w czarnym skórzanym płaszczu i takiej samej czapce. Sta-nawszy między nimi, zerknął na Zinajdę, a potem na towarzyszającego jej mężczyznę, wyczuwając panujące między nimi napięcie. Wysunął do przodu podbródek i uśmiechając się lekko, patrzył prosto przed siebie. Kelso potrafił zgadnąć, co myśli: sprzeczka kochanków... cóż, takie jest życie, pogodzą się.

Kiedy zatrzymali się na parterze, przepuścił ich grzecznie przodem i Zinajda ruszyła szybko w stronę wyjścia, stukając obcasami wysokich do kolan botków po marmurowej posadzce. Strażnik nacisnął przycisk, żeby otworzyć drzwi.

— Powinieneś martwić się o siebie — powiedziała, zapi-nając suwak kurtki.

Było kilka minut po czwartej. Ludzie zaczęli wychodzić z pracy. W oknach biurowca po drugiej stronie ulicy Kelso widział zieloną poświatę komputerowych monitorów. Roz-mawiająca przez komórkę kobieta schroniła się w bramie. Ulicą przejechał powoli motocyklista.

- Posłuchaj, Zinajdo. — Złapał ją za ramię, nie pozwalając odejść. Nie chciała na niego patrzeć. Stał z nią przy ścianie budynku. — Twój ojciec zginął straszną śmiercią, rozumiesz, co mówię? Ci, którzy to zrobili... Mamantow i jego ludzie... szukają tego zeszytu. Wiedzą, że jest w nim coś ważnego... nie pytaj mnie, skąd. Jeśli uświadomią sobie, że jesteś jego córką... a nie będzie to zbyt trudne, bo Mamantow miał dostęp do jego akt... po prostu się zastanów.

Dopadną cię.

- To dlatego go zabili?
- Zabili go, bo nie chciał im powiedzieć, gdzie jest ten zeszyt. A nie chciał im powiedzieć, bo chciał, żebyś ty go miała.

- Nie warto było za to umierać. Głupi stary dureń. — Spiorunowała go wzrokiem. Jej oczy po raz pierwszy tego dnia zwilgotniały. — Głupi uparty stary dureń.

- Czy masz kogoś, u kogo mogłabyś się zatrzymać? Jakąś rodzinę?

- Moja rodzina nie żyje.
- Jakiegoś przyjaciela?
- Przyjaciela? Mam to, pamiętasz?

Uniosła klapę torebki, pokazując mu pistolet ojca.

— Daj mi przynajmniej swój adres, Zinajdo — **poprosił** najspokojniej, jak mógł. — Swój numer telefonu.

Posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

- Dlaczego?

- Bo czuję się odpowiedzialny. — Rozejrzał się dookoła. Szaleństwem było rozmawiać na ulicy. Sięgnął do kieszeni po pióro i nie mogąc znaleźć żadnej kartki, oddał bok z paczki papierosów. — Napisz tu swój adres. Szybko.

Myślał już, że tego nie zrobi. Odwróciła się, żeby odejść, ale nagle zrobiła w tył zwrot i nagryzmoła kilka słów na skrawku papieru. Zobaczył, że mieszka niedaleko parku Izmailowskiego, w pobliżu wielkiego pchlego targu.

Nie pożegnała się. Ruszyła szybko ulicą, potrącając innych przechodniów. Patrzył za nią, czekając, że może się obejrzy. Ale ona oczywiście nie zrobiła tego. Wiedział, że tego nie zrobi. Nie należała do tych, które się oglądają.

CZĘŚĆ DRUGA

ARCHANGIELSK

Jeśli boisz się wilków, nie wchodź do lasu

Rozdział 16 ^{J. W. Staljn, 1936}

Przed wyjazdem z Moskwy musieli zatankować: nigdy nie wiadomo, stwierdził O'Brian, jakie rozwodnione, rdzawe końskie szczyny spróbują ci sprzedać na prowincji. Podjechali na nową stację Nefto Agip przy Prospekcie Mira i Amerykanin napełnił czterdziestoma galonami bezołowiowej wysokooktanowej benzyny bak land cruisera oraz cztery wielkie kanistry. Następnie sprawdził opony i olej. Kiedy ruszyli dalej, na ulicach wezbrała leniwa południowa fala szczytu.

Prawie całą godzinę zajął im dojazd do zewnętrznej obwodnicy, ale tam wreszcie skończyły się korki, zniknęły monotonne blokowiska i fabryczne kominy i nagle znaleźli się na płaskiej otwartej równinie: zielono-szare pola, potężne słupy wysokiego napięcia i wysokie niebo; zupełnie jak w Kansas. Minęło ponad dziesięć lat, odkąd Kelso po raz ostatni jechał na północ szosą M8. Odbudowywane wiejskie cerkiewki, w których od rewolucji mieściły się zbożowe spichlerze, oplatała pajęczyna drewnianych rusztowań. Koło Dworików złota kopuła skupiała promienie słabego południowego światła, płonąc na horyzoncie niczym jesienne ognisko.

O'Brian był w swoim żywiole.

— To wspaniałe uczucie: zostawić za sobą miasto i pędzić

Rozdział 16

221

Przed wyjazdem z Moskwy musieli zatankować: nigdy niewiadomo, stwierdził O'Brian, jakie rozwodnione, rdzawe końskie szczyny spróbują ci sprzedać na prowincji. Podjechali na nową stację Nefto Agip przy Prospekcie Mira i Amerykanin napełnił czterdziestoma galonami bezołowiowej wysokooktanowej benzyny bak land cruisera oraz cztery wielkie kanistry. Następnie sprawdził opony i olej. Kiedy ruszyli dalej, na ulicach wezbrała leniwa południowa fala szczytu.

Prawie całą godzinę zajął im dojazd do zewnętrznej obwodnicy, ale tam wreszcie skończyły się korki, zniknęły monotonne blokowiska i fabryczne kominy i nagle znaleźli się na płaskiej otwartej równinie: zielono-szare pola, potężne słupy wysokiego napięcia i wysokie niebo; zupełnie jak w Kansas. Minęło ponad dziesięć lat, odkąd Kelso po raz ostatni jechał na północ szosą M8. Odbudowywane wiejskie cerkiewki, w których od rewolucji mieściły się zbożowe spichlerze, oplatała pajęczyna drewnianych rusztowań. Koło Dworików złota kopuła skupiała promienie słabego popołu-

dniowego światła, płonąc na horyzoncie niczym jesienne ognisko.

O'Brian był w swoim żywiole.

— To wspaniałe uczucie: zostawić za sobą miasto i pędzić

221

prosto przed siebie — powtarzał co jakiś czas. — Wspaniałe uczucie, prawda? Po prostu wspaniałe.

Jechał ze stałą szybkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę, bez przerwy perorując, jedną ręką trzymając kierownicę, drugą wybijając rytm do hałaśliwej rockowej muzyki z kasyty.

— Po prostu ekstra...

Skórzana teczka leżała na tylnym siedzeniu, owinięta w plastik. Wokół niej piętrzył się stos sprzętu i zapasów: dwa śpiwory, termiczna bielizna („Masz termiczne gatki, Fluke? Musisz je włożyć!”), dwie wodoodporne, obszyte futrem kurtki, kalosze i buty wojskowe, zwyczajne lornetki oraz lornetki z noktowizorem, szpadel, kompas, butelki z wodą, tabletki do oczyszczania wody, dwa szesciopaki budweisera, paczka czekoladowych batoników Hersheya, dwa termosy z kawą, błyskawiczne zupki, latarka, tranzystorowa krótkofalówka, czajnik, który można było podłączyć do samochodowej zapalniczki... Kelso stracił rachubę, co jeszcze.

W tylnej części toyoty stały kanistry i cztery sztywne pudła ze znakami SNS, których zawartość O'Brian opisał z zawodową dumą: zminiaturyzowana kamera cyfrowa, satelitarny telefon Inmarsat, laptop do profesjonalnego montażu wideo oraz coś, co określił jako Toko Video Store and Forward Unit. Łączna wartość tych czterech cudów techniki: sto dwadzieścia tysięcy dolarów.

- Słyszałeś kiedyś o podróżowaniu z małym bagażem?

- Z małym bagażem? — O'Brian uśmiechnął się. — Nie da się zabrać mniej. Z tymi czterema walizkami jestem w stanie zrobić to, co normalnie wymagało obecności sześciu facetów i ciężarówki sprzętu. Jeśli jest tu jakiś zbędny bagaż, przyjacielu, to jesteś nim ty.

- To nie był mój pomysł, żeby jechać.

Ale O'Brian nie słuchał go. Dzięki tym czterem pudłom, oznajmił, stoi przed nim otworem cały świat. Klęski głodu w Afryce. Ludobójstwo w Rwandzie. Wybuch bomby w wiosce w Irlandii Północnej, który udało mu się sfilmować

222

(dostał za to nagrodę). Masowe groby w Bośni. Pociski cruise kluczące nad dachami w Bagdadzie — w lewo, w prawo i jeszcze raz w prawo — którąś do pałacu prezydenckiego, proszę? No i oczywiście Czeczenia. Kłopot z Czeczenia...

(Jesteś zwiastunem nieszczęścia, myślał Kelso. Krążysz nad światem i wszędzie tam, gdzie wylądujesz, ludzie mrą z głodu i giną od kul; we wcześniejszych, mniej naiwnych czasach tubylcy zbiegaliby się na twój widok i odpędzali kamieniami od swoich domostw...).

Kłopot z Czeczenia polega na tym, mówił O'Brian, że zadyma skończyła się dokładnie, kiedy tu przyjechał, w związku z tym utknął na jakiś czas w Moskwie. Upiorne miasto.

- Sto razy wolałbym siedzieć w Sarajewie!
 - Jak długo zamierzasz tu zostać?
 - Niedługo. Do wyborów prezydenckich. Zapowiada się niezła zabawa.
- Zabawa?
- A potem gdzie się wybierasz?
 - Kto wie? Dlaczego pytasz?
 - Chcę się po prostu upewnić, że nie będzie mnie nigdzie w pobliżu.
- O'Brian roześmiał się i dodał gazu. Igła szybkościomierza zbliżyła się do stu dwudziestu kilometrów.

Jechali z tą samą szybkością, kiedy popołudnie przeszło w zmierzch. O'Brian wciąż gadał. (Jezu, czy ten człowiek nigdy się nie przyknie?). Koło Rostowa droga wiodła brzegiem wielkiego jeziora. Przy pomoście, obok rzędu drewnianych domków z pozamykanymi okiennicami stały przycumowane łodzie, okryte pokrowcami na zimę. Daleko na wodzie Kelso zobaczył samotną żaglówkę z zapalonym na rufie światłem. Patrzył, jak walcząc z wiatrem, halsuje w stronę brzegu, i ponownie ogarnęła go znajoma wieczorna depresja.

Czuł niemal fizyczną obecność leżących z tyłu papierów

223

Stalina, jak gdyby gensek siedział razem z nimi w samochodzie. Miał ochotę na drinka albo na papierosa, ale O'Brian ogłosił toyotę strefą dla niepalących.

- Jesteś jakiś spięty — stwierdził, przerywając swój słowotok. — Widzę to.
- Dziwisz się?
- Dlaczego? Z powodu Mamantowa? — Reporter machnął ręką. — Nie boję się go.
- Nie widziałeś, co zrobił temu staremu.
- Zgoda, ale nam to nie grozi. Nie robi tego Brytyjczykowi i Jankesowi. Jeszcze kompletnie nie oszalał.
- Może nie. Ale może to zrobić Zinajdzie.
- Nie martwiłbym się o Zinajdę. Poza tym ona nie ma już tego, o co im chodzi. My to mamy.
- Uroczy z ciebie facet, wiesz? A co, jeśli jej nie uwierzą?
- Chodzi mi tylko o to, żebyś przestał się przejmować Mamantowem, to wszystko. Robiłem z nim kilka wywiadów i mogę cię zapewnić, że to wrak. Ten facet żyje przeszłością. Tak jak ty.
- A ty? Jak rozumiem, ty nie żyjesz przeszłością?
- Ja? Nie ma mowy. Nie stać mnie na to w mojej pracy.
- Przeanalizujmy to — powiedział miłym tonem Kelso. W myślach otwierał szufladę i szukał najostrzejszego noża, jaki mógł znaleźć. — Więc we wszystkich tych miejscach, o których opowiadałeś przez minione dwie godziny... w Afryce, Bośni, na Bliskim Wschodzie, w Irlandii Północnej... przeszłość nie jest ważna? To chciałeś powiedzieć? Uważasz, że oni wszyscy żyją wyłącznie w czasie teraźniejszym? Obudzili się po prostu któregoś ranka, zobaczyli cię z twoimi czterema walizkami i postanowili, że pójdą na wojnę? Przed twoim przyjazdem nic tam się nie działo? „Hej, patrzcie wszyscy, nazywam się R. J. O'Brian i właśnie odkryłem pieprzone Bałkany...”

• W porządku — mruknął reporter. — Nie musisz mnie z tego powodu obrażać.

• Owszem, muszę. — Kelso rozgrzewał się. — To jest wielki mit naszej epoki. Wielki zachodni mit. Arogancja

224

naszej epoki, której ucieleśnienie, wybaczone, że to powiem, widzę w tobie. Przekonanie, że skoro gdzieś jest McDonald, MTV i akceptują kartę American Express, to takie miejsce nie różni się od innych. Nie ma już żadnej historii, właśnie zaczął się rok zerowy. Ale to nieprawda. »

- Myślisz, że jesteś ode mnie lepszy, tak? ''
- Nie. *
- Więc mądrzejszy?

• Nawet nie to. Słuchaj. Stwierdziłeś, że Moskwa jest straszonym miastem. Dlaczego? Powiem ci. Ponieważ w Rosji nie ma tradycji prywatnej własności. Najpierw byli robotnicy i chłopcy, którzy nie mieli niczego, i cały kraj należał do szlachty. Potem byli robotnicy i chłopcy, którzy nie mieli niczego, i cały kraj należał do partii. Teraz są robotnicy i chłopcy, którzy nie mają niczego, a kraj należy, jak należał zawsze, do tego, kto ma największe pięści. Dopóki tego nie zrozumiesz, nie masz szansy zrozumienia Rosji. Nie możesz pojąć teraźniejszości, jeśli przynajmniej w części nie żyjesz przeszłością. — Kelso odchylił się do tyłu w fotelu. — Koniec wykładu.

I przez następne pół godziny, gdy O'Brian analizował to, co usłyszał, w tojocie panowała błogosławiona cisza.

Tuż po dziewiątej dotarli do dużego miasta Jarosław i przejechali przez most na Wołdze. Kelso nalał kawy sobie i O'Brianowi. Jego kawa wylała mu się na kolana, gdy trafili na nierówny odcinek drogi. Amerykanin wypił, jadąc. Zjedli po batoniku. Reflektory z naprzeciwka, które oślepiły ich, kiedy znajdowali się blisko miasta, stopniowo pojawiały się coraz rzadziej.

— Chcesz, żebym cię zmienił? — zapytał Kelso.

O'Brian potrząsnął głową.

— Czuję się świetnie. Zmienimy się o północy. Powinieneś się teraz przespać.

O dziesiątej wysłuchali w radiu wiadomości. Komuniści i nacjonaliści korzystali z większości, jaką mieli w niższej izbie parlamentu, Dumie, żeby blokować ostatnie decyzje

225

prezydenta; zapowiadał się kolejny polityczny kryzys. Ceny na moskiewskiej giełdzie spadały na łeb, na szyję.

Tajny raport Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dla prezydenta, ostrzegający przed zbrojną rebelią, w jakiś sposób trafił do rąk dziennikarzy i został wydrukowany w „Aurorze”.

Nie było żadnej wzmianki o Rapawie, Mamantowie ani o papierach Stalina.

— Czy nie powinieneś być w Moskwie, żeby to wszystko relacjonować?

O'Brian parsknął śmiechem.

• Co? „Nowy polityczny kryzys w Rosji”? Nie wygłupiaj się. R. J. O'Brian nie będzie co godzina nadawał o tym samym.

- A o czym będzie nadawał?
- „Odnalezienie nieznannej kochanki Stalina”? „Tajemnicza dziewczyna z pamiętnika”? Jak ci się to podoba?

O'Brian wyłączył radio.

Kelso sięgnął do tyłu, wziął stamtąd jeden ze śpiworów, otworzył go, okrył się nim jak kocem, a potem nacisnął przycisk i oparcie jego fotela odchyliło się powoli w dół.

Zamknął oczy, ale nie mógł zasnąć. Jego umysł osaczały obrazy Stalina. Stalin jako starzec. Stalin widziany oczyma Miłowana Dżilasa po wojnie, pochylający się w limuzynie wiozącej go do dachy w Kuncewie, zapalający małą lampkę w przednim panelu, żeby zobaczyć, która jest godzina na zawieszonym tam kieszonkowym zegarku: „Zobaczyłem dokładnie przed sobą jego zgarbione plecy, kościsty szary kark i pomarszczoną skórę nad sztywnym kołnierzem marszałkowskiego munduru...” (Dżilas uważał, że tamtej nocy Stalin zachowywał się jak zgrzybiały starzec: opychał się jedzeniem, gubił watek opowieści, żartował na temat Żydów).

I Stalin, niespełna sześć miesięcy przed śmiercią, wygłaszający ostatnie chaotyczne przemówienie na posiedzeniu Komitetu Centralnego, opisujący, jak Lenin zmagał się z kryzysem w roku 1918, powtarzający bez przerwy te same

226

słowa — „gromił wroga w niewiarygodnie trudnej sytuacji, gromił wroga, nie bojąc się niczego, po prostu gromił wroga...” — podczas gdy delegaci siedzieli odrętwiali z przerażenia.

Stalin w nocy, samotny w swojej sypialni, wydzierający z czasopism zdjęcia dzieci i oklejający nimi ściany. I w końcu Stalin, który zmusza Annę Safanową, żeby dla niego zatańczyła.

To dziwne, ale próbując wyobrazić sobie tańczącą Annę Safanową, za każdym razem dawał jej twarz Zinajdy Rapawy.

Rozdział 17

Zinajda Rapawa siedziała po ciemku w swoim zaparkowanym przy moskiewskiej ulicy samochodzie, trzymając obie ręce w leżącej na kolanach torebce i czując pod palcami kształt ojcowskiego pistoletu.

Odkryła, że wciąż potrafi, nie patrząc, rozebrać go i załadować — tak jak wciąż potrafi się jeździć na rowerze: jedna z tych dziecięcych umiejętności, których nigdy się nie zapomina. Odciągnąć sprężynę pod kolbą, wyjąć magazynek, wcisnąć naboje (sześć, siedem, osiem pocisków, gładkich i chłodnych w dotyku), wsadzić z powrotem magazynek, zatrzasnąć go, przesunąć, odbezpieczyć broń. Właśnie tak.

Papa byłby z niej dumny. Ale w końcu zawsze była w tym lepsza od brata. Broń palna wprawiała Serga w zakłopotanie. Co było śmieszne, zważywszy na to, że to on właśnie musiał iść do wojska.

Na myśl o Sergu znowu się rozpląkała, ale nie mogła sobie pozwolić na długie mazgajstwo. Wyciągnęła poirytowana ręce z torebki, otarła najpierw jedno, potem drugie oko rękawem kurtki i wróciła do przerwanej czynności.

Wcisnąć. Zatrzasnąć. Przesunąć. Odbezpieczyć...

Bała się. Tak się bała, że zostawiając dzisiaj na ulicy tego Anglika, miała ochotę się obejrzeć... miała ochotę do niego

228

wrócić, ale gdyby to zrobiła, wtedy wiedziałby, że się boi, a strach, tak ją nauczono, był czymś, czego nigdy nie należy okazywać. Kolejna lekcja ojca.

Pobiegła do swojego samochodu i przez jakiś czas jeździła bezmyślnie w kółko. W końcu zorientowała się, że zmierza w stronę placu Czerwonego. Zaparkowała przy ulicy Łubianka Bolszaja i podeszła pod górę do małej białej cerkiewki Ikony Najświętszej Paniienki Włodzimierskiej, gdzie trwało właśnie nabożeństwo.

Cerkiew pękała w szwach. Cerkwie były teraz zawsze pełne, nie tak jak w dawnych czasach. Spłynęła na nią muzyka. Zapaliła świeczkę. Nie wiedziała dobrze, dlaczego to robi, była przecież niewierząca; świeczkę zapalała zawsze jej matka. *I co takiego zrobił dla nas kiedykolwiek twój Bóg?*, pytał szyderym tonem ojciec. Pomyślała o nim i o dziewczynie, która pisała ten pamiętnik, Annie Safanowej. Głupia dziwka. Biedna głupia dziwka. Za nią też zapaliła świeczkę.

Wolałaby mieć lepsze wspomnienia, ale były takie, jakie były, i nie mogła na to nic poradzić. Pamiętała go najczęściej pijanego, z oczyma jak szparki i latającymi pięściami. Albo zmęczonego po pracy w lokomotywowni — śmierdzącego jak stary kundel, zbyt skonanego, by wstać z krzesła i położyć się do łóżka, siadającego na płachcie „Prawdy”, żeby nie zachlapać olejem narzuty. Albo zrywającego się w środku nocy w ataku paranoi, wyglądającego przez okno i przemierzającego korytarze (*Kto mnie śledził? Kto o mnie coś mówił?*), rozkładającego kolejne płachty „Prawdy” na podłodze i obsesyjnie czyszczącego makarowa. (*Zabiję ich, jeśli będę musiał...*).

Ale czasami, gdy nie był pijany, skonany albo nie wpadał w szal — w tej spokojnej godzinie między pierwszym kieliszkiem a utratą świadomości — opowiadał o życiu na Kołymie: jak udawało się tam przeżyć, jak w zamian za tytoń i różne przysługi dostawało się coś do jedzenia, w jaki sposób załatwiano się lżejszą robotą i jak można było namierzyć kapusia. A potem brał ją na kolana i śpiewał kołymskie pieśni swoim przyjemnym megrelskim tenorem.

To było lepsze wspomnienie.

W wieku pięćdziesięciu lat wydawał się jej taki stary. Zawsze był stary. Jego młodość minęła wraz ze śmiercią Stalina. Może dlatego tyle o nim zawsze nawijał? Zawiesił nawet na ścianie portret Stalina — pamiętasz? — z tymi jego wąsami lśniącymi niczym wielkie czarne ślimaki. Nigdy nie mogła zaprosić do domu swoich koleżanek. Nie chciała, żeby zobaczyły chlew, w jakim mieszkali. Dwa pokoje i ona w jedynej sypialni, którą dzieliła najpierw z Sergem, a póź-

niej, kiedy urósł i wstydził się na nią spojrzeć, z mamą. Mama wyglądała jak upiór, jeszcze zanim zachorowała na raka. Potem zrobiła się prawie przezroczysta i w końcu rozplynęła się w powietrzu.

Umarła w osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy Zinajda miała osiemnaście lat. Po sześciu miesiącach wrócili na cmentarz w Troekurowie, żeby pochować obok niej Serga. Zinajda zacisnęła powieki i przypomniała sobie pogrzeb: moknącego na deszczu pijanego ojca, kilku towarzyszy broni Serga, nerwowego młodego porucznika, też jeszcze dziecko, który był jego dowódcą i mówił, jak Sergo zginął za ojczyznę, kiedy udzielali braterskiej pomocy postępowym siłom Ludowej Republiki...

...kurwa, jakie to ma znaczenie? Porucznik zmył się naj-
szybciej, jak mógł, mniej więcej po dziesięciu minutach, i tego
wieczoru Zinajda zabrała swoje rzeczy z nawiedzanego przez
duchy mieszkania. Ojciec próbował ją zatrzymać, uderzył
ją, wypacając wódkę przez otwarte pory, śmierzając jeszcze
bardziej przez to, że zmókł. Nie zobaczyła go już nigdy
potem. Aż do zeszłego wtorku, gdy stanął w jej progu
i wyzwał ją od dziwek. Wyrzuciła go niczym żebraka, wyku-
piła się kilkoma paczkami papierosów, a teraz nie żył i wie-
działa, że już naprawdę nigdy go nie zobaczy.

Pochyliła głowę i poruszyła wargami. Gdyby ktoś ją
obserwował, mógłby pomyśleć, że się modli, ale ona czytała
jego list i mówiła sama do siebie.

*Byłem zły, masz rację. Wszystko, co powiedziałaś, to szcze-
ra prawda. Nie myśl, że o tym nie wiem.*

Och, papo, byłeś zły, wiesz? Naprawdę zły.

230

Ale jest szansa zrobienia czegoś dobrego.

Dobrego? Tak to nazywasz? Dobrego? Chyba żartujesz.
Zabili cię za to i teraz zabijają mnie.

*Pamiętasz tę budkę, którą miałem, kiedy jeszcze żyła ma-
ma?*

Tak, tak, pamiętam.

I pamiętasz, co ci powtarzałem? Słuchasz mnie, dziewczyno?

Zasada numer jeden? Jaka jest zasada numer jeden?

Złożyła list i rozejrzała się dookoła. To głupota.

Mów, dziewczyno!

Pochyliła potulnie głowę.

Nigdy nie pokazywać im, że się boję.

Powtórz!

Nigdy nie pokazywać im, że się boję.

A zasada numer dwa? Jaka jest zasada numer dwa?

Na tym świecie masz tylko jednego przyjaciela.

Kto jest tym przyjacielem?

Ja sama.

/ co jeszcze?

To.

Pokaż.

To, papo. To.

W ciemnym wnętrzu torebki jej palce zaczęły przesuwac
paciorki różańca, z początku niezgrabnie, potem coraz
zręczniejsz.

Wciśnij. Zatrzaśnij. Przesuń. Odbezpiecz...

Wyszła z cerkwi, kiedy skończyło się nabożeństwo, i ru-

szła przez plac Czerwony, wiedząc, co musi zrobić, teraz o wiele spokojniejsza.

Anglik miał rację. Nie mogła ryzykować i wracać do mieszkania. Nie знаła nikogo wystarczająco dobrze, żeby poprosić go o przenocowanie. W hotelu musiałaby się wpisać do księgi gości, a jeżeli Mamantow ma kumpli w FSB...

To pozostawiało jej tylko jedną możliwość.

Zbliżała się szósta i pod mauzoleum Lenina zbierały się głębokie cienie. Ale po drugiej stronie wybrukowanego

231

kocimi łbami placu coraz jaśniej świeciły światła GUM-u — błyskające w październikowym mroku niczym żółte boje nawigacyjne.

Szybko zrobiła zakupy, zaczynając od długiej do kolan czarnej koktajlowej sukienki z surowego jedwabiu. Kupiła także błyszczące czarne rajstopy, krótkie czarne rękawiczki, czarną torebkę, czarne buty na wysokich obcasach i kosmetyki.

Zapłaciła za wszystko golówką;), dolarami. Nigdy nie wychodziła z domu, nie mając przy sobie co najmniej tysiąca dolarów w gotówce. Nie używała kart kredytowych: zostawiała za wiele śladów. I nie ufała bankom: złodziejskim alchemikom, którzy brali drogocenne dolary i przerabiali je na ruble, zmieniali złoto w pospolity metal.

Przy stoisku z kosmetykami jedna z ekspedientek poznała ją — cześć, Zina! — i musiała odwrócić się i uciec.

Wróciła do butiku, zdjęła w przymierzami dzinsy i bluzkę i wbiła się w nową sukienkę. Ciężko było jej zapiąć suwak — musiała wykręcić lewą rękę w górę i opuścić prawą między łopatkami, aż zetknęły się palce, ale w końcu zdołała go zasunąć, przycinając skórę. Dała krok do tyłu i przejrzała się w lustrze — odwrócona profilem, z dłonią na biodrze i wysuniętym do przodu podbródkiem.

Dobrze.

To znaczy: nie najgorzej.

Kolejne dziesięć minut zabrał jej makijaż. Wcisnęła swoje stare ciepłe ubranie w reklamówkę GUM-u, włożyła skórzaną kurtkę i wyszła z powrotem na plac Czerwony, potykając się w szpilkach na bruku.

Starła się nie spoglądać na mauzoleum Lenina ani na wznoszący się za nim kremlowski mur, gdzie ojciec zabierał ją, gdy była mała, pod grób Stalina. Przeszła szybko przez bramę na północnym skraju placu, skręciła w prawo i ruszyła w stronę hotelu Metropol. Miała zamiar napić się drinka w hotelowym barze, ale ochroniarze nie chcieli jej wpuścić.

— Nie ma mowy, kochanie. Przykro mi.

Odchodząc, słyszała ich śmiech.

I

232

— Wcześniej dziś zaczynamy — zawołał za nią **jeden** z nich.

Kiedy dotarła do samochodu, było już ciemno. .)

I tam właśnie teraz siedziała.

To dziwne, pomyślała, spoglądając wstecz: śmierć mamy i Serga — te dwa zgony były niczym dwa małe kamyki, od których zaczęła się lawina. Dziwne. Ponieważ niedługo po

ich odejściu wszystko się zawaliło — cały stary znajomy świat osunął się za nimi w mokre grzęzawisko.

Nie, nie interesowała się polityką. Pamięć pierwszych dwóch lat po odejściu od ojca spowijała mgła. Mieszkała nielegalnie w obwodzie krasnogorskim. Dwa razy zaszła w ciążę. Miała dwie aborcje. (1 wkrótce potem przestała się zastanawiać, jak wyglądałaby ta dwójka — jedno miałoby teraz dziewięć, drugie siedem lat — i czy dokuczałyby jej bardziej niż puste miejsca, które po nich zostały).

Ale nawet nie interesując się polityką, musiała zainteresować się pieniędzmi, które pojawiły się w okolicy ekskluzywnych hoteli — Metropolu, Kempiego i innych. Pieniądze zaś zainteresowały się nią. Nią i innymi moskiewskimi dziewczętami. Zinajda nie należała może do najpiękniejszych, ale była całkiem ładna: dość megrejska, by w jej twarzy można było dostrzec ostre orientalne rysy i dość rosyjska, by mimo szczupłej budowy ciała mieć zaokrąglone kształty.

A ponieważ żadna dziewczyna w Moskwie nie mogła zarobić miesięcznie tyle, ile mógł wydać w nocy na butelkę wina zachodni biznesmen, nie trzeba było być geniuszem ekonomii — nie trzeba było być jednym z tych popijających przy barze ekspertów *know-how* o nieprzeniknionych twarzach — żeby dostrzec tutaj rynkową niszę. Dlatego właśnie pewnej nocy w grudniu 1992 roku, w hotelowym apartamencie niemieckiego inżyniera z Ludwigshafen am Rhein, dwudziestojednoletnia Zinajda została kurwą i po dziewięćdziesięciu złanych potem minutach pokuśtykała korytarzem ze schowanymi za stanikiem stu dwudziestoma pięcioma dolarami — sumą, jakiej nie widziała dotąd nigdy w życiu.

233

I czy mam powiedzieć ci coś jeszcze, papo, teraz, kiedy w końcu ze sobą rozmawiamy? Nie było w tym nic złego. Czułam się świetnie. Ponieważ robiłam dokładnie to samo, co robi każdej nocy dziesięć milionów dziewcząt, tyle że one nie mają dość zdrowego rozsądku, by brać za to pieniądze. Dekadencją jest właśnie tamto. A to jest biznes — kapitalizm — nie ma w nim nic złego i robiąc to, miałam, jak mówiłeś, tylko jednego przyjaciela: samą siebie.

Po jakimś czasie interes przeniósł się z hoteli do klubów i życie stało się łatwiejsze. Kluby płaciły za ochronę mafii i brały procent od dziewcząt, mafia nie dopuszczała alfonsów, wszystko wyglądało ślicznie i porządnie i można było udawać, że chodzi o przyjemność, a nie o biznes.

Dzisiaj, niespełna sześć lat po pierwszym spotkaniu z klientem, Zinajda Rapawa miała schowane w swoim mieszkaniu — które, swoją drogą, wykupiła na własność i do końca spłaciła — prawie trzydzieści tysięcy dolarów w gotówce. I miała plany na przyszłość. Studiowała prawo. Zamierzała zostać prawniczką. Chciała porzucić klub Robotnik, a wraz z nim Moskwę, przenieść się do Petersburga i stać się porządną prawniczką kurwą — panią adwokat.

Chciała to wszystko zrobić aż do ostatniego wtorku, kiedy ni stąd, ni zowąd w jej progu pojawił się Papu Rapawa, chcąc z nią pogadać, obrzucając ją obelgami, przynosząc z ulicy znajomy, cuchnący niczym psi oddech odór przeszłości.

Wysłuchiwała wiadomości o dziesiątej, a potem przekreśliła

kluczyk w stacyjce i wyjechała powoli z ulicy Łubianka Bolszaja, kierując się na północny zachód, w stronę Stadionu Młodych Pionierów, gdzie zaparkowała na swoim normalnym miejscu, tuż przy pogrążonej w mroku alejce.

Noc była zimna. Szarpana wiatrem cienka sukienka owinięła się ciasno wokół jej bioder. Idąc w kierunku pulsujących świateł, trzymała mocno torebkę. W środku będzie bezpieczniejsza.

Przed klubem kłębił się okazały jak na czwartkową noc

234

tłum, kolejka bogatych zachodnich owieczek gotowych do wystrzyżenia. Normalnie jej oczy działały na nich jak para ostrych nożyc, ale nie tej nocy; tej nocy musiała się przepychać, żeby przejść.

Zapukała jak zwykle do tylnych drzwi i barman Aleksiej wpuścił ją do środka. Oddała kurtkę do szatni, zawahała się chwilę, ściskając w dłoni torebkę, ale potem ją także oddała szatniarce; wewnątrz Robotnika nie było najlepszym miejscem, żeby dać się złapać na nielegalnym posiadaniu broni.

Przychodząc do klubu, mogła zawsze udawać kogoś innego i była to kolejna prócz pieniędzy rzecz, która jej się tu podobała. („Jak masz na imię”, pytali, próbując nawiązać z nią jakiś ludzki kontakt. „Jakie imię lubisz?”, odpowiadała zawsze). Mogła zostawić swoje życie za drzwiami Robotnika i schować się za tą drugą Zinajdą: seksowną, opanowaną i twardą. Ale nie tej nocy. Tej nocy, gdy stała w damskiej toalecie, poprawiając makijaż, sztuczka najwyraźniej nie działała i z lustra ponad wszelką wątpliwość spoglądała na nią jej własna twarz: podkrążone, przestraszone oczy Zinajdy Rapawy.

Przesiedziała godzinę albo dłużej w mrocznej łoży, obserwując gości. Potrzebowała kogoś, kto zabrałby ją na całą noc. Kogoś porządnego i przyzwoitego, z własnym mieszkaniem. Ale czy można zgadnąć, jacy naprawdę są mężczyźni? To właśnie ci młodzi z butnymi minami i niewyparzonymi gębami wybuchają najczęściej płaczem i pokazują ci zdjęcie swojej dziewczyny. A bankowcy i adwokaci w okularach lubią sprać cię na kwaśne jabłko.

Koło wpół do dwunastej, kiedy w lokalu zrobiło się tłoczno, wyszła z łoży.

Chodziła po parkiecie, pałac papierosa, z butelką wody mineralnej w ręce. Matko Boska, pomyślała, dziś w nocy są tu dziewczęta, które nie wyglądają nawet na piętnaście lat. Mogłaby być ich matką.

To życie zbliżało się dla niej do końca.

Podszedł do niej mężczyzna w obcisłej koszuli, spomiędzy

235

guzików której wystawały ciemne kręcone włosy, ale przypomniał jej O'Briana i wyminęła go, wpadając w obłok płynu po goleniu i wybierając ubranego w garnitur od Armaniego wielkiego faceta z południowo-wschodniej Azji.

Azjata wypił duszkiem swojego drinka — czystą wódkę, bez lodu, zauważyła: zauważyła to zbyt późno — i zabrał ją na parkiet. Złapał ją szybko za oba pośladki i wbił w nie palce, tak że omal nie spadły jej z nóg nowe buty. Kazała mu przestać, ale on chyba jej nie rozumiał. Próbowwała go

odepchnąć, lecz to zwiększyło tylko siłę, z jaką ją ścisnął, i wtedy coś w niej pękło, a właściwie raczej połączyło się: połączyły się dwie Zinajdy...

Czy jesteś dobrą bolszewiczką, Anno Safanowa? Możesz to udowodnić? Zatańczysz dla Towarzysza Stalina?

...i nagle przejechała palcami prawej dłoni po jego gładkim policzku, tak głęboko, że poczuła wyraźnie pod paznokciami żywe mięso.

Wtedy dopiero ją puścił — ryknął, zgiął się wpół i zaczął miotać głową, pryskając zataczającymi idealne łuki kroplami krwi niczym otrząsający się z wody mokry pies. Ktoś krzyknął i ludzie rozstąpili się, żeby dać mu więcej miejsca.

Takie rzeczy przychodzili tu obejrzyć!

Zinajda rzuciła się do ucieczki — przez bar, po spiralnych schodach, przez wykrywacze metalu, na zewnątrz. Na dworze nogi rozjechały się jej na boki i upadła na lód. Była pewna, że facet ją ściga. Dźwignęła się na nogi i z trudem powlokła do samochodu.

Osiedle Zwycięstwa Rewolucji. Blok numer dziewięć. W mroku. Gliniarze wynieśli się. Zniknął tłumek gapiów. I wkrótce zniknie cały dom zbudowany wyjątkowo tandetnie nawet jak na sowieckie standardy; miano go zburzyć za miesiąc albo dwa.

Zaparkowała po drugiej stronie ulicy, tam gdzie przywiozła wczoraj wieczorem Anglika, i gapiła się na stojący za pasem brudnego śniegu budynek.

Blok numer dziewięć.

, »;

236

Dom.

Była taka zmęczona.

Ujęła dwiema rękoma kierownicę i położyła czoło na odsłoniętych przedramionach. Nie potrafiła już płakać. Czuliła bardzo mocno obecność ojca: słyszała niemal tę głupią piosenkę, którą śpiewał.

*Kolyma, Kolyma,
Nie ma piękniejszego kraju! " »
Przez dwanaście miesięcy zima
A poza tym lato...*

Była tam chyba jeszcze jedna zwrotka. Coś o pracy przez dwadzieścia cztery godziny dziennie i przesypianiu całej reszty. I tak dalej. Przez chwilę stuknęła w wyimaginowanym rytmie czołem o dłoń, a potem oparła policzek o kierownicę i wtedy właśnie przypomniała sobie, że zostawiła w klubie torebkę z pistoletem.

Przypomniała sobie, ponieważ tuż obok lady stanął samochód, duży samochód, nie pozwalając jej odjechać, i zobaczyła twarz wpatrującego się w nią mężczyzny — białą plamę zniekształconą przez dwie brudne mokre szyby.

Rozdział 18

Obudziła go cisza.

i

- Która jest godzina?
- Północ. — O'Brian głośno ziewnął. — Teraz ty siadasz za kółkiem.

Stali na poboczu pustej drogi ze zgaszonym silnikiem. Kelso nie widział nic prócz kilku słabo migających nad głową gwiazd. Po hałasie jazdy cisza była prawie fizyczna, uciskała w uszach.

Wyprostował się w fotelu.

- Gdzie jesteśmy?
- Mniej więcej sto pięćdziesiąt, może dwieście kilometrów na północ od Wołogdy. — O'Brian zapalił wewnętrzną lampkę i Kelso zmrużył oczy. — Moim zdaniem, gdzieś tutaj.

Amerykanin pochylił się nad mapą i dźgnął wielkim paznokciem miejsce, które wydawało się zupełnie puste: biała przestrzeń przecięta czerwoną nitką szosy, z kilkoma znaczkami symbolizującymi bagna po obu stronach. Dalej na północy zaczynała się zielona plama lasu.

— Muszę się odlać — stwierdził. — Idziesz ze mną?

Było tu o wiele zimniej niż w Moskwie, niebo jeszcze wyższe. Wielka flota chmur, podświetlonych na brzegach

238

przez błądy księżyc, płynęła na południe, odsłaniając tu i tam skrawki gwiaździstego nieba. Reporter miał latarkę. Zeszli z niewysokiego nasypu i przez pół minuty stali zgodnie obok siebie, oddając mocz. Z ziemi przed nimi unosiła się para. Potem O'Brian zapiął rozporek i zaświecił dookoła latarką. Silny snop światła przeciął kilkaset metrów mroku i rozproszył się; nie oświetlił niczego.

Nisko nad ziemią wisiała marznąca mgiełka.

- Słyszysz coś? — zapytał O'Brian. W powietrzu załśniła chmurka jego oddechu.

• Nie.

— Ja też nie.

Zgasił latarkę i przez chwilę stali w miejscu.

— Och, tatusiu — szepnął O'Brian głosem małego chłopca. — Tak się boję...

Zapalił ponownie latarkę i wdrapali się po nasypie do toyoty. Kelso nalał im obu kawy, a O'Brian podniósł tylną klapę, wyciągnął dwa kanistry, znalazł lejek i zaczął napełniać bak.

Obejmując dłonią filiżankę, Kelso odszedł kilkanaście kroków od oparów benzyny i zapalił papierosa. W ciemności, na mrozie, pod olbrzymim euroazjatyckim niebem czuł się odłączony od rzeczywistości, przestraszony, lecz mimo to dziwnie przejęty, z wyostrozonymi wszystkimi zmysłami. Usłyszał w oddali jakiś hałas; na prostej drodze za nimi pojawiła się żółta kropka. Patrzył, jak powoli rośnie, dzieli się i zmienia w dwa potężne reflektory. Przez chwilę miał wrażenie, że celują prosto w niego, a potem minęła ich, trąbiąc wesoło, wielka szesnasłokołowa ciężarówka. Warkot

silnika słycać było długo po tym, jak w mroku zniknęły tylne czerwone światła.

— Hej, Fluke! Możesz tu na chwilę przyjść?

Kelso zaciągnął się po raz ostatni papierosem i wyrzucił go. Na asfalcie zatańczyły pomarańczowe iskry.

O'Brian chciał, żeby pomógł mu wyciągnąć jedno z jego drogocennych urządzeń, białe poliwęglanowe pudło o rozmiarach mniej więcej sześćdziesiąt na czterdzieści pięć centymetrów, z zamocowanymi pod spodem dwoma czarnymi

239

kółkami. Kiedy wyjęli je z bagażnika, Amerykanin potoczył je do przednich drzwi od strony pasażera.

- I co teraz? — zapytał Kelso.
- Nie powiesz chyba, że nigdy czegoś takiego nie widziałeś?

Reporter otworzył pokrywę pudła i wyjął ze środka coś, co przypominało cztery plastikowe tacki podobne do tych, które rozkłada się z tyłu samolotowych foteli. Połączył je ze sobą, tworząc płaski kwadrat o boku mniej więcej jednego metra, który przymocował następnie z boku pudła. Pośrodku przykręcił długi teleskopowy pręt, po czym podłączył wystający z boku przewód do zapalniczki w toyocie i wcisnął przycisk. Na pulpicie zapaliły się małe światełka.

• Nieźle, co? — O'Brian wyjął z kieszeni kurtki kompas i oświetlił go latarką. — Teraz, gdzie, do diabła, jest Ocean Indyjski?

- Co?

Amerykanin zerknął za siebie wzdłuż szosy.

— Z tego, co widzę, dokładnie za nami. Dokładnie z tyłu. Satelita krążący na stacjonarnej orbicie ponad trzydzieści tysięcy kilometrów nad Oceanem Indyjskim. Tylko pomyśl. Świat jest taki mały, prawda, Fluke? Przysięgłbym, że trzymam go w ręku.

Wyszczerył zęby, przyklękł obok pudła i przesunął je tak, że antena wycelowana była dokładnie na południe. Aparatura zaczęła natychmiast emitować niski gwizd.

— Mam cię. Złapała ptaszka. — Wcisnął przełącznik i gwizd ucichł. — Teraz podłączymy słuchawkę... o tak. Wykęcimy zero cztery do stacji naziemnej w Eik w Norwegii... o tak. A teraz wybierzemy nasz numer. Dziecinnie proste.

Wstał i podał słuchawkę Fluke'owi, który przyłożył ją ostrożnie do ucha. Usłyszał sygnał centrali w Ameryce, a potem męski głos powiedział „Redakcja”.

Kelso zapalił kolejnego papierosa i odszedł kilkanaście kroków od toyoty. O'Brian siedział na przednim siedzeniu.

240

Nawet przy zamkniętych oknach jego głos niósł się wyraźnie w mroźnym powietrzu.

— Tak, tak, jesteśmy w drodze... Mniej więcej w połowie... Tak, jest ze mną... Nie, dobrze się czuje. — Drzwiczki otworzyły się. — Dobrze się czujesz, profesorze?

Kelso podniósł rękę.

• Tak — podjął rozmowę O'Brian — czuje się świetnie. — Drzwiczki zatrzasnęły się i Amerykanin musiał ściszyć głos, ponieważ Kelso nie słyszał go już tak dobrze.

- Będziemy tam koło dziewiątej... jasne... to dobry materiał... wygląda na dobry.

O czymkolwiek była mowa, Anglikowi nie spodobał się ton reportera. Wrócił do samochodu i otworzył na oścież drzwiczki.

— Ops... Muszę kończyć, Joe. Cześć.

O'Brian odłożył szybko słuchawkę i mrugnął.

- Co konkretnie im powiedziałeś?

- Nic takiego.

Reporter wyglądał jak chłopak, który nabroił.

- Co to znaczy „nic”?

- Daj spokój, musiałem im wspomnieć w zarysie, o co chodzi.

- W zarysie? — wrzasnął Kelso. — To miał być sekret...

- Daj spokój, przecież nikomu nie powieją. Nie mogę tak po prostu wyjechać, nie mówiąc im, w jakim celu.

- Chryste. — Kelso oparł się o bok toyoty i podniósł wzrok do nieba. — Co ja tutaj robię?

- Chcesz gdzieś przedzwonić, Fluke? — O'Brian wyciągnął w jego stronę słuchawkę. — Do żony? Na nasz koszt?

- Nie. Nie mam nikogo, do kogo chciałbym w tej chwili zadzwonić. Dziękuję.

- Może do Zinajdy? — rzucił chytrze O'Brian. — Może zadzwonisz do Zinajdy? — Wysiadł z samochodu i wcisnął słuchawkę w dłoń Anglika. — Śmiało. Widzę, że się o nią martwisz. To takie słodkie. Zero cztery, a potem jej numer. Tylko nie gadaj przez całą noc. Człowiek może sobie tutaj odmrozić jaja.

241

Odszedł, zabijając rękoma z zimna, i Kelso po minucie wahania poszukał w kieszeni karteczki z jej adresem.

Czekając na połączenie, próbował wyobrazić sobie jej mieszkanie, ale nie potrafił tego zrobić. Za mało ją znał. Patrząc na zwały chmur, które oddalały się na południe, jakby uciekały przed jakąś katastrofą, wyobraził sobie drogę, jaką pokonuje sygnał telefonu — ze środka głuszy do zawieszzonego nad Oceanem Indyjskim satelity, potem na dół do Skandynawii i po ziemi do Moskwy. O'Brian miał rację: człowiek mógł stać na pustkowiu i mieć poczucie, że obejmuje ręką cały świat.

Pozwolił, by telefon dzwoni! bardzo długo, jednocześnie pragnąc, żeby go odebrała, ponieważ wiedziałby wtedy, że jest bezpieczna, i mając nadzieję, że tego nie robi, bo jej mieszkanie było najmniej bezpiecznym ze wszystkich miejsc.

Nie odebrała i po kilku minutach odłożył słuchawkę.

Teraz Kelso miał prowadzić, a O'Brian trochę się zdrzemnąć, lecz reporter w dalszym ciągu nie mógł usiedzieć spokojnie. Podciągnął śpiwór pod samą brodę i przechylił oparcie prawie do pozycji horyzontalnej. „No tak”, mruczał i zaraz potem powtarzał z większym naciskiem: „No tak”. Pochrząkiwał. Kręcił się i rzucał niczym wyciągnięta z wody ryba. Parskał. Drapał się w krocze.

Kelso ujął mocniej kierownicę.

— Czy możesz się przymknąć, O'Brian? — powiedział, nie odrywając wzroku od przedniej szyby. — Czy raz w życiu możesz wyświadczyć przysługę całej ludzkości, a w szcze-

gólności mnie i zatkać czymś tę swoją wielką gębę?

W światłach reflektorów nie było widać nic prócz wijącej się wstęgi szosy. Co jakiś czas na przeciwnym paśmie pojawiał się samochód, oślepiając go zapalonymi długimi światłami. Po mniej więcej półgodzinie wyprzedził wielką ciężarówkę, która minęła ich wcześniej. Wesoly kierowca znowu nacisnął klakson i Kelso odtrąbił.

— No tak — mruknął O'Brian, przewracając się na dźwięk klaksonu. — No tak...

242

Szum opon miał w sobie coś hipnotycznego; przez głowę Kelso przelatywały luźne przypadkowe myśli. Zastanawiał się, jak zachowałby się O'Brian podczas prawdziwej wojny, w której musiałby walczyć, a nie tylko robić zdjęcia. A potem zaczął się zastanawiać, jak zachowałby się on sam. Większość mężczyzn, których znał, zadawała sobie to pytanie, tak jakby fakt, że nigdy nie walczyli na froncie, czynił ich w jakiś sposób niepełnowartościowymi — pozostawiał w życiorysie dziurę, którą mogła wypełnić tylko wojna.

Czy to możliwe, że właśnie brak wojny — chociaż sam w sobie cudowny, co do tego nie ma dwóch zdań — czy to możliwe, że to jej brak strywializował ludzi? Ponieważ wszystko jest teraz takie cholernie trywialne, czyż nie? Żyjemy w Erze Trywialności. Polityka jest trywialna. Trywialne jest to, co spędza ludziom sen z powiek — hipoteka, emerytury i zagrożenia wynikające z biernego palenia. Jezus, pomyślał, zerkając na CTBriana, czy do tego tylko zostaliśmy zredukowani? Martwimy się o bierne palenie, podczas gdy nasi rodzice i dziadkowie musieli się martwić o to, żeby ich nie zastrzelono i nie zbombardowano?

Po chwili ogarnęło go poczucie winy, gdyż do jakiego właściwie miało to prowadzić wniosku? Że chce wojny? Albo chociażby zimnej wojny? Ale to prawda, brakowało mu zimnej wojny. Cieszył się oczywiście, że dobiegła kresu — że wygrała dobra strona i tak dalej — lecz kiedy jeszcze trwała, ludzie tacy jak on wiedzieli przynajmniej, na czym stoją, mogli wskazać na to lub owo i powiedzieć: cóż, być może nie wiemy, w co wierzymy, ale na pewno nie wierzymy w tamto.

Faktem jest, że od końca zimnej wojny specjalnie mu się w życiu nie wiodło. Niezły dowcip. On i Mamantów: dwaj ludzie, których karierę zwichnął upadek ZSRR! Obaj skarżący się na trywialność współczesnego świata, obaj zapamiętani w przeszłość, obaj poszukujący sekretu towarzysza Stalina.

Znieruchomiał, przypomniawszy sobie coś, co usłyszał od Mamantowa.

243

Powiem panu jedno: jest pan tak samo ogarnięty obsesją jak ja.

Wtedy się z tego roześmiał. Ale teraz, kiedy się nad tym zastanowił, to zdanie wydało mu się zaskakująco trafne — nawet niepokojące w swojej odkrywczosci — i zdał sobie sprawę, że bez przerwy do niego wraca, pokonując kolejne kilometry drogi, która wylaniała się z chłodnego mroku.

Prowadził przez ponad cztery godziny, aż zdrętwiały mu nogi. W pewnym momencie autentycznie zasnął i obudził się nagle, gdy toyota zjeżdżała na środek drogi: białe pasy celowały w nich niczym włócznie w światłach reflektorów.

Kilka minut później minęli coś w rodzaju parkingu dla ciężarówek. Kelso ostro zahamował, zatrzymał się i wjechał tam na tylnym biegu. Leżący obok niego O'Brian otrząsał się z trudem ze snu.

- Dlaczego stajemy?
- Bak jest pusty. I muszę odpocząć. — Kelso zgasił silnik i pomasaował kark. — Może się tu na jakiś czas zatrzymamy?
- Nie. Musimy jechać dalej. Należy nam obu kawy, dobrze? Ja napelnę bak.

Wszystko odbyło się według tego samego rytuału, co poprzednio. Reporter wygramolił się z samochodu i wyjął dwa kanistry z bagażnika, a Anglik odszedł kilka kroków, żeby zapalić papierosa. Tutaj, na dalekiej północy, wiatr był bardziej porywisty. Kelso słyszał, jak szumi w drzewach, których nie widział. Gdzieś w pobliżu pluskał jakiś strumyk.

Kiedy wsiadł z powrotem do samochodu, w środku paliła się lampka. O'Brian siedział w fotelu kierowcy, goląc elektryczną maszynką swój wielki policzek i studiując mapę. O tej porze nie powinno się być na nogach, pomyślał Kelso. Nie oznaczało to nic dobrego. Kojarzyło mu się z nieszczęśliwym wypadkiem, utratą kogoś bliskiego, spiskiem, ucieczką: wymknięciem się z sypialni jednodniowej kochanki.

244

Żaden z nich się nie odzywał. O'Brian odłożył golarkę i wsunął mapę do kieszeni w drzwiach.

Opuszczane siedzenie było ciepłe, podobnie jak śpiwór, i mimo targających nim obaw po pięciu minutach Kelso zapadł w pozbawiony wizji kamienny sen. Gdy kilka godzin później się obudził, miał wrażenie, że przekroczyli jakąś barierę i znaleźli się w innym świecie.

Rozdział 19

Kilka godzin wcześniej, kiedy Kelso wciąż siedział za kierownicą, major Feliks Suworin pochylił się, żeby pocałować swoją żonę Serafimę.

Z początku nadstawiła mu tylko policzek, ale potem zmieniła chyba zdanie. Ciepła miękka ręka wyslizgnęła się spod koldry, złapała go za kark i pociągnęła w dół. Pocałował ją w usta. Poczul zapach wody Chanel. Jej ojciec przywiózł ją z ostatniego spotkania G8.

- Nie wrócisz dziś w nocy — szepnęła.
- Wróce.
- Nie wrócisz.

- Postaram się cię nie zbudzić.
- Zbudź mnie.
- Śpij.

Przyłożył palec do jej warg i zgasił lampę przy łóżku. Do sypialni wpadała smuga światła z korytarza. Słyszał równy oddech chłopców. Zegar z brązu pokazywał trzydzieści pięć minut po pierwszej. Spędził w domu raptem dwie godziny. Niech to diabli. Usiadł na poślaczonym krześle i włożył buty, a potem zdjął płaszcz z rzeźbionego drewnianego wieszaka. Wystrój mieszkania skopiowali z jakiegoś kolorowego zachodniego czasopisma; kosztował więcej, niż zarabiał jako major w SWR; ze swojej pensji stać go było najwyżej na czasopismo. Zapłacił teść.

246

Wychodząc z domu, Suworin przejrzał się w lustrze, które wisiało w korytarzu naprzeciwko reprodukcji Jacksona Pollocka. Rysy i cienie jego zmęczonej twarzy wydawały się zlewać z obrazem. Robię się za stary na tę zabawę, pomyślał; nie był już złotym chłopcem.

Wiadomość, że samolot Deltę odleciał bez Fluke'a Kelso, dotarła do Jaseniewa kilka minut po drugiej po południu. Pułkownik Arseniew dał wyraz w nader dosadnych słowach — i z całą pewnością w bardziej dyskretnej formie w raporcie — swemu zdumieniu, iż Suworin nie zapewnił historykowi obstawy, która wsadziłaby go do samolotu. Major miał ochotę zgryźliwie spytać, jak ma zlokalizować Mamantowa, kontrolować działania milicji, odnaleźć notatnik oraz eskortować niesfornego zachodniego naukowca, mając do dyspozycji wszystkiego czterech ludzi.

Zniknięcie Anglika zeszło zresztą na dalszy plan, kiedy Interfaks podał komunikat o śmierci Papu Rapawy. Powołując się na „bliżej nieokreślone źródła policyjne” agencja informowała, że stary został zamordowany, gdy próbował sprzedać zachodniemu autorowi tajne papiery Józefa Stalina. Trzech oburzonych komunistycznych deputowanych złożyło już w tej sprawie interpelację w Dumie. Do Arseniewa zadzwonił ktoś z Urzędu Prezydenta Federacji, chcąc wiedzieć (i cytując najwyraźniej samego Borysa Nikołajewicza) „co się tam, kurwa, u was dzieje?”. Podobnie zareagowało FSB. Pół tuzina reporterów koczowało pod blokiem Rapawy, kolejni oblegali komendę główną milicji, która oficjalnie nic nie wiedziała o sprawie.

Po raz pierwszy w życiu Suworin wspomniął z łezką w oku dawne czasy, kiedy wiadomości zaczynały się i kończyły na tym, co była łaskawa ogłosić agencja TASS, a cała reszta stanowiła tajemnicę państwową.

Spróbował ponownie wcielić się w adwokata diabła. Czy nie przykładają przypadkiem do tej sprawy zbyt wielkiej wagi? Czy nie dają się wodzić Mamantowowi za nos? Czy

247

zeszyt Stalina może zawierać rzeczy, które mają znaczenie we współczesnym świecie?

Arseniew uśmiechnął się: zawsze niebezpieczny znak.

- Kiedy się urodziłeś, Feliksie? — zapytał słodkim głosem. — W pięćdziesiątym ósmym? W pięćdziesiątym dzie-

wiałym?

- W sześćdziesiątym.

- W sześćdziesiątym. Ja, widzisz, urodziłem się w trzydziestym siódmym. Mój dziadek... został rozstrzelany. Dwóch wujków zesłano do obozów. Nigdy nie wrócili. Mój ojciec zginął w jakiejś wariackiej szarży na samym początku wojny, próbując zatrzymać za pomocą szmaty i butelki niemiecki czołg pod Połtawą, gdyż towarzyszył Stalinowi oświadczając, że każdy żołnierz, który się podda, będzie uważany za zdrajcę. W związku z czym nie lekceważyłbym towarzysza Stalina.

- Przykro mi... — zaczął Suworin.

Arseniew uciszył go gestem dłoni. Twarz poczerwieniała mu, mówił podniesionym głosem.

— Jeśli ten sukinsyn zamknął zeszyt w swoim sejfie, nie zrobił tego bez powodu, zaręczam ci. Beria, który go wykradł, też nie zrobił tego bez powodu. Mamantow, który zamęczył starego na śmierć, również miał bardzo ważny powód, żeby dostać w swoje łapska ten zeszyt. Więc znajdź go, Feliksie Stiepanowiczu, bardzo cię proszę. Znajdź go.

I Suworin robił, co w jego mocy, żeby zdobyć zeszyt. Skontaktował się ze wszystkimi mieszkającymi w Moskwie specjalistami od starych dokumentów. Rysopis doktora Kelso został dyskretnie przekazany wszystkim stołecznym posterunkom milicji, a także drogówce, GAI. Technicznie rzecz biorąc, SWR współpracowało teraz z milicją w sprawie morderstwa, co oznaczało, że mógł liczyć na trochę większe wsparcie; ustalił z nimi wspólne stanowisko, które mogli przekazać mediom. Odebrał rozmowę ze znajomym teściem — właścicielem największego koncernu prasowego w Federacji — i poprosił go, żeby trochę im odpuścili. Wysłał Netta na Wspólny Pierieulok, żeby powęszył w okolicy pustego domu. Postawił ludzi przy mieszkaniu córki Rapawy, Zinaj-

248

dy, która zniknęła, i kiedy nie wróciła do siebie przed północą, wysłał Bunina do klubu Robotnik, gdzie pracowała.

Pojawił się u siebie w domu po jedenastej.

A o pierwszej dwadzieścia pięć powiadomiono go przez telefon, że się znalazła. ><<

- Gdzie była?

- Siedziała w samochodzie — odparł Bunin. — Przy bloku swojego ojca. Pojechaliśmy tam za nią z klubu. Zaczekaliśmy, żeby sprawdzić, czy się z nikim nie spotka, i kiedy nikt się nie pojawił, zgarnęliśmy ją. Brała chyba udział w jakiejś bójce.

- Dlaczego?

— Zobaczysz, kiedy wejdiesz na górę. Zerknij na jej rękę.

Stali, rozmawiając cicho na parterze jej bloku, w Zajauze, nieciekawej dzielnicy we wschodniej części Moskwy. Mieszkała niedaleko parku, w sprywatyzowanym, sądząc po wyglądzie otoczenia, porządnym domu. Ciekawe, co pomyśliby sąsiedzi, gdyby ktoś im powiedział, że mieszkająca na trzecim piętrze dziewczyna jest dziwką.

— Coś jeszcze?

- Mieszkanie jest czyste, podobnie jak jej samochód — oświadczył Bunin. — W bagażniku była torba z ubraniami: dzinsy, T-shirt, para botków, majtki. Ale na górze miała

schowaną masę pieniędzy. Jeszcze nie wie, że je znalazłem.

- Ile?
- Dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy dolarów. Owinęte ciasno folią i ukryte w spłuczce sedesu.
- Gdzie są teraz? i.. ' .". .1
- Ja je mam. ; >
- Pokaż.

Bunin zawahał się, a potem wręczył mu grube zawiniątko, same setki. Spoglądał na nie chciwym wzrokiem. Zarobienie takiej sumy zajęłoby mu pięć lat i Suworin domyślił się, że miał wielką ochotę coś niecoś z niej uszczknąć. Może już to zrobił. Wsadził pieniądze do kieszeni.

— Jaka ona jest? •

249

• To twarda dziwka, majorze. Dużo pan z niej nie wyciągnie. — Bunin postukał się w głowę. — Moim zdaniem, jest stuknięta.

• Dziękuję, poruczniku, za wnikliwą psychologiczną analizę. Możesz poczekać na dole.

Suworin wspiął się po schodach. Na drugim piętrze kobieta w średnim wieku wystawiła zza drzwi głowę w papilotach.

- Co się stało?
- Nic, proszę pani. Rutynowa kontrola. Nic pani nie grozi.

Ruszył dalej. Musiał wyciągnąć z niej jakieś informacje. To był jedyny trop, jaki mu pozostał. Przed mieszkaniem dziewczyny wyprostował ramiona, zapukał grzecznie do drzwi i wszedł do środka. Milicjant podniósł się z taboretu.

— Dziękuję wam — powiedział Suworin. — Może zjedziecie na dół i dotrzymacie towarzystwa porucznikowi?

Zaczekał, aż za milicjantem zamkną się drzwi, i dopiero wtedy dokładnie się jej przyjrzał. Włożyła na sukienkę szary wełniany sweter i pałac papierosa, siedziała ze skrzyżowanymi nogami na jedynym krześle. Na małym stoliku koło niej leżało na talerzyku pięć petów. Mieszkanie składało się tylko z tego jednego pokoju, ale było czyste i ładnie urządzone. Liczne elementy wyposażenia świadczyły o tym, że nie żałowała pieniędzy: zachodni telewizor z satelitarnym dekoderm, wideo, odtwarzacz kompaktowy, sukienki na wieszaku, wszystkie czarne. W jednym z rogów znajdował się kuchenny aneks, obok niego drzwi do łazienki. Pod ścianą stała rozkładana kanapa, która służyła prawdopodobnie jako łóżko. Bunin miał rację co do jej ręki. Za paznokciami palców, w których trzymała papierosa, widać było zaschniętą krew. Zobaczyła, że się im przygląda.

• Upadłam — oświadczyła, zdejmując nogę z nogi i pokazując zadrapanie kolano i podarte rajstopy. — W porządku?

• Usiądę, dobrze? — Nie doczekawszy się odpowiedzi, usiadł na skraju kanapy, odsuwając na bok zabawki, żołnierza i tancerkę. — Masz dzieci? — zapytał.

250

Bez odpowiedzi.

• Ja mam. Dwóch chłopców. — Omiótł wzrokiem pokój, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, czegoś, co pozwoliłoby na bliższy kontakt, ale nie znalazł niczego osobistego: żadnych zdjęć ani książek, z wyjątkiem podręczników

prawa, żadnych ozdóbek ani bibelotów. Na półce stał rząd płyt kompaktowych, wyłącznie zachodnich, wyłącznie artystów, o których nigdy nie słyszał. Mieszkanie przypominało mu jeden z zakonspirowanych lokali SWR — miejsce, gdzie spędza się noc i rusza się dalej.

• Jest pan gliniarzem? — zapytała. — Nie wygląda pan na gliniarza.

• Nie jestem.

• Więc kim?

• Przykro mi z powodu twojego ojca, Zinajdo. :

— Dzięki.

• Opowiedz mi o swoim ojcu. " m;

• Co tu jest do opowiadania?

— Miałas z nim dobre stosunki?

Uciekła w bok wzrokiem.

• Zastanawiam się tylko, dlaczego nie zgłosiłaś się, kiedy odnaleziono jego ciało. Pojechałaś do domu ojca zeszłej nocy, prawda, kiedy była tam milicja? A potem po prostu odjechałaś.

• Byłam zrozpaczona.

• Oczywiście. — Suworin uśmiechnął się do niej. —

Gdzie jest Fluke Kelso?

• Kto?

Nieźle, pomyślał: nawet nie mrugnęła. Nie wiedziała, że ma zeznanie Anglika.

• Mężczyzna, którego zawiozłaś wczoraj w nocy pod dom twojego ojca.

• Kelso? Tak się nazywał?

• Ostra z ciebie sztuka, Zinajdo, prawda? Ostra jak nóż.

Więc gdzie się podziewałaś przez cały dzień?

• Jeździłam po mieście. Rozmyślałam. < „- ;

• Rozmyślałaś o zeszycie Stalina? „;

• Nie wiem, o czym pan... v ii ; >

• Byłaś z tym Anglikiem, prawda?

• Nie.

• Gdzie jest Kelso? Gdzie jest zeszyt?

• Nie wiem, o czym pan mówi. A swoją drogą, co to znaczy, że nie jest pan gliniarzem? Ma pan jakąś legitymację, którą mógłby pan okazać?

• Spędziłaś dzień z Anglikiem...

• Nie ma pan prawa przebywać w moim mieszkaniu bez odpowiednich pełnomocnictw. — Wskazała na podręczniki prawa. — Tak tam piszą.

• Studiujesz prawo, Zinajdo? — Zaczynała go irytować. — Będzie z ciebie dobry adwokat.

Z jakiegoś powodu bardzo ją to rozbawiło; może słyszała to już wcześniej? Wyjął zawiniątko z dolarami i od razu przestała się śmiać. Myślał, że zemdleje.

• Więc co mówi kodeks federacji na temat prostytucji, Zinajdo Rapawa? — Nie odrywała oczu od pieniędzy niczym matka od dziecka. — Znasz się na prawie. Powiedz mi. Ilu mężczyzn tu mamy? Stu? Stu pięćdziesięciu? — Przez chwilę liczył banknoty. — Na pewno stu pięćdziesięciu... a ty nie jesteś już taka młoda. Ale inne są młode, prawda? Są coraz młodsze. Mam wrażenie, że nigdy już tyle nie zarobisz.

• Ty sukinsynu...

Suworin przerzucał dolary z ręki do ręki.

• Przemyśl to sobie. Stu pięćdziesięciu mężczyzn w za-

mian za informację, gdzie mogę znaleźć jednego. Stu pięćdziesięciu w zamian za jednego. To nie jest taki zły interes.

- Ty sukinsynu — powtórzyła, tym razem z mniejszym przekonaniem.

Pochylił się do przodu i kusił ją cichym głosem.

— Pomóż nam, Zinajdo. Gdzie jest Fluke Kelso? To ważne.

Przez chwilę wydawało mu się, że mu powie. Ale potem jej twarz stwardniała.

- Nie dbam o to, kim pan jest i co pan robi — powiedziała. — Uczciwiej jest się kurwić.

- Niewykluczone, że masz rację — przyznał Suworin i nagle rzucił jej pieniądze.

252

Odbiły się od jej kolan i wylądowały na podłodze, ale ona nie pochyliła się nawet, żeby je podnieść; po prostu na niego spojrzała. I wtedy ogarnął go wielki żal. Żałował samego siebie, bolejąc, że tak nisko upadł, że siedzi na kanapie prostytutki w Zajauze, próbując ją przekupić jej własnymi pieniędzmi. I żal mu było jej, ponieważ Bunin nie mylił się: była stuknięta, a teraz musiał ją złamać.

Rozdział 20

Nigdy nie zrobiło się porządnie jasno, nawet dwie godziny po świcie. Tak jakby dzień dał za wygraną, jeszcze zanim się zaczął. Niebo było szare, długa betonowa wstęga szosy gineła w mroku. Po jej obu stronach ciągnęły się rdzawe bagna i niezdrowego żółtego koloru równiny — podbiegunowa tundra, która przechodziła na horyzoncie w ciemnozielony jodłowy i sosnowy las.

Zaczął prószyc śnieg.

Drogą jechało dużo wojskowych pojazdów. Minęli długą kolumnę opancerzonych transporterów z ledwie ćmiącymi się przednimi światłami i wkrótce potem pojawiły się ślady ludzkich siedzib — szopy, stodoły, stojące na polu maszyny rolnicze — nawet kołchoz, nad którego bramą zawieszony był młot i sierp oraz stary slogan: WZROST PRODUKCJI PROWADZI DO ZWYCIĘSTWA SOCJALIZMU.

Po kilku kilometrach drogę przecięła linia kolejowa i w szarówce przed nimi ukazał się rząd wielkich kominów, kopających czarnym dymem w śnieżne niebo.

- Jesteśmy chyba na miejscu — stwierdził Kelso, podnosząc wzrok znad mapy. — M-osiem kończy się tutaj, na południowych obrzeżach miasta.

- Cholera — mruknął reporter.
- Co się stało?

254

Reporter wysunął w przód podbródek.

— Kontrola drogowa.

Sto metrów przed nimi milicjanci GAI z oświetlonymi pałkami i pistoletami kierowali wszystkie pojazdy do kon-

troli dokumentów. O'Brian zerknął szybko w lusterko, ale nie mógł wrzucić tylnego biegu—jechało za nim, zwalniając, zbyt wiele samochodów. Betonowe zapory pośrodku jezdni nie pozwalały zawrócić na południe. Musieli ustawić się w zwężonej do jednego pasma kolejce do kontroli.

— Jak ty to określiłeś? — zapytał Kelso. — Fakt, że nie mam wizy? Drobiazg?

(TBrian postukał palcami w kierownicę.

- Czy twoim zdaniem to stała blokada, czy ustawili ją tylko ze względu na nas?
- Moim zdaniem, stała.
- To już coś. — O'Brian zaczął czegoś szukać w schowku na rękawiczki. — Nałóż kaptur i naciągnij śpiwór na twarz. Udawaj, że śpisz. Powiem im, że jesteś moim kamerzystą. — Wyciągnął ze schowka pogniecione papiery. — Nazywasz się Wukow, dobrze? Foma Wukow.
- Foma Wukow? Cóż to za nazwisko?
- Chcesz wracać w podskokach do Moskwy? No powiedz? Masz dwie sekundy, żeby się zdecydować.
- Ile lat ma ten Foma Wukow?
- Dwadzieścia ileś. — O'Brian sięgnął ręką do tyłu i złapał skórzaną teczkę. — Masz jakiś lepszy pomysł? Wsadź to pod siedzenie.

Kelso zawahał się, a potem wsunął teczkę pod nogi, odchylił się do tyłu, podciągnął w górę śpiwór i zamknął oczy. Podróż bez wizy to jedno. Podróż bez wizy i legitymowanie się cudzym dokumentem to, jak podejrzewał, zupełnie coś innego.

Toyota podjechała do przodu i zahamowała. Usłyszał, jak gaśnie silnik i jak otwiera się boczna szyba. Podmuchał chłodnego powietrza. Męski oschły głos, po rosyjsku:

— Proszę wysiąść z samochodu.

Toyota zakołysała się, kiedy O'Brian wygramolił się na zewnątrz.

255

Kelso delikatnie pchnął piętą teczkę głębiej pod siedzenie. Poczul kolejny zimny podmuch, gdy otworzyła się kłapa z tyłu.

Odgłos wyjmowanych waliz, odpinanych zatrzasków. Kroki. Cicha rozmowa.

Otworzyły się drzwi z jego strony. Słyszał osiadające na tapicerce płatki śniegu i oddech mężczyzny. A potem drzwi zamknęły się — cicho i delikatnie, żeby nie obudzić śpiącego pasażera, i Kelso uświadomił sobie, że jest bezpieczny.

Usłyszał, jak O'Brian pakuje z powrotem walizy i po chwili siada za kierownicą. Zawarczał silnik.

— Zdumiewające — stwierdził reporter —jaki wrażenie może zrobić sto dolców na gliniarzu, który od sześciu miesięcy nie otrzymał pensji. — Ściągnął śpiwór z twarzy Anglika. — Pobudka, profesorze. Witamy w Archangielsku!

Przejechali przez żelazny most na Dwinie. Rzeka była szeroka, zabarwiona na żółto przez tundrę. Pod mętną powierzchnią wody wiry przeżyły się i napinały niczym mięśnie pod skórą. Kilka połączonych łańcuchami wielkich czarnych barek płynęło na północ w stronę Morza Białego. Na drugim brzegu, przez padający śnieg i kratownicę mostu widać było fabryczne kominy, dźwigi, bloki mieszkalne

oraz wielką wieżę telewizyjną z migającym czerwonym światełkiem.

Kiedy ich oczom ukazał się szerszy widok, nawet O'Brian stracił dobry humor. Nazwał miasto dziurą. Potem zadupiem. Oświadczył, że nigdy jeszcze nie był w takim zakazanym miejscu.

Pociąg towarowy przejechał z łoskotem po torach biegnących obok jezdnii. Przy końcu mostu skręcili w lewo, w kierunku zabudowań, które sprawiały wrażenie śródmięscia. Wszystko obracało się w ruinę. Fasady budynków sypały się i oblażyły z tynku. Asfalt zapadł się w kilku miejscach. Stary tramwaj w brązowo-musztardowym kolorze przetoczył się obok z odgłosem przypominającym wleczony po kocich łbach łańcuch. Przechodnie ślizgali się po śniegu.

256

O'Brian prowadził powoli, potrząsając głową, i Kelso zastanawiał się, czego się spodziewał. Centrum prasowego? Hotelu dla dziennikarzy? Wjechali na otwartą przestrzeń dworca autobusowego. Po drugiej stronie, na nabrzeżu, czterech odlani z brązu czerwonoarmiści stali zwróceni twarzami na cztery strony świata, ze wzniesionymi triumfalnie karabinami. U ich stóp stado zdziczałych psów grzebało w odpadkach. Obok stał długi niski budynek z białego betonu i szkła z wielkim napisem „Kapitanat portu Archan-gielsk”. Jeśli to miasto miało jakieś centrum, chyba się w nim znaleźli.

— Zatrzymajmy się tutaj — zaproponował Kelso.

Zaparkowali przy pociętej balustradzie, tuż przy skraju wody. Jeden z psów, husky, obserwował ich przez chwilę z niedbałym zainteresowaniem, a potem podniósł tylną łapę i zaczął się energicznie drapać w kark, iskając pchły. W od-dali, przez padający śnieg, widać było niewyraźny płaski kontur tankowca.

— Zdajesz sobie sprawę — powiedział półgłosem Kelso, wpatrując się w wodę — że znaleźliśmy się na końcu świata? Że od kręgu arktycznego dzieli nas tylko sto sześćdziesiąt kilometrów i że między nami i biegunem nie ma nic prócz morza i lodu? Jesteś tego świadom?

Zaczął się śmiać.

- Co cię tak śmieszy?
- Nic.

Spojrzał na O'Briana i próbował stłumić chichot, ale bez skutku. W skrajnym przygnębieniu reportera było coś, co nie pozwalało mu się opanować. Oczy zaszły mu łzami.

• Przepraszam — wysapał. — Przepraszam...
• Ależ proszę cię bardzo, na zdrowie — odparł gorzko O'Brian. — Tak właśnie wyobrażam sobie idealny piątek: przejechać tysiąc dwieście pieprzonych kilometrów do jakiejś dziury, która wygląda jak Pittsburgh po ataku nuklearnym, żeby szukać pieprzonej kochanki Stalina...

Parsknął i sam też zaczął się śmiać.

— Wiesz, o czym zapomnieliśmy? — wykrztusił po chwili. Kelso odetchnął głęboko i przełknął ślinę.

257

• O czym?
• Nie byliśmy na stacji kolejowej i nie sprawdziliśmy poziomu radiacji. Jesteśmy... kurwa... prawdopodobnie... napromieniowani!

Zaczęli ryczeć ze śmiechu. Podrygiwać w fotelach. Toyota zakołysała się. Na zewnątrz padał śnieg i husky przyglądał się im z przechylnym ze zdziwienia łbem.

O'Brian zamknął samochód na klucz i ruszyli po zdradzieckich zapadających się betonowych płytach w stronę kapitanatu portu.

Kelso niósł teczkę.

Obaj byli lekko roztrzęsieni i tablica informująca o odejściach promów — do Murmańska oraz na Wyspy Jęczące — spowodowała kolejny paroksyzm śmiechu.

Wyspy Jęczące?

— Daj spokój, człowieku. Opanuj się. Mamy tu robotę do wykonania.

Budynek okazał się większy, niż wydawało się z zewnątrz. Na parterze były sklepy — małe kioski z ubraniami i kosmetykami — oraz kafeteria i kasa biletowa. Na dole, pod przepalonymi w większości jarzeniówkami znajdował się pogrążony w mroku podziemny targ — stoiska oferujące nasiona, książki, pirackie kasety, buty, szampon, kielbasę oraz duże toporne rosyjskie biustonosze w kolorach czarnym i beżowym — cuda wspornikowej inżynierii.

O'Brian kupił dwie mapy, jedną miasta, drugą regionu, a potem obaj poszli na górę, do kasy biletowej, gdzie Anglikowi, w zamian za jednodolarowy banknot wręczony podejrziwemu mężczyźnie w wyświechtanym mundurze, zezwolono zerknąć do książki telefonicznej Archangielska. Książka była cienka, w twardych czerwonych okładkach, i ustalenie, że nie ma w niej żadnego Safanowa ani Safanowej, zajęło mu mniej niż trzydzieści sekund.

- Co teraz? — zapytał O'Brian.
- Teraz coś zjemy.

Kafeteria, czyli staromodna *stołowaja*, okazała się samo-

258

obsługową pracowniczą kantiną. Podłogę pokrywała śniegowa breja. W środku unosił się silny zapach tytoniu. Przy stoliku obok drzwi dwaj niemieccy marynarze grali w karty. Kelso zamówił wielki talerz zupy *szczy* — kapuśniaku z pływającą pośrodku kwaśną śmietaną — razowy chleb i dwa jajka na twardo. Spożyty na pusty żołądek posiłek dał natychmiastowy efekt. Ogarnęła go niemal euforia. Wszystko będzie dobrze, pomyślał. Są tutaj bezpieczni. Nikt ich nie znajdzie. A jeśli odpowiednio to rozegrają, jutro już tu ich nie będzie.

Nalał pół miniaturki koniaku do swojej rozpuszczalnej kawy i spojrzął na filiżankę. Co mi tam, pomyślał i wlał resztę. Zapalił papierosa i rozejrzał się dookoła. Ludzie byli tu gorzej ubrani niż w Moskwie. Gapili się na cudzoziemców. Ale gdy próbowało się nawiązać z nimi kontakt wzrokowy, uciekali w bok spojrzeniem.

O'Brian odsunął talerz.

• Myślałem o tej uczelni... jak ona się nazywała... o tej Akademii Maksyma Gorkiego. Mają tam chyba jakąś kartotekę? I jest jeszcze ta dziewczyna, o której wiemy... jak miała na imię ta brzydula?

- Maria.
- Maria. Zgadza się. Odnajdźmy album jej roku i poszukajmy Marii.

Album roku? Za kogo O'Brian ją uważał? Za królową balu Akademii Maksyma Gorkiego z 1950 roku? Ale Kelso był pełen dobrej woli i nie chciał wszczynać kolejnej kłótni.

- Może lepiej spróbujemy w miejscowym Komitecie partii — oznajmił dyplomatycznie. — Należała do Komsomołu, pamiętasz? Mogą mieć stare dane osobowe.

- W porządku. Ty jesteś ekspertem. Jak ich znajdziemy?

- Łatwo. Daj mi plan miasta.

O'Brian wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki mapę i przysunął się z krzesłem do Anglika. Rozłożyli ją na stole.

Archangielsk mieścił się prawie w całości na szerokim na sześć kilometrów cyplu. Wąskie pasy zabudowy ciągnęły się także wzdłuż obu brzegów Dwiny.

Kelso dotknął palcem mapy.

- Tutaj — powiedział. — Tu zawsze można ich znaleźć. Albo w każdym razie można było. Na placu Lenina, w największym stojącym przy placu budynku. Tam zawsze można było znaleźć sukinsynów.

- Myślisz, że nam pomogą?

- Nie bezinteresownie. Ale jeśli uruchomisz swoje zasoby finansowe... tak czy owak, warto spróbować.

Na mapie wyglądało to na pięciominutowy spacer.

— Naprawdę cię to wciągnęło, przyznaj — mruknął O'Brian, klepiąc Anglika czule po ramieniu. — Tworzymy dobry zespół, wiesz? Pokażemy im, na co nas stać.

Złożył mapę i wsunął pod talerz pięć rubli napiwku.

Kelso dopił swoją kawę. Koniak rozgrzał go. O'Brian naprawdę nie był takim podłym gościem. Wolał jego niż Adelmanna i te inne woskowe figury, które siedziały teraz bezpiecznie w Nowym Jorku.

Historii nie tworzy się, nie podejmując ryzyka, tyle wiedział. Więc może trzeba ryzykować, także kiedy się ją pisze? O'Brian miał rację.

Pokaże im, na co go stać.

Rozdział 21

Wyszli z powrotem na dwór i minęli toyotę oraz zabity deskami, walący się w gruzy szpital: Morską Poliklinikę Basenu Północnego. Sypiący śniegiem wiatr świstał między stalowym olinowaniem łodzi przycumowanych do drewnianego pomostu i gwał do ziemi drzewa, które posadzono wzdłuż promenady, żeby zasłonić budynki. Dwaj mężczyźni z trudem posuwali się naprzód.

Kilka łodzi zatoneło, podobnie jak drewniana szopa na końcu pomostu. Wandale zwalili ławki do rzeki, przerzucając je przez balustradę. Mury upstrzone były graffiti: ociekająca krwią gwiazda Dawida z namazaną na niej swastyką; błyskawice SS; KKK.

Jedno było pewne: w tej okolicy nie znajdą żadnego butiku z włoskimi butami.

Skręcili w stronę ładu.

Każde rosyjskie miasto wciąż miało swój pomnik Lenina. Ten archangielski miał około piętnastu metrów i przedstawiał Wodza Rewolucji, wylaniającego się z granitowego bloku w trzepoczącym płaszczu, z zaciętą twarzą i rulonem papierów w wyciągniętej ręce. Wyglądał, jakby chciał złapać taksówkę. Plac, który nosił w dalszym ciągu jego imię, był rozległy, przysypany śniegiem i pusty; w jednym z jego rogów dwa uwiązane koziołki skubały jakieś zarośla. Przy placu

261

stało wielkie muzeum, urząd pocztowy i olbrzymi biurowiec z wciąż podczepionym do balkonu sierpem i młotem.

Kelso ruszył w jego stronę. Od wejścia dzieliło ich już tylko kilka kroków, gdy zza rogu wyjechał piaskowego koloru gazik z zamontowanym na masce reflektorem: patrol Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, MWD. To go otrzeźwiło. Zdał sobie sprawę, że może w każdej chwili zostać zatrzymany i poproszony o okazanie wizy. Widział blade twarze gapiących się na niego żołnierzy. Pochylił głowę i wbiegł po schodkach na górę. O'Brian popędził za nim. Gazik okrążył powoli plac i zniknął / pola widzenia.

Komunistów nie wyrzucono całkowicie z budynku; przenieśli się po prostu na jego tyły. W niewielkiej recepcji królowała potężna, niemłoda już kobieta z grzywą farbowanych żółtych włosów. W starych blaszanych puszkach na parapecie rosły bujne storczyki; na ścianie wisiał plakat z nalaną twarzą Gennadija Ziuganowa, kandydata partii w ostatnich wyborach prezydenckich.

Kobieta zbadła uważnie wizytówkę O'Briana, obracając ją i zbliżając do światła, jakby wietrzyła jakiś szwindel. W końcu podniosła słuchawkę i powiedziała do niej cicho kilka słów.

Za podwójną szybą śnieg zasypywał dziedziniec. Słychać było tykanie zegara. Przy drzwiach Kelso zauważył związaną sznurkiem paczkę z przeznaczonym do kolportażu najnowszym numerem „Aurory”. W nagłówku widniał cytat z raportu, który Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przedstawiło prezydentowi: UŻYCIE PRZEMOCY JEST NIE-UNIKNIJONE.

Po kilku minutach pojawił się mężczyzna — pokraczna postać koło sześćdziesiątki, z głową zbyt małą w stosunku do potężnego torsu i zbyt drobnymi rysami twarzy. Nazywa się Carew, oświadczył, wyciągając rękę poplamioną czarnym atramentem. Profesor Carew. Zastępca pierwszego sekretarza komitetu obwodowego.

Kelso zapytał, czy mogą porozmawiać.

'•! >;
!>

Tak. Chyba tak. To da się zrobić.

262

Teraz? Na osobności?

Carew zawahał się, w końcu wzruszył ramionami.

— Proszę bardzo.

Zaprowadził ich ciemnym korytarzem do swojego pokoju, żywcem przeniesionego z sowieckich czasów, z wiszącymi na ścianie portretami Breżniewa i Andropowa. Kelso uświadomił sobie, że w ubiegłych latach odwiedził wiele takich gabinetów. Dębowa klepka, grube rury wodociągowe, ciężki kaloryfer, kalendarz na biurku, wielki zielony bakelitowy telefon niczym rekwizyt z nakręconego w latach pięćdziesią-

tych filmu *science fiction*, zapach stęchlizny i pasty do podłóg — każdy detal był znajomy, łącznie z modelem sputnika i cyferblatem zegara w kształcie Zimbabwe, pozostawionym przez jakąś odwiedzającą ZSRR marksistowską delegację. Na półce za głową Carewa stało sześć egzemplarzy pamiętników Mamantowa *Nie przestałem wierzyć*.

— Widzę, że ma pan książkę Władimira Mamantowa.

Nie była to najmądrzejsza uwaga, ale Kelso nie mógł się powstrzymać.

Carew odwrócił się, jakby dopiero teraz ich zauważył.

- Tak. Towarzysz Mamantow przyjechał do Archangielska, żeby pomóc nam w kampanii przed wyborami prezydenckimi. Dlaczego? Zna go pan?

- Tak. Znam go.

Zapadła cisza. Kelso zdawał sobie sprawę, że O'Brian patrzy na niego, a Carew czeka, żeby coś powiedział. Zaczynając się, wygłosił zagajenie, które wcześniej przygotował. Przede wszystkim chciał podziękować profesorowi Carewowi, że zgodził się ich przyjąć w tak krótkim czasie. Przyjechali do Archangielska tylko na jeden dzień, robią film o partii komunistycznej, o tym, co zostało z jej siły. Odwiedzają różne miasta w Rosji. Przykro mu, że nie skontaktowali się wcześniej, żeby umówić się na spotkanie, ale mają bardzo napięty harmonogram...

- Przysłał was towarzysz Mamantow? — przerwał mu Carew. — Przysłał was tutaj towarzysz Mamantow?

- Nie skłamię, mówiąc, że nie byłoby nas tutaj, gdyby nie towarzysz Mamantow.

263

Carew zaczął kiwać głową. Cóż, to znakomity temat. Temat celowo ignorowany na Zachodzie. Ilu ludzi na Zachodzie wie na przykład, że w wyborach do Dumy komuniści zdobyli trzydzieści procent głosów, a potem w wyborach prezydenckich w 1996 aż czterdzieści procent? Owszem, wkrótce odzyskają władzę. Na początku podzieliła się nią z innymi, a potem... kto wie?

Coraz bardziej się ozywiał.

Weźmy sytuację tutaj, w Archangielsku. Mają oczywiście kilku milionerów. Pięknie! Niestety mają również zorganizowaną przestępczość, bezrobocie, AIDS, prostytutkę, narkomanię. Czy jego goście wiedzą, że długość życia i śmiertelność niemowląt w Rosji osiągnęły poziom Afryki? To się nazywa postęp! To się nazywa wolność! Carew przez dwadzieścia lat był w Archangielsku profesorem marksizmu... obecnie to stanowisko zostało naturalnie zlikwidowane... ale dopiero teraz, kiedy wszędzie obalają pomniki Marksa, zdał sobie sprawę z geniuszu tego człowieka: to prawda, że pieniądze pozbawiają cały świat, zarówno świat ludzi, jak i naturę, ich prawdziwej wartości.

— Zapytaj go o dziewczynę — szepnął O'Brian. — Nie mamy czasu na te brednie. Zapytaj go o Annę.

Carew urwał w pół zdania i spoglądał to na historyka, to na reportera.

— Profesorze Carew — oznajmił Kelso — chcielibyśmy zilustrować nasz film losami konkretnych ludzi.

To dobrze. Tak. On to rozumie. Czynniki ludzki. Jest wiele takich historii w Archangielsku.

— Owszem, nie wątpię. Ale nas interesuje pewna kon-

kretna osoba. Dziewczyna. Obecnie mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta. Powinna być w tym samym wieku co pan. Jej panięskie nazwisko brzmiało Safanowa. Anna Michajłowna Safanowa. Należała do Komsomołu.

Carew potarł kwadratowy czubek nosa. Nazwisko, o.znajmił po krótkim namyśle, nie wydaje mu się znajome. To musiało być chyba dawno temu?

— Prawie przed pięćdziesięciu laty. ; ,

264

Przed pięćdziesięciu laty? To niemożliwe! Proszę! Może znaleźć im inne osoby...

— Ale macie przecież jakieś archiwa?

...znajdzie im kobiety, które walczyły z faszystami w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, Bohaterki Pracy Socjalistycznej, odznaczone Orderem Czerwonego Sztandaru. Wspaniałe osoby...

• Zapytaj go, ile chce — powiedział O'Brian, nie starając się teraz nawet mówić szeptem. Wyjął z kieszeni portfel. — Za to, że zerknie do archiwów. Jaka jest jego cena?

• Pański kolega nie jest zadowolony? — zapytał Rosjanin.

• Mój kolega zastanawia się — odparł delikatnie Kelso — czy nie mógłby pan poszukać dla nas czegoś w archiwum. Za co oczywiście z radością zapłaci... to znaczy wypłaci partii stosowne honorarium...

To nie będzie łatwe, oznajmił Carew. !,;

Kelso odparł, że ma tego pełną świadomość.

W ostatnich latach Związku Radzieckiego członkowie partii komunistycznej stanowili siedem procent dorosłej ludności. Co to oznacza w wypadku Archangielska? Dwaście tysięcy osób w samym mieście i prawdopodobnie drugie tyle w obwodzie. Do tej liczby trzeba dodać członków Komsomołu i innych partyjnych przybudówek. Jeśli dołączy się następnie wszystkie osoby, które były członkami w ciągu minionych osiemdziesięciu lat... ludzi, którzy zmarli albo zostali wykluczeni, rozstrzelani, uwięzieni, zesłani, ludzi, których objęły czystki... wtedy będziemy mieli do czynienia z naprawdę dużą liczbą. Wielką liczbą. Mimo to...

Stało na tym, że zapłacą mu dwieście dolarów. Carew upierał się, że wystawi im pokwitowanie. Wsadził pieniądze do poobijanej kasetki, którą następnie zamknął na klucz w biurku, i Kelso uświadomił sobie z dziwnym poczuciem podziwu, że Carew rzeczywiście ma zamiar wpłacić te pieniądze na konto partii. Nie zatrzyma ich dla siebie; był autentycznym wyznawcą.

265

Rosjanin zaprowadził ich z powrotem korytarzem do recepcji. Kobieta z farbowanymi blond włosami podlewała swoje kwiatki w puszkach. „Aurora” w dalszym ciągu uprzedzała, że przemoc jest nieunikniona, Ziuganow wciąż się uśmiechał. Carew wziął klucz z metalowej szafki i ruszyli w ślad za nim do podziemi. Za wielkimi pancernymi drzwiami, pomalowanymi na szary marynarski kolor i zaopatrzonymi w liczne zasuwy, stały drewniane półki z aktami.

Carew nałożył na nos okulary w masywnych oprawkach i zaczął przesuwac zakurzone teczki z dokumentami, a Kelso

rozejrzał się ze zdumieniem dookoła. To nie był magazyn. To były katakumby, nekropolis. Na półkach stały niczym idealne klony popiersia Lenina, Marksa i Engelsa. W pudłach leżały fotografie zapomnianych partyjnych aparatczyków, obok ustawiono w rzędzie socrealistyczne malowidła przedstawiające hoże wiejskie dziewczęta i bohaterów pracy socjalistycznej o granitowych mięśniach. Były tam paczki z dekoracjami, dyplomami, legitymacjami partyjnymi, broszurami, ulotkami, książkami. I flagi — małe chorągiewki dla dzieci i czerwone sztandary, z którymi paradowały dziewczyny, takie jak Anna Safanowa.

Tak jakby jakaś wielka światowa religia musiała nagle ogołocić z przedmiotów kultu swoje świątynie i ukryć je pod ziemią — przechować swoje święte księgi i ikony w nadziei na lepsze czasy, na Drugie Przyjście...

Brakowało spisów osobowych Komsomołu za rok 1950 i 1951.

— Co?

Kelso obrócił się na pięcie. Zakłopotany Carew trzymał w prawej ręce jedną, w lewej drugą teczkę.

To bardzo dziwne, stwierdził. Trzeba to będzie zbadać. Mogą sami zobaczyć — wyciągnął ku nim teczki — tu są listy za rok 1949, a tu za 1952. Ale na żadnej z nich nie ma Anny Safanowej.

— W czterdziestym dziewiątym była za młoda — stwierdził Kelso. — Nie przyjęliby jej. — A w 1952 Bóg jeden wiedział, co się z nią działo. — Kiedy spisy zostały stąd usunięte?

266

- W kwietniu pięćdziesiątego drugiego — odparł Carew, marszcząc brwi. — Jest tutaj notatka. „Przeniesiono do archiwum Komitetu Centralnego w Moskwie”.

- Jest jakiś podpis?

Carew pokazał mu.

"

— A. N. Poskriebyszew.

— Kto to był Poskriebyszew? — zapytał O'Brian.

Kelso wiedział. I widział, że Carew też to wie.

— Generał Poskriebyszew — powiedział — był osobistym sekretarzem Stalina.

— Oto zagadka — stwierdził trochę zbyt szybko Carew.

Zaczął układać z powrotem teczki na półce. Nawet po pięćdziesięciu latach i wszystkim, co się wydarzyło, podpis osobistego sekretarza Stalina potrafił wytrącić z równowagi człowieka w jego wieku. Trzęsły mu się ręce. Jedna z teczek wyslizgnęła mu się z dłoni i na podłogę posypały się kartki.

— Proszę to zostawić. Ja się tym zajmę!

Ale Kelso klęczał już na podłodze i zbierał luźne papiery.

- Jest jeszcze coś, co mógłby pan dla nas zrobić — powiedział.

- Nie wydaje mi się...

- Naszym zdaniem oboje rodzice Anny byli członkami partii.

To niemożliwe, stwierdził Carew. Nie pozwoli im tego sprawdzić. Te akta są tajne.

— Ale pan mógłby to sprawdzić za nas.

Nie. Nie sądzi, żeby mógł to zrobić.

Wyciągnął poplamioną atramentem rękę po brakujące kartki i nagle O'Brian znalazł się tuż przy nim, wciskając w otwartą dłoń kolejne dwieście dolarów.

— To naprawdę bardzo by nam pomogło — odezwał się Kelso, podkreślając każde słowo skinieniem głowy i dając desperackie znaki reporterowi, żeby się odsunął. — Bardzo by nam pomogło przy realizacji filmu, gdyby pan to sprawdził.

Carew jednak nie zwracał na niego uwagi — wbijał wzrok w dwa studolarowe banknoty. Benjamin Franklin, uważny i skupiony, odważemniał jego spojrzenie.

- Nie ma na tym świecie nic — wycedził powoli Rosjanin — czego waszym zdaniem nie można kupić za pieniądze?
- Nie chcieliśmy pana urazić — wyjaśnił Kelso, rzucając mordercze spojrzenie O'Brianowi.
- Tak — mruknął reporter. — Bez obrazy.
- Kupujecie nasze fabryki. Kupujecie nasze rakiety. Chcecie wykupić nasze archiwa.

Jego palce zacisnęły się wokół banknotów, zmięły je, a potem wypuściły.

— Możecie zabrać swoje pieniądze. Do diabła z wami i z waszymi pieniędzmi.

Odrzucił się i z pochyloną głową zaczął układać z powrotem akta. W ciszy słychać było szelest suchego papieru.

— Dobra robota — szepnął bezgłośnie Kelso do O'Briana. — Moje gratulacje.

Minęła minuta.

A potem Carew niespodziewanie znowu się odezwał.

- Jak, mówiliście, brzmiały ich nazwiska? — zapytał, nie odwracając się. — Nazwiska rodziców?
- Michaił — powiedział szybko Kelso. Jak do diabła miała na imię matka? Próbował przypomnieć sobie raport NKWD. Wiera? Wieruszka? Nie, Wawara. — Michaił i Wawara Safanowowie.

Carew zawahał się. Odrzucił się do nich; na jego pociągłej twarzy malowała się powaga zmieszana z pogardą.

— Zaczekajcie tutaj — oznajmił. — Niczego nie ruszajcie.

Zniknął w innej części magazynu. Słyszeli, jak chodzi wzdłuż regałów.

— Co jest grane? — zapytał O'Brian.

- To się nazywa „dać coś komuś do zrozumienia”. Poszedł zobaczyć, czy ma coś na temat rodziców Anny. I nie myśl, kurczę, że to dzięki tobie. Nie mówiłem, żebyś zostawił gadkę mnie?

• Ale przecież się udało. — O'Brian pochylił się, podniósł z podłogi zmięte dolary, wygładził je i wsadził z powrotem do portfela. — Jezu, co za cmentarzysko... — Wziął z półki najbliższe popiersie Lenina. — *Biedny Yorick*... — Urwał.

268

Nie mógł sobie przypomnieć dalszego ciągu cytatu. — Łap, profesorze. Będziesz miał pamiątkę.

Rzucił popiersie Anglikowi. Kelso chwycił je i postawił z powrotem na półce.

— Przestań — powiedział. Jego dobry humor gdzieś się ulotnił. Miał powyżej dziurek w nosie O'Briana, ale nie chodziło tylko o to. W jakiś sposób działały na niego te podziemia. Nie mógł tego dokładnie zdefiniować.

O'Brian wyszczerzył zęby.

- Co cię ugryzło?

- Nie wiem. Nie robi się żartów z Pana Boga.
- I z towarzysza Lenina? O to ci chodzi? Biedny stary Fluke. Wiesz co? Moim zdaniem zaczynasz gonić w piętękę.

Kelso chciał mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, ale w tej samej chwili zbliżył się do nich z kolejną teczką Ca rew. Tym razem na jego twarzy widniała triumfalna mina.

To wymarzony temat do ich filmu. Kobieta, której nikt nigdy nie zdołał kupić — tu spiorunował w/rokiem O'Bra-
na — osoba, która powinna być dla nich wszystkich wzorem. Wawara Safanowa wstąpiła do partii komunistycznej w 1935 roku i pozostała w niej na dobre i złe czasy. Pół strony zajmuje lista pochwał, które przyznał jej obwodowy komitet w Archangielsku. Mają tu do czynienia z niezłomnym duchem socjalizmu, który nigdy nie zostanie pokonany.

Kelso uśmiechnął się do niego.

— Kiedy zmarła? — zapytał.

O to właśnie chodzi. Wcale nie zmarła.

— Wawara Safanowa? — powtórzył Kelso. Nie mógł w to uwierzyć. Wymienił szybkie spojrzenie z O'Brianem. — Matka Anny Safanowej? Wciąż żyje?

W zeszłym miesiącu jeszcze żyła, odparł Carew. Wciąż żyła i miała osiemdziesiąt pięć lat. Tak tu jest napisane. Mogą sami spojrzeć. Od ponad sześćdziesięciu lat jest lojalnym członkiem partii — właśnie zapłaciła składkę.

,!"

<U., vi,

Rozdział 22

W Moskwie był ranek.

Suworin siedział z Zinajdą Rapawą z tyłu samochodu. Przedstawiciel moskiewskiej milicji zajął miejsce z przodu, koło kierowcy. Drzwi były zablokowane. Wołga wlokła się ospale w korku, który utworzył się na drodze do Łyt-
karina.

Milicjant narzekał. Powinni byli wziąć inny samochód. Żeby przebić się przez korek, potrzebowali syreny i „dyskoteki” na dachu.

Za kogo on się uważa, pomyślał Suworin. Za prezydenta Federacji?

Oczy Zinajdy były podkrążone i spuchnięte z braku snu. Otulona narzuconym na sukienkę płaszczem przeciwdeszczowym przybliżyła kolana do drzwi, odsuwając się tak daleko, jak tylko mogła, od Suworina. Zastanawiał się, czy wie, dokąd jadą. Chyba nie. Miał wrażenie, że wycofała się gdzieś do obwarowanej wewnętrznej fortecy i prawie nie zdaje sobie sprawy, co się dzieje.

Gdzie jest Kelso? Co było w notesie? Te same dwa pytania zadawane bez końca, najpierw w jej mieszkaniu, potem w oficjalnej siedzibie SWR, którą utrzymywali w śródmieściu Moskwy — w miejscu, gdzie dziennikarzy przyjmował uśmiechnięty, zamerykanizowany oficer do spraw *public*

relations. (Widzicie, panowie, jacy jesteśmy demokratyczni! Czym mogę służyć?). Nie dostała kawy ani papierosów, kiedy skończyły się jej własne. Napisz zeznanie, Zinajdo, potem podrzemy je i napiszemy na nowo, i tak W kółko, aż wskazówka pokaże dziewiątą. O tej godzinie Suworin miał zamiar wyciągnąć z rękawa swoją kartę atutową.

Była tak samo uparta jak ojciec.

W dawnych czasach na Łubiance mieli system nazywany Taśmociągami: podejrzanego przesłuchiwali bez przerwy trzej zmieniający się co osiem godzin śledczy. I po trzydziestu sześciu godzinach bez snu większość ludzi gotowa była podpisać wszystko, obciążyć każdego. Ale Suworin nie miał zmienników i nie miał trzydziestu sześciu godzin. Ziewnął. W oczach czuł ziarnka piasku. Był prawdopodobnie tak samo zmęczony jak ona.

Zadzwonił jego telefon komórkowy.

• Tak?

To był Netto.

• Dzień dobry, Wissarij. Co masz?

Dwie rzeczy, oznajmił Netto. Wspólny Pierieulok. Po pierwsze: ustalił, że pusty dom przy tej uliczce należał do średniej wielkości agencji nieruchomości o nazwie Moskprop, która próbuje wynająć go za piętnaście tysięcy dolarów miesięcznie. Na razie bez skutku.

— Za taką cenę? Wcale się nie dziwię.

• Po drugie: wygląda na to, że w ciągu ostatnich dni coś zostało wykopane w ogrodzie. W jednym miejscu ziemia była spulchniona do głębokości półtora metra. Technicy wykryli w niej ślady tlenku żelaza. Coś rdzewiało tam na dole przez wiele lat.

• Coś jeszcze?

• Nie. Nic na temat Mamantowa. Po prostu wyparował. Pułkownik jest bardzo przejęty. Pytał o ciebie.

• Powiedziałeś mu, gdzie jestem?

• Nie, majorze.

• Zuch chłopak. — Suworin wyłączył komórkę. Zinajda obserwowała go. — Wiesz, co myślę? — mruknął major. — Myślę, że twój papa poszedł tam i tuż przed śmiercią wyko-

pał tę skrzynkę na narzędzia. Potem oddał ją tobie, a ty moim zdaniem dałaś ją Anglikowi.

To była tylko hipoteza, ale zdawało mu się, że dojrzał jakiś błysk w jej oczach, nim się odwróciła.

— Dorwiemy go w końcu — powiedział. — Jeśli to będzie konieczne, bez twojego udziału. Tyle że zajmie to nam trochę więcej czasu.

Odchylił się do (yłu w fotelu).

Notatnik musi znajdować się tam gdzie Kelso. A tam, gdzie jest notatnik, będzie również Władimir Mamantow — jeśli nie w tej chwili, to niebawem. Odpowiedź na to jedno pytanie — gdzie jest Kelso? — pozwoli zatem rozwiązać wszystkie trzy problemy.

Zerknął na Zinajdę. Miała zamknięte oczy.

Wiedziała, gdzie jest Anglik, był o tym przekonany.

To było takie irytująco proste.

Zastanawiał się, czy Kelso uświadamia sobie, jak blisko niego może być w tej chwili Mamantow i jak wielkie grozi

mu niebezpieczeństwo. Ale on nic zdawał sobie oczywiście z tego sprawy. Był Anglikiem. I uważał, że z tej racji jest nietykalny.

Podróż przeciągała się.

— To tu — powiedział milicjant, wskazując tłustym palcem. — Po prawej stronie.

W deszczu dom sprawiał ponure wrażenie: magazyn z matowej czerwonej cegły z małymi okienkami za pajęczyną żelaznych krat. Przy obskurnych drzwiach nie było żadnej tabliczki.

— Zajedźmy od tyłu — zaproponował Suworin. — Może uda nam się gdzieś zaparkować.

Skręcili w prawo i potem znowu w prawo, przez otwartą drewnianą bramę na asfaltowy dziedziniec lśniący od deszczu. W rogu obok dużej czarnej furgonetki stał stary zielony ambulans z zamalowanymi szybami. W wielkich beczkach z falistej blachy piętrzyły się białe plastikowe worki związane brązową taśmą i oznaczone napisem ODPADY POOPE-

272

RACYJNE. Niektóre wypadły i popękały lub, co bardziej prawdopodobne, zostały rozdarte przez psy. Pokrwawione płótno mokło na deszczu.

Dziewczyna wyprostowała się: docierało chyba do niej, gdzie przyjechali. Milicjant wygramolił się z przedniego fotela, obszedł dookoła samochód i otworzył jej drzwi. Nie poruszyła się. Suworin musiał ująć ją lekko pod ramię i wyprowadzić z wołgi.

— Musieli przerobić ten budynek. Podobno jest jeszcze inna kostnica w Elektrostalu. Ale my przyjechaliśmy tutaj. Nawet nieboszczycy nie mają lekkiego snu. Chodź, Zinajdo. To tylko formalność. Trzeba to załatwić. Poza tym mówiono mi, że to często pomaga. Musimy spojrzeć w twarz naszym koszmarom.

Strząsnęła jego dłoń z ramienia, otuliła się płaszczem i zdał sobie sprawę, że jest właściwie bardziej zdenerwowany od niej. Nigdy przedtem nie widział trupa. Trudno to sobie wyobrazić: major byłego Pierwszego Dyrektoriatu KGB, który nie widział ludzkich zwłok. Cała ta sprawa miała dla niego walor edukacyjny.

Minęli śmietnik, drzwi towarowej windy i weszli do środka: pierwszy milicjant, za nim Zinajda, na końcu Suworin. Pierwotnie mieściła się tu chłodnia, w której przechowywano złowione w Morzu Czarnym ryby i mimo odoru chemikaliów w powietrzu czuć było woń słonej wody.

Milicjant znał procedurę. Wsadził głowę do przeszklonej budki i zamienił kilka żartobliwych słów z mężczyzną, który siedział w środku. Po chwili pojawił się inny facet, wdzierając na siebie biały fartuch. Odsunął zasłonę z czarnych gumowych pasków i ruszyli długim korytarzem, dość szerokim, by zmieścić się w nim wózek widłowy. Po obu stronach znajdowały się ciężkie drzwi do komór chłodniczych.

W Ameryce — Suworin widział to na wideo, w serialu o gliniarzach i złodziejach, który lubiła oglądać Serafima — żalobnicy mogli obserwować swoich ukochanych na ekranie monitora, wygodnie odgradzeni od fizycznej rzeczywistości śmierci. W Rosji zmarłym nie zapewniono takich luksusów. Z drugiej strony trzeba było przyznać władzom, że uczyniły, co

mogły, biorąc pod uwagę ograniczone środki. Z sali odwiedzin — jeśli wchodziło się od ulicy — nie widać było komór chłodniczych. Na przykrytym obrusem stoliku, po obu stronach mosiężnego krzyża, postawiono wazony ze sztucznymi kwiatami. Przed nimi stał wózek, z widocznym pod białym prześcieradłem zarysem ciała. Jaki on mały, pomyślał Suworin. Spodziewał się większego mężczyzny.

Upewnił się, że stoi tuż obok Zinajdy. Milicjant stanął obok swojego znajomego, pracownika kostnicy. Suworin skinął głową i laborant odchylił górną część prześcieradła.

Papu Rapawa, z nakrapianą cętkami twarzą i zaczesanymi do tyłu, przeredzającymi się siwymi włosami, wpatrywał się spod poczerwiałych powiek w łuszczący się sufit.

— Czy świadek rozpoznaje Papu (iierasimowicza Rapawę)? — wygłosił znudzonym głosem urzędową formułkę milicjant.

Zinajda pokiwała głową, zakrywając usta rękoma.

- Proszę powiedzieć na głos.

- Tak, to on. — Ledwie ją słyszeli. A potem powtórzyła głośniejszym głosem: — Tak, to on.

Laborant chciał zasunąć z powrotem prześcieradło.

— Niech pan zaczeka — powiedział Suworin.

Złapał za skraj tkaniny i mocno pociągnął. Cienki nylon zsunął się z ciała i spadł na podłogę.

Ciszę rozdarł jej nagły krzyk.

— Czy świadek rozpoznaje Papu Gierasimowicza Rapawę? Przyjrzyj mu się, Zinajdo. — Sam nie patrzył na ciało. Dzięki Bogu, mignęło mu tylko przed oczyma; wzrok miał utkwiony w jej twarzy. — Przyjrzyj się, co mu zrobili. To samo zrobią tobie. I twojemu przyjacielowi Anglikowi, jeśli go złapią.

Laborant zawołał coś. Zinajda uciekła z krzykiem w kąt pokoju i Suworin pobiegł za nią. To była jego szansa, jego jedyna szansa: musiał ją wykorzystać.

— Powiedz mi, gdzie on jest. Przykro mi, ale musisz mi powiedzieć. Powiedz mi, gdzie on jest. Przykro mi. Mów!

Odrzuciła się i chciała go uderzyć, ale milicjant złapał ją za płaszcz i odciągnął do tyłu.

274

— No, no, dosyć tego — zamruczał, obracając ją dookoła i rzucając na kolana.

Suworin także ukląkł i ruszył za nią na klęczkach. Ujął jej twarz w obie dłonie.

— Tak mi przykro — szepnął. Jej rysy rozmazywały się pod jego palcami, z oczu tryskały łzy, czerń kapłała po policzkach, usta zmieniły się w czarną plamę. — Już dobrze. Przepraszam.

Znieruchomiała. Myślał, że zemdląca, ale wciąż miała otwarte oczy.

Nie załamie się. Teraz już to wiedział. Była córką swojego ojca.

Po mniej więcej półminucie puścił ją i przykucnął na piętach, oddychając ciężko, z pochyloną głową. Za sobą usłyszał odgłos odjeżdżającego wózka.

— Jest pan szalony — mruknął z niedowierzaniem laborant. — Jest pan, kurwa, szalony, ot co.

Suworin podniósł znużony rękę, przyznając mu rację.

Drzwi za nim się zatrzasnęły. Oparł dłonie na zimnej kamiennej posadzce. Zdał sobie sprawę, że nienawidzi tej sprawy. Nie tylko dlatego, że była tak cholernie trudna i obciążona ryzykiem, ale dlatego, że prowadząc ją, uświadomił sobie, jak bardzo nienawidzi własnego kraju: tych wszystkich weteranów paradujących w niedzielne ranki z portretami Marksa i Lenina, podobnych do Mamantowa fanatyków o zawziętych twarzach, którzy nie chcieli dać za wygraną, po prostu nie rozumieli, nie dostrzegali, że zmienił się świat.

Ciężar przeszłości przygniatał go niczym przewrócony posąg.

Musiał mocno odepchnąć się od gładkiej posadzki, żeby stanąć na nogach.

- Chodź — powiedział, podając jej rękę.
- Archangielsk.
- Co takiego? — Spojrzał na nią. Wpatrywała się w niego, klęcząc na podłodze. Emanował z niej przerażający spokój. Pochylił się niżej. — Co takiego?

— Archangielsk — powtórzyła. ...; :,,)

275

Odsunął poły płaszcza i usiadł ostrożnie na podłodze obok dziewczyny. Oboje oparli się plecami o ścianę niczym para rozbitków, którzy ocaleli z katastrofy.

Patrzyła prosto przed siebie i mówiła dziwnie monotonnym głosem. Suworin otworzył notes i jego pióro sunęło szybko po papierze, zapisując kolejne kartki. Ponieważ w każdej chwili mogła umilknąć, powtarzał sobie, umilknąć tak samo nagle, jak zaczęła mówić.

Pojechał do Archangielska, oznajmiła. Samochodem. Pojechali na północ, on i ten reporter z telewizji.

Świetnie, Zinajdo, nie spiesz się. Kiedy to było?

Wczoraj po południu.

Kiedy dokładnie?

O czwartej. Może o piątej. **Nie** pamięta. Czy to **takie** ważne?

Co to za reporter?

O'Brian. Amerykanin. Występował w telewizji. Nie **ufa** mu.

A zeszyt?

Zabrali go. Należał do niej, ale nie chciała go. Nie chciała go dotknąć, kiedy przekonała się, co zawiera. Jest przeklęty. Ten zeszyt jest przeklęty. Zabija wszystkich, którzy go dotykają.

Przerwała i spojrzała tam, gdzie jeszcze przed chwilą było ciało jej ojca. Zakryła dłonią oczy.

Dlaczego do Archangielska, zapytał Suworin.

Ponieważ tam mieszkała ta dziewczyna.

Dziewczyna? Suworin przestał notować. O czym ona mówi? Jaka dziewczyna?

— Posłuchaj — powiedział kilka minut później, gdy odłożył pióro. — Nic ci nie grozi. Mam zamiar osobiście tego dopilnować, rozumiesz? Gwarantuje to rosyjski rząd.

(Co on opowiadał? Rosyjski rząd nie mógł niczego zagwarantować. Rosyjski rząd nie mógł zagwarantować, że jego prezydent nie spuści na dyplomatycznym przyjęciu spodni i nie będzie próbował zapalić jednego ze swoich bąków...).

— Powiem ci, co teraz zrobię. To jest mój telefon do biura: bezpośrednia linia. Jeden z moich ludzi odwiezie cię do twojego mieszkania, dobrze? Trochę się prześpisz. A ja postawię jednego strażnika na klatce, a drugiego na ulicy. Żeby nikt nie mógł dostać się do twojego mieszkania i zrobić ci krzywdy. Dobrze?

Mówił dalej, składając kolejne obietnice, których nie mógł dotrzymać. Powiniennem zrobić karierę jako polityk, pomyślał. Urodziłem się do tego.

— Upewnimy się, czy Kelso jest bezpieczny. Znajdziemy ludzi... człowieka, który zrobił tę straszną rzecz twojemu ojcu, i wsadzimy go za kratki. Słuchasz mnie, Zinajdo?

Wstał ponownie z podłogi i ukradkiem spojrzął na zegarek.

— Muszę się teraz tym wszystkim zająć. Muszę iść. Dobrze? Zadzwoń do porucznika Bunina... pamiętasz Bunina? To ten, co zgarnął cię wczoraj w nocy... każe mu tu przyjechać i odwieźć cię do domu.

W połowie drogi do drzwi przystanął i obejrzał się.

— Przy okazji, nazywam się Suworin. Feliks Suworin.

Milicjant i laborant czekali na korytarzu.

— Zostawcie ją w spokoju — powiedział. — Nic jej nie będzie.

Patrzyli na niego dziwnie. Z pogardą, zapytał sam siebie, czy z ostrożnym respektem? Nie wiedział, czy zasługuje na jedno, czy drugie, i nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Odwrócił się do nich plecami i wystukał numer Arseniewa w Jaseniewie.

— Sergo? Muszę mówić z pułkownikiem... Tak, to pilne.

I chcę, żebyś załatwił mi transport... Tak, jesteś gotów?

Chcę, żebyś załatwił mi samolot.

Rozdział 23

Według partyjnych danych Wawara Safanowa mieszkała od ponad sześćdziesięciu lat pod tym samym adresem, w starej drewnianej dzielnicy Archangielska, mniej więcej dziesięć minut jazdy od nabrzeża. Do drewnianych domków wchodziło się po drewnianych schodkach z drewnianego chodnika — spławiały szare deski pochodziły z drzew, które ludzie musieli spławiać Dwiną z okolicznych lasów na długo przed rewolucją. Dzielnica wyglądała malowniczo, jeśli zamknęło się oczy na górujące w sąsiedztwie betonowe bloki. Przy niektórych domkach leżały sterty chrustu na opał. Unoszący się z kominów dym muskał płatki śniegu.

Ulice były szerokie i puste, obsadzone po obu stronach szpalerem srebrnych brzoź; przysypana śniegiem nawierzchnia wydawała się zdradliwie równa. Ale toyota wpadała w głębokie do kostek doły, trzęsąc się i podskakując na wybojach i w końcu Kelso zaproponował, że zostawia ją

i dalej pójdą pieszo.

Drżąc z zimna, stał na deskach chodnika, podczas gdy O'Brian grzebał w bagażniku. Po drugiej stronie ulicy stało kilka towarowych wagonów. Nagle w bocznej ścianie jednego z nich otworzyły się prowizoryczne drzwi i na zewnątrz wyszła młoda kobieta, a w ślad za nią dwójka dzieci tak grubo opatulonych, że wydawały się prawie okrągłe. Dzieci

278

podreptały za nią po śniegu, ociągając się i przyglądając z namaszczaniem cudzoziemcom, aż odwróciła się i krzyknęła, żeby się pospieszyły.

O'Brian zamknął samochód. Niósł jedno z aluminiowych pudeł. Kelso trzymał w ręku teczkę.

— Widziałeś? — zapytał. — Ludzie autentycznie mieszkają w tych towarowych wagonach. Widziałeś to?

O'Brian chrząknął i nałożył kaptur.

Pobrnęli skrajem drogi, mijając rząd połatanych, walących się domków, z których każdy przechylony był pod własnym szalonym kątem. Każdego roku grunt rozmięka i porusza się, pomyślał Kelso, i razem z nim poruszają się domy. A potem trzeba zabić świeżymi deskami nowe pęknięcia; niektóre z zabudowań miały łąty pochodzące jeszcze z carskich czasów. Wydawało mu się, że czas zastygł tu w miejscu. Nietrudno było wyobrazić sobie Annę Safanową przed pięćdziesięciu laty, pokonującą tę samą, co oni, drogę, z parą łyżew przewieszonych przez ramię.

Kolejne dziesięć minut zajęło im odnalezienie uliczki, właściwie alejki, która odchodziła od głównej drogi przy kępie brzoź i prowadziła na tyły domu Wawary Safanowej. Na podwórku stały zagrody dla kur, świni i dwóch kóz. A nad tym wszystkim wznosił się czternastopiętrowy wieżowiec z wielkiej płyty z kilkoma żółtymi światłami na niższych piętrach.

O'Brian otworzył swoje pudło, wyjął kamerę i zaczął filmować obejście. Kelso przyglądał mu się z niezadowoloną miną.

- Może powinniśmy najpierw sprawdzić, czy jest w domu? Zapytać o pozwolenie?
- Ty ją spytaj. Idź.

Kelso zerknął w górę. Płatki śniegu robiły się coraz większe — gęste i miękkie jak dłonie niemowlaka. Czuł, jak w żołądku zaciska mu się węzeł wielkości pięści. Przeszedł przez podwórko, mijając chmurę koziego smrodu, i zaczął wspinać się po sześciu obluzowanych drewnianych stopniach, prowadzących na tylną werandę. Na trzecim schodku zatrzymał się. Drzwi były lekko uchylone i przez wąską

279

szparę widział przyglądającą mu się starą kobietę, *kt&ta* pochylała się do przodu, wspierając oburącz na lasce. '

- Wawara Safanowa? — zapytał.

Przez moment nic nie odpowiadała.

- Kto chce się z nią widzieć? — mruknęła w końcu.

Potraktował to jako zaproszenie i wszedł na górę. Nie był zbyt wysoki, ale stając na rozchybotanej werandzie, górował nad staruszką. Miała osleoporozę, teraz to zauważył. Jej ramiona znajdowały się na tym samym poziomie co uszy i nadawało jej to wygląd czujnego ptaka.

Zsunął z głowy kaptur i po raz drugi tego ranka wygłosił

starannie przygotowane kłamstwo — że przyjechali tutaj, bo robią film o komunistach; że szukają ludzi o interesującej przeszłości; jej nazwisko i adres dostali w lokalnym Komitecie partii — przez cały czas przyglądając się jej, próbując odnaleźć w zgarbionej staruszcze matronę, która pojawiła się na krótko w pamiętniku dziewczyny.

Mama jest silna, jak zawsze... Mama odprowadza mnie na stację... Całuję jej najdroższe policzki...

Otworzyła drzwi trochę szerzej, żeby go lepiej zobaczyć, i on też mógł jej się lepiej przyjrzeć. Z wyjątkiem szala, miała na sobie męskie ubranie — prawdopodobnie stare ubranie męża — męskie grube skarpetki i buty. Jej twarz nosiła ślady dawnej urody. Kiedyś mogła być piękna — widać to było po zarysie szczęki i kości policzkowych, po bystrym spojrzeniu błękitnozielonego oka; drugie zaćmiła katarakta. Nietrudno było wyobrazić sobie ją jako młodą komunistkę w latach trzydziestych, pionierkę nowej cywilizacji, bohaterkę socjalizmu, w której rozkochał się Shaw albo Welles. Mógł się założyć, że darzyła czcią Stalina.

/ mamo, owszem, to skromny dom! Tylko jedno piętro! Twoje serce dobrej bolszewiczki uradowałaby jego prostota...

— Więc jeśli mogłaby pani poświęcić nam kilka chwil — podjął — byłibyśmy bardzo wdzięczni.

Przełożył z zakłopotaniem teczkę z ręki do ręki. Czuł, że na plecach rośnie mu czapa zimnego śniegu, że woda spływa mu po karku i że stojący na dole schodów O'Brian ich filmuje. .-'n

280

O Boże, wyrzucić nas stąd, pomyślał nagle. Każ nam wynieść się stąd do diabła, razem z naszymi kłamstwami; ja zrobiłbym to na twoim miejscu. Musisz chyba wiedzieć, po co tu przyszliśmy.

Ona jednak odwróciła się nagle na pięcie i podreptała w głąb pokoju, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi.

Kelso wszedł pierwszy. O'Brian musiał pochylić się, żeby nie zaczepić głową o framugę. W środku było ciemno. Szybę jedyne okna zalepiały gęsty śnieg.

Jeśli chcą herbaty, oznajmiła, siadając ciężko na twardym drewnianym krześle, muszą ją sobie zrobić sami.

• Napijemy się herbaty? — zapytał cicho Kelso, zwracając się do O'Briana. — Prosi, żebyśmy napili się jej herbaty. Chyba tak?

• Jasne, ja zaparzę.

Poirytowanym tonem wydawała kolejne instrukcje. Wydobywający się ze zgarbionej postaci głos był zaskakująco głęboki i męski.

• Nabierz wodę z wiadra... nie, nie do tego czajnika, ale do tego, tego czarnego... tą chochlą, właśnie... nie, nie, nie — zastukała laską w podłogę — nie aż tyle, wystarczy. Teraz postaw czajnik na kuchni. I skoro już tam jesteś, możesz dorzucić trochę szczap do ognia. — Kolejne dwa stuknięcia laską.

• Szczap? Do ognia?

Bezradny O'Brian zwrócił się do Anglika o tłumaczenie.

• Chce, żebyś dorzucił trochę dREW do ognia.

• Herbata jest w tym słoiku. Nie, nie. Tak. W tym słoiku. Tak. Tam!

To wszystko przekraczało możliwości percepcji doktora Kelso: to miasto, ta kobieta, ten domek, tempo, w jakim się to działo. Miał wrażenie, że śni. Powinien chyba zacząć robić notatki. Wyciągnął swój żółty blok i zaczął opisywać dyskretnie pokój. Na podłodze szare linoleum. Na linoleum: stół, krzesło, łóżko przykryte wełnianym kocem. Na stole: para okularów, kolekcja buteleczek z tabletkami, egzemplarz

281

północnego wydania „Prawdy”, otwarty na trzeciej stronie. Na ścianach: nic prócz oprawionej w drewnianą ramkę fotografii W. I. Lenina, oświetlonej stojącą na małym kredensie czerwoną świeczką. Obok wisały dwa medale Pracy Socjalistycznej i dyplom upamiętniający pięćdziesiątą rocznicę wstąpienia do partii; kiedy minęła sześćdziesiąta rocznica, nie stać ich było zapewne na takie ekstrawagancje. Komunizm obracał się w proch razem z Wawarą Safanową. Dwaj mężczyźni przycupnęli na skraju łóżka. Zaczęli pić herbatę. Miała szczególnie ziołowy zapach, nawet przyjemny — zapach dzikich malin, zapach lasu. Wawara nie wydawała się w najmniejszym stopniu zdziwiona tym, że dwaj cudzoziemcy pojawili się w jej progu z japońską kamerą wideo, twierdząc, że kręcą film o historii archangielskiej partii komunistycznej. Tak jakby na nich czekała. Kelso domyślał się, że nic już jej nie zaskoczy. Cechowała ją pełna rezygnacji starcza obojętność. (Jmachy i imperia wznoszą się i upadają. Śnieg pada. Śnieg przestaje padać. Ludzie wchodzą i wychodzą. Któregoś dnia przyjdzie po nią śmierć i to też jej nie zaskoczy, pod warunkiem że kostucha nie zmyli drogi: „Nie, nie tam. Tam...”).

Owszem, dobrze pamięta przeszłość, stwierdziła, siadając wygodniej na krześle. Nikt w Archangielsku nie pamięta lepiej od niej przeszłości. Pamięta wszystko.

Pamięta, jak w 1917 Czerwoni wyszli na ulice, a jej wujek podrzucił ją w powietrze, całował i mówił, że cara już nie ma i wkrótce nastąpi raj na ziemi. Pamięta, jak jej wujek i ojciec uciekli do lasu, gdy w 1918 przyszli Brytyjczycy, żeby zdławić rewolucję — wielki szary okręt wojenny zacumował przy brzegu Dwiny i $n < 2$ ład zeszedł drobni angielscy żołnierze. Bawiła się przy dźwięku armat. A potem któregoś dnia poszła wczesnym rankiem do portu i okręt zniknął. Tego popołudnia wrócił jej wujek. Ale nie ojciec — ojca zabrali Biali i nigdy już go nie zobaczyła.

Pamięta to wszystko.

A kułacy?

282

Owszem, pamięta kułaków. Miała siedemnaście lat. Przyjechali na dworzec, tysiące ludzi, w swoich dziwnych ludowych strojach. Ukraińcy — nigdy nie oglądała takiej masy ludzi — pokryci wrzodami, taszczący swoje toboły. Zamknięto ich w cerkwiach i zakazano zbliżać się do nich mieszkańcom miasta. Choć ci wcale nie mieli na to ochoty. Kułacy roznosili zarazę, wszyscy o tym wiedzieli.

Zaraźliwe były ich wrzody?

Nie. To kułacy byli zaraźliwi. Zaraźliwe były ich dusze. Roznosili zarazki kontrrewolucji. Krwiopijcy, pająki i wampiry, tak właśnie nazwał ich Lenin.

I co się stało z kułakami?

Wyglądało to tak samo jak z tym angielskim okrętem. Wieczorem, kiedy poszła spać, jeszcze byli, a rano zniknęli. Zamknięto potem wszystkie cerkwie. Ale teraz z powrotem je otwierają — widziała to na własne oczy. Kułacy wrócili. Są wszędzie. To tragedia.

Pamięta też Wielką Wojnę Ojczyźnianą — alianckie okręty przycumowane przy samym ujściu rzeki, stocznie pracujące dzień i noc pod bohaterskim kierownictwem partii, faszystowskie samoloty zrzucające bomby na stare drewniane miasto, które spłonęło, w dużej części spłonęło. To były najgorsze czasy — mąż poszedł na front, ona pracowała jako pielęgniarka w Poliklinice Morskiej. Głód, braki paliwa, zaciemnienie, bomby i córka, którą musiała sama wychowywać...

Wszystko to oczywiście zajęło więcej czasu, niż mógłby sugerować drukowany zapis. Było wiele walenia łaską w podłogę, pochylania się, powtórek i dygresji. Kelso doskonale zdawał sobie sprawę, że O'Brian wierci się niecierpliwie, że śnieg zbiera się w zaspę i głuży dobiegające z zewnątrz, dźwięki. Ale pozwalał jej mówić. Kopnął nawet dwa razy w kostkę reportera, żeby się nie gorączkował. Chciał, żeby sama doszła do sedna sprawy.

Fluke Kelso był w tej dziedzinie ekspertem. Właśnie dzięki temu, że umiał słuchać, trafił na trop całej sprawy.

283

Upił trochę zimnej herbaty.

Więc mieliście córkę, towarzyszeko Safanowa? To ciekawe. Opowiedzcie nam o swojej córce.

Wawara zastukała łaską w linoleum. Zacisnęła usta.

To nie ma żadnego znaczenia dla historii archangielskiej organizacji partyjnej.

— Ale z pewnością ma znaczenie dla was?

Cóż, oczywiście, że ma dla niej znaczenie. Była matką tego dziecka. Ale czym jest dziecko w porównaniu z siłami historii? To kwestia subiektywizmu i obiektywizmu. Tego, komu i czemu to służy. Oraz innych partyjnych sloganów, które słabo już pamięta, ale które, wiedziała o tym, były prawdziwe i w tamtym czasie przyniosły jej pociechę.

Odchyliła się do tyłu, zgarbiona na krześle-

Kelso sięgnął po teczkę.

— Właściwie wiem coś o losach waszej córki — zaczął. — Znaleźliśmy zeszyt, dziennik, który prowadziła Anna. Tak miała na imię, prawda? Anna. Zastanawiam się, czy nie zechcielibyście go obejrzeć...

Śledziła nieufnie jego palce, gdy rozwiązywał paski.

Jej dłonie, podobnie jak okładki zeszytu, były upstrzone plamami, ale nie zdrząły, kiedy go otworzyła. Widząc zdjęcie Anny, dotknęła go nieśmiało, a potem jej palec powędrował do ust. Possała go i podniosła powoli zeszyt do oczu.

- Powinienem to nakręcić — szepnął O'Brian.

- Ani mi się waż — syknął Kelso.

Nie widział jej twarzy, ale słyszał urywany oddech i znowu odniósł dziwne wrażenie, że na nich czekała — być może od wielu lat.

- Skąd to macie? — zapytała w końcu.
 - Zeszyt został odkopany. W ogrodzie w Moskwie.
- Razem z innymi papierami należącymi do Stalina.
Opuszczając w dół zeszyt, miała suche oczy. Zamknęła go i podała mu.
— Nie. Proszę przeczytać — powiedział. — To jej dziennik.

284

Lecz ona potrząsnęła głową. Nie **chciała**.

- Ale to jej charakter pisma? • S:
- Tak, jej. Zabierzcie to.

Wcisnęła mu zeszyt i nie uspokoiła się, dopóki nie znalazł się z powrotem w teczce. A potem siadła wygodniej, przechyliła w prawo głowę, zasłoniła dłonią zdrowe oko i zastukała laską w podłogę.

Anna, powiedziała po pewnym czasie.
Cóż. Anna.

Prawdę mówiąc, była z nią w ciąży, kiedy brała ślub. Ale ludzie nie dbali wtedy o takie rzeczy — partia uporała się, dzięki Bogu, z klechami.

Miała wtedy osiemnaście lat. Michaił Safanow — metalurg w stoczni i członek fabrycznego komitetu partii — był od niej o pięć lat starszy.

Przystojny mężczyzna. Córka odziedziczyła po nim urodę. O tak. Anna była śliczna. To była jej tragedia.

— Tragedia?

I sprytna. Dojrzewała na dobrą komunistkę. Wstąpiła tak jak jej rodzice do partii. Wcześniej należała do pionierów. Była w Komsomole; w swoim mundurku wyglądała jak z obrazka. I dlatego weszła w skład archangielskiej delegacji Komsomolu, która miała przemaszzerować przez plac Czerwony... to był wielki zaszczyt... wybrano ją, żeby przedefilowała przed samym Wodzem w dniu pierwszego maja 1951 roku.

Zdjęcie Anny pojawiło się później w „Ogonioku” i zaczęto zadawać pytania. Tak to się zaczęło. Potem nic już nie było takie samo.

Tydzień później z Komitetu Centralnego z Moskwy przyjechali jacyś towarzysze i rozpytywali o nią. Oraz o jej rodziców.

Kiedy to się rozeszło, niektórzy z sąsiadów zaczęli ich unikać. Bo chociaż wróg ludu Trocki poniósł w końcu zasłużoną śmierć, wciąż mogli działać jego szpieczy i sabotażyści. Być może Safanowowie byli niszczycielami i odszczypieńcami?

285

Ale oczywiście nic nie mogło być dalsze od prawdy.

Michaił wrócił któregoś dnia wcześniej ze stoczni razem z towarzyszem z Moskwy — towarzyszem Mechlisem; nigdy nie zapomni tego nazwiska — który przekazał im dobrą nowinę. Safanowowie zostali dokładnie prześwietleni i uznano, że są dobrymi komunistami. Szczególnie udało im się córka. Tak bardzo, że wybrano ją do specjalnej partyjnej pracy w Moskwie, w służbie najwyższego kierownictwa. Chodziło o służbę domową, to prawda, ale praca wymagała inteligencji i dyskrecji, a palem dziewczyna mogła podjąć z powrotem studia z pozytywną adnotacją w aktach.

Anna... cóż, kiedy Anna się o tym dowiedziała, nic nie mogło jej powstrzymać. Wawara też była za. Tylko Michaił miał jakieś zastrzeżenia. Coś / . nim się stało. Przykro jej o tym mówić. Coś z nim się stało podczas wojny. Nigdy o tym nie mówił, z wyjątkiem jednego razu, kiedy Anna wyrażała się z najwyższym podziwem o geniuszu towarzysza Stalina. Michaił oświadczył, że wid/ .iał, jak wielu towarzyszy zginęło na froncie; skoro towarzysz Stalin był takim geniuszem, dlaczego musiały zginąć miliony?

Wawara kazała mu wstać od stołu i wyjść na dwór za karę, że mówi takie głupstwa. Nie. Po wojnie nie był już tym samym człowiekiem. Nie poszedł nawet na dworzec, żeby odprowadzić swoją córkę.

Umilkła.

— I nigdy już jej pani nie zobaczyła? — zapytał Kelso.

Dlaczego? Wawarę zdziwiło jego pytanie. Zobaczyli ją ponownie.

Zobaczyli ją, kiedy wróciła do domu urodzić dziecko.

Cisza.

O'Brian zakaszał i pochylił się do przodu, splatając przed sobą dłonie i opierając łokcie o kolana.

— Czy ona naprawdę powiedziała to, co mi się wydaje?

Kelso zignorował jego słowa. Wiele wysiłku kosztowało go, żeby nie zmienić tonu swojego głosu.

— Kiedy to było?

286

Wawara namyślała się przez chwilę, stukając laską o but. '***' Na wiosnę 1952 roku, odparła w końcu. Tak. Przyjechała pociągiem w marcu 1952 roku, kiedy zaczęła się odwilż. Nie dostali od niej żadnej wiadomości, po prostu pojawiła się, niczego nie wyjaśniając. Nie musiała zresztą nic wyjaśniać. Wystarczyło na nią spojrzeć. Była wtedy w siódmym miesiącu.

— A ojciec? Powiedziała, kto...

Nie.

.....<.*

Energiczne potrząśnięcie głową.

„

Ale przecież się domyśliłaś, pomyślał Kelso.

Nie, nie puściła pary z gęby na temat ojca ani tego, co się zdarzyło w Moskwie, i po jakimś czasie dali za wygraną. Siedziała po prostu w kącie i czekała na poród. Była bardzo cicha, ta nowa Anna, zupełnie niepodobna do starej. Nie chciała zobaczyć się z przyjaciółkami, wyjść na dwór. Prawdę mówiąc, bała się.

— Bała się? Czego się bała?

Porodu, oczywiście. Czy to takie dziwne? Mężczyźni, mruknęła i w jej głosie zapłonął stary ogień. Co mężczyźni wiedzą o życiu? Naturalnie, że się bała. Bałby się każdy, kto miał oczy na swoim miejscu i trochę oleju w głowie. A dziecko też dawało jej nieźle w kość, mały diabeł. Wysysało z niej wszystko, co dobre. Prawdziwy mały diabeł... a jak kopał! Siedzieli tutaj wieczorami i patrzyli, jak rusza się jej brzuch.

Mechlis przychodził czasami, żeby mieć na nią oko. Przez większość tygodni u wylotu ulicy stał samochód z kilkoma ludźmi w środku.

Nie, nie zapytali, kim jest ojciec.

Zaczęła krwawić na początku kwietnia. Zabrali ją do kliniki. I wtedy po raz ostatni ją widzieli. Miała krwotok na

sali porodowej. Doktor wszystko im później opowiedział. Nie można było nic zrobić. Po dwóch dniach zmarła na stole operacyjnym. Miała dwadzieścia lat.

— A dziecko?

Dziecko przeżyło. Chłopiec.

287

Wszystkie sprawy załatwiał towarzysz Mechlis.

Tyle przynajmniej może zrobić, powiedział. Czuł się odpowiedzialny.

To Mechlis sprowadził lekarza — akademika, czołowego specjalistę w kraju, przyleciał specjalnie z Moskwy — i Mechlis załatwił adopcję. Safanowowic chcieli sami wychowywać dziecko — prosili o to — ale Mechlis miał podpisane przez Annę oświadczenie, że jeśli coś się z nią stanie, chce, żeby dziecko zostało adoptowane. Wymienił jakichś krewnych ojca, parę o nazwisku Czyżyków.

— Czyżyków? — zapyła! Kelso. — Jest pani pewna?

Była pewna.

Nigdy nie widzieli dziecka. Nie pozwolono im nawet wejść do szpitala.

Wawara Safanowa uznała, że musi się z tym wszystkim pogodzić, ponieważ wierzyła w partyjną dyscyplinę. I wciąż w nią wierzy. Będzie wierzyła aż do dnia swojej śmierci. Partia była jej bogiem, a partia podobnie jak bóg czasami jest nieodgadniona.

Lecz Michaił Safanow przesiał wierzyć w doktrynę nieomyślności. Nie bacząc na to, co mówił Mechlis, postanowił odszukać tych Czyżyków; wciąż miał dość przyjaciół w miejscowym Komitecie partii, żeby mu pomogli. I okazało się, że Czyżykowowie nie są wcale mieszcuchami z Moskwy — czego spodziewał się Michaił — ale ludźmi z północy, tak jak oni, i że zamieszkali w wiosce w lesie pod Archangielskiem. W mieście szeptano, że tak naprawdę nie nazywają się Czyżyków. Że są z NKWD.

Tymczasem nadeszła zima i Michaił nie mógł nic zrobić. A potem, któregoś ranka wczesną wiosną, gdy czekał na pierwsze oznaki odwilży, w radiu obudziła ich żałobna muzyka i dowiedzieli się, że zmarł towarzysz Stalin.

Wawara płakała i Michaił też płakał. To go dziwi? Zanosili się płaczem, obejmując się wzajemnie. Płakali, jak nie płakali jeszcze nigdy dotąd, nawet po śmierci Anny. Cały Archangielsk pogrążony był w smutku. Wciąż pamięta dzień pogrzebu. Długą ciszę, którą przerwało trzydzieści salutów

288

artyleryjskich. Echa salw przetoczyły się nad Dwiną niczym odgłosy dalekiej leśnej burzy.

Dwa miesiące później, w maju, kiedy ruszyły lody, Michaił zapakował plecak i wyruszył na poszukiwanie wnuka.

Wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Minał jeden dzień, potem drugi i trzeci. Był sprawnym mężczyzną, silnym i zdrowym — miał tylko czterdzieści pięć lat.

Piątego dnia jacyś rybacy odkryli jego ciało, mniej więcej trzydzieści wiorst w górę rzeki, koło Nowodwińska. Unosiło

się w wypływającej z lasu żółtej wodzie.

Kelso rozłożył mapę O'Briana i położył ją na stole. Wawara nasunęła na nos okulary, pochyliła się i zaczęła wodzić zdrowym okiem po niebieskiej linii Dwiny.

Tutaj, stwierdziła po chwili, wskazując palcem. W tym miejscu znaleziono ciało jej męża. W środku głuszy! W lesie były wilki, rysie i niedźwiedzie. W niektórych miejscach drzewa rosły zbyt gęsto, żeby przejść. W innych ciągnęły się bagna, które mogły połknąć człowieka w ciągu minuty. Tu i tam białaly kości starych kułackich osad. Prawie wszyscy kułacy oczywiście wyginęli. Nie sposób wyżyć z ziemi w takim miejscu.

Michał znał las tak samo dobrze jak każdy mężczyzna. Od dzieciństwa włóczył się po tajdze.

Według milicji, to był atak serca. Tak powiedzieli. Może próbował napęlić manierkę? Wpadł do zimnej żółtej wody i od szoku termicznego stanęło mu serce.

Pochowała go na cmentarzu Kuznieczeskim, obok Anny.

— Jak nazywa się ta wioska, w której według waszego męża mieszkali Czyżykowowie? — zapytał Kelso, uświadamiając sobie po raz któryś z rzędu, że O'Brian stoi tuż za nimi i filmuje ich tą swoją cholerną miniaturową kamerą.

Och! To obłąd! Jak można oczekiwać, żeby pamiętała tego rodzaju rzeczy. To było tak dawno... prawie przed pięćdziesięciu laty...

289

Ponownie zbliżyła twarz do mapy.

Gdzieś tutaj — dźgnęła drżącym palcem punkt trochę na północ od rzeki — gdzieś w pobliżu: w osadzie zbyt małej, by warto o niej wspominać. Zbyt małej, by miała jakąś nazwę.

Nigdy nie próbowała jej sama odnaleźć?

Och, nie.

Spojrzała na Anglika / przerażeniem.

Nic dobrego by z tego nie wynikło. Ani **wtedy**, ani **teraz**.

Rozdział 24

4

Duży samochód ostro zahamował i skręcił z biegnącej na południe szosy w stronę wojskowej bazy powietrznej Żukowskaja. Siedzący z tyłu Feliks Suworin złapał z ponurą miną za uchwyt. Kiedy szlaban podniósł się, czekający za budką strażniczą gazik mignął tylnymi światłami i ruszyli za nim. Okrążyli budynek terminalu, minęli ogrodzenie z siatki i wjechali na betonową płytę lotniska.

Szary niewielki samolot, dokładnie taki, jaki zamówił — sześćosobowy, z napędem śmigłowym — tankował paliwo z cysterny. Trochę dalej zobaczył rząd ciemnozielonych wojskowych śmigłowców ze zwisającymi łopatami rotorów. Tuż przy samolocie stała limuzyna marki Ził.

No, no, pomyślał Suworin. Pewne sprawy w dalszym

ciągu można tu załatwić.

Schował swoje notatki do teczki i podbiegł w deszczu i podmuchach wiatru do limuzyny. Szofer Arseniewa otwierał już tylne drzwiczki.

- I co? — zapytał Arseniew z ciepłego wnętrza.
- To nie jest to, co nam się wydawało — odparł Suworin, wsuwając się do środka. — I dziękuję za załatwienie samolotu.
- Zaczekaj w drugim samochodzie — powiedział Arseniew do szofera.

291

- Tak jest, pułkowniku.
- Co nie jest tym, co się komuś wydawało? — zainteresował się Arseniew, gdy za szoferem zamknęły się drzwi. — Swoją drogą, dzień dobry.
- Dzień dobry, Juriju Siczmionowiczu. Notes. Wszyscy zawsze uważali, że należał do Stalina. Okazuje się jednak, że to dziennik, który prowadziła jedna /jego pokojówek, Anna Michajłowna Saianowa. Łąłem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku sprowadził ją, z Archangielska, żeby dla niego pracowała. Mniej więcej osiemnaście miesięcy przed swoją śmiercią.

Arseniew zamrugał oczyma.

- I to jest to? To właśnie wykradł Beria?
- Tak. To i pewne dotyczące jej papiery.

Arseniew wpatrywał się w Suworina przez sekundę albo dwie, a potem wybuchnął śmiechem.

- Job twoju mać! Stary sukinsyn bzykał swoją pokojówkę! O to chodzi?
- Najwyraźniej.
- To paradne! Niesamowite! — Arseniew wałnął pięścią w przedni fotel. — Pozwólcie mi przy tym być! Dajcie mi zobaczyć gębę Mamantowa, kiedy się dowie, że testament jego wielkiego Stalina okazał się relacją pokojówki, opowiadającą o tym, jak przeleciał ją potężny Wódz Rewolucji! — Zerknął na Suworina z błyszczącymi oczyma i policzkami zaróżowionymi z uciechy. — Co z tobą, Feliks? Nie powiesz mi chyba, że nie widzisz w tym nic śmiesznego? — Przestał się śmiać. — O co chodzi? Jesteś pewien, że to prawda?
- Raczej tak, pułkowniku, raczej tak. Tak zeznała kobieta, którą zgarnęliśmy wczoraj w nocy, Zinajda Rapawa. Przeczytała dziennik wczoraj po południu... ojciec zostawił go jej w ukrytym miejscu. Nie sądzę, żeby sama wymyśliła taką historię. To nie mieści się w głowie.
- Owszem, zgadzam się. Skoro tak, nie mamy się czym przejmować. Gdzie jest teraz ten zeszyt?
- Tu wyłania się pierwsza komplikacja — oznajmił ostrożnie Suworin. Przykro mu było psuć staremu dobry humor. — Dlatego musiałem z wami porozmawiać. Wygląda

292

na to, że pokazała go temu historykowi, Anglikowi. Według niej, zabrał go ze sobą.

- Ze sobą?
 - Do Archangielska. Próbuje odnaleźć kobietę, która to napisała, tę Annę Safanową.
- Arseniew poskubał się nerwowo w tłusty kark.
- Kiedy wyjechał?
 - Wczoraj po południu. O czwartej albo piątej. **Rapawa**

nie pamięta dokładnie.

- Czym?
- Samochodem.
- Samochodem? No to w porządku. Bez trudu go dogonisz. Kiedy tam wylądujesz, facet będzie miał nad tobą tylko kilka godzin przewagi. Tam na północy jest niczym szczur w pułapce.

- Niestety nie jest sam. Zabrał ze sobą dziennikarza. Niejakiego O'Briana. Zna go pan? To ten korespondent satelitarnej sieci telewizyjnej.

- No tak. — Arseniew wysunął do przodu dolną wargę i ponownie poskubał się w kark. — Ale to nie zmienia faktu, że ta kobieta najprawdopodobniej już nie żyje. A jeśli nawet... cóż, to żadna katastrofa. Niech piszą swoje książki i nadają pierdolone wiadomości. Nie sądzę, żeby Stalin powierzył swojej pokojówce jakieś przesłanie dla przyszłych pokoleń.

- O to właśnie się martwię...
- Swojej pokojówce? Daj spokój, Feliks. Był w końcu Gruzinem, na dodatek w podeszłym wieku. Jeśli chodzi o towarzysza Stalina, kobiety nadawały się tylko do trzech rzeczy. Do gotowania, sprzątanía i rodzenia dzieci. Miał... — Arseniew przerwał. — Nie...

- Ja wiem, że to jest chore — przyznał Suworin, podnosząc rękę. — Powtarzałem sobie przez całą drogę, że to szaleństwo. Ale on był przecież stuknięty. I był Gruzinem. Niech pan o tym pomyśli. Po co zadawałby sobie tyle trudu, żeby sprawdzić jedną dziewczynę? Miał jej całą dokumentację medyczną. Chciał, żeby sprawdzono, czy nie ma jakichś wrodzonych obciążení. Poza tym dlaczego trzymał jej pamiętnik w sejfie? Jest jeszcze coś...

— Jeszcze coś?

Arseniew nie walił już pięścią w przedni fotel. Kurczowo się go trzymał.

- Według Zinajdy, w dzienniku dziewczyny są wzmianki na temat Trofima Łysenki. Wiecie: „dziedziczenie cech nabytych” i podobne bzdury. Stalin mówił tej dziewczynie, że jego dzieci okazały się nieudane i że „dusza Rosji mieszka na północy”.

- Przestań, Feliks. To za dużo.
- I jest jeszcze Mamantow. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego podjął takie szalone ryzyko, mordując Rapawę, i to w taki sposób. Dlaczego to zrobił? Na to właśnie próbowałem zwrócić wam wczoraj uwagę- co takiego mógł napisać Stalin, co wywarłoby wpływ na Rosję po prawie pięćdziesięciu latach? Ale jeśli Mamantow wiedział... jeśli być może usłyszał jakieś plotki od weteranów z Łubianki... że Stalin mógł celowo zostawić swojego spadkobiercę...

- Spadkobiercę?
- To by wszystko wyjaśniało, nieprawdaż? W imię czegoś takiego mógł zaryzykować. Powiedzmy to sobie szczerze, Jurij, Mamantow jest dość szalony, żeby... no nie wiem... — próbował wymyślić coś skrajnie niedorzecznego — żeby wystawić syna Stalina do wyborów prezydenckich czy coś w tym guście. Ma przecież pół miliarda rubli...

- Zaczekaj chwilę — przerwał mu Arseniew. — Daj mi się skupić. — Spojrzał na stojące w rzędzie helikoptery. Suworin widział mięsień poruszający się niczym haczyk na ryby w jego masywnej szczęce. — Nie mamy pojęcia, gdzie

jest Mamantow?

- Może być wszędzie.
- W Archangielsku?
- To możliwe. Całkiem możliwe. Skoro Zinajda Rapawa

miała dość oleju w głowie, żeby odnaleźć tego Anglika na lotnisku, Mamantow też mógł tam być. Mógł śledzić ich przez dwadzieścia cztery godziny. Oni nie są profesjonalistami, on jest. Martwię się, Jurij. Nawet się nie zorientują, kiedy uderzy.

Arseniew jęknął.

294

€ — Masz przy sobie telefon? •

H < • |%lkÓ

- Jasne.

' if S\$&

• Suworin sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę. » v1(,s

» — Bezpieczna?

'« ,v

- Podobno.

v f

• Zadzwoń do mojego gabinetu, dobrze? *' •

Suworin zaczął wystukiwać numer.

?{

- Gdzie jest ta Rapawa? — zapytał Arseniew.

• Kazałem Buninowi odwiedzić ją do domu. Postawiłem tam strażnika, dla jej własnego bezpieczeństwa. Nie jest w zbyt dobrej formie.

- Chyba to widziałeś?

Arseniew wyciągnął z kieszeni fotela najnowszy egzemplarz „Aurory”. UŻYCIE PRZEMOCY JEST NIEUNIKNIJONE, głosił tytuł.

- Słyszałem o tym w wiadomościach.
- Widzisz, jak to się wszystko ładnie zbiega?
- Proszę — powiedział Suworin, podając mu telefon.
- Sergo? To ja. Słuchaj, możesz mnie połączyć z urzędem

prezydenta?... No właśnie. Wybierz drugi numer. — Arseniew zakrył dłonią mikrofon. — Lepiej już leć — powiedział do majora. — Nie. Zaczekaj. Powiedz mi, czego potrzebujesz.

Suworin rozłożył ręce. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

• Dobrze by było, gdyby milicja albo ktoś w Archangielsku sprawdził wszystkich Safanowów i załatwił to jeszcze przed moim przylotem. To na początek. Chcę, żeby dwaj ludzie spotkali mnie na lotnisku. Potrzebny mi będzie transport. I jakieś miejsce, gdzie mógłbym się zatrzymać.

• Załatwione. Uważaj na siebie, Feliks. Mam nadzieję... — Ale Suworin nigdy nie dowiedział się, jaką ma nadzieję jego szef, ponieważ Arseniew podniósł nagle w ostrzegawczym geście palec. — Tak... tak, jestem gotów. — Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się, gdyby mógł wstać i zsalutować, na pewno by to zrobił. — Dzień dobry, Borysie Nikołajewiczu.

Suworin wyslizgnął się cicho z samochodu.

295

Cystrnę odłączono już od małego samolotu i zwijano wąż. W kałużach pod skrzydłami lśniła tęczą oleju. Poobijany, zżarty przez rdzę tupolew wyglądał z bliska starzej, niż wydawało się Suworinowi. Miał co najmniej czterdzieści lat — więcej od niego. Matko Boska, co za złom!

Dwaj mężczyźni z obsługi naziemnej przyglądali mu się bez zbytej ciekawości.

— Gdzie jest pilot?

Jeden z nich wskazał głową samolot. Suworin wspiał się po schodkach do kabiny. W środku było zimno i unosił się zapach starego, nie używanego od lat autobusu. Drzwi do kokpitu były otwarte. Widział pilota, bawiącego się przyciskami. Pochylił głowę, dał kilka kroków do przodu i poklepał go po ramieniu. Lotnik miał nalaną twarz i matowe przekrwione oczy alkoholika. Pięknie, pomyślał Suworin. Uścisnęli sobie ręce.

— Jaka jest pogoda w Archangielsku?

Pilot roześmiał się. Suworin poczuł zapach wódki: czuć ją było nie tylko w jego oddechu, ale w pocie.

- Jeśli pan się nie boi, ja też zaryzykuję.
- Nie powinniśmy mieć nawigatora albo drugiego pilota?
- Nie było nikogo pod ręką.

Suworin cofnął się do kabiny i usiadł w fotelu. Pierwszy silnik zakaszłał, wypuszczając chmurę czarnego dymu, a potem zawarczał drugi. Zauważył, że limuzyna Arseniewa już odjechała. Tupolew skręcił i potoczył się po pustej płycie lotniska w stronę pasa startowego. Tam ponownie skręcili, przenikliwe wycie silników na chwilę osłabło, a później zaczęło coraz bardziej potężnieć. Deszcz siekł beton niczym brudne pranie. Na skraju lotniska widział wąskie pnie brzoź, rosnących tuż obok siebie niczym biała palisada. Zamknął oczy — głupotą było bać się latania, ale nie mógł na to nic poradzić; zawsze się bał — i chwilę później ruszyli, kołyszając się i podskakując na pasie startowym. Pęd wgniatał go w fotel, a potem maszyną szarpnęło i znaleźli się w powietrzu.

Otworzył oczy. Samolot minął skraj lotniska, wszedł w przechyl i skręcił w stronę miasta. Różne rzeczy pojawiały

296

się w polu jego widzenia, szybko zmniejszały się i oddalały: żółte światła reflektorów odbijające się od mokrego asfaltu, płaskie szare dachy, ciemnozielone kępy drzew. Tyle drzew! Zawsze go to dziwiło. Pomyślał o wszystkich ludziach, których znał tam na dole: o Serafimie w mieszkaniu, na które nie było ich całkiem stać, o chłopcach w szkole, o Arseniewie trzęsącym się po rozmowie z prezydentem, a także o Zinajdzie Rapawie, którą zostawił milczącą w kostnicy.

Dotarli do dolnej granicy wiszących nisko chmur. Przez kilka sekund widział coś jeszcze przez strzępy gęstniejącej bieli, a potem Moskwa zniknęła mu z oczu.

Rozdział 25

R. J. O'Brian stał na rogu ulicy i alejki prowadzącej do domu Wawary Safanowej. (iłowy pochylił nad mapą, między nogami trzymał metalowe pudło.

— Ile twoim zdaniem zajmie nam dojazd? Dwie godziny?

Kelso spojrział przez ramię na drewniany domek. Staruszka stała w otwartych drzwiach, opierając się na lasce i bacznie ich obserwując. Podniósł ryki, żeby pomachać jej na pożegnanie, i drzwi powoli zamknęły się.

- Dojazd dokąd?
- Do osady tego Czyżykowa — odparł O'Brian. — Ile to nam może zająć?
- Przy tej pogodzie? — Kelso spojrzął na zachmurzone niebo. — Chcesz próbować ją teraz znaleźć?
- Jest tylko jedna droga. Sam zobacz. Powiedziała, że to osada, prawda? Jeśli to osada, musi leżeć przy drodze. — O'Brian startł płatki śniegu z mapy i podał ją Anglikowi. — Moim zdaniem zajmie to nam jakieś dwie godziny.
- To nie jest droga — uściślił Kelso. — To kropkowana linia, czyli polny trakt. — Linia biegła na wschód przez las, równoległe do Dwiny, przez mniej więcej osiemdziesiąt kilometrów, a potem skręcała na północ i po mniej więcej trzystu kilometrach kończyła się pośrodku tajgi. — Rozzejrzyj się dookoła, człowieku. Nie uprzątnęli nawet śniegu

298

z głównych ulic. Jak twoim zdaniem będzie to wyglądać za miastem?

Rzucił reporterowi mapę i zaczął iść w stronę toyoty. > O'Brian ruszył za nim.

- Mamy napęd na cztery koła, Fluke. Mamy łańcuchy.
- A jeśli się rozkraczymy?
- Mamy jedzenie. Mamy dość paliwa, żeby zapalić ognisko i spalić cały ten cholerny las. Możemy zawsze pić roztopiony śnieg. Mamy satelitarny telefon. — Reporter poklepał Anglika po ramieniu. — Wiesz, co ci powiem? Jeśli obleci cię strach, możesz zadzwonić do swojej mamusi. Co ty na to?

- Moja mamusia nie żyje.
- No to do Zinajdy. Możesz zadzwonić do Zinajdy.
- Powiedz mi, czy ją przeleciałeś, O'Brian? Pytam z ciekawości.

- A co to ma do rzeczy?

— Chcę po prostu wiedzieć, dlaczego ona ci nie ufa. Czy ma rację. Czy to kwestia seksu, czy sprawa osobista?

— Ho, ho. Więc o to ci chodzi. — O'Brian się uśmiechnął. — Daj spokój, Fluke. Znasz zasady. Dżentelmen nigdy nie mówi o tych sprawach.

Kelso opatulił się kurtką i przyspieszył kroku.

- Nie chodzi o to, że się boję.
- Tak?

Widzieli już toyotę. Kelso odwrócił się do Amerykanina.

— W porządku, przyznaję, że się boję. A wiesz, co przeraża mnie najbardziej? Fakt, że ty w ogóle się nie boisz. To naprawdę mnie przeraża.

- Brednie. Trochę śniegu...
- Zapomnij o śniegu. Nie martwię się o śnieg. — Kelso omiół spojrzeniem walące się domy. Cały świat składał się z trzech kolorów: bieli, szarości i brązu. I był niemy niczym przedwojenny film. — Po prostu tego nie ogarniasz, prawda? — zapytał. — Nic nie kapujesz. Nie znasz historii, oto twój problem. Na przykład to nazwisko „Czyżyków”. Czy coś ci mówi?

- Nic. Zwykłe nazwisko.

299

•si— Widzisz. Ale to nie jest zwykłe nazwisko. „Czyżyków” był jednym z pseudonimów Stalina przed rewolucją. W tysiąc dziewięćset jedenastym roku wydano mu paszport na na-

zwisko P. A. Czyżykowa.

(Jest pan jakiś nieswój, doki orze Kelso? Czuje pan nawet zza grobu moc towarzysza Stalina? Tak. Czuł ją- Miał wrażenie, że z zaspą wyłania się ręk; i i dotyka jego ramienia).

O'Brian milczał przez kilka sekund, a potem sięgnął niecierpliwie po swoje metalowe pudło.

— Jeśli chcesz, możesz i u siać i obcować z historią. Ja mam zamiar pojechać i ją odkryć. — Przechodząc na drugą stronę ulicy, obejrzał się. — Idziesz, czy nie? Pociąg do Moskwy odchodzi dziesięć po ósmej. Możesz wrócić nim albo pojechać ze mną. Wybieraj.

Kelso wahał się. Ponownie spojrzął na zachmurzone niebo. To nie przypominało opadów śniegu, jakie znał z Anglii albo Stanów. Miał wrażenie, jakby coś wielkiego pękło tam na górze i zasypywało ich drobnymi płatkami.

Wybieraj? Jaki wybór ma człowiek bez wizy, bez pieniędzy, bez pracy i napisanej książki? Człowiek, który zabrnął tak daleko? I jaki to konkretnie ma być wybór?

Powoli, niechętnie zaczął iść w stronę samochodu.

Wyjeżdżając z miasta trzeciorzędą drogą na północ, **nie** musieli przynajmniej negocjować z milicjantami GAI.

Dochodziła chyba pierwsza po południu.

Na biegnących obok drogi torach kolejowych stały stare towarowe wagony, i z początku nie było tak źle. W odpowiednim towarzystwie mogłoby być nawet romantycznie.

Minęli wesoło wymalowaną furę zaprzęzoną w kucyka, który pochyłał łeb przed wiatrem, i wkrótce pojawiły się kolejne drewniane domki, również jaskrawo pomalowane — na niebiesko, zielono i czerwono — zbudowane na moczarach i połączone ze stałym łądem drewnianymi pomostami. Śnieg przysypał wszystko i nie sposób było powiedzieć, gdzie kończy się pewny grunt, a zaczynają bagna. Tuż obok siebie stały samochody, łodzie, szopy, kurniki i spętane kozy.

300

Nawet duży zakład przemysłu drzewnego na południowym cyplu po drugiej stronie szerokiej Dwiny miał w sobie jakieś epickie piękno: dżwigi i dymiące kominy wznosiły się na tle betonowego nieba.

Potem jednak domy zniknęły nagle i zniknęła im z oczu rzeka. Jednocześnie skończyła się twarda nawierzchnia i samochód zaczął podskakiwać na zrytym koleinami trakcie. Zewsząd otoczyły ich sosny i brzozy. Po niespełna kwadransie mogli się znajdować równie dobrze tysiąc, jak dziesięć kilometrów od Archangielska. Droga biegła przez przysypaną śniegiem tajgę. Czasami drzewa były wysokie i ładne, lecz chwilę później las przerzedzał się i wjeżdżali między gołe pniaki, poczerniałe i martwe, niczym po ciężkim artyleryjskim ostrzale. Albo — i to było jeszcze bardziej niepokojące — mijali nagle niewielkie „plantacje” wysokich anten radiowych.

Stacje nasłuchowe, oznajmił O'Brian. Podśluchują stąd północne bazy NATO.

Zaczął śpiewać *Walking in a Winter Wonderland*.

Kelso wytrzymał dwie zwrotki.

• Naprawdę musisz? — zapytał.

»;v

O'Brian umilkł.

• Ponury sukinsyn — mruknął pod nosem.

Śnieg nie przestawał sypać. Co jakiś czas dobiegające z oddali strzały — w lesie polowali widać myśliwi — płoszyły ptaki, które przelatywały nad drogą, trzepocząc skrzydłami i skrzecząc.

Minęli kilka małych osad, każdą mniejszą i bardziej zaniedbaną od poprzedniej — w jednej z nich stał koszarowy budynek z graffiti na murach i anteną satelitarną na dachu: rzucony w środek głuszy kawałek Archangielska. Nie zobaczyli nikogo prócz dwojga gapiących się na nich dzieci i ubranej na czarno staruszki, która stała na poboczu i machała ręką, żeby się zatrzymali. Kiedy O'Brian nie zwolnił, potrząsnęła pięścią i przekleła ich.

— Jędza. — Reporter zerknął w tylne lusterko. — Co ją ugryzło? A swoją drogą, gdzie są wszyscy mężczyźni? Pijani? — zapytał żartem.

301

- Prawdopodobnie.
- Nie mów? Wszyscy?
- Moim zdaniem większość. Upijają się bimbrem. Co innego mają do roboty?

- Jezu, co za kraj.

Po chwili O'Brian zaczął znowu podśpiewywać, ale półgłosem i mniej pewnie.

— Idziemy przez śnieżną krainę czarów...

Minęła jedna godzina, polem druga.

Kilka razy odsłonił się widok na rzekę — jak określił to O'Brian, półtora widoku — na pierwszym planie moczary, potem toczące się powoli masy wody, a za nimi, w oddali, ciemna ściana lasu, wyłaniająca się i znikająca za tumanami śniegu. Pierwotny krajobraz. Kelso nie zdziwiłby się, gdyby zza drzew wychylił się nagle dinozaur.

Na podstawie mapy trudno byto się zorientować, gdzie dokładnie są. Nie naniesiono na niej żadnych osad, żadnych szczegółów. Anglik zaproponował, żeby zatrzymali się w następnej wiosce i spróbowali ustalić swoje położenie.

— Jak sobie życzysz.

Następnej wioski już się jednak nie doczekali i Kelso zauważył, że śnieg, po którym jadą, jest dziewiczy; od wielu godzin nie przejechał tędy żaden pojazd. Wpadli po raz pierwszy w zaspę — dół skryty pod śniegiem — toyota obróciła się, tylne opony przez chwilę buksowały, a potem wgrzyły się w coś solidnego. Samochód przechylił się. O'Brian zakreślił kierownicą i wjechał z powrotem na trakt.

— Niezła zabawa! — zawołał ze śmiechem, ale Kelso widział, że on też zaczyna czuć się nieswojo. Amerykanin zwolnił, zapalił przednie światła i wiercąc się w fotelu, wbijał oczy w wirujące płatki śniegu.

- Bak jest prawie pusty. Zostało nam jeszcze jakieś piętnaście minut.
- A potem co?
- Potem albo wrócimy do Archangielska, albo pojedziemy dalej i spróbujemy znaleźć jakiś nocleg.

302

- Tak? Masz na myśli Holiday Inn?
- Fluke, Fluke...
- Posłuchaj, jeśli zostaniemy tu na noc, może się okazać,

że zostaniemy na całą zimę.

- Daj spokój, człowieku, muszą przecież wysłać pług.

No nie? W jakimś momencie?

- W jakimś momencie? — powtórzył Kelso i potrząsnął głową. I z pewnością doszłoby do kolejnej kłótni, gdyby po minięciu kolejnego zakrętu nie zobaczyli smugi dymu, która unosiła się nad zaśnieżonymi szczytami drzew. —•

O'Brian stanął na progu toyoty, oparł się o **dachipapa*** trzył przez lornetkę. Chyba jest tam jakaś osada, **oznajt&ił**. Pół kilometra od drogi, przy leśnym trakcie. >-; • /'.

Usiadł z powrotem za kierownicą. i

— Pojedziemy rzucić okiem.

Wiodący między drzewami trakt przypominał tunel. Miejsca ledwie starczało na jeden pojazd i O'Brian bardzo zwolnił. Gałęzie smagały przednią szybę i drapały karoserię. Warunki były coraz gorsze. Samochód przechylił się ostro najpierw w lewo, potem w prawo. Nagle skoczył w dół i Kelso poleciał na przednią szybę; uratowały go tylko zapięte pasy. Silnik zakaszłał i zgasł.

O'Brian zapalił go, wrzucił tylny bieg i ostrożnie nacisnął pedał gazu. Tylne koła kręciły się w sypkim śniegu. Dodał więcej gazu i silnik zawył niczym zwierzę uwiecznione w pułapce.

— Mógłbyś wysiąść, Fluke? Rozejrzyj się.

W głosie reportera słychać było pierwsze objawy paniki.

Kelso musiał pchnąć mocno drzwi, żeby je otworzyć.

Wyskoczył i natychmiast zapadł się po kolana. Śnieg sięgał po osie kół.

Walnął w tylne drzwi i pokazał O'Brianowi, żeby zgasił silnik.

W ciszy, która zapadła, słyszał osiadające na drzewach płatki śniegu. Miał mokre kolana. Pobrnał niezgrabnie na ugiętych nogach do drzwi kierowcy i musiał odgarnąć śnieg

303

dłońmi w rękawiczkach, nim udało mu się je otworzyć. Toyota przechylała się do przodu pod kątem co najmniej dwudziestu stopni. O'Brian wygramolił się na zewnątrz.

— W co wjechaliśmy? — zapytał i brnąc w śniegu, ruszył do przodu. — Jezu, ktoś wykopał tu chyba pułapkę na czołgi. Chodź, zobacz!

Rzeczywiście wyglądało to, jakby w poprzek drogi wykopano rów. Kilka kroków dalej śnieg był już twardszy.

— Może kładli lulać kabel albo coś w tym rodzaju? — mruknął Kelso.

Ale jaki mogli lu kłaść kabel? Oslonił oczy dłońmi i przyjrzał się stojącym w odległości mniej więcej trzystu metrów drewnianym chatkom. Sądząc po ich wyglądzie, nie były podłączone do prądu ani w ogóle do czegokolwiek. Zauważył, że nad drzewami przesiał się unosić dym.

- Ktoś zgasił ten ogień.

• Potrzebny nam będzie hol. — O'Brian kopnął ponuro w karoserię. — Kupa szmelcu.

Trzymając się samochodu, okrążył go, otworzył tylne drzwi i wyciągnął dwie pary butów: zielone kalosze i wojskowe buciory z wysokimi skórzanymi cholewami. Rzucił gumki Anglikowi.

— Włóż je — powiedział. — Idziemy pertraktować z tu-

bylcami.

Pięć minut później, zamknawszy na klucz samochód — każdy z lornetką zawieszoną na szyi i naciągniętym na głowę kapturem — ruszyli w stronę osady.

Nikt nie mieszkał tu co najmniej od kilku lat. Drewniane baraki były doszczętnie splądrowane. Ze śniegu wystawały różne rupiecie: zardzewiałe arkusze falistej blachy, potrząskane okienne ramy, nadgniłe deski, porwana rybacka sieć, butelki, blaszane puszki, dziurawa wiosłowa łódka, fragmenty maszyn, sparciałe worki i co najdziwniejsze, rząd kinowych foteli. Drewniana szklarnia z oknami z polietylenu zamiast szkła przechyliła się na bok.

Kelso zajrzał do jednego ze zniszczonych budynków. W pozbawionym dachu wnętrzu było zimno jak w psiarni. W nozdrza uderzył go odór zwierzęcych odchodów.

304

Kiedy wyszedł na zewnątrz, O'Brian*W2atótag*itanue<lftmi.

Kelso popatrzył na skraj polany.

— Co tam jest?

Obaj podnieśli do oczu lornetki i zobaczyli coś, co okazało się w połowie schowanymi za drzewami drewnianymi krzyżami — rosyjskimi krzyżami z trzema parami ramion: krótkimi na górze, dłuższymi w środku i skośnymi, opadającymi od lewej ku prawej, na dole.

- Cudownie — stwierdził Kelso, próbując się roześmiać. — Cmentarz. Trafiliśmy w dziesiątkę.
- Obejrzyjmy go — powiedział O'Brian i ruszył energicznym krokiem w tamtą stronę.

Kelso podążył za nim z mniejszym entuzjazmem, starając się nie zostawać w tyle. Dwadzieścia lat whisky i papierosów zebrało się, żeby zaprotestować, w jego płucach i sercu. Brnąc w śniegu, spocił się z wysiłku. Kłuło go w boku.

Był to rzeczywiście cmentarz, osłonięty drzewami, i kiedy podeszli bliżej, zobaczyli sześć — a może osiem? — ustawionych parami grobów. Każda para ogrodzona była niskim płotkiem. Krzyże były zbite topornie, lecz solidnie, z nazwiskami na białych emaliowanych tabliczkach oraz, zgodnie z rosyjską tradycją, z małymi fotografiami za szkłem. Na pierwszym widniało nazwisko A. I. Sumbatow i daty: 22.01.1920 — 09.08.1981. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę w średnim wieku, w mundurze. Obok leżała P. J. Sumbatowa, 06.12.1926— 14.11.1992. Ona również była w mundurze: kobieta o kwadratowej szczęce, z wyraźnym przedziałkiem pośrodku głowy. Obok pochowani byli Jeżowowie. A obok Jeżowów — Gołubowie. Wszyscy w mundurach, mniej więcej w tym samym wieku. Pierwszy zmarł T. J. Gołub — w 1961 roku. Nie sposób było zobaczyć jego twarzy. Została wydrapana.

• To musi być to miejsce — stwierdził półgłosem O'Brian. — Na pewno. To tutaj. Kim oni wszyscy byli, Fluke? Wojskowymi?

• Nie. — Kelso potrząsnął powoli głową. — Moim zdaniem, mają na sobie mundury NKWD. I popatrz tutaj...

Pokazał reporterowi ostatnią parę grobów, które stały

nieco na uboczu, w najdalszym miejscu polany. Pochowani w nich żyli najdłużej. B. D. Czyżyków, sądząc z insygniów major, 19.12.1919 — 09.03.1996. A obok niego M. G. Czy-

żykowa, 16.04.1924— 16.03.1996. Żona przeżyła męża za-
ledwie o tydzień. Jej twarz była również wydrapana.

Stali przez jakiś czas niczym żałobnicy: w milczeniu, ze
zwieszonymi głowami.

- Po ich śmierci nikł już lu nie został — mruknął
O'Brian.

- A może została jedna osoba?
- Nie sędzę. To niemożliwe. Osada jest już od dawna
nie zamieszkana. Cholera! zaklął nagle reporter, kopiąc
śnieg. — Uwierzysz w (o? /gubiliśmy go po tym wszystkim!

Drzewa rosły gęsto obok siebie. Widoczność ograniczona
była do kilkudziesięciu metrów.

- Zrobię lepiej zdjęcia, kiedy jeszcze jest jasno. Zaczekaj
tutaj, pójdę do samochodu.

- Świetny pomysł — mruknął Kelso. — Bardzo ci
dziękuję.

- Co, boisz się?

- A co myślałeś?

- Uuuu! — zawołał reporter.

Podniósł obie ręce i zatrzepotał palcami nad głową.

- Jeśli masz zamiar się wygłupiać, O'Brian, zabiję cię,
uprzedzam.

- Ho, ho, ho — roześmiał się O'Brian, odchodząc w stro-
nę traktu. — Ho, ho, ho.

Po chwili zniknął za drzewami. Kelso słyszał jeszcze przez
kilkanaście sekund głupi śmiech, a potem zapadła cisza,
w której słychać było tylko skrzypienie śniegu i jego własny
oddech.

Mój Boże, cóż to było za przedsięwzięcie, wystarczyło
spojrzeć na te daty: mówiły same za siebie. Kelso podszedł
z powrotem do pierwszego grobu, ściągnął rękawiczki, wyjął
notatnik, przykłęknął na jednym kolanie i zaczął przepisywać
dane z krzyży. Przed ponad czterdziestu laty skierowano tu
do lasu, do ochrony jednego małego chłopca, cały oddział
strażników i żaden się nie wyłamał, wszyscy wytrwali na

306

posterunku, z poczucia lojalności, nawyku bądź też strachu,
aż w końcu jeden po drugim powymierali. Niczym ci japoń-
scy żołnierze, którzy ukrywali się w dżungli, nie wiedząc, że
skończyła się wojna.

Zaczął się zastanawiać, jak blisko tej osady zdołał dotrzeć
wiosną 1953 roku Michaił Safanow, a potem świadomie
oddalił od siebie tę myśl. Nie powinno to zaprzętać jego
uwagi — jeszcze nie; nie teraz i nie tutaj.

Trudno było utrzymać ołówek między zgrabiałymi palca-
mi i trudno pisać, gdy śnieg przez cały czas zasypywał kartkę.
Mimo to notował dalej, aż dotarł do ostatniego grobu.

„B. D. Czyżyków — zapisał. — Toporna, brutalna twarz.
Śniada. Może był Gruzinem? Zmarł w wieku 77 lat...”.

Ciekawe, jak wyglądali towarzysze Gołub i C/.żykowa,
kto wydrapał ich podobizny i dlaczego to zrobił. Było coś
skrajnie złowrogiego w pustych obrysach twarzy. „Może
padli ofiarą czystki?”, zanotował.

Gdzie, do diabła, był O'Brian?

Bolały go plecy. Miał przemoczone kolana. Wstał i do
głowy przysła mu kolejna myśl. Starł śnieg z kartki i polizał
koniec ołówka.

„Wszystkie groby są dobrze utrzymane — napisał w no-
tesie. — Kopczyki wypielone. Czy nie powinny być zaroś-

nięte, skoro nikt tu nie mieszka?"

— O'Brian? — zawołał. — R.J.?

Śnieg stłumił jego krzyk.

Schował notes i zaczął się szybko oddalać od cmentarza, nakładając po drodze rękawice. Wiatr świstał w porzuconych budynkach, unosząc wirujący śnieg niczym róg kurtyny. Idąc tropem O'Briana, dotarł aż do początku traktu. Wielkie ślady prowadziły prosto w stronę toyoty. Podniósł do oczu lornetkę i poprawił ostrość. W polu widzenia ukazał się przechylony samochód, tak odległy i nieruchomy, że aż nierealny. Nikogo przy nim nie było.

Dziwne.

Zatoczył powoli krąg, całe trzysta sześćdziesiąt stopni, lustrując lornetką teren. Las. Groby. Las. Trakt. Toyota.

I znowu las.

.. > • ; ; . > < . * .. > ; >

307

* Opuścił lornetkę i ruszył w stronę samochodu, idąc tropem O'Briana. Nikt poza nimi nie stąpił po tym śniegu, to było oczywiste: widział dwie pary śladów prowadzące w kierunku osady i jeden z powrotem. Wydłużył krok i stawiając stopy tam, gdzie O'Brian, podążał dokładnie jego śladem: tutaj, tutaj... i... tutaj...

Stanąwszy przy toyocie, rozpostarł ramiona, żeby się nie przewrócić. Amerykanin na pewno tu doszedł, wyjął z bagażnika metalowe pudło / kamerą — widział, że go tam nie ma — a potem najwyraźniej coś zwróciło jego uwagę, ponieważ zamiast /. powrotem w stronę osady jego ślady skręcały prosto w las.

Zawołał go cicho po imieniu. A po chwili, w ataku paniki, przyłożył obie dłonie do ust i ryknął, jak mógł, najgłośniej.

Ponownie ten sam dziwny akustyczny efekt, jakby drzewa połykały jego słowa.

Przecież zawsze nienawidził lasów, prawda? Nienawidził nawet zagajników wokół Oksfordu, z ich poetycznymi drobinami kurzu, tańczącymi w promieniach słońca, z ich mszystym runem, zwierzakami wyskakującymi na człowieka bądź też rzucającymi się do ucieczki, ze smagającymi po twarzy gałęziami... Przykro mu, nic nie poradzi... O tak, dajcie mu otwartą przestrzeń! Dajcie mu wzgórze. Skraj klifu! Albo roziskrzzone morze!

— R.J.? — Co za cholernie głupie imię, jak można wołać kogoś w ten sposób? Nie bacząc na to, krzyczał coraz głośniej. — R.J.!

Nie widział tu żadnych śladów. Teren był nierówny. Czuł dobiegający z bagien zgniły odór rozkładu, silny niczym oddech psa. Poza tym było ciemno. Musiał uważać, żeby mieć przez cały czas drogę za plecami. Jeśli odejdzie za daleko, straci orientację i nie pozostanie mu nic innego, jak położyć się na mrozie i umrzeć.

Nagle po jego lewej stronie rozległ się głośny huk, a po nim cała seria cichszych. Z początku myślał, że ktoś biegnie przez las, ale szybko zdał sobie sprawę, że to tylko śnieg spadający z wysokich gałęzi na ziemię.

Złożył w trąbkę dłonie.

308

' — R.J.!

Nagle usłyszał ludzki głos. A może jęk? Szloch? 'rt'
Próbował ustalić, skąd dobiega. Po chwili znowu coś

usłyszał. Blżej i chyba za sobą. Przepięsnał się między ros-
nącymi tuż obok siebie drzewami i wyszedł na małą polankę.
Zobaczył leżące na ziemi pudło z kamerą, a trochę dalej
samego reportera, który odwrócony do góry nogami kołysał
się w powietrzu, wisząc na zaciśniętym wokół lewej kostki
naoliwionym sznurze i szorując koniuszkami palców po
śniegu.

Rozdział 26

Sznur przywiązany był do wysokiej młodej brzozy, która
zgięła się prawie w pół pod ciężarem O'Briana. Reporter
jęczał. Był półprzytomny.

Kelso ukląkł przy jego głowie. Widząc go, O'Brian zaczął
się słabo szarpać. Najwyraźniej nie był w stanie się odezwać.

— Wszystko będzie dobrze — uspokoił go Kelso. — Nie
przejmuj się. Uwolnię cię.

Uwolnię go. Kelso zdjął rękawice. Uwolnię go. Oczy-
wiście. Ale czym? Miał nożyk do temperowania ołówków,
lecz zostawił go w samochodzie. Poklepał się po kieszeniach
i znalazł zapalniczkę. Zapalił ją i pokazał płomyk O'Bria-
nowi.

— Ściągnę cię na dół. Zobacz. Nic ci nie będzie.

Wyprostował się i złapał reportera za obutą kostkę. Cienki
sznur wbił się głęboko w skórzaną cholewkę. Kelso musiał
z całej siły pociągnąć go w dół, żeby przystawić płomień do
napiętego sznura tuż nad podeszwą. Ramiona reportera
oparły się o śnieg.

— Działemgo — wybełkotał. — Działemgo.

Sznur był mokry. Wieki trwało, zanim Kelso dostrzegł
pierwsze efekty. Musiał odsunąć zapalniczkę i potrząsnąć
nią. Płomyk zrobił się niebieski i zgasł, nim zatliły się pierw-
sze nitki. Ale potem szybko zaczęły pękać. W końcu zerwała

310

się ostatnia i brzoza odchyliła się do tyłu. Kelso próbował
podeprzeć nogi O'Briana wolną ręką, lecz nie udało mu się
i jego ciało runęło ciężko na śnieg.

Reporter próbował usiąść. Podparł się łokciami, zaraz
jednak z powrotem się wywrócił. Wciąż coś mamrotał. Kelso
ukląkł przy nim.

• Już dobrze. Nic ci nie będzie. Zabierzemy cię stąd.

• Działemgo.

Działem go?

Widziałem go.

• Kogo widziałeś? Kogo zobaczyłeś?

• O Jezus. O kurwa.

• Możesz zginać nogę?

Kelso popętał na kolanach po śniegu i zaczął szarpać
paznokciami węzeł zaciśnięty z boku buta O'Briana.

— Fluke... — Reporter wyciągnął dłoń z rozczapierzo-
nymi desperacko palcami. — Pomóż mi, dobrze?

Kelso złapał go za rękę i pomógł usiąść. A potem objął go
w pasie i wspólnie dźwignęli się na nogi. O'Brian stanął,

podtrzymywany przez towarzysza, utrzymując ciężar ciała na prawej nodze.

- Możesz chodzić?
- Nie wiem. Chyba tak. — Pokuśtykał kilka kroków. —

Daj mi chwilę.

Stał w miejscu, odwrócony plecami do Anglika, wpatrując się w ścianę lasu.

— Kogo widziałeś? — zapytał Kelso, kiedy jego oddech trochę się uspokoił.

Widziałem go, mamrotał, odwracając się O'Brian. Jego oczy były teraz szeroko otwarte z przerażenia i przeszukiwał nimi las za głową Anglika. Widziałem tego faceta. Widziałem, jak spogląda zza tych pierdolonych drzew koło samochodu. Jezu. O mało nie wyskoczyłem ze skóry ze strachu.

— O czym ty mówisz? Jakiego faceta?

Zrobiłem krok w jego stronę — z podniesionymi rękoma, zostańmy przyjaciółmi, blada twarz ma pokojowe zamia-

311

ry — ale on zniknął. Dosłownie rozplynął się w powietrzu. Potem już ani razu go wyraźnie nie zobaczyłem. Ale słyszałem go i raz mignął mi przed oczyma. Biegł przez las na prawo ode mnie: sunąca tuż przy ziemi wycięta z dykty figurka *quarterbacka*. Sunąca bardzo szybko. Tak szybko, że sam byś w to nie uwierzył. Człowieku, miałem wrażenie, że to mała. I zanim się zorientowałem, świat obrócił się do góry nogami.

— On mnie zwabił, l'lukc, rozumiesz? Zwabił mnie do tej kurewskiej pułapki. Prawdopodobnie skrył się gdzieś w pobliżu i obserwuje nas.

O'Brian odzyskiwał siły; przywracał mu je w pierwszym rzędzie strach.

Pokuśtykał kilka kroków. Spróbował oprzeć ciężar ciała na lewej nodze i skrzywił się. Ale mógł nią poruszać, to było coś. Na pewno nie została złamana.

— Idziemy — oznajmił. — Spierdałamy stąd.

Pochylił się niezgrabnie i zamknął zatraski na pojemniku z kamerą.

Historykowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Muszą jednak zachować ostrożność, stwierdził. Muszą się zastanowić. Wpadli już w dwie jego pułapki — jedną na drodze i drugą tutaj — i nie wiadomo, ile jeszcze ich zastawił. W tym śniegu cholernie trudno było coś zauważyć.

— Może jeśli spróbujemy iść po moich śladach...

Lecz jego ślady były już prawie całkowicie zasypane.

— Kim on jest, Fluke? — szepnął O'Brian, kiedy znaleźli się ponownie pod osłoną drzew. — Co to za człowiek? Czego się tak cholernie boi?

Jest nieodrodnym synem swego ojca, pomyślał Kelso, oto kim jest. Czterdziestopięcioletnim paranoikiem i psychopatą, jeśli coś takiego jest w ogóle możliwe.

— O rany — jęknął reporter. — Co to było?

Kelso zatrzymał się.

To na pewno nie była kolejna lawina spadającego z górnych gałęzi śniegu. Odgłos trwał zbyt długo. Monotonne skrzypienie, gdzieś prosto przed nimi.

— To on — stwierdził O'Brian. — Znowu gdzieś zasuwa.

Chce nas wyprzedzić. — Hałas iim ^l tt&glea zaĆMfli'ni* słuchiwać. — Co on robi?

— Chyba nas obserwuje.

Kelso ponownie natężył wzrok, ale nic nie zobaczył. Gęste zarośla, mrok rozjaśniany od czasu do czasu kaskadami śniegu — ten las nie przypominał żadnego miejsca, które w życiu widział. Mimo zimna naprawdę się teraz poccił. Przechodziły go ciarki.

Wtedy właśnie rozległo się wycie — ogłuszające nieludzkie wycie. I dopiero po kilku sekundach Kelso zorientował się, że to alarm samochodowy.

Następnie zabrzmiały strzały z karabinu, dwa szybkie i chwilę później trzeci.

A potem zapadła cisza.

Kelso nie miał pojęcia, jak długo tam stali. Pamiętał tylko porażający strach: paraliż myśli i czynu, wynikający z uświadomienia sobie, że nie mogą nic zrobić. On — kimkolwiek był — wiedział, gdzie są. Podziurawił kulami ich samochód. Pozostawiał pułapki w lesie. Mógł ich załatwić, kiedy tylko chciał. Albo mógł ich tam zostawić. Nie istniała nadzieja na jakikolwiek ratunek z zewnątrz. Był absolutnym panem ich losu. Niewidocznym. Wszystkowidzącym. Wszechmocnym. Szalonym.

Po minucie albo dwóch odważyli się odbyć szeptem krótką konferencję. Telefon, mruknął O'Brian, co poczną, jeśli facet zniszczył satelitarny telefon? Stanowił ich jedyną szansę i leżał w bagażniku toyoty.

Może on nie ma pojęcia, jak wygląda satelitarny telefon, odparł Kelso. Jeśli zaczekają tu do zmroku, a potem pójdą i wyjmą go z bagażnika...

O'Brian złapał go nagle mocno za łokieć.

Między drzewami zamajaczyła ludzka twarz.

Kelso nie zobaczył jej z początku, w takim pozostawała bezruchu — w tak nienaturalnym, doskonałym bezruchu, że trwało kilka sekund, nim jego umysł zarejestrował ją, odseparował jej części składowe od lasu, połączył je i rozpo-

znał ludzkie cechy. Ciemne beznamiętne oczy, które ani razu nie mrugnęły. Czarne łukowate brwi. Opadające na ogorzałe czoło zmierzwiłone czarne włosy.

Twarz otaczał kaptur uszyty z jakichś brązowych zwierzęcych skórek.

Zjawa zakaszlała i odchrząknęła.

— Towa-rzysze — powiedziała. Miała bełkotliwy, ochrypły głos, jakby puszczone ze zbył wolno przesuwającej się taśmy.

Kelso poczuł, jak włosy stają mii na głowie.

— O Jezu — jęknął (O)Biiian. — Jezu, Jezusiczku...

Rozległo się kolejne kaszlnięcie i na ziemię poleciała pecyna żółtej flegmy.

— Jestem człowiekiem nieokrzesanym, towa-rzysze. Nie mogę zaprzeczyć. I od jakiegoś czasu pozbawionym ludzkiego towarzystwa. Ale tera/ /jawiliście się tutaj. No więc jak? Chcecie, żebym was zastrzelił? Tak czy nie?

Wyszedł zza drzew — nagle i niespodziewanie, nie poru-

szając ani jednej gałązki. Miał na sobie stary wojskowy płaszcz — poplamiony, ucięty nad kolanami i związany w pasie sznurem — oraz kawaleryjskie buty, w które wcisnął workowate nogawki spodni. W jednej z wielkich gołych dłoni trzymał starą strzelbę. W drugiej teczkę z zeszytem Anny Safanowej i innymi dokumentami.

Kelso poczuł, jak O'Brian zaciska mocniej palce na jego łokciu.

— To jest zeszyt, o którym była mowa? Tak? I potwierdzają to te papiery? — Mężczyzna pochylił się, przekrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę i intensywnie im się przyglądając. — Więc to wy? Naprawdę wy?

Podszedł bliżej, przesywając ich ciemnymi oczyma i Kelso poczuł odór jego ciała, kwaśny od nieświeżego potu.

— A może jesteście pasożytami?

Zrobił szybko krok do tyłu i gwałtownie podniósł strzelbę, mierząc do nich z biodra i zaciskając palec na cynglu.

- To my — odparł pospiesznie Kelso.
- Mężczyzna uniósł z niedowierzaniem brew.
- Imperialiści?

314

• Jestem towarzyszem z Anglii. A ten towarzysz jest z Ameryki.

• No, no! Anglia i Ameryka! A Engels był Żydem. — Mężczyzna roześmiał się, odsłaniając poczerwiałe pieńki zębów i splunął. — Ale nie poprosiliście mnie o żaden dowód. Dlaczego?

• Ufamy wam.

• Ufamy wam. — Ponownie się roześmiał. — Imperialiści! Zawsze te same słodkie słówka. Powtarzają słodkie słówka, a potem zabijają cię za kopiejkę. Za kopiejkę! Gdybyście nimi byli, zażądalibyście dowodu.

• Żądamy dowodu.

— Mogę go pokazać — odparł buńczucznie.

Zerknął najpierw na jednego, następnie na drugiego, po czym opuścił strzelbę i ruszył szybkim krokiem z powrotem w stronę drzew.

- Co teraz? — szepnął O'Brian.
- Bóg jeden wie.

— Czy możemy mu odebrać tę strzelbę? Nas jest dwóch, on jeden.

Kelso posłał mu zdumione spojrzenie.

• Nawet o tym nie myśl.

• Szybki z niego facet, nie? No i kompletnie stuknięty. — O'Brian zachichotał nerwowo. — Spójrz na niego. Co on tam robi?

Ale mężczyzna nic nie robił, stał tylko obojętnie przy skraju lasu, czekając na nich.

Nie mieli innego wyjścia: musieli iść za nim, co nie było łatwe, biorąc pod uwagę szybkość, z jaką się poruszał, trudny teren oraz kontuzjowaną nogę O'Briana. Kelso niósł kamerę. Raz czy dwa wydawało im się, że go zgubili, ale nie na długo. Musiał chyba przystawać, żeby mogli go dogonić.

Po kilku minutach dotarli z powrotem do traktu, ale w innym miejscu, mniej więcej w połowie drogi między toyotą i pustą osadą.

Mężczyzna nie zatrzymał się. Przeciął zaśnieżoną drogę i z powrotem zagłębił się w las.

Niedobrze, pomyślał Kelso, gdy weszli ponownie w smugę cienia. Nie zwalniając kroku, sięgnął ukradkiem do kieszeni, wydarł kartkę ze swojego żółtego notesu, zmiął ją w kulkę i upuścił na ziemię. Robił to mniej więcej co pięćdziesiąt metrów, jak w starej szkolnej zabawie w charty i zające — *tyle że teraz był i chitrietu, i zającem.*

— Dobry pomysł — wysapał idący za nim O'Brian.

Po jakimś czasie wyszli na niewielką polanę, pośrodku której stała drewniana chała. Mężczyzna zbudował ją dość solidnie i, sądząc / wyglądu, nie tak dawno, z materiałów, które zabrał ze starej osady. Kelso nigdy się nie dowiedział, po co to zrobił. Może poprzednie miejsce było zbyt często nawiedzane przez duchy. A może szukał jeszcze większego odosobnienia, miejsca, które byłoby mu łatwiej bronić. Kelso miał wrażenie, że słyszy dobiegający z niedaleka szmer płynącej wody. Domyślił się, że gdzieś w pobliżu jest rzeka.

Zbudowana z szarych desek chata miała małe okienko i osadzone mniej więcej metr nad ziemią, dopasowane do wzrostu gospodarza drzwi, do których prowadziły cztery stopnie. Mężczyzna podniósł z ziemi gałąź i wbił ją głęboko w śnieg u stóp schodów. Coś śmignęło i zatrzasnęło się w tumanie białego puchu. Rosjanin wyciągnął gałąź ze śniegu. Zardzewiałe szczęki potrzasku na grubego zwierza wbiły się głęboko w jej koniec.

Mężczyzna odłożył ostrożnie potrzask na bok, po czym wspiął się po schodach, otworzył kłódkę i wszedł do środka. Po krótkiej wymianie spojrzeń z O'Brianem, Anglik ruszył za nim i pochyłane głowę, wszedł do małej izby. W zimnym chłodnym wnętrzu unosił się niezdrowy zapach — zapach samotności i szaleństwa, ostry i kwaśny niczym odór nie mytego ciała. Zasłonił dłonią usta. Usłyszał, jak stojący za nim O'Brian wsti-zymuje oddech.

Ich gospodarz zapalił lampę naftową i w mroku zaśniły pobielałe czaszki niedźwiedzia i wilka. Położył teczkę na stole, obok talerza z nie dojedzoną brązową ościstą rybą,

316

postawił garnek z wodą na półce nad kuchnią i pochylił się, żeby rozniecić z powrotem ogień. Ani na chwilę nie wypuszczał z ręki strzelby.

Kelso mógł wyobrazić go sobie przed godziną, jak słyszy w oddali warkot jadącego traktem samochodu, gasi ogień, łapie strzelbę i nie kończąc posiłku, wybiega do lasu, w którym czekają już zastawione pułapki...

W izbie nie było łóżka, tylko cienki dziurawy materac, zrolowany i związany sznurkiem. Obok stało stare sowieckie tranzystorowe radio wielkości pokaźnej skrzynki i nakręcany gramofon ze zmatowiałą miedzianą tubą.

Rosjanin rozwiązał sznurki teczki i wyjął z niej zeszyt. Otworzył go tam, gdzie wklejona była fotografia młodych gimnastyczek na placu Czerwonym, i pokazał ją im. Widzicie? Pokiwali głowami. Mężczyzna odłożył zeszyt na stół, chwycił wiszący na szyi zatłuszczony rzemyk i po dłuższej chwili wydobyl spomiędzy cuchnących fałd ubrania kawałek folii. Podał go Anglikowi. Trzymana tuż przy ciele folia

była ciepła; w środku tkwiła ta sama fotografia, ale złożona w mały prostokąt, tak że widać było tylko twarz Anny Safanowej.

— To jednak wy — stwierdził. — A ja jestem tym, kogo szukacie. Teraz... dowód.

Ucałował własnoręcznie zrobiony medalion i wsunął go z powrotem pod ubranie. Następnie wyjął zza paska krótki nóż z szerokim ostrzem i skórzaną rękojeścią i szczerząc zęby, obrócił go w palcach, żeby pokazać, jaki jest ostry. Odsunął stopą leżący na podłodze dywan, podważył nożem prymitywną klapę, po czym ukląkł, sięgnął w dół i wyciągnął z piwniczki zniszczoną dużą walizkę.

Rozpakowywał swój relikwiarz niczym kapłan, kładąc każdy przedmiot na ołtarzu / surowych desek.

Pierwsze powędrowały na blat święte księgi: trzynaście tomów dzieł zebranych Stalina, *Soczinienij*, opublikowanych po wojnie. Rosjanin pokazywał kartę tytułową każdego tomu Anglikowi, a następnie O'Brianowi. Wszystkie były

317

tak samo podpisane — „Dla przyszłości, J. W. Stalin” — i wszystkie nosiły ślady wielokrotnej lektury. Grzbiety niektórych były popękane albo odstawały. Kartki spuchły od licznych zakładek i zagiętych rogów.

Potem pokazał im mundur. Każda jego część opakowana była w poźółkłą bibułkę. Uprasowana szara kurtka z czerwonymi epoletami. Czarne spodnie, również uprasowane. Płaszcz. Para czarnych skórzanych butów lśniących jak szlifowany antracyl. Marszałkowska czapka. Umieszczona w wysłanym szkarłatną skórą futerale złota gwiazda z wrytym sierpem i młotem — Kelso rozpoznał w niej Order Bohatera Związku Sowieckiego.

Następnie pamiątki. Fotografia (w drewnianej ramce, za szkłem) Stalina stojącego za biurkiem, opatrzona, podobnie jak książki, podpisem „Dla przyszłości, J. W. Stalin”. Fajka Dunhilla. Koperta z kosmykiem siwych szorstkich włosów. Na koniec komplet starych gramofonowych płyt, siedemdziesiątekósemek, grubych jak talerze, każda w oryginalnej papierowej kopercie: „Matko, pola zasypał kurz”, „Czekam na ciebie”, „Słowik z tajgi”, „J. W. Stalin: Przemówienie na forum Pierwszego Wszechzwiązkowego Zjazdu Kołchozowych Przewodników Pracy, 19 lutego 1933”, „J. W. Stalin: Referat na Osiemnastym Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, 10 marca 1939” .

Kelso nie mógł się poruszyć. Nie mógł się odezwać. To O'Brian wykonał pierwszy ruch. Spojrzał na Rosjanina, dotknął własnej piersi, wskazał dłonią stół i doczekał się w odpowiedzi aprobującego kiwnięcia głową. Ostrożnie wyciągnął rękę po fotografię. Kelso wiedział, co myśli: podobieństwo było istotnie uderzające. Oczywiście, nie do końca — żaden mężczyzna nie wygląda dokładnie tak samo jak jego ojciec. Młodszy mężczyzna miał brodę i długie włosy, ale było w nim coś, co wykluczało wszelkie wątpliwości. Coś w wykroju brwi, a może w budowie kości lub w wyrazie twarzy; rodzaj ociężałej zwinności, genetyczny ślad, którego nie zdołałby podrobić żaden aktor.

Rosjanin ponownie wyszczerzył zęby do O'Briana. Wziął do ręki nóż, wskazał fotografię, a potem swoją brodę. Tak?

Przez moment Kelso nie był pewien, o co mu chodzi, **lecz** O'Brian wiedział. O'Brian od razu się domyślił.

Tak, pokiwał energicznie głową. O tak. Tak, proszę.

Rosjanin błyskawicznie ściął pęk włosów i / dziecinną radością wyciągnął je, żeby się przyjrzeni. Powtórzył ten ruch po raz drugi i trzeci i było coś wstrząsającego w niedbałości, z jaką manipulował ostrym jak brzytwa nożem — z jednej strony, z drugiej strony i przy gardle — w braku obawy, że się skaleczy. Nie ma takiej rzeczy, pomyślał Kelso, wiedząc, że się nie myli, nie ma zła, przed którym cofnąłby się ten człowiek. Rosjanin sięgnął za kark, zebrał włosy w gęsty kucyk i ściął je, najkrócej jak mógł. A potem podszedł do żelaznego piecyka, otworzył jego drzwiczki i rzucił gęste kosmyki na palące się polana. Włosy zapłonęły i po sekundzie zmieniły się w popiół i dym.

• Niech to szlag — szepnął Kelso. Patrzył z niedowierzaniem, jak O'Brian otwiera pudło z kamerą. — O nie. Tylko nie to. Nie masz chyba zamiaru tego robić?

• Mam.
• Ale on jest szalony.
• Podobnie jak połowa ludzi, których pokazujemy w telewizji. — O'Brian wsunął nową kasetę do kieszeni kamery i uśmiechnął się. — Zaczynamy przedstawienie.

Za jego plecami Rosjanin pochylał się nad stojącą na piecyku miską gorącej wody. Rozebrał się już wcześniej do brudnej żółtej kamizelki i namydlił czymś twarz. Od odgłosu skrobiącego szczecinę noża Anglika rozbolała szczęka.

• Spójrz na niego — powiedział. — Prawdopodobnie nie wie nawet, co to jest telewizja.

• Mnie to nie przeszkadza.
• Świetnie.

Rosjanin odwrócił się do nich, wycierając twarz w koszulę. Policzki i podbródek upstrzone miał kropkami krwi, lecz zostawił sobie sumiasty wąs, czarny i lśniący niczym skrzydła kruka. Przemiana, jaka się w nim dokonała, była oszałamiająca. Stał przed nimi Stalin z lat dwudziestych: Stalin w swoim najlepszym okresie, emanujący zwierzęcą siłą. Jak brzmiała ta przepowiednia Lenina? *Ten Gruzin zaserwuje nam pikantny gulasz.*

Mężczyzna wsunął włosy pod marszałkowską czapkę i włożył kurtkę od munduru. Z przodu była może trochę za luźna, ale poza tym pasowała idealnie. Zapiął ją i przemierzył kilka razy pokój, unosząc rękę w skromnym i zarazem władczym pozdrowieniu.

Wziął do ręki tom dzieł zebranych, otworzył go na chybił trafił, zerknął do środka i oddał książkę Anglikowi.

A potem uśmiechnął się, podniósł palec, odkaszlnął w dłoń, odchrząknął i zaczął mówić. I był w tym dobry, Kelso od razu to poznał. Nie tylko świetnie opanował tekst. Nie tylko to. Musiał słuchać nagrań całymi godzinami, rok po roku, od dzieciństwa. Miał len sani znajomy, monotony, twardy sposób mówienia, brutalną, śpiewną inkantację. Pobrmiewały w niej zgryźliwy sarkazm, czarny humor, siła i nienawiść.

— Ta trockistowsko-bucharinowska banda szpiegów, morderców i szkodników — zaczął powoli — którzy kłaniali się w pas zagranicy i ogarnięci niewolniczym instynktem

płaszczona się przed każdym zagranicznym bonzą gotowi byli podjąć się dla niego szpiegowskiej roboty... — ton jego głosu podniósł się — ...ta garstka ludzi, którzy nie rozumieją, iż najskromniejszy sowiecki obywatel uwolniony z kajdan kapitału stoi nieskończenie wyżej od każdego wysoko postawionego zagranicznego bonzy, zginającego kark pod jarzmem kapitalistycznej niewoli... — teraz już krzyczał — ...komu potrzebna jest ta żalosna klika sprzedajnych niewolników, jaką przedstawiają wartość dla narodu i kogo uda im się zdemoralizować?

Rozejrział się groźnie, sprawdzając, czy ktokolwiek — Kelso z otwartą książką, O'Brian z kamerą przy oku, żelazny piecyk i czaszki — ośmieli mu się przeciwstawić.

Wyprostował się i wysunął do przodu podbródek.

— W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku Tuchaczewski, Jakir, Uborewicz i inni wrogowie ludu zostali skazani na śmierć przez rozstrzelanie. Następnie odbyły się wybory do Rady Najwyższej ZSRR. W wyborach tych dziewięćdziesiąt osiem i sześć dziesiątych procent wszystkich głosów oddano na władzę sowiecką! Na początku tysiąc

320

dziewięćset trzydziestego ósmego roku Rozengolc, Ryków i Bucharin skazani zostali na śmierć przez rozstrzelanie. Następnie odbyły się wybory do Rad Najwyższych republik związkowych. W wyborach tych dziewięćdziesiąt dziewięć i cztery dziesiąte procent wszystkich głosów oddano na władzę sowiecką! Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie tu są oznaki demoralizacji? — Położył pięść na sercu. — Taki był niesławny koniec przeciwników linii naszej Partii, którzy skończyli jako wrogowie ludu!

— Burzliwe oklaski — przeczytał Kelso. — Wszyscy delegaci wstają i pozdrawiają mówcę. Okrzyki „Hip hip, hura”, „Niech żyje towarzysze Stalin!”, „Niech żyje Komitet Centralny naszej Partii!”.

Rosjanin zakolysał się w rytmie braw martwego tłumu. Słyszał okrzyki, tupanie i oklaski. Skromnie skłonił głowę. Uśmiechnął się. Zaklaskał w odpowiedzi. Wyimaginowany gwieźdek wypełnił wąską chatę i potoczył się po zaśnieżonej polanie ku zastygłemu w ciszy drzewom.

Rozdział 27

Samolot Feliksa Suworina przebił się przez pokrywą niskich chmur i skręcił w prawo, lecąc wzdłuż wybrzeża Morza Białego.

W śnieżnej pustce pojawiła się rdzawa, szybko poszerzająca się plama i po chwili zaczął odróżniać szczegóły. Opuszczone dźwigi, puste schrony dla łodzi podwodnych, niszczące budynki fabryczne... Ito musiał być Siewierodwińsk, wielkie nuklearne złomowisko Breżniewa, niedaleko Archangielska, gdzie w latach siedemdziesiątych budowali łodzi podwodne, które miały rzucić imperialistów na kolana.

Zapinając pas, spojrzął w dół. Mniej więcej przed rokiem węszył tutaj jakiś wysłaniec mafii, próbując kupić głowice bojowe dla Irakijczyków. Pamiętał tę sprawę. Czeczeniec w tajdze! Nie do wiary! Mimo to kiedyś im się uda, pomyślał. Za dużo było tego żelastwa, za słabo go pilnowano i za duże sumy wchodziły w grę. Któregoś dnia prawo popytu i podaży połączy się z prawem wielkich liczb i coś wykradną.

Zatrzepotały lotki skrzydeł. Wiatr zaświstał w drutach. Zeszli jeszcze niżej, podskakując i kołysząc się w porywach śnieżycy. Siewierodwińsk został z tyłu. Suworin widział szare plamy zamarzającej wody, płaskie połacie moczarów, przy-

322

kryte białymi czapami drzewa i kolejne drzewa, które na zawsze zostawiali za sobą. Co tutaj mogło przeżyć? Chyba nic. I nikt. Znajdowali się na skraju świata.

Stary samolot telepał się jeszcze przez dziesięć minut, zaledwie pięćdziesiąt metrów nad koronami drzew, a potem Suworin zobaczył paciorki światła na śniegu.

Ładowali na ukrytym w lesie wojskowym lotnisku, na skraju płyty stał śnieżny pług. Pas startowy został przed chwilą oczyszczony, ale już przykrywała go świeża warstwa śniegu. Przelecieli nisko, żeby przyjrzeć się lotnisku, a potem z wyciem silników wzniesli się z powrotem w górę i zawrócili, żeby podejść do lądowania. Suworinowi mignęło przed oczyma miasto — stojące w oddali wysokie ciemne bloki i brudne kominy — i chwilę później dotknęli ziemi, odbili się od niej dwa razy i potoczyli po pasie, wzniesając się śmigłami miniatury na śnieżyce.

Kiedy pilot wyłączył silniki, zaległa cisza, której Suworin nie doświadczył nigdy przedtem. W Moskwie zawsze było coś słychać, nawet podczas tak zwanej nocnej ciszy — przejeżdżający pojedynczy samochód, kłótnię sąsiadów. Ale nie tutaj. Tu cisza była absolutna i poczuł, że jej nienawidzi. Odezwał się wyłącznie, żeby ją przerwać.

- Dobra robota — zawołał do pilota.
- Drobiazg. A przy okazji, jest dla pana depesza z Moskwy. Przed odjazdem ma pan zadzwonić do pułkownika. Rozumie pan coś z tego?

- Przed odjazdem?

- Tak jest.

- Przed odjazdem dokąd?

Kabina była zbyt niska, żeby się wyprostować. Suworin musiał ugiąć nogi. Przy dużym hangarze zobaczył stojące w rzędzie dwupłaty pomalowane na arktyczne kolory maskujące.

Otworzyły się drzwi z tyłu samolotu i temperatura spadła od razu mniej więcej o pięć stopni. W kabinie zawirowały płatki śniegu. Suworin wziął swoją teczkę i zeskoczył na beton. Technik w futrzanej czapce wskazał mu hangar. Ciężkie przesuwane drzwi były odsunięte do jednej czwartej.

323

W mrocznym wnętrzu, przy dwóch schowanych przed śniegiem gazikach czekał komitet powitalny: trzech mężczyzn w mundurach MWD z pistoletami maszynowymi AK-74, facet z milicji oraz, co najdziwniejsze, starsza pani w męskim grubym ubraniu, zgarbiona niczym sęp i wsparta na lasce.

Coś się wydarzyło, Suworin od razu się tego domyślił, i nie było to z pewnością; nic dolnego. Uświadomił to sobie, gdy podał rękę oficerowi / Ministerstwa Spraw Wewnętrznych — młodemu gburowatemu majorowi o byczym karku, nazwiskiem Kretów — i doczekał się w odpowiedzi salutu dość niedbałego, by uznać go /a zniewagę. Jeśli chodzi o dwóch podwładnych K celowa, nie podnieśli nawet wzroku, żeby na niego spojrzeć. Byli zbyt zajęci wyładowywaniem z jednego z gazików niewielkiego arsenału: dodatkowych magazynków do swoich AK-74, pistoletów, flar oraz wielkiego starego karabinu maszynowego RP46 z pasami amunicji i metalowym dwójnogiem.

- Czego się spodziewamy, majorze? — zapytał Suworin, próbując nawiązać z nim przyjazne stosunki. — Małej wojny?

- Możemy o tym porozmawiać po drodze.
- Wolalbym o tym porozmawiać teraz.

Kretów zawahał się. Najchętniej posłałby Suworina do wszystkich diabłów, ale obaj mieli ten sam stopień, a poza tym nie rozgryzł jeszcze tego oficerka w drogich zachodnich ciuchach.

— Byle szybko. — Strzelił niecierpliwie palcami na wysokiego jak tyczka milicjanta. — Opowiedzcie mu, co się stało.

- Wasze nazwisko? — zapytał Suworin.
- Milicjant stanął na baczność.
- Porucznik Korf, majorze.
- Słucham was, Korf.

Podenerwowany porucznik przedstawił **zwięźle swój** raport.

324

Krótko po godzinie dwunastej milicja w Archangielsku dostała teleks z komendy głównej w Moskwie, że w mieście mogą się pojawić dwaj cudzoziemcy i że będą prawdopodobnie chcieli skontaktować się z osobą o nazwisku Safanow. Korf osobiście zajął się sprawą. Udało mu się odnaleźć tylko jedną osobę o tym nazwisku, świadka Wawarę Safanową — tu wskazał starszą panią — do której dotarli w ciągu dziesięciu minut od otrzymania teleksu z Moskwy. Safanowa potwierdziła, że odwiedzili ją dwaj cudzoziemcy i że wyszli zaledwie przed godziną.

Suworin uśmiechnął się uprzejmie do Wawary Safanowej.

— I co pani im opowiedziała, towarzyszeko Safanowa?

Staruszka wbiła wzrok w ziemię.

— Powiedziała im, że jej córka nie żyje — wtrącił niecierpliwie Kretów. — Zmarła podczas porodu, przed czterdziestu pięciu laty. Urodziła chłopca. Czy możemy już ruszać? Wszystkiego się już od niej dowiedziałem.

Chłopiec, pomyślał Suworin. To musiał być chłopiec. O dziewczynkę nie byłoby tyle szumu. Ale chłopiec... Spadkobierca...

— Dziecko przeżyło? — zapytał.

— Mówi, że wychowywał się w lesie. Jak wilk.

Suworin odwrócił niechętnie wzrok od staruszki i spojrzał na majora.

- A Kelso i O'Brian pojechali zapewne do lasu, żeby odnaleźć tego wilka?

• Mają nad nami mniej więcej trzy godziny przewagi. — Kretów rozłożył już na masce najbliższego gazika mapę o dużej podziałce. — Tędy biegnie droga. Można stamtąd wrócić tylko tym samym szlakiem, a oni na pewno utkną w zaspach. Niech pan się nie martwi. Zgarniemy ich przed zmierzchem.

— Jak do nich dotrzemy? Możemy polecieć śmigłowcem?

Kretów mrugnął do jednego ze swoich ludzi.

— Obawiam się, że pan major z Moskwy nie przestudował dokładnie naszego terenu. W tajdze nie ma zbyt wielu lądowisk dla śmigłowców.

Suworin próbował zachować spokój.

;; — Więc jak do nich dojedziemy?

j — Śnieżnym pługiem — odparł Kretów, jakby to było jasne jak słońce. — Cztery osoby śmiało zmieszczą się w szoferce. Albo trzy, jeśli nie będzie pan chciał przemoczyć swoich eleganckich trzewików.

Suworin po raz kolejny przygryzł wargę.

• Więc jaki mamy plan? Odsnieżymy drogę, żeby mogli za nami wrócić do mięsa, czy lak?

• Jeśli okaże się to konieczne.

• Jeśli okaże się to konieczne — powtórzył powoli Suworin. Zaczynał rozumieć, co I u się dzieje. Spojrzał w zimne szare oczy majora, a potem zerknął na dwóch jego ludzi, którzy skończyli właśnie rozładowywać gazik. — Co wy tutaj ostatnio wyprawiacie? Ha wicie się w szwadrony śmierci, tak? Nie wydaje się wam, że to za bardzo w stylu Ameryki Południowej?

Kretów zaczął składać mapę.

• Musimy natychmiast jechać.

• Muszę porozmawiać z Moskwą.)

• Rozmawialiśmy już z Moskwą ;:

• Muszę porozmawiać z Moskwą, majorze, i jeśli wyjdziecie stąd beze mnie, zapewniam pana, że przez kilka następnych lat będzie pan budować lądowiska dla helikopterów.

• Nie sądzę.

• Jeśli dojdzie do próby sił między SWR i MWD, niech pan się nie ludzi, SWR zawsze będzie górą. — Suworin odwrócił się plecami od majora. — Dziękuję pani za pomoc — powiedział do Wawary Safanowej. — Proszę odwiedzić ją do domu. Dobrze pan się spisał — zwrócił się do Korfa, który przyglądał im się szeroko otwartymi oczyma.

• Mówiłam im — odezwała się nagle starszka. — Mówiłam, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

• Chyba miała pani rację — stwierdził Suworin. —

W porządku, poruczniku, może pan się odmeldować. Gdzie jest, kurwa, ten telefon? — zapytał Kretowa.

326

"*" O'Brian uparł się, że będzie filmował jeszcze przez dwadzieścia minut. Przekonał na migi Rosjanina, żeby zapakował swoje relikwie, a potem ponownie je odpakował, zbliżając po kolei każdy przedmiot do kamery i wyjaśniając, co to takiego. („Jego książka”, „Jego portret”, „Jego włosy”. Każda rzecz została z szacunkiem ucałowa-

na i umieszczona na ołtarzu). Następnie pokazał mu, gdzie ma usiąść przy stole, pałac swoją fajkę, i przeczytać fragment dziennika Anny Safanowej. *{Zapamiętaj historyczne słowa towarzysza Stalina do Gorkiego: „Zadaniem proletariackiego państwa jest produkcja inżynierów ludzkich dusz”}*.

- Wspaniale — stwierdził O'Brian, kręcąc się wokół niego z kamerą. — Fantastycznie. Czy to nie fantastyczne, Fluke?
- Nie — odparł Kelso. — To cholerny cyrk. - I ni
- Zadał mu kilka pytań, Fluke.
- Nie.
- Zapytał go. Tylko dwa pytania. Niech powie, CO myśli o nowej Rosji.
- Nie.

— Dwa pytania i zabieramy się stąd. Przyrzekam.

Kelso zawahał się. Rosjanin przyglądał mu się, gładząc wąs ustnikiem fajki. Miał pozółtkie szczerbate zęby. Końce wąsów były mokre od śliny.

— Mój kolega chciałby wiedzieć — oświadczył Kelso — czy słyszał pan o wielkich zmianach, które zaszły w Rosji, i co pan o nich sądzi.

Rosjanin przez moment milczał. Potem odwrócił się od Anglika i spojrzał prosto w obiektyw kamery.

— Jedną rzeczą, która stale powtarza się w historii dawnej Rosji — zaczął — są cięgi, jakie brała. Wszyscy tłukli ją, ponieważ była zacofana. Napadano na nią, ponieważ przynosiło to zyski i można to było robić bezkarnie. Takie jest prawo wyzyskiwaczy: bić słabych i zacofanych. To wilcze prawo kapitalizmu. Jesteście zacofani, jesteście słabi, zatem nie macie racji. Można was pobić i zakuć w kajdany.

327

Pociągając z fajki, odchylił się do tyłu z przymkniętymi oczyma. O'Brian stał dokładnie za Anglikiem, trzymając kamerę, i Kelso poczuł, jak ściska go za ramię, dając do zrozumienia, żeby zadał kolejne pytanie.

— Nie rozumiem — stwierdził Kelso. — Co pan chce przez to powiedzieć? Że nowa Rosja jest pokonana i zakuta w kajdany? Większość ludzi twierdzi coś wręcz przeciwnego: że bez względu na to, jak trudne jest życie, cieszą się przynajmniej wolnością.

Powolny uśmiech, prosto do kamery. Rosjanin wyjął fajkę z ust, pochylił się do przodu i dźgnął Anglika w pierś cybuchem.

- To bardzo dobrze. Niestety jednak sama wolność, na razie, nie wystarcza. Jeśli brakuje chleba, brakuje masła i tłuszczu, brakuje odzieży i nie ma gdzie mieszkać, wolność niedaleko nas zaprowadzi. Jest bardzo ciężko, towarzysze, wyżyć samą wolnością.

- Co on mówi? — szepnął O'Brian. — Czy to ma sens?

- Owszem, ma jakiś sens. Ale jest dziwne.

O'Brian nakłonił Anglika, żeby zadał jeszcze kilka pytań, na które otrzymali podobne sztywne repliki, a potem, kiedy Kelso nie chciał już więcej tłumaczyć, uparł się, żeby sfilmować Rosjanina na dworze.

Kelso obserwował ich przez minutę przez wąskie brudne okno: O'Brian robił linię na śniegu, szedł do chaty, wracał, wskazywał linię, próbując zasugerować Rosjaninowi, czego

od niego chce. Wyglądało to niemal, jakby facet ich się spodziewał. *Więc to wy nimi jesteście*, powiedział. *Naprawdę nimi jesteście*.

To jest zeszyt, o którym była mowa...

Otrzymał oczywiście odpowiednie wykształcenie, choć może należałoby powiedzieć: poddano go indoktrynacji. Potrafił czytać. Wychowano go w poczuciu misji, mesjanicznej pewności, że któregoś dnia w lesie pojawią się obcy przybysze z zeszytem — i bez względu na to, kim się okażą — nawet dwoma imperialistami — będą tymi, na których czeka...

Rosjanin był, jak się zdaje, w wyśmienitym humorze.

328

Podnosił wskazujący palec do oka, kiwał nim przed kamerą, szczyrzył zęby, a potem pochylił się, ulepił kulę ze śniegu i rzucił ją żartobliwie w plecy O'Briana.

Homo sovieticus, pomyślał Kelso. Człowiek sowiecki.

Próbował przypomnieć sobie pewien fragment biografii. Wołkogonow cytował w nim Swierdłowa, który w roku 1914 został zesłany ze Stalinem na Syberię. Stalin nie utrzymywał bliskich stosunków z innymi bolszewikami i to uderzyło Swierdłowa. Był nieznanym, dobiegającym czterdziestki mężczyzną, który nie przepracował ani jednego dnia w swoim życiu, nie nabył żadnych umiejętności fachowych ani nie miał zawodu, lecz mimo to chodził po prostu sam do lasu na polowanie albo na ryby i „sprawiał wrażenie, że czeka, aż coś się wydarzy”.

Polował. Łowił ryby. Czekał.

Kelso odwrócił się od okna, wsunął szybko zeszyt z portretem do teczki i schował ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Zerknął ponownie przez okno, podszedł do stołu i zaczął kartkować *Dziela zebrane* Stalina.

Kilka minut zajęło mu odnalezienie tego, czego szukał: dwóch kartek z pozaginanymi rogami w dwóch różnych tomach. Oba fragmenty były grubo zakreślone czarnym ołówkiem. Jego przypuszczenia okazały się słuszne: pierwsza replika Rosjanina była dosłownym cytatem z przemówienia Stalina na Wszechzwiązkowym Zjeździe Kierowników Socjalistycznego Przemysłu 4 lutego 1931. Druga zaczerpnięta była z mowy do trzech tysięcy stachanowców wygłoszonej 17 listopada 1935.

Syn przemawiał słowami Ojca.

Usłyszał skrzypienie butów Stalina na drewnianych stopniach i w pośpiechu odłożył książki.

Prowadzony przez jednego z funkcjonariuszy MWD Suworin wyszedł z hangaru i ruszył po pasie startowym w stronę parterowego budynku przy wieży kontroli lotów. Wiatr przenikał go na wskroś. Półbuty tonęły w śniegu. Kiedy dotarli do biura, był siny z zimna. Siedzący w środku młody

kapral posłał im obojętne spojrzenie. Suworin zaczynał mieć serdecznie dosyć tej zabitej deskami dziury, tego całego Archangielska. Zatrzasnął za sobą drzwi.

— Salutuj, człowieku, kiedy do pokoju wchodzi oficer!

Kapral zerwał się na nogi lak szybko, że przewrócił krzesło.

— Połącz mnie z Moskwą. Natychmiast. A potem zaczekaj na zewnątrz. Obaj zaczekajcie na zewnątrz.

Nie zaczął wybierać numeru, póki nie wyszli. Podniósł krzesło, przysunął je sobie i ciężko usiadł. Kapral oglądał jakieś niemieckie pismo pornograficzne. Stopa w pończoszcze wystawała spod pliku protokołów lotów. W słuchawce słyszał niewyraźnie sygnał dzwoniącego telefonu. Na linii było mnóstwo trzasków.

— Sergo? Tu Suworin. Daj mi szefa.

Chwilę później odezwał się Arseniew.

• Słuchaj, Feliks. — W jego głosie brzmiało napięcie. — Próbowałem się z. lobą skontaktować. Słyszałeś wiadomości?

• Słyszałem wiadomości.

• Nie do wiary! Rozmawiałeś z nimi? Musicie szybko ruszać.

• Tak, rozmawiałem z nimi i chciałem spytać, o co tutaj chodzi, pułkowniku? — Suworin musiał wsadzić sobie palec do drugiego ucha i krzyknąć do słuchawki. — Co jest grane? Wylądowałem w środku pustkowi i patrzę teraz przez okno na trzech rzezimieszków, którzy ładują na śnieżny pług dość uzbrojenia, żeby załatwić batalion NATO...

• Odebrano nam tę sprawę, Feliks — powiedział Arseniew.

• I co? Od kiedy to słuchamy rozkazów MWD?

• Oni nie są z MWD — stwierdził cicho Arseniew. — To są Siły Specjalne w mundurach MWD.

• Specnaz? — Suworin złapał się za głowę. Specnaz. Komandosi. Brygada Alfa. Zabójcy. — Kto ich spuścił ze smyczy?

Tak jakby nie wiedział.

— Zgadnij — mruknął Arseniew.

330

• Czy Jego Ekscelencja był jak zwykle zalany? Czy też miał jeden z rzadkich przeblysków trzeźwości?

• Liczcie się ze słowami, majorze — przywołał go do porządku Arseniew.

Potężny wysokoprężny silnik pługu zbudził się do życia. Podwójne szyby w oknie zabrzęczały, zagłuszając na krótko słowa pułkownika. Wielkie żółte reflektory zapaliły się, a potem zaczęły majestatycznie sunąć po pasie startowym w kierunku Suworina.

• Jakie są dokładnie moje rozkazy?

• Masz robić to, co uważasz za stosowne, przy użyciu wszelkich niezbędnych środków.

• Wszelkich środków niezbędnych do osiągnięcia czego?

• Tego, co uznasz za stosowne.

• Czyli?

• Sam musisz zdecydować. Polegam na tobie, majorze.

Daję ci całkowitą swobodę operacyjną.

Chytry był z niego zawodnik. Naprawdę chytry. Prawdziwy asekurant. Suworin stracił cierpliwość.

— Więc ile osób mamy zabić, pułkowniku? Wystarczy jedna? Dwie? Trzy?

Arseniew był wstrząśnięty. Był głęboko wytrącony z równowagi. Jeśli taśma z tą rozmową zostanie kiedykolwiek przesłuchana — co powinno się stać nazajutrz — jego reakcja nie będzie ulegała najmniejszej wątpliwości.

• Nikt nie mówił nic o zabijaniu, majorze! Czy ktoś

tutaj mówił coś takiego? Czy ja mówiłem?

• Nie, nie mówił pan — odparł Suworin, odnajdując w sobie pokłady sarkazmu i goryczy, których istnienia nigdy nie podejrzewał. — W związku z tym odpowiedzialność za to, co się wydarzy, poniosę wyłącznie ja. Tak czy inaczej, nie zostałem w ogóle poinstruowany przez moich zwierzchników. Podobnie jak, jestem tego pewien, będący wzorem oficera major Kretów!

Arseniew zaczął coś mówić, ale jego głos ponownie zagłuszył ryk silnika. Ciężki pojazd stał tuż przy samym oknie. Łopata pługu unosiła się i opadała niczym gilotyna. Suworin widział siedzącego z przodu Kretowa, który przesuwał pal-

331

cami po gardle. Kierowca zatęchł. Suworin machnął poirytowany ręką i odwrócił się do nich plecami.

— Niech pan powtórzy, pułkowniku.

Ale połączenie było zerwane i wszelkie próby jego wznowienia spełzły na niczym. I ten właśnie dźwięk słyszał potem bez przerwy, siedząc na rozkładanym fotelu w szoferce brnącego przez las śnieżnego pługu: zimne obojętne buczenie numeru, z którym nie można się połączyć.

Rozdział 28

Śnieg nie padał już tak intensywnie i zrobiło się o wiele zimniej — trzy albo cztery stopnie poniżej zera. Kelso naciągnął kaptur i ruszył tak szybko, jak mógł, na skraj polany. W lesie przed sobą widział żółty ślad zmiętych kartek, które kwitły w śniegu co pięćdziesiąt metrów niczym zimowe kwiaty.

Wyjście z chaty nie było takie łatwe. Kiedy oznajmił Rosjaninowi, że muszą wrócić do samochodu — „tylko żeby zabrać trochę więcej sprzętu, towarzyszu”, dodał szybko — ten zmierzył go tak podejrzliwym wzrokiem, że o mało nie dał za wygraną. Wytrzymał jednak jakoś jego badawcze spojrzenie i w końcu doczekał się krótkiego kiwnięcia głową. Wtedy zaczął się ościagać O'Brian — „może nakręcimy jeszcze jedno ujęcie z tego miejsca...” — i w końcu Kelso musiał złapać go pod łokieć i wyprowadzić za drzwi. Rosjanin patrzył, jak odchodzą, pykając ze swojej fajki.

Kelso słyszał ciężki oddech kuśtykającego za nim O'Briana, ale nie zatrzymał się, dopóki nie znaleźli się w miejscu, gdzie nie można ich było dostrzec z chaty.

— Masz zeszyt? — zapytał reporter. "

Kelso poklepał się po kurtce. " i i ;!

• Tutaj. i • "'

• Świetnie się spisales — stwierdził **O'Brian j wykonał**

333

krótki taniec zwycięstwa na śniegu. — Jezu, co za **historia!**
Niesamowita historia!

— Niesamowita historia — zgodził się Kelso.

W tej chwili pragnął jednak tylko jednego: wydostać się

stąd. Ruszył dalej, przyspieszając kroku. Nogi bolały go od marszu przez zasy.

Wyszli na trakt. Sio metrów ml nich stała toyota, pokryta kilkucentymetrową warstwą mokrego białego puchu, grubszą z tyłu, gdzie wiali. Zbliżając się, zobaczyli, że na powierzchni śniegu tworzą się już kryształki lodu. Samochód wciąż przechylał się do przodu, tylne koła wisiały prawie w powietrzu i trochę czasu /ajęło im oszacowanie szkód. Rosjanin strzelił trzy razy. Pierwszy pocisk zniszczył zamek w tylnych drzwiach. Kolejny otworzył drzwi od strony kierowcy. Trzeci przebił maskę i trafił w silnik — prawdopodobnie miał uciszyć alarm.

— Stuknięty skurwiel — mruknął O'Brian, przyglądając się paskudnym dziurom. — Ten wóz jest wart czterdzieści tysięcy dolarów...

Wcisnął się za kierownicę, wsadził kluczyk do stacyjki i przekreślił go. Nic. Nawet nie kliknęło.

— Nic dziwnego, że nie przeszkadzało mu, iż wrócimy do samochodu — powiedział cicho Kelso. — Wie, że nigdzie stąd nie pojedziemy.

Na twarzy O'Briana ponownie pojawił się niepokój. Wygramolił się z samochodu, pobrnął przez zaspę do tyłu i po chwili wydał z siebie długie westchnienie ulgi, które zamieniło się w biały obłok.

— Dzięki Bogu, chyba nie zniszczył Inmarsatu. To już coś.

Rozejrzał się dookoła i zmarszczył brwi.

- Co znowu? — zapytał Kelso.
- Drzewa — mruknął reporter.
- Drzewa?
- Tak. Satelita nie wisi nad naszymi głowami, pamiętasz?

Jest nad równikiem. W związku z czym daleko na północy trzeba ustawić dysk pod naprawdę niskim kątem, żeby wysłać sygnał. Drzewa, jeśli są blisko... po prostu zasłania-

334

ją. — Odwrócił się do Anglika i Kelso miał ochotę zamordować go... zamordować za ten nieśmiały nerwowy uśmiešek na przystojnej głupawej twarzy. — Potrzebujemy otwartej przestrzeni, Fluke. Przykro mi.

Przestrzeni?

, Tak. Przestrzeni. Będą musieli wrócić na polanę.

O'Brian uparł się, żeby zabrali ze sobą resztę sprzętu. Kelso oznajmił przecież Rosjaninowi, że po to wracają do samochodu, a nie chcą chyba, żeby nabrał podejrzeń, prawda? Poza tym nie zamierzał zostawić wartej sto tysięcy elektroniki w stojącej na pustkowiu przestrzelonej toyocie. Nie miał zamiaru spuścić jej z oczu.

Powlekli się więc z powrotem traktem, O'Brian pierwszy, dźwigając Inmarsat, cięższe z dwóch dużych pudeł oraz wciśnięty pod pachę, zawinięty w czarny plastik akumulator toyoty. Taszczący pudło z kamerą i laptopa do edycji nagrań, Kelso starał się dotrzymać mu kroku, ale nie bardzo mu się to udawało. Bolały go ręce. Zapadał się w śnieg. Reporter skreślił wkrótce w las i zniknął mu z oczu, a Kelso bez przerwy się zatrzymywał, żeby przelożyć cholernego laptopa z jednej do drugiej ręki. Pocił się i kłął pod nosem. Idąc przez las potknął się o ukryty korzeń i upadł na kolana.

Kiedy dotarł do polany, O'Brian podłączył już satelitarny dysk do akumulatora i próbował ustawić go we właściwym położeniu. Antena wycelowana była dokładnie w zaśnieżone szczyty stojących w odległości pięćdziesięciu metrów kilku jodeł. Reporter pochylał się nad nią, poruszając ze zdenerwowania szczęką, trzymając w jednej ręce kompas, a drugą naciskając przyciski. Śnieg przestał prawie padać i w mroźnym powietrzu unosiła się błękitna poświata. Za nim na tle ciemnych drzew stała szara drewniana chatka — kompletnie martwa, wydawałoby się, opuszczona, gdyby nie nitka dymu unosząca się z wąskiego żelaznego komina.

Kelso postawił pudła na ziemi i pochylił się do przodu, opierając dłonie na kolanach i starając się złapać oddech.

— No i co? — zapytał.

— Nic z tego.

Anglik jęknął.

Cholerny cyrk...

— Jeżeli nie da się uruchomić tego urządzenia — powiedział — wiesz chyba, jak długo In zostaniemy. Będziemy tu siedzieć do kwietnia, słuchając fragmentów *Dzieł zebranych* Stalina.

Była to tak przerażająca perspektywa, że aż się roześmiał i O'Brian, po raz drugi tego dnia, zawtórował mu.

— Och, człowieku - zachichotał — czego się nie robi dla sławy.

Ale nie śmiał się zbyt długo. Inmarsat milczał.

I właśnie w tej ciszy, mniej więcej po trzydziestu sekundach, Kelso usłyszał — wydawało mu się, że usłyszał — niewyraźny szmer płynącej wody.

Podniósł do góry rękę.

- Co? — zapytał O'Brian.

- Rzeka. — Kelso zamknął oczy i zwrócił twarz do nieba, natężając słuch. — To chyba rzeka.

Trudno było odróżnić ten szmer od poszumu wiatru w drzewach. Ale był bardziej równomierny i głębszy od wiatru i wydawał się dochodzić skądś po drugiej stronie chaty.

— Spróbujmy — powiedział O'Brian. Zdjął zaciski z klejów akumulatora i zaczął szybko zwijać kable. — Jeśli się nad tym zastanowić, to całkiem sensowne. W ten sposób podróżuje Łodzia.

Kelso podniósł z powrotem dwa pudła.

- Uważaj, Fluke — ostrzegł go O'Brian.

- Na co?

- Na pułapki. Nie pamiętasz? Pozostawiał je w całym lesie.

Kelso popatrzył niepewnie pod nogi. Pamiętał fontannę śniegu i zatraskujące się metalowe szczęki. Ale martwienie się o to nie miało teraz sensu. Musieli przejść tuż obok drzwi chaty — tego również nie sposób było uniknąć. Począł, aż

O'Brian skończy pakować Inmarsat, i ruszyli razem, brnąc w śniegu. Miał wrażenie, że Rosjanin może czaić się wszędzie: za oknem swojej nędznej chatki, w piwniczce pod nią, za stosem drewna na opał przy tylnej ścianie, w wilgotnej

omszalej beczce na wodę, w mroku pobliskich drzew. Wyobrażał sobie strzelbę wycelowaną we własne plecy i był boleśnie świadom, jak bardzo miękka, dziecinnie podatna na zranienie jest jego skóra.

Dotarli do końca polany i posuwali się dalej skrajem lasu. Gęste podszycie. Leżące na ziemi, gnijące konary. Dziwne białe grzybowate narośle, podobne do roztopiających się twarzy. I dobiegające co jakiś czas z oddali trzaski, gdy wiatr strącał z gałęzi masy zmrożonego śniegu. Trudno było zobaczyć coś dalej niż na wyciągnięcie ręki. Nie mogli znaleźć ścieżki. Nie było innego wyjścia: musieli wejść w las.

O'Brian ruszył pierwszy i miał o wiele gorzej, taszcząc dwa ciężkie pudła i wielki akumulator, przeciskając się bokiem, raz z prawej, innymi razem z lewej strony między rosnącymi tuż obok siebie drzewami. Bez przerwy musiał uchylać się, nie mogąc zasłonić się ręką przed smagającymi go po twarzy gałęziami. Kelso starał się iść po jego śladach. Po kilku krokach uświadomił sobie, że las zamknął się za nimi niczym masywne wrota.

Przez kilka minut przedzierali się w półmroku. Kelso chciał się zatrzymać i przełożyć laptopa do drugiej ręki, ale bał się, że straci z oczu plecy O'Briana, i wkrótce zapomniał o wszystkim poza bólem w prawym ramieniu i kłuciem w płucach. Do oczu spływały mu krople potu i roztopionego śniegu. Próbował unieść nieco ramię, żeby otrzeć czoło mokrym rękawem. W tej samej chwili O'Brian skoczył z krzykiem do przodu i nagle — tak jakby przeszli przez litą ścianę — drzewa rozstały się i znaleźli się z powrotem w świetle dnia, na brzegu wysokiej na dziesięć metrów stromej skarpy, która opadała ku szerokiej na pół kilometra, toczącej żółtawoszare wody rzece.

To był niezmierny widok — tak jakby znaleźli katedrę w środku dżungli — i przez chwilę żaden z nich się nie

337

odzywał. A potem O'Brian postawił na ziemi swoje pudła oraz akumulator i wyjął kompas. Pokazał go Anglikowi. Stali na północnym brzegu Dwiny, zwróceniu twarzami prawie dokładnie na południe.

Sto metrów po lewej stronie zobaczyli przykrytą zielonym brezentem łódź. Została chyba wyciągnięta na brzeg przed zimą, i całkiem słusznie, pomyślał Kelso, ponieważ rzekę zaczynał już ścinać lód — biały pas o szerokości dziesięciu, piętnastu metrów poszerzał się praktycznie na jego oczach.

Przy drugim brzegu widać było podobny pas lodu, a dalej zaczynała się znowu ciemna plama lasu. Kelso podniósł do oczu lornetkę, żeby poszukać jakichś śladów ludzkiej obecności, ale żadnych nie znalazł. Hr/eg wydawał się skrajnie nieprzystępny i ponury. Dziki.

- Gdzie chcesz dzwonić? — zapytał, opuszczając lornetkę.

- Do Ameryki. Żeby zawiadomili nasze biuro w Moskwie. — O'Brian otworzył pojemnik z Inmarsatem i zaczął składać plastikowy talerz. Wcześniej już zdjął rękawiczki. Ręce poczerwieniały mu z zimna. — Kiedy zrobi się ciemno?

Kelso spojrzął na zegarek.

- Zbliży się piąta — powiedział. — Chyba za godzinę.
- W porządku, nie ma się co oszukiwać. Jeśli nawet połączę się ze Stanami, zanim rozładuje się akumulator,

a oni zorganizują ekspedycję ratunkową, będziemy musieli tu zostać na noc. Chyba że podejmiemy jakąś śmiałą akcję.

- Co masz na myśli?

' — Zabierzemy jego łódź.

.- — Chcesz mu ukraść łódź?

• Nie ukraść, ale pożyczyć. — O'Brian przykucnął na piętach i unikając wzroku towarzysza, odwiął z czarnej płachty akumulator. — Daj spokój, człowieku, nie patrz na mnie w ten sposób. Nie robimy nic złego. I tak nie będzie jej potrzebował do wiosny. Jeśli temperatura będzie dalej tak spadać, za dzień albo dwa rzekę zetnie lód. Poza tym przestrzelił nasz samochód, prawda? My pożyczymy sobie jego łódź. Tak będzie sprawiedliwie.

- A ty oczywiście umiesz nią kierować?

338

• Potrafię kierować łodzią, potrafię obsługiwać kamerę, potrafię przekazywać na odległość ruchome obrazki... jestem pieprzonym supermanem. Tak, potrafię żeglować. Zróbmy to.

• A co z nim? Będzie tu po prostu stał, kiedy wsiądziemy do łodzi i odpłyniemy? Pomacha nam na pożegnanie? — Kelso spojrział tam, skąd przyszli. — Zdajesz sobie sprawę, że prawdopodobnie nas teraz obserwuje?

• Dobrze. Więc idź i pogadaj z nim, a ja postaram się tu wszystko przygotować.

• Dziękuję — zachnął się Kelso. — Naprawdę bardzo ci dziękuję.

— Przynajmniej miałem jakiś pieprzony pomysł. A ty?

W głębi duszy Kelso musiał przyznać mu rację.

Zawahał się i przyjrzał przez lornetkę łodzi.

Więc tak właśnie przetrwał Rosjanin — tak kontaktował się od czasu do czasu z zewnętrznym światem. Tak zdobywał naftę do swojej lampy, tytoń do fajki, amunicję do strzelby i baterie do tranzystorowego radia. Za co to wszystko kupował? Za pieniądze, które dostawał za złapane w sidła zwierzęta? Czy też może już w latach pięćdziesiątych obóz zaopatrzono w jakiś skarb — należące do NKWD złoto — który uszczuplano od tamtego czasu?

Łódź ukryta była w małym zagłębieniu gruntu i osłonięta od rzeki kilkoma drzewami; pływający Dwiną nie mogli jej zobaczyć. Opierała się na kilu, podparta z lewej i prawej strony kłocami drewna — topornie wyglądająca nieduża łajba, mogąca pomieścić najwyżej cztery osoby. Pod wybrzuszeniem brezentu na rufie krył się chyba zewnętrzny silnik i jeśli O'Brian zdoła go uruchomić, mogli dotrzeć do Archangielska w dwie godziny, a może nawet szybciej, zakładając, że w miarę zwężania koryta prąd będzie stawał się bardziej wartki.

Pomyślał o krzyżach na cmentarzu, o datach i wydrapanych twarzach.

Najwyraźniej niewielu ludziom udało się opuścić to miejsce.

Warto było spróbować.

•>

• Dobrze — oznajmił niechętnie, i— Zróbmy to.

• Zuch chłopak.

Kiedy dał z powrotem nurka w las, O'Brian celował anteną w drugi brzeg rzeki. Po kilkunastu krokach za jego

plecami odezwał się krzepiący gwizd Inmarsatu łączącego się z satelitą.

Pług sunął teraz szybko, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, odrzucając na boki dwie wielkie fale zmrożonego śniegu, którym zasypywał drzewa po obu stronach. Kretów prowadził. Jego ludzie przycupnęli obok niego, z bronią na kolanach. Suworin trzymał się metalowego uchwyty, siedząc na rozkładanym fotelu z tyłu kabiny. W udo wbijała mu się lufa karabinu RP46. Robiło mu się niedobrze od wibracji i spalin. Dumając nad perturbacjami, które zaszły w jego życiu w tak krótkim czasie, przypomniał sobie stare mądre rosyjskie przysłowie: „Rodzimy się w szczerym polu i umieramy w ciemnym borze”.

Miał mnóstwo czasu na rozmyślania, ponieważ żaden z trzech mężczyzn nie odezwał się do niego, odkąd wyjechali z lotniska. Częstoowali się wzajemnie gumą do żucia i papierosami TU-144 i rozmawiali tak cicho, że nie mógł usłyszeć ani słowa przez warkot silnika. Dobrane trio, pomyślał. Na pewno łączyły ich wspólne przeżycia. Gdzie ostatnio byli? W Groźnym, niosąc moskiewski pokój zbuntowanym Czeceńcom (*Uzbrojeni terroryści zginęli wszyscy na miejscu akcji...*). W takim wypadku to musiała być dla nich majówka. Piknik w lesie. A kto dawał im rozkazy? *Zgadnij...*

Arseniewa trzymały się żarty.

Pojedyncza wycieraczka zbierała śnieg z monotonnym usypiającym wizgiem.

Spróbował odsunąć nogę od karabinu maszynowego.

Serafima od miesięcy wierciła mu dziurę w brzuchu, żeby odszedł ze służby i zarobił jakieś pieniądze. Jej ojciec znał członka rady nadzorczej jakiegoś dużego sprywatyzowanego konsorcjum energetycznego — jak to ująć, mój drogi Feliksie, no, powiedzmy, że ten człowiek ma wobec mnie pewne

340

zobowiązania. Ile dokładnie proponują, papo? Dziesięć razy tyle, ile wynosiło jego oficjalne wynagrodzenie, i dziesięć razy mniej pracy? Do diabła z Jaseniewem. Być może nadeszła odpowiednia pora.

W radiu zatrzęszczał gruby męski głos. Suworin pochylił się do przodu. Nie słyszał dokładnie, co mówi. Brzmiało to jak jakieś współrzędne. Kretów trzymał mikrofon w jednej ręce, w drugiej zaciskając kierownicę, patrząc na drogę i wyciągając jednocześnie szyję, żeby zerknąć na mapę leżącą na kolanach siedzącego obok faceta.

- Jasne, jasne. Nie ma problemu — powiedział i odwiesił mikrofon.

- O co chodzi? — zapytał Suworin.

- Wciąż pan tam jest? — odparł z udawanym zdziwieniem Kretów. — Zapamiętałeś, Aleksy? — Pytanie skierowane było do mężczyzny z mapą. — Zadzwonili do nas z punktu nasłuchowego przy jeziorze Onega. Właśnie przechwycili transmisję satelitarną.

- Dwadzieścia pięć kilometrów, majorze. Tuż przy rzece.

- Widzi pan? — Kretów uśmiechnął się do Suworina w tylnym lusterku. — Mówiłem panu przecież. Będziemy w domu przed zmierzchem.

Kelso wyszedł z lasu i ruszył w stronę drewnianej chaty. Na powierzchni śniegu utworzyła się cienka skorupa lodu i zerwał się trochę większy wiatr. Niesione nim wiry białego puchu tańczyły po polanie. Brązowa spirala dymu z żelaznego komina kołysała się i rwała w podmuchach.

Kiedy się do niego podchodzi, trzeba to robić otwarcie. Tak brzmiała rada pokojówki Wałeczki. Nienawidzi, gdy ludzie skradają się do niego na palcach. Jeśli puka się do drzwi, trzeba to robić głośno...

Wchodząc na górę po drewnianych schodkach, Kelso starał się jak najgłośniej tupać kaloszami. Walnął pięścią w drzwi. Bez odpowiedzi.

I co teraz?

Zastukał ponownie, odczekał chwilę, po czym podniósł zasuwkę i pchnął drzwi. Natychmiast uderzył go w nozdrza znajomy zapach — zimny, bliski, zwierzęcy, podszyty nutką stęchłego fajkowego tytoniu.

Chata była pusta. Strzelba zniknęła. Wyglądało na to, że Rosjanin pracował jeszcze przed chwilą przy stole: leżały na nim jakieś papiery i dwa krótkie ołówki.

Kelso stanął w drzwiach, zerknął na papiery i próbował zdecydować, co ma robić. Obejrzał się przez ramię. Na polanie panował bezruch. Rosjanin sterczał prawdopodobnie

342

nie przy brzegu rzeki i śledził O'Briana. Na tym polegała ich jedyna taktyczna przewaga, pomyślał: ich było dwóch, on jeden. Nie mógł obserwować obu jednocześnie.

Ostrożnie podszedł do stołu.

Chciał tylko zerknąć na papiery i prawdopodobnie zajęło mu to tylko chwilę — tyle, ile trwało ich przerzucenie.

Dwa paszporty w czerwonych sztywnych okładkach, formatu sześć na cztery cale, z wytłoczonym lwem i napisem PASS i NORGE — podobnie wyglądający chłopak i dziewczyna: długie blond włosy, hippisowaci, dziewczyna całkiem ładna w trochę rozmyty sposób; nie zapamiętał ich nazwisk; przekroczyli granicę Związku Radzieckiego w Leningradzie w czerwcu 1969...

Dowody osobiste — starego stylu, wydane w Związku Radzieckim — należące do trzech różnych mężczyzn: pierwszy młody, z odstającymi uszami, w okularach, z wyglądu student; drugi stary, koło sześćdziesiątki, ogorzały, sprawiający wrażenie obrotnego, być może marynarz; trzeci z wytrzeszczonymi oczyma, niechlujny, Cygan albo włóczęga. Litery nazwisk zlewały się ze sobą...

I na koniec plik papierów, które, gdy je przekartkował, okazały się sześcioma kompletami dokumentów, zawierających po pięć albo sześć spiętych kartek, zapisanych ołówkiem albo piórem, różnymi charakterami pisma — jeden był schludny, drugi niepewny, trzeci dziki i desperacki, ale w nagłówku pierwszej strony zawsze widniało to samo zapisane elegancką cyrylicą słowo: ZEZNANIE.

Kelso poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku w wiejącym

od drzwi mroźnym przeciągu.

Odłożył na miejsce papiery i cofnął się z uniesionymi lekko dłońmi, jakby chciał je od siebie odsunąć; w progu obrócił się, zbiegł po schodach i usiadł na zniszczonej desce. Kiedy podniósł do oczu lornetkę i omiół nią skraj polany, zorientował się, że cały się trzęsie.

Siedział tam przez kilka minut, starając się uspokoić. W końcu przyszło mu do głowy, że powinien wrócić do środka i zanotować nazwiska, żeby móc je potem sprawdzić — rozsądna, racjonalna reakcja godna poważnego

343

naukowca, który nie może popadać w histerię i wyciągać przedwczesnych wniosków.

Upewniwszy się zatem po raz dwudziesty, że na polanie nie ma żywej duszy, wszedł z powrotem do środka, pochylając głowę w niskim wejściu i zobaczył najpierw opartą o ścianę strzelbę, a polem Rosjanina, który siedział przy stole, bacznie go obserwując.

„Posiadł w wysokim stopniu dar milczenia”, pisał jego sekretarz, „i pod lyni względem był kimś wyjątkowym w kraju, gdzie wszyscy gadają zdecydowanie zbyt wiele...”.

Był w pełnym umundurowaniu, płaszczu i czapce. Przypięta do klapy złota gwiazda <>rdcu Bohatera Związku Radzieckiego lśniła w przyćmionym świetle lampy naftowej.

Jak on to zrobił?

— Towarzyszu... — wyjąkał Kciso, przerywając ciszę. — Jestem zaskoczony... szukałem was... chciałem... — Z trudem rozpiął suwak kurtki i wyjął teczkę. — Chciałem wam zwrócić papiery waszej matki, Anny Michajłownej Safianowej...

Czas stanął w miejscu. Minęło pół minuty, potem minuta.

— Dobrze, towarzyszu — powiedział wreszcie cicho Rosjanin i zanotował coś na leżącej przed nim kartce.

Wskazał ręką stół. Kelso zrobił krok do przodu i położył na nim teczkę niczym ofiarę, którą składa się, by przebłagać jakieś nieobliczalne i mściwe bóstwo.

Po raz kolejny zapadło nie kończące się milczenie.

— Kapitalizm to złodziejstwo — stwierdził w końcu Rosjanin, odkładając ołówek i sięgając po fajkę. — A imperializm jest najwyższą formą kapitalizmu. Z tego wynika, że imperialista jest największym złodziejem ze wszystkich przedstawicieli rodzaju ludzkiego. Kradzież czyichś papierów to dla niego fraszka. Wyciągnie człowiekowi z kieszeni ostatnią kopiejkę. Albo ukradnie mu łódź, prawda, towarzyszu?

Mrugnął do Anglika, po czym nie odrywając od niego wzroku, zapalił zapalniczkę, przytknął ją do fajki i zaczął zasysać powietrze, wypuszczając z główki kłęby dymu i ognia.

— Zamknijcie z łaski swojej drzwi, towarzyszu.

344

* Zaczynało się ściemniać.

Jeśli zostaniemy tu na noc, pomyślał Kelso, **już nigdy nie** opuścimy tego miejsca.

Gdzie, do diabła, podziewał się O'Brian?

— Trzeba sobie w związku z tym zadać zasadnicze pytanie, towarzyszu — podjął Rosjanin. — Jak się bronić przed tymi kapitalistami, tymi imperialistami, tymi złodziejami? I odpowiedź na to zasadnicze pytanie musi być równie

zasadnicza. — Zgasił zapalną jedną ręką i pochylił się do przodu. — Możemy się obronić przed tymi kapitalistami, tymi imperialistami, tymi śmierdzącymi, skradającymi się złodziejami całej ludzkości, tylko zachowując najwyższą czujność. Weźmy na przykład tych Norwegów z chytrymi uśmiezkami na twarzach. Przypełzli tutaj na swoich brzuchach, niczym gnidy, żeby „zapytać o drogę, towarzyszu!” Wybrali się na „pieszą wędrowkę”!

Pomachał otwartymi paszportami przed oczyma Anglika i Kelso po raz drugi zobaczył twarze dwojga młodych ludzi. Chłopak miał na włosach psychodeliczną opaskę.

— Czy jesteśmy aż takimi głupcami, takimi zacofanymi prymitywami, żeby nie rozpoznać zakradającego się między nas kapitalistyczno-imperialistycznego złodzieja i szpiega? Nie, towarzyszu, nie jesteśmy aż takimi zacofanymi prymitywami! Podobnym ludziom udzielamy twardej lekcji socjalistycznej rzeczywistości. Mam przed sobą ich zeznanie. Z początku się wypierali, ale potem przyznali do wszystkiego... i nie musimy już o nich mówić. Znaleźli się tam, gdzie przepowiedział Lenin: na śmietniku historii. Tak samo nie musimy nic mówić o nim — dodał, machając dowodem osobistym starszego mężczyzny. — Ani o nim! Ani o nim! — Przed oczyma Anglika mignęły twarze ofiar. — Oto nasza stanowcza odpowiedź na zagrożenie, które stwarzają wszyscy kapitaliści, imperialiści i śmierdzący złodzieje.

Odchylił się do tyłu ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i ponurym uśmiechem.

Strzelba znajdowała się prawie w zasięgu ręki Anglika, ale nie poruszył się. Mogła nie być załadowana. Jeśli nawet była załadowana, nie wiedział, jak z niej strzelić. I gdyby

345

nawet strzelił, wiedział, że nigdy nie zdoła zranić Rosjanina; ten człowiek wydawał się obdarzony nadprzyrodzoną mocą. Chwilę wcześniej był gdzieś z przodu, chwilę później pojawiał się za twoimi plecami; chwilę wcześniej krył się w lesie, chwilę później siedział przy stole, przeglądając swoją kolekcję zeznań i czyniąc okazjonalne notatki.

- Najgorsza jest jednak — stwierdził po chwili Rosjanin — zaraza prawicowego odchylenia. — Hałaśliwie cmokając, zapalił ponownie fajkę. — Pierwszy uległ jej Gołub.

- Pierwszy uległ jej Golub - powtórzył odrętwiały Kelso.

Przypomniał sobie rząd krzyży: T. J. Gołub, wydrapana twarz, zmarł w listopadzie 1941.

Istota sukcesu Stalina była naprawdę bardzo prosta, pomyślał, oparta na odkryciu, które można zredukować do czterech słów: ludzie boją się śmierci.

— Gołub pierwszy uległ klasycznym kapitulackim tendencjom prawicowego odchylenia. Byłem wtedy oczywiście jeszcze dzieckiem, ale wciąż dźwięczy mi w uszach jego skamlenie: „Och, towarzysze, w wioskach mówią, że zwłoki towarzysza Stalina zostały usunięte z należącego mu miejsca obok Lenina! Och, towarzysze, co my teraz zrobimy? Sprawa jest beznadziejna, towarzysze. Przyjdą tutaj i wszystkich nas pozabiją! Czas, żebyśmy się poddali!”. Widzieliście kiedyś rybaków, kiedy na wielkiej rzece zanoszą się na sztorm? Ja widziałem ich wiele razy. W obliczu niebezpieczeństwa część rybaków mobilizuje wszystkie siły, dodaje odwagi swym

towarzyszom i śmiało płynie na spotkanie burzy: „Odwagi, chłopcy, trzymajcie mocno ster, ustawcie dziób przodem do fali, damy sobie radę!”. Ale jest też inny rodzaj rybaków; ci, widząc sztorm, tracą ducha, zaczynają biadolić i demoralizować własne szeregii: „Co za nieszczęście, zbliża się sztorm; połóżmy się, chłopcy, na dnie łodzi i zamknijmy oczy; miejmy nadzieję, że dopłyniemy jakoś do brzegu”.

Rosjanin splunął na podłogę.

— Czyżyków zabrał go tej samej nocy do ciemnego lasu. Nazajutrz rano wyrósł tam krzyż. Taki był koniec Gołuba

346

i to położyło kres biadoleniom prawicowych oportunistów... nawet ta stara jędza, jego żona, nabrała wody w usta. Potem przez kilka lat trwała dalej wytężona praca, prowadzona pod czterema hasłami: pod hasłem walki z defetyzmem i samozadowoleniem, pod hasłem walki o samowystarczalność, pod hasłem konstruktywnej samokrytyki jako fundamentu naszej Partii oraz pod hasłem wykuwania stali w ogniu. Następnie doszło do sabotażu.

- No tak — mruknął Kelso. — Sabotaż. Oczywiście.

- Zaczęło się od zatrucia jesiotra. Nastąpiło to zaraz po procesie zagranicznych szpiegów. Późnym latem. Wyszliśmy któregoś dnia na brzeg, a one pływały białymi brzuchami do góry. Wkrótce potem odkryliśmy, że z wnyków zniknęła przynęta, a mimo to nie złapało się żadne zwierzę. Grzyby uschły i do niczego się nie nadawały. W ciągu całego roku zebraliśmy ich ledwie jeden pud... to też nie zdarzało się nigdy przedtem. Nawet jagody przy długim na dwie wiorsty trakcie opadły, nim zdążyliśmy je zerwać. Dyskutowałem poufnie na temat kryzysu z towarzyszem Czyżykowem... byłem już starszy, rozumiecie, i mogłem się *do* czegoś przydać... i obaj doszliśmy do tego samego wniosku: mieliśmy do czynienia z klasycznym przykładem trockistowskiego szkodnictwa. Kiedy złapaliśmy Jeżowa, jak wychodził po godzinie policyjnej z latarką w ręku, sprawa była jasna.

Rosjanin podniósł gruby plik ledwie czytelnych kartek i uderzył nimi w stół.

- Oto jego zeznanie. Możecie zobaczyć, wszystko własnoręcznie napisał: jak odbierał sygnały latarką od swoich wrednych współników, z którymi nawiązał kontakt, łowiąc ryby.

-] co się stało z Jeżowem?

— Wdowa po nim powiesiła się. Mieli dziecko. — Rosjanin odwrócił wzrok. — Nie wiem, co się z nim stało. Teraz wszyscy już oczywiście nie żyją. Nawet Czyżyków.

Znowu zapadło milczenie. Kelso czuł się jak Szeherazada: póki podtrzymywał rozmowę, istniała jakaś szansa. Śmierć czaiła się w ciszy.

— Towarzysz Czyżyków... — zaczął. — Musiał być... —

347

o mało nie powiedział „potworem” — wspaniałym człowiekiem?

- Był przodownikiem pracy. Stachanowcem, żołnierzem i myśliwym, czerwonym ekspertem i teoretykiem najwyższej próby. — Rosjanin przymknął powieki. Jego głos zniżył się do szeptu. — Jak on mnie bił, towarzyszu. Bił tak mocno, że płakałem krwawymi Izami. Realizował instrukcje wydane w kwestii mojego wychowania przez najwyższe organy: „Od

czasu do czasu macie sprawić mu niezłe manto!". To on uczynił mnie tym, kim jestem.

- Kiedy zmarł towarzysz Czyżyków?
- Przed dwiema zimami. Był już wtedy niezgrabny i półślepy. Wpadł w jedną / własnych pułapek. Rana zrobiła się czarna. Cała noga zrobiła się c/arna i śmierdziała jak robaczywe mięso. Popadł w delirium. Szalał. W końcu błagał nas, żebyśmy zostawili go na noc na śniegu. Psia śmierć.
- A jego żona? Zmarła zaraz połem?
- Po tygodniu.
- Musiała być dla was jak matka?
- Owszem. Ale była już stara. Nie mogła pracować. To nie było łatwe... ale trzeba to było zrobić.

Nigdy nie kochał żadnej ludzkiej istoty, stwierdził jego szkolny kolega, Iremaszwili. — Nie był zdolny do litości dla człowieka ani zwierzęcia i nigdy nie widziałem, żeby płakał...

To nie było łatwe...

Trzeba było to zrobić...

Rosjanin otworzył jedno żółte oko.

— Nie możecie usiedzieć w miejscu, towarzyszu. Widzę to.

Kelso poczuł, że zaschło mu w gardle. Spojrzał na zegarek.

— Zastanawiałem się, co się dzieje z moim kolegą...

Minęło już ponad pół godziny, odkąd zostawił O'Briana przy rzece.

— Z Jankesem? Dam wam dobrą radę, towarzyszu. Nie ufajcie mu. Przekonacie się.

Ponownie mrugnął, przyłożył palec do ust, po czym wstał z krzesła i z nadzwyczajną szybkością i zwinnością ruszył przez izbę — w jego ruchach była prawdziwa gracia; zdawało

348

się, że podeszwy butów prawie nie stykają się z deskami. Otworzył na oścież drzwi i zobaczyli, że w progu stoi O'Brian.

Później Kelso zastanawiał się, co mogło się wówczas wydarzyć. Może wszystko potraktowane zostało jako świetny żart? (*Odmrożcie sobie uszy, strzygąc nimi na tym zimnie, towarzyszu!*). A może O'Brian podzieliłby los innych intruzów zmuszonych do złożenia zeznania w miniaturowym stalinowskim państwie?

Spekulacje na temat tego, co mogło się wydarzyć, okazały się jednak bezprzedmiotowe, ponieważ Rosjanin wciągnął nagle brutalnie O'Briana do chaty, po czym stanął sam w otwartych drzwiach z przechyloną głową i rozchyłonymi nozdrzami, węsząc i nasłuchując.

Suworin nie zobaczył nawet smugi dymu. Dostrzegł ją major Kretów.

Przyhamował, pokazał ją innym, po czym wrzucił jedynekę i przejechali powolutku kilkaset metrów aż do miejsca, gdzie od drogi odchodził trakt. W jego połowie widać było zarys białego dachu toyoty, odznaczający się wyraźnie na tle ciemnych drzew.

Kretów zatrzymał się, cofnął kilka metrów i nie gasząc silnika, obserwował przez chwilę trakt. Następnie skrzył ostro kierownicą i wielki pojazd zjechał z drogi i potoczył się wąską ścieżką. Stanęli zaledwie kilka kroków od pustej toyoty. Kretów zgasił silnik i Suworin ponownie usłyszał tę nienaturalną ciszę.

— Jakie są dokładnie pana rozkazy, majorze? — zapytał. Kretów otwierał drzwiczki pojazdu.

— Mam rozkaz uczynić to, co podpowiada zwykły rosyjski zdrowy rozsądek. „Zakorkować z powrotem butelkę w najwęższym miejscu”.

Zeskoczył z łatwością na śnieg, sięgnął po swój AK-74, schował do kurtki zapasowy magazynek i sprawdził pistolet.

- I tu jest to najwęższe miejsce? — zapytał Suworin.
- Może pan tu po prostu zostanie i pogrzeje sobie tyłek?

To nie zajmie nam dużo czasu. „-“

349

— Nie zamierzam uczestniczyć w żadnych nielegalnych działaniach — ostrzegł go Suworin.

Te słowa zabrzmiały absurdalnie sztywno i oficjalnie, nawet w jego własnych uszach. Kretów nie zwrócił na nie w ogóle uwagi. Razem ze swoimi ludźmi ruszał już w drogę.

— Oszczędźcie przynajmniej cudzoziemców! — zawołał za nimi Suworin.

Przez kilka chwil siedział, wpatrując się w plecy idących tyralierą trzech żołnierzy. A polem, klnąc pod nosem, pchnął przednie siedzenie i przecisnął się, - przez otwarte drzwi. Kabina znajdowała się bardzo wysoko. Zeskakując na ziemię, usłyszał trzask dartego materiału i poczuł, że coś ciągnie go do tyłu. Zaczepił podszewką płaszcza o kawałek metalu. Ponownie zaklął i uwolnił się.

Trudno było dotrzymać kroku pozostałym trzem. Byli w dobrej formie, on nie. Mieli na nogach wojskowe obuwie, on półbuty ze skórzanymi podeszwami. Miał kłopoty z utrzymaniem równowagi i nic dogoniłby ich, gdyby się nie zatrzymali się, żeby zbadać coś, co leżało przy drodze.

Kretów wygładził zmiętą żółtą kartkę i obejrzał ją z jednej i drugiej strony. Była nie zapisana. Zmiał ją z powrotem i rzucił na ziemię. Wcisnął do ucha podobny do aparatu słuchowego mały nadajnik w kolorze ciała, po czym wyjął z kieszeni czarną kominiarkę i nałożył ją sobie na głowę. Inni zrobili to samo. Ich dowódca wskazał dłonią las, wykonał gest naśladujący krojenie i ruszyli dalej: Kretów pierwszy, trzymając przed sobą pistolet maszynowy, co kilka sekund się oglądając, kucając to tu, to tam, gotów w każdej chwili przesyć pnie pociskami; za nim jeden żołnierz, a potem drugi, obaj zachowujący te same środki ostrożności, z twarzami, które w kominiarkach wyglądały jak trupie czaszki; i na samym końcu Suworin w cywilnym ubraniu, potykając się i ślizgając, pod każdym względem absurdalny.

Rosjanin zamknął spokojnie drzwi, wziął do ręki strzelbę, wysunął spod stołu drewnianą skrzynię i napełnił kieszenie

350

nabojami. Następnie w ten sam niespieszny sposób zrolował dywanik, uniósł klapę i zeskoczył niczym kot do piwnicy.

— Sprawa pokoju leży nam na sercu i zawsze będziemy jej bronić — oświadczył. — Ale nie boimy się gróźb i jesteśmy gotowi odpowiedzieć wojennym podżegaczom uderzeniem na uderzenie. Ci, którzy próbują nas zaatakować, spotkają się z miażdżącą odprawą i oduczą się wciskać swoje świńskie ryje do sowieckiego ogródka. Rozłóżcie z powrotem dywan,

towarzyszu — dodał, po czym zniknął, zamykając za sobą kłapę.

O'Brian spojrział na deski podłogi, a potem na Anglika.

- Co się tu, kurwa...?
- A ty gdzieś się, do cholery, podziewał? — Kelso złapał teczkę i wsadził ją z powrotem pod kurtkę. — Nie przejmuj się nim — powiedział, rozwijając z powrotem dywan. — Po prostu się stąd wynośmy.

Ale zanim którykolwiek z nich ruszył się z miejsca, w oknie chaty pojawiła się trupia czaszka — dwoje okrągłych oczu i szpara na usta. Kopnięte butem drzwi poszły w drzazgi.

Kazano im stanąć pod ścianą — popchnięto pod ścianę zbitą z surowych desek — i Kelso poczuł, jak w kark wbija mu się chłodny metal. O'Brian nie zareagował dość szybko, w związku z czym jeden z mężczyzn walnął jego czołem o deskę, żeby nauczyć go dobrych manier i przy okazji podstaw języka rosyjskiego.

Ręce w nadgarstkach skrupowano im za plecami cienką plastikową linką.

— Gdzie jest ten trzeci? — ryknął mężczyzna, podnosząc kolbę automatu.

- Pod podłogą! — wrzasnął O'Brian. — Powiedz im, Fluke, że jest pod pierdoloną podłogą!
- Jest pod podłogą — odezwał się po rosyjsku kulturalny głos, który wydawał się Anglikowi znajomy.

Ciężkie buty zatupały po sosnowych deskach. Kelso obejrzał się i zobaczył, że jeden z zamaskowanych mężczyzn celuje z pistoletu maszynowego w dół i jakby od niechcenia

351

naciska spust. W zamkniętym pomieszczeniu huk był ogłuszający i Anglik odruchowo zmrużył oczy. Kiedy je otworzył, mężczyzna cofał się, prując równymi rzędami pocisków w podłogę. Broń podskakiwała w jego rękach niczym pneumatyczny świder. Drzazgi leciały na wszystkie strony, odbijając się rykoszetem i Kelso poczuł, jak coś uderza go z boku głowy, tuż pod uchem. I> karku zaczęła mu płynąć krew. Odwrócił głowę w cli uga słronę i przycisnął policzek do ściany. Hałas umilkł i rozległ się trzask wymienianego magazynku. Po chwili kolejna seria i w końcu cisza. Coś runęło na podłogę W powietrzu unosiła się woń kordytu. Dym gryzł w oczy. Kiedy Kelso je znowu otworzył, zobaczył jasnowłosego agenta z Moskwy, |>o(rzasającego z niesmakiem głową.

Mężczyzna, który strzelał, odsunął stopą porwany w strzępy dywan i podniósł kłapę. Oświetlił latarką kłęby unoszącego się kurzu, po czym zeskoczył na dół i zniknął. Słyszeli, jak przechodzi pod ich nogami. I'o Irzydziestu sekundach pojawił się ponownie w drzwiach chaty, ściągając z twarzy kominiarękę.

— Wyszedł na zewnątrz tunelem. Niech pan ich pilnuje — powiedział, wręczając blondynowi pistolet.

A potem dał znak pozostałym dwóm i wybiegli na dwór.

Rozdział 30

Suworin cały przemókł. Zerknął w dół i zobaczył, że stoi w kałuży roztopionego śniegu. Miał mokre spodnie i dół płaszcza. Postrzępiona jedwabna podszewka ciągnęła się po podłodze. A jego buty przeciekały i były zniszczone.

Jeden ze związanych mężczyzn — reporter, nazywał się chyba O'Brian — odwrócił się i zaczął coś mówić.

— Milczeć! — rzucił z wściekłością Suworin. Odbezpieczył pistolet i machnął nim w powietrzu. — Milczeć i twarzą do ściany!

Usiadł przy stole i otarł twarz mokrym rękawem.

Kompletnie zniszczone...

Zauważył spoglądającego nań groźnie Stalina. Wziął do lewej ręki oprawioną w ramki fotografię i przechylił ją do światła. Była podpisana. Ale co tu robiły te inne rzeczy? Paszporty, dowody osobiste, fajka, stare płyty gramofonowe, koperta z puklem włosów...? Stół wyglądał, jakby ktoś ćwiczył przy nim magiczne sztuczki. Suworin wysypał włosy na dłoń i przesunął je między kciukiem i palcem wskazującym. Były suche, siwe i twarde jak szczecina. Upuścił je na podłogę i wytarł ręce o płaszczyznę. A potem położył pistolet na stole i przetarł oczy.

— Siadajcie — powiedział znużonym tonem. — Dlaczego tak stoicie?

353

W lesie zaterkotał przeciągle pistolet maszynowy.

- Wie pan co? — zwrócił się ze smutkiem do Anglika. — Naprawdę powinien pan odlecieć tym samolotem.

- Co teraz będzie? — zapytał Kclso.

Widać było, że nie mogą swobodnie usiąść. Klęczeli na podłodze przy ścianie. Ogień w piecu wygasł. Robiło się bardzo zimno. Suworin wyjął jedną z płyt z koperty i położył ją na talerzu staroświeckiego gainolbnu.

- To niespodzianka — odparł.

- Jestem akredytowanym zagranicznym dziennikarzem — zaczął O'Hian.

Ponownie zaterkotał pistolet maszynowy, a potem rozległ się głośniejszy pojedynczy strzał.

— ...z amerykańskim ambasadorem... — mówił reporter.

Suworin zakręcił szybko korbą gramofonu — wszystko,

żeby zagłuszyć dobiegający z zewnątrz hałas — i postawił igłę na płycie. Przez burzę trzasków usłyszeli orkiestrę dętą.

Kolejna seria z automatu. Ktoś krzyczał daleko, za drzewami. Dwa szybkie strzały, jeden po drugim. Krzyki umilkły.

— Oni nas zastrzelą! — wrzasnął O'Brian. — Nas też zastrzelą!

Zaczął szarpać krępującą go plastikową linkę i próbował się podnieść, ale Suworin oparł mokry but na jego piersi i pchnął go z powrotem.

— Spróbujmy... — powiedział po angielsku — przynajmniej spróbujmy zachowywać się jak cywilizowani ludzie.

Ja też nie tak to sobie wszystko wyobrażałem, chciał dodać. Mogę was zapewnić, że wcale nie marzyłem o tym, żeby przybyć do śmierdzącej nory jakiegoś szaleńca i polować na niego niczym na dzikie zwierzę. W innych okolicznościach uznalibyście mnie pewnie za zabawnego faceta.

Próbował poruszać palcem w rytm muzyki, ale nie mógł doszukać się w niej żadnej melodii. Nie miała w ogóle sensu.

— Sprowadźcie tu lepiej całą armię — powiedział Anglik — bo jeśli jest ich tylko trzech przeciwko jednemu, nie mają żadnej szansy.

354

- Nonsens — zachnął się patriotycznie Suworin. — To są nasze siły specjalne. Załatwią go. I owszem, jeśli okaże się to konieczne, przyślą tu całą armię.

- Dlaczego?

- Ponieważ pracuję dla ludzi, którzy się boją, doktorze Kelso. Niektórzy są dość starzy, by pamiętać czasy towarzysza Stalina. — Zerknął, marszcząc brwi, na gramofon. Co za kakofonia. Brzmiało to jak wycie psów. — Wie pan, jak Lenin nazwał małego carewicza, kiedy bolszewicy decydowali o losie carskiej rodziny? Nazwał chłopca „żywym sztandarem”. A jest tylko jeden sposób, dodał Lenin, uporania się z „żywym sztandarem”.

Kelso potrząsnął głową.

- Nie wie pan, co to za człowiek. Niech pan mi wierzy. Powinien go pan zobaczyć. To chory psychicznie kryminalista. W ciągu minionych trzydziestu lat zabił prawdopodobnie pół tuzina osób. Nie jest niczym sztandarem. To wariat.

- Wszyscy mówili, że Żyrinowski jest wariatem, pamięta pan? — odparł Suworin. — Jego polityka wobec państw bałtyckich miała polegać na tym, żeby zakopać odpady nuklearne wzdłuż granicy z Litwą i postawić tam gigantyczne wiatraki, które dmuchałyby co noc skażone powietrze w stronę Wilna. W wyborach w dziewięćdziesiątym trzecim dostał dwadzieścia trzy procent głosów.

Nie mógł już ani chwili dłużej znieść tej nieludzkiej muzyki.

Uniósł igłę gramofonu.

Usłyszeli pojedynczy strzał.

Suworin wstrzymał oddech w oczekiwaniu na odpowiedź z automatu.

- Być może — oznajmił z powątpiewaniem, odczekawszy dłuższą chwilę—powinienem pomyśleć o wezwaniu tej armii.

- Pozakładał pułapki — oświadczył Kelso.

- Co?

Suworin stał w progu, usiłując przebić wzrokiem szarówkę. Zajrzał z powrotem do chaty. Przed wyjściem przywiązał ich sznurem do zimnego pieca.

- On pozakładał pułapki. Niech pan patrzy pod nogi.
- Dziękuję. — Suworin postawił stopę na najwyższym schodku. — Jeszcze tu wróć.

Jego plan — i było to dobre słowo, podobało mu się, jak brzmiało: jego *plan* — polegał na tym, żeby dotrzeć do pługu śnieżnego i wezwać posiłki. Ruszył więc w stronę wylotu polany, jedyne stałego punktu, jaki potrafił zlokalizować. Chociaż robiło się coraz ciemniej, ślady by-

ły dość wyraźne. Znajdował się może w połowie ścieżki, gdy poczuł, a sekundę później usłyszał eksplozję: masy spadającego śniegu znaczyły przejście wędrującej przez las fali uderzeniowej. Kryształowe kaskady sypały się z wyższych gałęzi i odbijały od ziemi, zostawiając wiszące w powietrzu podobne do skroplonych oddechów białe obłoczki.

Suworin obrócił się na pięcie i trzymając w obu dłoniach pistolet, skierował lufę w stronę wybuchu.

A potem wpadł w panikę i zaczął biec — komiczna figura, pociągana za sznurki marionetka — podnosząc najwyżej, jak tylko mógł, kolana, żeby nie zapaść się w kopnym śniegu. Kurczowo łapał oddech.

Tak bardzo bał się zatrzymać, że o mało nie potknął się o pierwsze ciało.

To był jeden z żołnierzy. Wpadł w potrzask — wielki potrzask, chyba na niedźwiedzia — tak duży i mocno napięty, że jego szczęki wbiły mu się w kość nad kolanem. Na ubitym wokół śniegu było mnóstwo krwi, krwi ze zmiażdżonej nogi i z wielkiej rany na głowie, która ziała z tyłu kominiarki niczym drugie usta.

Kilka kroków dalej trafił na zwłoki drugiego żołnierza. W przeciwieństwie do swego kolegi, leżał na plecach z rozpostartymi rękoma i nogami ułożonymi w kształcie cyfry cztery. Na piersi miał kałużę krwi.

Suworin odłożył pistolet, zdjął rękawiczki i choć wiedział, że to nie ma sensu, sprawdził puls obu mężczyzn, odwijając grube warstwy odzieży, by dotrzeć do ich ciepłych martwych nadgarstków.

Jak udało mu się złapać w pułapkę obydwu?

356

Rozejrzał się dookoła.

Prawdopodobnie tak: zastawił pułapkę na ścieżce, zakopał ją w śniegu i zwił ich tam; pierwszy mężczyzna jakoś ją minął, drugi nie — wtedy usłyszeli krzyk. Pierwszy mężczyzna odwrócił się, żeby pomóc, i zobaczył przed sobą tego, kogo ścigali. To było sprytne; tego się nie spodziewali. Pierwszy oberwał od razu kulą w pierś, a drugi został zabity bez pośpiechu, w katowskim stylu, strzałem w tył głowy z bliskiej odległości.

Zabójca zabrał następnie ich AK-74.

Cóż to było za monstrum?

Suworin uklęknął przy pierwszym żołnierzu, ściągnął mu z głowy kominiarkę, zabrał słuchawkę i wcisnął ją do własnego ucha. Wydawało mu się, że coś słyszy. Jakiś szum. Odnalazł mały mikrofon przymocowany do lewego mankietu zabitego.

— Kretów? — szepnął. — Kretów?

Słyszał jednak tylko własny głos.

A potem znowu rozległy się strzały.

Ogień płonął za drzewami niczym czerwony świt i kiedy Suworin wyszedł na trakt, czuł żar palącego się śnieżnego pługu nawet z odległości stu metrów. Musiał wybuchnąć bak i infernalne płomienie stopiły całą zimę dookoła. Pojazd płonął pośrodku sprowadzonej przez siebie skwarnej wiosny.

Słychać było strzały, ale to nie był ostrzeliwujący się

Kretów. To wybuchły leżące w szoferce skrzynie z amunicją. Kretów siedział zgięty wpół przy RP46 pośrodku traktu, tak samo martwy jak jego towarzysze. Wyglądało na to, że zginął, próbując ustawić karabin maszynowy. Zamontował go na dwójnogu, ale nie zdążył otworzyć pojemnika z amunicją.

Suworin podszedł bliżej, dotknął jego ramienia i Kretów przewrócił się. Jego szare oczy były otwarte, na szerokiej różowej twarzy malował się wyraz zaskoczenia. Suworin nie zobaczył żadnej rany, przynajmniej na pierwszy rzut

oka. Może bohaterski major Specnazu skonał po prostu ze strachu?

Kolejny dobiegający z pożaru wybuch sprawił, że podniósł wzrok i zorientował się, że obserwuje go ubrany w mundur i czapkę generalissimusa towarzysz Stalin.

Gensek stał kilkadziesiąt metrów od niego, przy płonącym pługu. Lewą rękę opierał na biodrze, w prawej trzymał prawie niedbale strzelbę. „Kyo cień, nieproporcjonalnie długi w stosunku do krępego torsu, tańczył i migotał na topiącym się śniegu.

Suworin miał wrażenie, że serce stanęło mu w gardle. Spojrzeli na siebie. A potem Stalin zaczął maszerować w jego stronę. Maszerować — tak właśnie można było określić sposób, w jaki szedł: szybko, lecz bez pośpiechu, kołysząc rękoma, lewa prawa, lewa prawa, przypatrzcie mi się dobrze, towarzyszu, oto nadchodzę!

Suworin sięgnął do kieszeni po pistolet i uświadomił sobie, że zostawił go w lesie, przy pierwszych dwóch zabitych.

Lewa prawa, lewa prawa — żywy sztandar, defilujący po śniegu...

Suworin nie śmiał na niego dłużej patrzeć. Wiedział, że jeśli nie oderwie od niego wzroku, nie zdoła się w ogóle ruszyć.

— Dlaczego macie taką niewyraźną minę, towarzyszu? — zawołał zbliżający się mężczyzna. — Dlaczego nie spojrzycie towarzyszowi Stalinowi prosto w oczy?

Suworin przekręcił lufę RP46, starając przypomnieć sobie, czego nauczył się przed dwudziestu laty podczas przymusowego szkolenia wojskowego na jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi strzelnicy na obrzeżach Witebska. „Odbezpiecz broń, przesuwając do tyłu rękojeść zamka. Odsuń do tyłu podstawę celownika i unieś pokrywę podajnika. Umieść taśmę, otwartą stroną do góry, na prowadnicy podajnika tak, by pierwszy nabój zetknął się z oporą naboju lufy. Pociągnij za spust i broń wystrzeli...”.

Zamknął oczy, nacisnął spust i karabin maszynowy skoczył w jego rękach, posyłając kilka tuzinów kul w stojącą w odległości dwudziestu metrów brzozę.

358

h. Kiedy ośmiesz się ponownie? Kiedy zniknął Stalin zniknął. ;

Jeśli Suworina nie zawodziła pamięć, taśma amunicyjna RP46 zawierała dwieście pięćdziesiąt naboju, które karabin wyrzucał z siebie z szybkością, powiedzmy, sześćuset naboju na minutę. Biorąc pod uwagę, że wystrzelił już kilka-

dziesiąt naboń, mógł prowadzić ciągły ogień przez niespełna trzydzieści sekund, kryjąc nim las i trakt w trzystu sześćdziesięciu stopniach, przy zapadającej nocy i temperaturze, w której nie powinien przeżyć dłużej niż dwie godziny.

Musiał wydostać się na otwartą przestrzeń, to nie ulegało kwestii. Nie mógł kręcić się w kółko niczym spętany w pułapce na tygrysa kozioł, próbując dojrzeć coś w mroku między drzewami.

Przypomniał sobie, że na samym końcu traktu stoją jakieś porzucone drewniane chaty. Mógł się tam schronić. Musiał poczuć za plecami jakąś ścianę, musiał się chwilę zastanowić.

W lesie zawył wilk.

Odłączył dwójnog od karabinu maszynowego i zarzucił na jedno ramię długą lufę, a na drugie taśmę z amunicją. Stopy zapadły mu się głębiej w śnieg, a kolana o mało nie ugięły się pod ciężarem.

Ponownie odezwało się głośnie wycie. To wcale nie wilk, pomyślał. To był człowiek — człowiek, który wydawał z siebie triumfalny okrzyk — zew krwi.

Posuwał się z trudem traktem, oddalając od płonącego śnieżnego pługu i przez cały czas czuł, że ktoś idzie lasem równoległe do niego, dotrzymując mu bez trudu kroku i śmiejąc się z jego niezdarnych prób ucieczki. Ten ktoś bawił się z nim w kotka i myszkę. Pozwolił mu przejść kilka kroków, a potem zastrzelił.

Dotarł w końcu do porzuconej osady i powlókł się do najbliższej chaty. Okna były wybite, brakowało drzwi i połowy dachu, w środku unosił się smród. Suworin rzucił na ziemię karabin i popęzł w kąt, a potem odwrócił się i wciągnął

za sobą broń. Oparł się plecami o ścianę, wyciszył się i zaciął palec na spuście.

359

Kelso usłyszał potężną eksplozję, strzały, a potem, po dłuższej przerwie, terkot o wiele cięższej broni. Razem z O'Brianem podnieśli się już z podłogi i starali się gorączkowo przeciąć sznur, którym przy wiązani byli do komina piecyka. Każdy dobiegający z lasu hałas wzmagał ich desperackie wysiłki. Cienka plastikowa linka wrzynała się w nadgarstki, palce były śliskie od krwi.

Krew była także na Rosjaninie, kiedy pojawił się w progu. Zobaczyli ją, gdy do nich podszedł — rozsmarowaną na twarzy, na czole i obu policzkach, niczym u łowcy, który umazał się posoką upolowanej zwierzyny.

• Sukcesy zawróciły nam w głowie, towarzysze — oznajmił. — Trzech nie żyje. Został tylko jeden. A może jest ich więcej?

• Więcej jest już w drodze.

• Ilu?

• Pięćdziesięciu — odparł Kelso, szarpiąc sznur. — Stu. Musimy stąd uciekać, towarzyszu. W przeciwnym razie wszystkich nas pozabijają. Nawet wy nie zdołacie pokonać tak wielu. Mają tu zamiar wysiać całą armię.

Według zegarka Suworina minęło około piętnastu minut. Temperatura obniżała się wraz z zapadającym zmierz-

chem. Jego ciało zaczęło drżeć z zimna — nieustanny gwałtowny dygot, którego nie potrafił opanować.

— No chodź — szepnął. — Chodź i skończ to, co zacząłeś. Nikt nie nadchodził.

Zdolność towarzysza Stalina do sprawiania niespodzianek była zaiste nieskończona.

Następną rzeczą, jaką usłyszał Suworin, było odległe pyknięcie i furkot.

360

Pyk-furr. Pyk-furr.

Co on takiego wyprawia?

Z początku trudno było mu się ruszyć. Stawy miał zeszywniałe z zimna, mróz przykuł mokre ubranie do desek podłogi. Mimo to dźwignął się na nogi wystarczająco szybko, by usłyszeć, że zagadkowe pyk-furr przechodzi nagle w kaszlnięcie i warkot uruchamianego motoru.

Właściwie nie motoru, lecz silnika: zewnętrznego silnika łodzi.

Przez moment zupełnie zgłupiał, a potem przypomniał sobie.

Dwadzieścia pięć kilometrów, majorze. Tuż przy rzece.

RP46 nie był ani trochę lżejszy, śnieg ani trochę płytszy, a teraz Suworin miał przeciwko sobie również zapadającą ciemność. Mimo to nie dał za wygraną. Podjął odważną próbę.

— Sukinsyn, sukinsyn, sukinsyn — mrucał w rytmie obrotów silnika, pokonując biegiem pięćdziesiąt metrów lasu, które dzieliło porzuconą rybacką osadę od rzeki.

Po chwili wybiegł na skraj skarpy, która opadała stromo ku wodzie, i potykając się, ruszył w górę rzeki. Na śniegu leżały jakieś urządzenia elektroniczne. Przy samym brzegu rzekę ściał szary lód i czarna woda była poza jego zasięgiem — wielka woda: nie widział drzew po drugiej stronie. Mała łódź zbliżała się już do środka nurtu i właśnie skręcała, wycinając w ciemności wielki biały pokos wodnego pyłu. W środku widział trzy skulone postaci. Jedna próbowała chyba wstać, ale druga pociągnęła ją w dół.

Suworin ukląkł na śniegu, zsunął z ramienia karabin maszynowy i zaczął majstrować przy zamku, usiłując zatrzasnąć pokrywę na taśmie z amunicją, która jak na złość się zacięła. Gdy mu się w końcu udało i broń była gotowa do strzału, łódź zniknęła za zakrętem rzeki i teraz tylko ją słyszał.

Odłożył karabin i zwiesił głowę.

Obok niego, niczym wysłana na wrogą planetę kosmiczna

361

sonda, stała satelitarna antena wycelowana w zacierający się horyzont po drugiej stronie Dwiny. Jeden zespół kabli łączył ją z samochodowym akumulatorem, drugi z niewielką szarą skrzynką opatrzoną napisem „Transportable Video & Audio Transmission Terminal”. Na jego oczach rząd zer na cyfrowym wyświetlaczu zamigotał, przygasł i zniknął.

Ogarnęło go przejmujące poczucie pustki. Kucając na piętach, miał wrażenie, że jakaś złowroga siła wymknęła się

stąd i uciekła na zawsze — przecinająca mrok kometa.

Przez jakąś minucę słuchał oddalającego się warkotu silnika, a potem pozostał sam w grobowej ciszy.

Rozdział 3 I

Postacią, którą Suworin widział, jak podnosi się w łódce, był O'Brian — *mój sprzęt*, wrzeszczał, *moje taśmy!* — a mężczyzną, który pociągnął go w dół, Kelso — *zapomnij o swoim cholernym sprzęcie, zapomnij o taśmach*. Przez chwilę łódź niebezpiecznie się chybotwała i Rosjanin przeklął ich obu, a potem reporter jęknął, siadł szybko z powrotem i złapał się rękoma za głowę.

Kiedy oddalali się od brzegu, Kelso nie zobaczył na nim nikogo. Widział tylko niebo pulsujące czerwienią w miejscu, gdzie paliło się coś dużego, a potem bardzo szybko zorza zgasła za zakrętem rzeki i czuł już tylko prędkość, z jaką płynęli — wibrację silnika i szybki nurt, który niósł ich w dół rzeki.

Rozumował teraz z wielką jasnością; cała reszta była nieistotna, wszystko ograniczało się do tego jednego celu: jak przetrwać. Najważniejsza rzecz, to jak najszybciej oddalić się z tego miejsca. Nie wiedział, ilu ludzi zostawili tam przy życiu; mogli mieć jedynie nadzieję, że grupa poszukiwawcza nie wyruszy przed jutrzejszym rankiem. Najgorzej byłoby, gdyby blondyn wezwał przez radio pomoc i Archangielsk został zablokowany.

W łodzi nie było wody ani jedzenia, tylko dwa wiosła, bosak, walizka Rosjanina, jego strzelba oraz mały zbiornik,

363

z którego, sądząc po zapachu, przeciekało tanie paliwo.

Było tak ciemno, że Kelso musiał przysunąć zegarek do oczu. Minęło wpół do siódmej. Pochylił się do O'Briana.

— O której, mówiłeś, odjeżdża ten pociąg z Archangielska do Moskwy?

Zrozpaczony Amerykanin nie od razu podniósł głowę.

— Dziesięć po ósmej — mruknął w końcu.

Kelso zwrócił się do Rosjanina.

— Czy możemy dopłynąć do Archangielska, towarzyszu? — zawołał, przekrzykując warkot silnika i wiatr. Bez odpowiedzi. Postukał palcem w zegarek. — Czy możemy dopłynąć w godzinę do śródmieścia Archangielska?

Rosjanin najwyraźniej go nie słyszał. Rękę trzymał na sterze i patrzył prosto przed siebie. Miał wysoko postawiony kołnierz i pod nasuniętą na czoło czapką nie widać było w ogóle jego twarzy. Kelso zawołał jeszcze raz, a potem zrezygnował. Grozą przejmowała go świadomość, iż prawdopodobnie zawdzięczają mu życie — że był teraz ich sojusznikiem — że ich los zależy od jego nieprzeniknionego umysłu.

Płynęli z grubsza na północny zachód i zewsząd kąsało ich zimno — w plecy dmuchał syberyjski wiatr, pod stopami mieli lodowatą wodę, twarze owiewał pęd powietrza.

O'Brian był niepokieszony; odpowiadał monosylabami. Na dziobie paliła się latarnia i Kelso zorientował się, że utkwił w niej wzrok: w snop żółtego światła i mętniejącą wodę, czarną i w miarę krzepnięcia coraz bardziej lepka.

Po półgodzinie znowu zaczął prószyć śnieg; wielkie płatki lśniły w mroku niczym sypiący się z nieba popiół. Co jakiś czas coś uderzało o kadłub i Kelso spostrzegł dryfujące z nurtem kry. Zima nie chciała najwyraźniej wypuścić ich ze swoich objęć i zastanawiał się, czy Rosjanin nie milczy ze strachu. Zabójców łatwo przestraszyć, być może nawet łatwiej niż innych. Połowę swojego życia Stalin przeżył w stanie przerażenia: bał się samolotów, bał się jeździć na front, nie brał niczego do ust, póki ktoś inny nie sprawdził, czy jedzenie nie jest zatrute, zmieniał ochroniarzy, trasy przejazdu, łóżka. Ktoś, kto zamordował tak wielu ludzi,

364

wie, jak łatwo dosięga człowieka śmierć. A tu mogła ich dosięgnąć bardzo łatwo, pomyślał. Mogli wpaść na lodowy zator, woda mogła zamarznąć za nimi i mogli utknąć w pułapce; pokrywa lodu będzie zbyt cienka, by ryzykować przejście po niej na brzeg, i umrą w tej łodzi, okryci dla przyzwoitości całunem śniegu.

Zastanawiał się, co pomyśla o tym ludzie. Co powie Margaret, gdy się dowie, że zwłoki jej eks-męża znaleziono w lesie ponad tysiąc kilometrów od Moskwy? A jego chłopcy? Obchodziło go to, co pomyśla: nie było mu specjalnie żal wielu rzeczy, ale żałował, że już ich nie zobaczy. Może powinien nagryzmolić dla nich rodzaj ostatniego heroicznego przesłania, niczym kapitan Scott na Antarktydzie: „Te pobieżne notatki i nasze martwe ciała muszą opowiedzieć, co się stało...”.

Odnosił wrażenie, że nie boi się śmierci tak bardzo, jak się spodziewał, co trochę go zaskoczyło, jako że nie grzeszył zbytnią fizyczną odwagą i nie wierzył w Boga. Ale ktoś, kto studiuje przez całe życie historię, musiałby być rzadkim głupcem — prawda? — gdyby przy okazji nie nabył przynajmniej pewnego dystansu do kwestii własnej śmiertelności. Być może dlatego właśnie tym się zajmował: poświęcił tyle lat, żeby pisać o zmarłych. Nigdy nie myślał o tym w ten sposób.

Próbował wyobrazić sobie nekrologi. *Nie spełnił do końca pokładanych w nim nadziei... nie opublikował znaczącego naukowego dzieła, do którego, jak sądzono niegdyś, był zdolny... być może nigdy nie zostaną wyjaśnione dziwne okoliczności jego przedwczesnej śmierci...* Artykuły wspomnieniowe będą powielaly ten sam wzór; znał ich wszystkich zgorzkniałych, dyspozycyjnych autorów.

Rosjanin dodał gazu i Kelso usłyszał, jak mruczy coś pod nosem.

Minęło kolejne pół godziny.

Kelso zamknął oczy i to O'Brian pierwszy zobaczył światła. Tracił Anglika i po sekundzie albo dwóch Kelso też je

spostregł: lampy zawieszona na dźwigach i kominach wielkich zakładów drzewnych na peryferiach miasta. Po chwili w mroku po obu brzegach rzeki pojawiły się kolejne światła

365

i nocne niebo trochę się rozjaśniło. Może jednak wyjdą z tego cało.

Twarz zdrętwiała mu z mrozu. Mówienie sprawiało trudność.

— Masz mapę Archangielska? — zapytał.

O'Brian odwrócił się s/lywno w jego stronę. Wyglądał jak budzący się do życia posąg z białego marmuru. Kiedy się ruszył, pokrywająca jego kurlkę skorupa zamrożonego śniegu popękała i okruchy spadły na dno łodzi. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni plan miasta, a Kelso zsunął się z wąskiej deski, która służyła im za siedzenie, powłókł niezgrabnie na czworakach na dziób i zbliżył plan do lampy. Przed miastem Dwina rozszerzała się: dwie wyspy dzieliły ją na trzy odnogi. Musieli trzymać się tej północnej.

Była za kwadrans ósma.

Kelso wrócił na rufę.

— Towarzyszu! — wrzasnął i pokazał ręką w prawo.

Rosjanin w ogóle nie zareagował, ale minutę później, kiedy z padającego śniegu wyłoniła się ciemna masa ładu, przesunął ster, żeby ominąć ją od północnej strony. Wkrótce potem Kelso zobaczył zardzewiałą boję, a za nią światła na tle nieba.

Przystawił zwiniętą dłoń do ucha O'Briana.

— Most — powiedział.

Amerikanin ściągnął z głowy kaptur i posłał mu pytające spojrzenie.

— Most — powtórzył Kelso. — Ten, którym jechaliśmy dziś rano.

Pokazał ręką przęsło i zaraz potem przepłynęli pod ciężką stalową konstrukcją podwójnego, kolejowo-drogowego mostu, z której zwisały stalaktyty lodu. Kelso poczuł silny odór ścieków, usłyszał nad głową dudnienie samochodów, a kiedy się obejrzał, zobaczył sunące powoli przez śnieg światła reflektorów.

Po prawej stronie zamajaczył znajomy kształt kapitanatu

366

portu z pomostem, do którego przycumowane były łodzie. Uderzyli w niewidoczną grubą krę i Kelso razem z O'Brianem polecili do przodu. Silnik zgasł. Rosjanin ponownie go zapalił, cofnął się i po chwili znalazł kanał, wycięty prawdopodobnie wcześniej przez jakąś większą jednostkę. Tu również wodę ścinał lód, ale był cieńszy i łamał się pod ciężarem ich dziobu. Kelso spojrzał do tyłu na Rosjanina. Stał teraz na rufie, wpatrując się bacznie w ciemny korytarz i sterując w stronę brzegu. Kiedy dopłynęli do pomostu, ponownie wrzucił wsteczny bieg i łódź zwolniła, a potem stanęła. Rosjanin zgasił silnik i skoczył zwinnie na drewniane deski, trzymając w ręku linę.

O'Brian, a w ślad za nim Kelso wygramolili się z łodzi. Przytupując i strzepując z siebie śnieg, próbowali przywrócić do życia skostniałe kończyny. O'Brian zaczął coś mówić o hotelu i telefonie do biura, ale Kelso przerwał mu w pół słowa.

— Żadnego hotelu. Słyszysz? Żadnego biura. I żadnego wysyłania cholernych materiałów. Wynosimy się stąd.

Mieli trzynaście minut do odjazdu pociągu.

O'Brian kiwnął głową do Rosjanina, który stał w mil-

czeniu, trzymając walizkę i nie spuszczać z nich wzroku. Teraz, gdy znalazł się na obcym terytorium, wydawał się dziwnie zagubiony — nawet bezbronny. Najwyraźniej oczekiwał, że go ze sobą zabiorą.

— Chryste wszechmogący — mruknął Kelso. W rękę trzymał otwartą mapę. Nie wiedział, co robić. — Po prostu chodźmy.

Ruszył pomostem w stronę brzegu. O'Brian pospieszył za nim.

— Masz notes?

Kelso poklepał się po kurtce.

— Myślisz, że on ma strzelbę? — zapytał O'Brian i obejrzał się przez ramię. — Cholera. Idzie za nami.

Rosjanin truchtał kilkanaście kroków za nimi, czujny i wystraszony niczym bezański pies. Zostawił chyba strzelbę

367

w łodzi. Ciekawe, w co jest uzbrojony, zastanawiał się Kelso. W nóż? Wyciągał, jak mógł najszybciej, zeszytowane nogi.

- Nie możemy go tak po prostu zostawić...

- Owszem, możemy — burknął Kelso. Uświadomił sobie, że reporter nie wie nic o norweskiej parze i innych. — Wyjaśnię ci później. Musisz mi wierzyć na słowo; nie chcemy, żeby się koło nas kręcił.

Prawie biegnąc, zeszli / . pomostu na duży autobusowy parking przed kapitanatem porlu — ponury zaśnieżony plac oświetlony kilkoma lampami. W pomarańczowym sodowym świetle wirowały płatki śniegu. Nigdzie nie było żywej duszy. Kelso zerknął na mapę i skręcił na północ. Do dworca mieli co najmniej półtora kilometra i wiadomo było, że idąc pieszo na pewno nie zdążą. Rozejrzał się dookoła. Zza rogu po prawej stronie wyjechała nagle powoli kanciasta, piaskowego koloru zabłocona łada. Kelso pobiegł ku niej, machając rękoma.

Na rosyjskiej prowincji każdy samochód jest potencjalną taksówką. Większość kierowców chce zarobić parę groszy, podwożąc na łepka pasażerów, i ten nie był wyjątkiem. Skręcił ku nim, puszczając spod kół fontannę brudnego śniegu, i opuścił szybę, jeszcze zanim stanął. Opatulony przed mrozem, sprawiał porządne wrażenie: nauczyciel albo urzędnik. Zza okularów w grubych oprawkach zamrugały do nich krótkowzroczne oczy.

- Jedziecie do sali koncertowej?

- Bądźcie tak dobrzy, obywatelu, i podwieźcie nas na dworzec — powiedział Kelso. — Dziesięć amerykańskich dolarów, jeśli zdążymy na pociąg do Moskwy.

Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi od strony pasażera, przesunął do przodu fotel, wepchnął O'Briana do tyłu i nagle zorientował się, że mają szansę pozbyć się Rosjanina, który został trochę w tyle i brnął powoli w śniegu, ze swoją walizką.

— Towarzyszu! — zawołał.

Kelso nie wahał się ani chwili. Popchnął do tyłu fotel, wsiadł do samochodu i zatrasnął drzwiczki.

— Nie chcecie...? — zaczął kierowca, spoglądając w tylne lusterko.

368

— Nie — odparł Kelso. — Niech pan jedzie.

Kiedy ruszyli, obejrzał się przez ramię. Rosjanin postawił walizkę na ziemi i patrzył za nimi wyraźnie zdezorientowany;

zagubiona w pejzażu obcego miasta postać po chwili zmaląła i zniknęła w nocy i śniegu.

- To dziwne, ale trochę mi żal tego biednego sukinsyna — mruknął O'Brian, ale Kelso czuł jedynie ulgę.
- Wdzięczność — powiedział, cytując Stalina — to choro-
roba psów.

-".^m. -
, ." H-i

Dworzec kolejowy w Archangielsku stał przy północnej pierzei wielkiego placu, naprzeciw kilku bloków mieszkalnych i kępy opierających się wicherze brzoź. O'Brian rzucił dziesięciodolarowy banknot kierowcy i wbiegli do mrocznej dworcowej hali. Siedem obitych drewnem kas biletowych z okienkami z siatki: pięć zamkniętych, do pozostałych dwóch długie kolejki, płacz dziecka. Studenci, wędrowcy z plecakami, żołnierze, ludzie w najprzeróżniejszym wieku i najprzeróżniejszych ras, całe rodziny z obwiązanymi sznurkiem tekturowymi pudłami — biegające wszędzie dzieciaki, które ślizgały się w brudnym roztopionym śniegu.

O'Brian przepchał się do przodu bliższej kolejki, rozdając dookoła dolary, grając bogatego wujka z Ameryki.

— Pani wybacz. Przepraszam. Proszę bardzo. Przepraszam. Nie mogę się spóźnić na ten pociąg.

Kelso miał wrażenie, że z rąk do rąk przechodzi cała fortuna — trzysta, czterysta dolarów, pomruki ludzi stojących dookoła. Minutę później O'Brian przecisnął się z powrotem przez tłum, wymachując dwoma biletami i pobiegli po schodach na peron.

Jeśli mieli zostać aresztowani, powinno to się zdarzyć w tym miejscu. Na peronie stało co najmniej dwunastu milicjantów, wszyscy młodzi, z odsuniętymi do tyłu czapkami — niczym wyruszający na front w 1914 roku szeregowcy carskiej armii. Przyjrzeni się bacznie biegnącym przez halę cudzoziemcom, ale było to zwyczajne groźne spojrzenie, zarezerwowane dla obcokrajowców. Nie próbowali ich zatrzymać.

369

Nie ogłoszono żadnego alarmu. Ktokolwiek reżyseruje to przedstawienie, pomyślał Kelso, gdy wyszli z powrotem na dwór, musi być przekonany, że już nie żyjemy.

Pozamykane były wszystkie drzwiczki wagonów; pociąg musiał mieć pół kilometra długości. Niskie żółte lampy, padający śnieg, obejmujące się pary, oficerowie biegający w tę i z powrotem z tanimi walizkami — Kelso miał wrażenie, że znaleźli się na jakimś rewolucyjnym *tableau* sprzed siedemdziesięciu lat. Nawet olbrzymia lokomotywa wciąż miała przyspawany z boku sierp i młot. Znaleźli swój wagon, trzeci od parowozu, i Kelso przytrzymał otwarte drzwi, podczas gdy O'Brian podbiegł do jednej ze sprzedających jedzenie babuszek. Na policzku miała brodawkę wielkości włoskiego orzecha. Amerykanin wciąż napychał kieszenie, kiedy zabrzmiał gwizdek.

Pociąg ruszył tak powoli, że z początku trudno było poznać, że się toczy. Ludzie szli za nim po peronie, chyląc głowy przed śniegiem i machając chusteczkami. Inni trzymali się za ręce przez otwarte okna. Kelso wyobraził sobie nagle odjeżdżającą stąd przed prawie półwieczem Annę Safanową — *Całuję najdroższe policzki mamy. Żegnaj się z nią, żegnaj się z dzieciństwem* — i po raz pierwszy uświadomił sobie cały smutek i tragizm tej sceny. Ludzie idący wzdłuż

peronu zaczęli biec, najpierw powoli, potem szybciej. Kelso podał O'Brianowi rękę i wciągnął go do wagonu. Pociąg przyspieszył i wkrótce dworzec zniknął im z oczu.

Rozdział 32

Kołysząc się, szli po niebieskim dywaniku, którym wysłany był wąski korytarz, aż znaleźli swój przedział — jeden z ośmiu, mniej więcej w połowie wagonu. O'Brian odsunął drewniane drzwi i weszli do środka.

Nie wyglądało to najgorzej. Za tysiąc rubli od osoby w „miękkiej” klasie rosyjskie koleje zapewniały dwie stojące naprzeciwko siebie zakurzone czerwone kuszetki, każda z białym nylonowym prześcieradłem, zrolowanym materacem oraz poduszką, laminowane drewnopodobne wykładziny, lampki z zielonymi kloszami, mały rozkładany stolik; prywatność.

Za szybą widać było przez chwilę przesuającą się kratownicę mostu, ale kiedy przejechali rzekę, w oknie, za którym szalała śnieżycą, nie zobaczyli już nic prócz własnych twarzy: wycieńczonych, zarośniętych, zmoczonych. O'Brian zasunął żółte firanki, rozstawił stolik i rozłożył na nim jedzenie: bochenek czerstwego chleba, suszoną rybę, kielbasę, saszetki herbaty. Kelso udał się na poszukiwanie wrzątku.

Poczerniały samowar stał na samym końcu korytarza, naprzeciwko przedziału *przewodnika* ich wagonu, barczystej, naburmuszonej kobiety, która w swoim niebieskoszarym mundurze przypominała obozową strażniczkę. Rosjanka zamontowała małe lustro, żeby nie ruszając się ze stołka,

mieć wszystkich na oku. Widział, że go obserwuje, gdy przystanął, żeby przestudiować wiszący na ścianie rozkład jazdy. Mieli przed sobą przeszło dwadzieścia godzin jazdy, trzynaście przystanków, nie licząc Moskwy, do której powinni dotrzeć kilka minut po czwartej po południu.

Dwadzieścia godzin.

Jakie mieli szanse przetrwać tak długo? Zaczął liczyć. Najpóźniej jutro rano w Moskwie dowiedzą się, że operacja w tajdze wzięła w łeb. Będą musieli zatrzymać jedyny pociąg, który wyjechał z Archangielska, i przeszukać go. Być może mądrzej będzie, jeśli on i O'Brian wysiądą na jakiejś wcześniejszej stacji — w Sokole, gdzie dojadą o siódmej rano, albo jeszcze lepiej w Wołodzie, która była dużym miastem. Wysiądą w Wołodzie, pójdą do hotelu i zadzwonią do amerykańskiej ambasady...

Usłyszał, jak otwierają się za nim przesuwane drzwi. Biznesmen w szykownym niebieskim garniturze wyszedł ze swojego przedziału i podreptał do ubikacji. Jego elegancja uświadomiła Anglikowi, jak dziwnie sam wygląda w ciężkiej przeciwdeszczowej kapocie i kaloszach. Ruszył szybko dalej korytarzem. Powinni jak najmniej rzucać się w oczy. Wybłągał dwa plastikowe kubki od ponurej strażniczki, nalał do nich wrzątku i niepewnym krokiem wrócił do przedziału.

Siedzieli naprzeciwko siebie, przeżuając suche nieświeże jedzenie.

Kelso oświadczył, że jego zdaniem powinni wcześniej wysiąść z pociągu.

- Dlaczego?
- Uważam, że nie możemy pozwolić, żeby nas aresztowali, zanim ludzie dowiedzą się, gdzie jesteśmy.

Reporter wbił zęby w pajdę chleba.

- Więc naprawdę sądzisz, że tam w lesie by nas zastrzelili?
- Owszem, tak sądzę.

O'Brian najwyraźniej zapomniał o swojej wcześniejszej panice. Zaczął się kłócić, ale Kelso przerwał mu niecierpliwie.

372

• Pomyśl o tym przez chwilę. Pomyśl, jakie to byłoby łatwe. Wystarczyłoby, żeby powiedzieli, że jakiś szalowiec uwięził nas w lesie i wysłali nam na ratunek siły specjalne. Mogli zaaranżować to tak, żeby wyglądało, iż to on nas zabił.

- Ale nikt by w to nie uwierzył.
- Oczywiście, że by uwierzyli. To psychopata.
- Co?
- Psychopata. Dlatego nie chciałem, by z nami jechał. Załatwił połowę ludzi, którzy leżeli na tym cmentarzu. Byli też inni.

- Inni?

O'Brian przestał jeść.

— Co najmniej pięć osób. Młoda norweska para i trzech innych biedaków, Rosjan, których jedyną winą było to, że skreślił w niewłaściwą stronę. Znalazłem ich papiery, kiedy byłem nad rzeką. Wymusił na nich wszystkich przyznanie się do szpiegostwa, a potem zastrzelił. Mówię ci, to chory człowiek. Mam nadzieję, że nie zobaczę go już nigdy w życiu. Ty też powinieneś się o to modlić.

O'Brian miał najwyraźniej trudności z przełknięciem jedzenia. Kawałki ryby utkwiły mu między zębami.

- Jak myślisz, co się z nim stanie? — zapytał cicho.
- W końcu go chyba dorwą. Zamkną cały Archangielsk, póki go nie znajdą. I szczerze mówiąc, wcale się im nie dziwię. Wyobrażasz sobie, co zrobiliby Mamantow i jego ludzie, gdyby wpadł im w ręce człowiek, który wygląda jak Stalin, mówi jak Stalin i na dodatek ma papiery, które czarno na białym wskazują, że jest synem Stalina? Nie sądzisz, że bardzo by się z tego ucieszyli?

O'Brian zgarbił się, zamknął oczy i obserwując jego zbolaną minę, Kelso poczuł, że robi mu się nieswojo. W toku wydarzeń zupełnie zapomniał o Mamantowie. Jego wzrok powędrował od O'Briana do drucianej półki na bagaż, gdzie owinięta starannie kurtką leżała teczka z notesem.

Próbował zebrać myśli, ale nie był w stanie. Umysł odmawiał mu posłuszeństwa. Minęły trzy dni, odkąd po raz ostatni porządnie się wyspał — pierwszą noc przesiedział

z Rapawą, druga zakończyła się w areszcie na komendzie moskiewskiej milicji, trzecią spędził w samochodzie jadącym na północ, do Archangielska. Ze zmęczenia bolało go

całe ciało. Zdołał tylko ściągnąć buty i położyć swoje wąskie łóżko.

— Jestem wykończony — oświadczył. — Wymyślimy coś jutro rano.

O'Brian nie odpowiedział.

W ramach skromnych zabezpieczeń Kelso zablokował drzwi.

Minęło chyba dwadzieścia minut, nim O'Brian w końcu się poruszył. Kelso odwrócony był wtedy twarzą do ściany i dryfował leniwie między jawą i snem. Słyszał, jak reporter rozsznurowuje buty, wzdycha i wyciąga się na kuszetce. Po chwili pstryknęła jego lampka i teraz mrok rozświetlała tylko blyszcząca nad drzwiami niebieska neonówka.

Długi pociąg toczył się powoli przez zaśmieconą równinę i Kelso zasnął, ale nie spał zbyt dobrze. Mijały godziny i odgłosy podróży wkradały się w jego niespokojne sny — ściszone szepty w sąsiednich przedziałach; szuranie pantofli drepczącej po korytarzu babuszki; dobiegający z daleka blaszany kobiecy głos z megafonów, gdy stawali w nocy na odległych stacjach — w Niandomie, Konoszy, Jercewie, Charowsku — wsiadający i wysiadający z pociągu ludzie; świecące przez cienkie zasłonki ostre, łukowe światło na peronach; O'Brian, który w pewnym momencie zaczął się wiercić na swoim pościeliu.

Nie usłyszał, jak otwierają się drzwi. Coś zaszeleściło w przedziale i ułamek sekundy później ciężka dłoń zacisnęła się na jego ustach. Ostrze noża dotknęło jego szyi, tam gdzie skóra podbródka spotyka się z wyniosłością krtani. Wytrzeszczył oczy i próbował usiąść, ale dłoń pchnęła go w dół. Obie ręce miał unieruchomione pod skreconym prześcieradłem. Nie widział nikogo, ale słyszał głos szepczący mu do ucha — tak blisko, że poczuł gorący, wilgotny oddech mężczyzny.

374

— Towarzysz, który opuszcza w potrzebie towarzysza, jest tchórzliwym psem, a wszystkie tchórzliwe psy powinny zginąć psią śmiercią, towarzyszu...

Nóż wbił się głębiej.

#Iva, ; ' f<b

Kelso gwałtownie się obudził — w gardle wezbrał mu krzyk, powieki zatrzepotały, cienkie prześcieradło zwinęło się i przywarło do spoconych dłoni. W kołyszącym się łagodnie przedziale nikt nad nim nie stał; granatowy mrok rozrzedzała szarówka. Słyszac ciężki oddech O'Briana, odwrócił się i przez chwilę mu się przyglądał: reporter spał z odchyłoną do tyłu głową i otwartymi ustami. Jedną ręką dotykał prawie podłogi, drugą zgiął na czole.

Minęło kilka minut, nim Kelso pozbył się uczucia paniki. Podniósł skraj zasłony i zerknął na zegarek. Myślał, że jest środek nocy, ale ku jego zaskoczeniu minęła już siódma. Przespał prawie dziewięć godzin.

Uniósł się na łokciu, odsunął trochę wyżej zasłonę i nagle zobaczył głowę Stalina, która frunęła ku niemu o bladym świetle, obok toru kolejowego. Po sekundzie głowa zrównała się z oknem i bardzo szybko zniknęła.

Wpatrywał się dalej w okno, lecz nie zobaczył nikogo

więcej: wyłącznie porośniętą zaroślami równinę i rozpięte między słupami błyszczące druty elektryczne, które wznosiły się i opadały, wznosiły się i opadały, gdy mijał je pociąg. Śnieg nie padał, ale wylaniające się z mroku niebo tchnęło wyblakłą chłodną pustką.

Uświadomił sobie, że ktoś musiał stać przy torach i trzymać portret. Portret Stalina.

Puścił firankę i postawił stopy na podłodze. Cicho, żeby nie budzić O'Briana, naciągnął kalosze, otworzył ostrożnie drzwi i spojrział najpierw w prawo, potem w lewo. Nikogo. Zamknął za sobą drzwi przedziału i ruszył do tyłu pociągu.

Zerkając cały czas przez okna, minął jeden pusty wagon, taki sam, jak ten, z którego wyszedł, a potem „miękką” klasa ustąpiła miejsca „twardej”. Warunki były tutaj o wiele

375

/'

gorsze — dwupiętrowe prycze w otwartych przedziałach po jednej stronie korytarza i rząd ustawionych wzdłuż kuszetek po drugiej. Sześćdziesiąt osób w wagonie. Wszędzie poutykany był bagaż. Niektórzy pasażerowie siedzieli, ziewając i przecierając oczy. Inni wciąż chrapali, nie zwracając uwagi na budzących się towarzyszy podróży. Ludzie stali w kolejce do śmierdzącej ubikacji. Jakaś matka zmieniała pieluszkę dziecku (w nozdrza wpadł mu kwaśny odór mlecznego kału). Palacze tłoczyli się przy otwartym oknie na końcu wagonu. Zapach papierosów bez filtra. Słodkawy chłód wpadającego z zewnątrz powietrza.

Minął cztery „twarde” wagony i stał właśnie w progu piątego, mówiąc sobie, że ten będzie ostatni — doszedł do wniosku, że musiało mu się przyśnić, za oknami nie było nikogo — kiedy zobaczył nagle kolejny portret. A raczej dwa zbliżające się portrety, jeden Stalina, drugi Lenina, trzymane wysoko przez stojącą na nasypie parę starszków. Mężczyzna przypiął do piersi medale. Pociąg zwalniał przed stacją i mógł się dobrze przyjrzeć obojgu — mieli pomarszczone, skórzane twarze, prawie brązowe, naznaczone zmęczeniem. Po kilku sekundach ujrzał, jak nagle się odwracają, odmłodzeni o wiele lat, uśmiechając się i machając do kogoś, kogo ujrzeni w następnym wagonie.

Czas zwalniał wyraźnie biegu, podobnie jak pociąg. Ubrani w pikowane kurtki robotnicy kolejowi stali, opierając się na swoich łopatach i kilofach i podnosili w salucie pięści. Pociąg wjechał na peron i w wagonie zrobiło się ciemniej. Przez metaliczny zgrzyt hamulców usłyszał niewyraźne dźwięki muzyki — to był znowu stary sowiecki hymn narodowy.

Partia Lenina!

Partia Stalina!

Chwilę później za oknem zobaczył niewielką orkiestrę w jasnoniebieskich mundurach.

Pociąg zatrzymał się z westchnieniem pneumatyki i Kelso ujrzał napis WOŁOGDA. Ludzie wiwatowali na peronie. Biegli wzdłuż pociągu. Otworzył drzwi do sąsiedniego wa-

376

gonu i nagle ujrzał przed sobą Rosjanina, wciąż ubranego

w mundur swego ojca, śpiącego na ławce, nie dalej niż kilkanaście kroków. Jego walizka wciśnięta była na półkę; inni pasażerowie odsunęli się i przyglądali mu się z szacunkiem.

Rosjanin zaczynał się budzić. Poruszył głową. Strzepnął dłonią coś z twarzy i zamrugał oczyma. Zorientował się, że go obserwują, i ostrożnie się wyprostował. Ktoś zaczął klaskać i inni poszli w jego ślady, najpierw w wagonie, a potem na zewnątrz. Ludzie na peronie przyciskali twarze do szyby, żeby go zobaczyć. Rosjanin potoczył po nich wzrokiem i strach w jego oczach ustąpił miejsca dezorientacji. Jakiś klaszczący mężczyzna uklonił mu się z uśmiechem i Rosjanin powoli odkłonił się, jakby zaczynał rozumieć dziwny zagraniczny rytuał. Po chwili zaczął sam cicho bić brawo, co zwiększyło tylko ogólny entuzjazm. Pokiwał skromnie głową i Kelso uświadomił sobie, że od trzydziestu lat musiał marzyć o tej chwili. Naprawdę, towarzysze — mówiła jego mina — jestem tylko jednym z was; prostym człowiekiem o niewyszukanych manierach, ale jeśli ubóstwianie mnie sprawia wam przyjemność...

Nie zdawał sobie sprawy, że Kelso go obserwuje — historyk był tylko jedną z wielu twarzy w tłumie — i po kilku sekundach Kelso odwrócił się i zaczął przepychać z powrotem przez ciżbę ludzi.

W głowie miał mętlik.

Rosjanin mógł wsiąść do pociągu w Archangielsku minutę albo dwie po nich — to było możliwe, jeśli poszedł w ich ślady i zatrzymał jakiś samochód. To mógł jeszcze zrozumieć.

Ale to?

Zderzył się z kobietą, która przepychała się korytarzem, taszcząc przed sobą dwie plastikowe torby, czerwoną flagę i stary aparat fotograficzny.

- Co tu się dzieje? — zapytał ją.
- Nie słyszeliście? Jest z nami syn Stalina! To cud!

Nie mogła przestać się uśmiechać. Niektóre z jej zębów były metalowe.

- Ale skąd pani o tym wie?
- Nadawali w telewizji — odparła, jakby to o wszystkim przesądzało. — Przez całą noc. A kiedy się obudziłam, wciąż go pokazywali i powiedzieli, że widziano go w moskiewskim pociągu!

Ktoś pchnął ją z tyłu i wpadła na Anglika. Ich twarze znalazły się tuż obok siebie. Próbował się odsunąć, ale ona przywarła do niego i bacznie mu się przyjrzała.

— Ale wy — zawołała — wy przecież o tym wszystkim wiecie! Byliście w telewizji i mówiliście, że to prawda! — Zarzuciła mu ciężkie ręce na ramiona. Jej torby wbijały mu się w plecy. — Dziękuję! Dziękuję wam! To cud.

Zobaczył za głową kobiety przesuwające się po peronie białe jaskrawe światło i dał nurka pod jej ramieniem. Telewizyjne jupitery. Telewizyjne kamery. Wielkie szare mikrofony. Cofający się i zderzający ze sobą kamerzyści. A pośrodku całego tego zamieszania, otoczony falangą ochroniarzy w czarnych kurtkach, kroczył śmiało na spotkanie swego przeznaczenia Władimir Mamantow.

Kilka minut trwało, nim Kelso przedarł się z powrotem przez tłum. Kiedy wszedł do przedziału, O'Brian wyglądał przez okno. Słyszając wchodzącego Anglika, szybko się odwrócił i podniósł ręce w przeproszającym geście, uprzedzając ewentualne zarzuty.

• Naprawdę nie wiedziałem, że do tego dojdzie, Fluke, przysięgam...

• Coś ty zrobił?

• Nic.

• Coś ty zrobił?

O'Brian skrzywił się.

• Nadałem materiał.

i -

• Co nadałeś?

— Nadałem materiał — powtórzył bardziej wojowniczym tonem. — Wczoraj, znad rzeki, kiedy rozmawiałeś z nim w chacie. Przyciąłem to, co nakręciłem, do trzech minut czterdziestu sekund, podłożyłem komentarz, przetworzyłem

378

na zapis cyfrowy i nadałem przez satelitę. Miałem zamiar powiedzieć ci wczoraj wieczorem, ale nie chciałem cię denerwować.

• Nie chciałeś mnie denerwować?

• Daj spokój, Fluke, nie miałem pojęcia, czy ten materiał w ogóle do nich dotrze. Mogły nawalić akumulatory. Sprzęt mógł być uszkodzony przez kule...

Kelso z trudem ogarniał umysłem, co się wokół niego działo: Rosjanin w pociągu, rozentuzjasmowany tłum, Mamantow. Zauważył, że nie wyjechali jeszcze z Wołogdy.

• Te zdjęcia... o której mogli je tutaj zobaczyć?

• Może o dziewiątej wieczorem...

*

• I jak często je puszczano? Co godzina?

; <

• Chyba tak.

• Przez jedenaście godzin? Również na innych kanałach?

Czy mogli sprzedać je rosyjskim sieciom?

• Mogli je dać, jeśli mają umowę. To świetna reklama, nie rozumiesz? Wzięły je prawdopodobnie CNN, Sky, BBC World.

O'Brian był najwyraźniej bardzo zadowolony z siebie.

— Nadali także wywiad ze mną? Na temat notesu?

Ręce znowu powędrowały w górę w obronnym geście.

• Nic o tym nie wiem. To znaczy, owszem, mają go, oczywiście. Zmontowałem go i wysłałem jeszcze przed naszym wyjazdem z Moskwy.

• Ty nieodpowiedzialny sukinsynu — wycedził powoli Kelso. — Wiesz, że w pociągu jest Mamantow?

• Tak. Właśnie go zobaczyłem. — Amerykanin wyrzwał nerwowo przez okno. — Ciekawe, co on tutaj robi?

Coś w tonie, jakim to powiedział — ledwo słyszalny fałsz: sugestia, że to dla niego nowość — sprawiło, że Kelso zeszywniał.

— To Mamantow wszystko zaaranżował? — zapytał cicho po dłuższej chwili.

O'Brian zawahał się i Kelso zdał sobie sprawę, że lekko się chwieje, niczym pijak albo bokser przed otrzymaniem ostatniego ciosu.

— Chryste wszechmogący, wrobiłeś mnie w to...

— Nie — zaprzeczył Amerykanin — to nieprawda. No dobrze, przyznaję, zadzwonił do mnie... powiedziałem mu, że spotkaliśmy się kilka razy. Ale to wszystko... odnalezienie notesu, jazda na północ... nie, to już była tylko nasza inicjatywa, przysięgam. Tylko nasza. Nie miałem pojęcia, co znajdziemy.

Kelso zamknął oczy. To był jakiś koszmar.

- Kiedy zadzwonił?
- Na samym początku. To była tylko dobra rada. Nie wspominał o Stalinie i niczym innym.
- Na samym początku?
- Wieczorem, przed tym jak zjawiłem się na sympozjum. Niech pan idzie do Instytutu Marksizmu-Leninizmu ze swoją kamerą, powiedział... wiesz, jak on się wysławia... znajdzie doktora Kelso i zapyta go, czy chce wygłosić jakieś oświadczenie. To wszystko, co powiedział. Odłożył słuchawkę. Ale jego rady są zawsze dobre, więc poszedłem. Jezu... — O'Brian roześmiał się. — Po co bym tam, twoim zdaniem, przyłączył? Żeby sfilmować paru historyków gładzących o archiwach? Daj spokój!

— Ty nieodpowiedzialny, dwulicowy skurwysynu...

Kelso dał krok w głąb przedziału i O'Brian cofnął się. Ale historyk zignorował go. Miał lepszy pomysł. Ściągnął swoją kurtkę z półki.

— Co ty robisz? — zapytał reporter.

— To, co powinienem zrobić od razu, gdybym znał prawdę. Chcę zniszczyć ten cholerny notes.

Wyciągnął teczkę z wewnętrznej kieszeni.

- Wszystko popsujesz — zaprotestował O'Brian. — Nie będzie notesu, nie będzie dowodu, nie będzie żadnej historii. Wyjdziemy na kompletnych dupków.

- Trudno. ^
- Nie wiem, czy mogę ci na to pozwolić...
- Spróbuj mnie tylko powstrzymać...

To, że się wywrócił, wynikało w równym stopniu z szoku, co z siły uderzenia. Przedział odwrócił się do góry nogami i Kelso zorientował się, że leży na plecach.

— Nie zmuszaj mnie, żebym ci znowu przywalił — ode-

380

zwał się błagalnym tonem stojący nad nim O'Brian. — Proszę cię, Fluke. Za bardzo cię lubię.

Wyciągnął do niego rękę, ale Kelso przewrócił się na bok. Nie mógł złapać oddechu. Twarz miał całą w kurzu. Pod dłońmi czuł wibracje lokomotywy. Przysunął palce do ust i dotknął górnej wargi. Lekko krwawiła. Potężne tłoki parowozu poruszyły się szybciej, tak jakby maszynistę znudziło czekanie, lecz pociąg nie ruszał z miejsca.

Rozdział 33

W Moskwie pułkownik Jurij Arseniew zmagał się ze

złośliwą technologią, trzymając słuchawkę telefonu między uchem i ramieniem i celując jednocześnie trzymanym w pulchnych dłoniach pilotem w wielki ekran stojącego w kącie telewizora. Próbując bezskutecznie zwiększyć siłę głosu, zmienił najpierw jasność, a później kontrast, i dopiero po dłuższym czasie zdołał usłyszeć, co takiego mówi Mamantow.

— ...przyleciałem z Moskwy, kiedy tylko dotarła do mnie wiadomość. Wsiadam teraz do tego pociągu, by zaoferować tej wielkiej historycznej postaci ochronę moją oraz ruchu Aurora. Wielki faszystowski uzurpator na Kremlu nie zdoła przeszkodzić nam w przywróceniu sowieckiej władzy, która należała i będzie należeć do nas...

Ostatnie dwanaście godzin przyniosło szefowi Dyrektoriatu RT wiele nieprzyjemnych niespodzianek, ale ta była najgorsza. Najpierw o ósmej wieczorem zadzwonił telefon z informacją, że dowództwo Specnazu straciło łączność z Suworinem oraz jego operującą w lesie grupą. Godzinę później telewizja zaczęła nadawać pierwsze zdjęcia mającego w swojej chatce szaleńca. *{Takie jest prawo wyzyskiwaczy: bić słabych i zacofanych. To wilcze prawo kapitalizmu...}*. Informacje, że widziano tego człowieka w pociągu

382

sypialnym do Moskwy dotarły do Jaseniewa tuż przed świtem. W Wołogdzie skoncentrowano naprędce siły milicji i MWD, żeby zatrzymać pociąg. A teraz to!

Zgarnąć człowieka pod osłoną nocy w jakiejś małej dziurze, na przykład w Konoszy lub Jercewie — to była jedna sprawa. Ale wziąć szturmem pociąg w świetle dnia, na oczach mediów, w mieście tak dużym jak Wołogda, w obecności W. P. Mamantowa i jego rwących się do bitki zbirów z Auro-ry — to było zupełnie coś innego.

Arseniew zadzwonił na Kreml.

I teraz słyszał gromkie tyrady Mamontowa dwukrotnie: raz w telewizorze we własnym gabinecie i drugi raz, ułamek sekundy później w telefonie, przefiltrowane przez urywany oddech chorego człowieka. W tle ktoś krzyczał; słysząc było odgłosy paniki i bieganiny. A potem brzęk szkła i odgłos nalewanej cieczy.

Proszę, pomyśl. Tylko nie wódka. Proszę. Nie tak wcześnie rano.

Na ekranie Mamantow odwrócił się i stanął na stopniu wagonu. Pomachał do kamer. Orkiestra grała. Ludzie bili brawo.

Matko święta.

Arseniew czuł, jak skacze mu serce i zaciskają się kanaliki oskrzeli. Każdy oddech przypominał wsysanie błota przez słomkę.

Strzyknął sobie dwa razy do gardła z inhalatora.

- Nie — warknął znajomy głos w słuchawce i połączenie się urwało.

- Nie — wyrzucił szybko Arseniew, dając znak Wisarijowi Netto.

- Nie — oznajmił Netto, który siedział na sofie i również trzymał przy uchu telefon. Przez bezpieczną milicyjną linię połączony był z dowódcą MWD w Wołogdzie. — Powtarzam: nie podejmować żadnych kroków. Wasi ludzie mają się wycofać. Puśćcie pociąg dalej.

- Prawidłowa decyzja — stwierdził Arseniew, odkłada-

jąc słuchawkę. — Mogłoby dojść do strzelaniny. To zrobiłoby złe wrażenie.

383

Żaluzje w mieszkaniu Zinajdy Rapawy były spuszczone. Światła zgaszone. Ekran stojącego w kącie telewizora migotał niczym chłodne błękitne palenisko.

Przez całą noc na klatce czuwał policjant w cywilu — z początku Bunin, potem ktoś inny — a przy wejściu do bloku stał ostentacyjnie zaparkowany milicyjny samochód. To Bunin powiedział jej, żeby zasunęła żaluzje i nigdzie nie wychodziła. Nie lubiła Bunina i widziała, że on też jej nie lubi. Kiedy zapytała go, jak długo będzie musiała tu siedzieć, wzruszył ramionami. Czy to znaczy, że jest więźniem? Ponownie wzruszył ramionami.

Dwadzieścia godzin spędziła w większej części na łóżku, skulona w pozycji płodowej, słuchając, jak sąsiedzi wracają z pracy do domu, potem wychodzą na miasto, w końcu, jak kładą się spać. I leżąc w ciemności, odkryła, że dopóki ma na czym zatrzymać oko, nie musi oglądać ojca, może odsunąć od siebie obraz sponiewieranej postaci na wózku. W związku z czym przez całą noc oglądała telewizję, zmieniając bez przerwy kanały. I w którymś momencie, przeskakując między teleturniejem i czarno-białym amerykańskim filmem, zobaczyła zdjęcia z lasu.

...sama wolność, na razie, nie wystarcza. Jest bardzo ciężko, towarzysze, wyżyć samą wolnością...

Mijały kolejne godziny, a ona patrzyła zahipnotyzowana, jak wiadomość rozlewa się niczym plama po kanałach, aż znała ją niemal na pamięć. Pokazywali garaż ojca, notes, Anglika przewracającego kartki (*To autentyk... daję za to głowę*), starą kobietę pokazującą coś na mapie, a potem dziwnego człowieka, który chodził po leśnej polanie i mówiąc, patrzył prosto w obiektyw kamery. Wygłaszał fragment jakiegoś zięjącego nienawiścią przemówienia, które obudziło w niej niejasne wspomnienie. W końcu, nad samym ranem, uświadomiła sobie, że ojciec puszczał jej czasem tę płytę, kiedy była dzieckiem.

(Powinnaś tego posłuchać, mała... może się czegoś nauczysz).

Bała się tego człowieka, jednocześnie komicznego i złowrogiego — jak Żyrinowski lub Hitler — i kiedy powiedzieli,

386

że widziano go w pociągu jadącym na południe do Moskwy, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jedzie po nią. Wyobraziła sobie, jak kroczy przez hole wielkich hoteli, depcząc buciorami marmury, jak rozbija witryny drogich butików, jak wyrzuca cudzoziemców na bruk, szukając jej. Widziała, jak wpada do Robotnika, wywraca bar, wyzywa dziewczęta od kurew i każe im się czymś zasłonić. Ten człowiek zamaluje zachodnie szyldy, potłucze neony, opróżni ulice, zamknie lotnisko...

Wiedziała, że powinni spalić ten notes.

A później, stojąc naga do pasa w łazience i pryskając zimną wodą w zaczerwienione oczy, usłyszała w telewizorze nazwisko Mamantowa. Jej pierwszą, naiwną myślą było, że go aresztowali. W końcu to właśnie obiecał jej Suworin.

Znajdziemy człowieka, który zrobił tę straszną rzecz twojemu ojcu, i wsadzimy go za kratki.

Złapała ręcznik i wycierając pospiesznie twarz, pobiegła do pokoju. Przyjrzała się uważnie człowiekowi na ekranie i, owszem, wiedziała teraz na pewno, że to on, wierzyła, że to mógł być on — wyglądał na zimnego bezlitosnego sukinsyna z tymi wąskimi twardymi wargami, w okularach w drucianych oprawkach, w sowieckim płaszczu i kapeluszu. Wyglądał na człowieka zdolnego do wszystkiego.

Mówił coś o faszystowskim uzurpatorze na Kremlu i dopiero po minucie uświadomiła sobie, że wcale go nie aresztowano. Wprost przeciwnie: traktowany był z dużym respektem. Szedł w stronę pociągu. Wsiadał do wagonu. Nikt go nie zatrzymywał. Widziała nawet kilku milicjantów, którzy bacznie go obserwowali. Mamantów odwrócił się na schodku i uniósł w górę rękę. Zamigotały flesze, a on wyszczerzył zęby w katowskim uśmiechu i zniknął w środku.

Zinajda gapiła się przez dłuższą chwilę w ekran.

Poszukała w kieszeniach kurtki numeru telefonu, który dał jej Suworin.

Wybrała go, ale nikt nie odpowiadał.

Spokojnie odłożyła słuchawkę, owinęła się ręcznikiem i otworzyła drzwi mieszkania.

Na klatce nie było nikogo.

387

Wróciła do pokoju i uchyliła żaluzje.

Po samochodzie milicji nie zostało ani śladu. Ulicą, jak zawsze w sobotę rano, jechali ludzie robiący zakupy na targu Izmailowskim.

Później zgłosiło się kilku świadków utrzymujących, że mimo ulicznego hałasu usłyszeli wyraźnie jej krzyk.

Kelso został obezwładniony z upokarzającą łatwością. Młodzieniec w czarnej skórzanej kurtce pchnął go na kuszetkę, odebrał teczkę i papiery, zablokował drzwi i usiadł naprzeciwko, zasłaniając nogą wąskie przejście, żeby uniemożliwić więźniowi ucieczkę.

Rozpiął suwak kurtki wystarczająco nisko, żeby pokazać Anglikowi kaburę pod pachą, i w tym momencie Kelso rozpoznał go: to był osobisty ochroniarz Mamantowa z jego moskiewskiego mieszkania, dryblas z dziecinną buzią, opadającą lewą powieką i siną dolną wargą. W sposobie, w jaki oparł obutą stopę o jego udo, było coś, co sugerowało, iż zadawanie bólu ludziom może być jego życiową pasją; że potrzebował przemocy tak, jak pływak potrzebuje wody.

Kelso przypomniał sobie obracające się powoli ciało Papu Rapawy i zaczął się pocić.

— Jesteś Wiktor, prawda?

Bez odpowiedzi.

— Jak długo mam tu siedzieć, Wiktorze?

Ponownie nie doczekał się odpowiedzi i po kilku niezbyt stanowczych próbach skłonienia Wiktora, żeby go wypuścił, Kelso dał za wygraną. Słyszał stukanie buciorów na korytarzu i doszedł do wniosku, że cały pociąg został zabezpieczony.

Przez następne parę godzin nie działo się zbyt wiele.

O dziesiątej dwadzieścia zatrzymali się zgodnie z rozkładem w Daniłowie i do pociągu wsiedli kolejni ludzie Mamantowa.

Kelso zapytał, czy może iść do ubikacji.

Bez odpowiedzi.

Później, na obrzeżach Jarosławia, minęli opuszczoną fab-

388

rykę z rdzewiejącym Orderem Lenina przymocowanym do pozbawionej okien ściany. Na jej dachu stali w szeregu młodzi ludzie z rękoma uniesionymi w faszystowskim salucie.

Wiktor spojrzął na Anglika i uśmiechnął się. Kelso odwrócił wzrok.

W Moskwie mieszkanie Zinajdy Rapawy było puste.

Klimowie, którzy mieszkali piętro niżej, przysięgali, że słyszeli, jak wyszła parę minut po jedenastej. Ale starszek Amosow, który naprawiał swój samochód przed blokiem, upierał się, że było to później, jego zdaniem bardziej koło południa. W ciemnych okularach, ubrana w skórzaną kurtkę, dzinsy i botki, minęła go bez słowa, co nie było dla niej czymś niezwykłym, i poszła ze spuszczoną głową w kierunku stacji metra Siemionowskaja.

Nie miała swojego samochodu; stał zaparkowany przed blokiem jej ojca.

Następną osobą, która godzinę później, o pierwszej, widziała Rapawę, była sprzątająca w barze Robotnik Wiera Janukowa. Zinajda zapukała do tylnych drzwi baru. Sprzątaczką poznała ją i wpuściła do środka. Zinajda udała się bezpośrednio do szatni, gdzie odebrała skórzaną torebkę (pokazała swój numer; nie było mowy o pomyłce). Sprzątaczką otworzyła jej wejście od frontu, ale ona wolała wyjść tą samą drogą, którą przyszła, unikając w ten sposób wykrywaczy metalu, włączających się automatycznie przy każdorazowym otwarciu drzwi.

Według sprzątaczką, z początku była zdenerwowana, ale kiedy odebrała torebkę, wyraźnie poprawił jej się humor.

Wyszła spokojna i opanowana

Rozdział 34

Czy Kelso zasnął? Zastanawiał się później, czy to możliwe, ponieważ nie zapamiętał nic z owego długiego popołudnia aż do chwili, gdy na korytarzu rozległy się kroki i ktoś zapukał cicho do drzwi. Znajdowali się wtedy na północnych obrzeżach Moskwy i październikowy zmierzch zapadał już nad bezkresnym stałowo-betonowym miastem.

Wiktor zsunął leniwie nogę z kuszetki, wstał i podciągnął spodnie. Wyjął nóż z mechanizmu zamka, uchylił lekko drzwi, a potem, prężąc się na baczność, odsunął je i nagle w przedziale znalazł się Władimir Mamantow, roztaczając wokół siebie woń kamfory i karbolu, tę samą, którą Kelso zapamiętał z jego mieszkania. Te same ciemne włoski wciąż jeżyły się w zagłębieniu podbródka.

Rozpływał się cały w fałszywych uśmiechach i przeprosinach: bardzo mu przykro, jeśli Kelso narażony był na jakies

niewygody, bardzo żałuje, że nie mógł spotkać się z nim wcześniej w trakcie podróży, ale miał do załatwienia inne, bardziej palące sprawy. Jest pewien, że Kelso to zrozumie.

Miał rozpięte palto. Twarz lśniła mu od potu. Rzucił kapelusz na kuszetkę naprzeciwko Anglika, usiadł obok i wyjął dokumenty z teczki. Po chwili dał znak Wiktorowi, żeby siadł przy historyku, i zawołał do drugiego ochroniarza, którego zostawił na korytarzu, żeby zamknął drzwi i nikogo nie wpuszczał.

390

To nie był Władimir Mamantow, z którym Kelso spotkał się przed siedmioma laty po jego wyjściu z więzienia. To nie był nawet Mamantow, którego widział wcześniej w tym tygodniu. To był Mamantow ponownie w swojej szczytowej formie. Mamantow odrodzony.

Jego grube paluchy kartkowały przez chwilę zeszyt i raporty NKWD.

- Świetnie — oznajmił w końcu. — Znakomicie. Chyba wszystko tu jest. Niech pan mi powie, naprawdę chciał pan to wszystko zniszczyć?

- Tak.
- Wszystko?
- Tak.

Mamantow popatrzył ze zdziwieniem na doktora Kelso i potrząsnął głową.

- A przecież to pan powtarzał zawsze, że powinno się udostępnić badaczom wszystkie historyczne dokumenty!

- Mimo to zniszczyłbym te papiery. Żeby pokrzyżować panu szyki.

Kelso poczuł, jak łokieć Wiktora wbija się w jego żebra, i wiedział, że młody człowiek czeka tylko na okazję, żeby zadać mu ból.

- Aha! Więc historię wolno badać tylko wtedy, kiedy jest to w subiektywnym interesie tych, którzy mają klucz do archiwów? — Mamantow ponownie się uśmiechnął. — Czyż można dobitniej zdemaskować mit rzekomego zachodniego „obiektywizmu”? Widzę, że powinienem wziąć z powrotem w swoje posiadanie i przechować w bezpiecznym miejscu te dokumenty.

- Wziąć z powrotem? — zapytał z niedowierzaniem Kelso. — Chce pan powiedzieć, że miał pan je już wcześniej?

Mamantow łaskawie pokiwał głową.
Oczywiście.

Mamantow schował papiery do teczki i zawiązał sznurki. Nie kwapił się jednak do wyjścia. Jeszcze nie. Tak długo w końcu czekał na ten moment. Chciał, żeby Kelso wiedział.

Minęło piętnaście lat, odkąd Jepiszew powiedział mu o „notesie w czarnej ceratowej okładce”, lecz on nigdy nie stracił nadziei, że go odnajdzie. I wreszcie, cudownym zrządzeniem losu, w najczarniejszej godzinie ruchu, do Aurory zapisał się Papu Rapawa, ten sam Rapawa, którego nazwisko pojawiało się tak często w aktach KGB. Mamantow wezwał go. I po długich naleganiach — początkowo z wahaniem, niechętnie, ale potem z lojalności wobec nowego szefa — Rapawa opowiedział mu o nocy, kiedy Stalin doznał udaru.

Mamantow był pierwszym człowiekiem, który usłyszał tę opowieść.

Było to rok temu.

Dziewięć miesięcy trwało, nim uzyskał wstęp do ogrodu na Wspólnym Pierieulkie. Czy Kelso wie, co musiał zrobić? Nie? Musiał założyć agencję nieruchomości — Moskprop — i kupić tę posesję od właścicieli, c/yli byłego KGB. Nie było to zresztą zbyt trudne, ponieważ miał mnóstwo przyjaciół na Łubiance, którzy w zamian za odpowiednią prowizję z radością sprzedali państwową własność za ułamek prawdziwej wartości. Niektórzy mogliby to nazwać korupcją albo nawet złodziejstwem. On wolał eleganckie zachodnie określenie: prywatyzacja.

W sierpniu wyrzucili w końcu na mocy warunków najmu Tunezyjczyków i Rapawa zaprowadził ich we właściwe miejsce w ogrodzie. Skrzynka z narzędziami została odkopana. Mamantow przeczytał notes, poleciał do Archan-gielska i podążając tą samą drogą, co Kelso, dotarł do zagubionej w tajdze osady. I od razu spostrzegł tkwiący tam olbrzymi potencjał. Ale był jednocześnie na tyle mądry — chciałoby się powiedzieć „genialny”, ale niechaj ocenią to inni — by wiedzieć to, co udowodnił przed chwilą tak dobitnie Kelso: że w historii w ostatecznym rozrachunku liczy się subiektywizm, a nie obiektywizm.

— Przypuśćmy, że wróciłem do Moskwy z naszym wspólnym znajomym, zwołałem konferencję prasową i ogłosiłem, że jest synem Stalina. Co by się stało? Powiem panu. Nic. Zostałbym zignorowany. Zlekceważony. Oskarżony o fałszerstwo. A dlaczego? — Mamantow dźgnął pal-

392

cem historyka. — Ponieważ media są we władaniu kosmopolitycznych sił, które nienawidzą Władimira Mamantowa i wszystkiego, co on reprezentuje. Ale jeśli doktor Kelso, ulubieniec kosmopolitów, powie światu: „Patrzcie, oto daję wam syna Stalina”, to będzie coś zupełnie innego.

W związku z czym syn musiał poczekać jeszcze kilka tygodni, do czasu gdy pojawią się kolejni nieznajomi z notesem.

(I to wiele wyjaśniało, pomyślał Kelso; doświadczone w Archan-gielsku dziwne uczucie, że ludzie jakby na niego czekali — komunistyczny aparatczyk, Wawara Safanowa, sam syn Stalina. *(Więc to wy, naprawdę wy; a ja jestem tym, kogo szukacie...)*).

- Dlaczego ja? — zapytał.
- Bo utkwiał mi pan w pamięci. Pamiętałem, jak pan się do mnie wpraszał świeżo po moim wyjściu z Lefortowa. Pamiętałem pańską pieprzoną arogancję, pewność, że pan i ludzie pana pokroju wygrali, a ja jestem skończony. To gówno, które pan o mnie napisał... Jak brzmiało to zdanie Stalina? „Wybrać swoją ofiarę, przygotować wszystko skrupulatnie, wydać ją na pastwę nieubłaganej zemsty, a potem pójść spać... nie ma nic słodsze pod słońcem”. Zgadza się. Nie ma nic słodsze pod słońcem.

Zinajda Rapawa przybyła na Dworzec Jarosławski w Moskwie kilka minut po czwartej. (Władze nigdy nie ustaliły, co robiła w ciągu trzech godzin po wyjściu z klubu Robotnik, pojawiły się jednak niepotwierdzone doniesienia, że podobną

do niej kobietę widziano na cmentarzu Troekurowskim, gdzie pochowano jej matkę i ojca).

Tak czy owak, pięć po czwartej podeszła do pracownika rosyjskich kolei. Kolejarz nie miał pojęcia, dlaczego ją zapamiętał, mimo że tego dnia na stacji kłębił się taki tłum; może dlatego, że chociaż pod sklepionymi łukami dworcowej hali robiło się coraz ciemniej, była w ciemnych okularach.

Podobnie jak inni, chciała wiedzieć, na który peron wjedzie pociąg z Archangielska.

10

393

Tłum zaczynał gęstnieć i ludzie z Aurory starali się, jak mogli, zaprowadzić w nim porządek. Ogrodzono sznurami przejście. Wzniesiono podwyższenie dla kamer. Rozdawano flagi — z carskim orłem, sierpem i młotem oraz godłem Aurory. Zinajda wzięła małą czerwoną chorągiewkę i może dlatego, a może dzięki skórzanej kurtce, wyglądała na typową aktywistkę ruchu. Zajęła najlepsze miejsce przy samym sznurze i nikt jej nie nagabywał.

Można ją dostrzec na kilku nakręconych przed przyjazdem pociągu zdjęciach tłumu — samotną, czekającą w skupieniu.

Pociąg mijał podmiejskie stacje. Zaintrygowani sobotni przechodnie oglądali się, próbując zgadnąć, z jakiego powodu ten cały szum. Jakiś mężczyzna podniósł w górę dziecko, żeby pomachało, ale Mamantow był zbyt zaaferowany, aby to dostrzec.

Opowiadał, jak udało mu się zwabić Anglika do Rosji; to był majstersztyk, oświadczył, coś, z czego był najbardziej dumny; fortel godny samego Józefa Wissarionowicza.

Polecił kierownictwu fasadowej firmy, którą wykupił w Szwajcarii — porządne rodzinne przedsiębiorstwo, od stuleci wyzyskujące robotników — skontaktować się z Rosarchiwem i zaproponować im sfinansowanie sympozjum na temat otwarcia sowieckich archiwów!

Mamantow klepnął się po kolanie z radości.

Z początku Rosarchiw nie chciał zaprosić doktora Kelso — kto by pomyślał! uważali, że „nie cieszy się dość dobrą reputacją w środowisku akademickim” — lecz Mamantow, za pośrednictwem Szwajcarów, naciskał i w końcu, po dwóch miesiącach, Anglik był już w mieście, w opłaconym hotelu, szczęśliwy jak świnia w gównie. Przyjechał, żeby taplać się w naszej przeszłości, czując się od nas lepszy, każąc nam się za nią wstydzić, podczas gdy tak naprawdę ściągnięto go tu wyłącznie po to, by można było tę przeszłość wskrzesić.

A Papu Rapawa? zapytał Kelso. Co sądził o tym planie?

394

Twarz Mamantowa po raz pierwszy pociemniała.

Rapawa twierdził, że podoba mu się ten plan. Tak mówił. Napluć kapitaliście do zupy i potem patrzeć, jak ją zajada? § O tak, towarzyszu pułkowniku, Rapawie to się bardzo podobało. Miał opowiedzieć w nocy swoją historię Anglikowi, a potem zabrać go prosto do starego domu Berii. Tam mieli odkopać razem skrzynkę z narzędziami. Mamantow dał cynk O'Brianowi, który przyrzekł, że nazajutrz rano pojawi się ze swymi kamerami w Instytucie Marksizmu-

-Leninizmu. Sympozjum miało zapewnić idealną platformę startową. Co za historia! Wszyscy rzucają się na żer. Mamantow zapiął wszystko na ostatni guzik.

Stało się jednak inaczej. Kelso zadzwonił następnego dnia po południu i wtedy Mamantow dowiedział się, że Rapawa nie wykonał zadania: opowiedział swoją historię, ale w końcu uciekł.

— Dlaczego? — zmarszczył czoło Mamantow. — Mówił mu pan może *coś* o pieniądzach?

Kelso pokiwał głową.

— Zaproponowałem mu udział w zyskach.

Mamantow skrzywił się z pogardą.

ii — Że pan będzie próbował się wzbogacić... tego nawet się spodziewałem. To kolejny powód, dla którego wybrałem właśnie pana. Ale on...? — Potrząsnął głową z niesmakiem. — Tacy są ludzie — mruknął. — Nigdy nie można na nich liczyć.

— To samo chyba Rapawa sądził o panu — stwierdził Kelso. — Biorąc pod uwagę to, co pan mu zrobił.

Mamantow zerknął na Wiktora. W spojrzeniu, które wymienili, była niemal seksualna intymność, i Kelso domyślił się od razu, że ta para pracowała wspólnie nad Papu Rapawa. Musieli być i inni, ale ci dwaj grali główne role: mistrz i jego czeladnik.

Poczuł, że znowu zaczyna się pocić.

— Do końca nie powiedział panu, gdzie schował zeszyt — mruknął.

Mamantow zmarszczył brwi, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

395

— Nie — odparł cicho. — Nie. Był ulepiony z twardej gliny. Muszę mu to przyznać. Ale to i tak nie miało znaczenia. Nazajutrz rano śledziliśmy pana i dziewczynę i widzieliśmy, jak odbiera pan materiał. W ostatecznym rozrachunku śmierć Rapawy niczego nie zmieniła. Mam teraz wszystko.

Cisza.

Pociąg zwolnił prawie do prędkości pieszego. Nad płaskimi dachami Kelso widział maszt wieży telewizyjnej.

— Czas nagli — stwierdził nagle Mamantow. — Czeka na nas cały świat.

Wziął do ręki teczkę i kapelusz.

• Zwierzyłem się panu z kilku myśli — powiedział do Anglika, wstając i zapinając guziki płaszcza. — Ale naprawdę nie widzę, w jaki sposób mógłby pan nam zaszkodzić. Może pan oczywiście wycofać swoją autoryzację, lecz to nie zrobi już dużej różnicy. Najwyżej wyjdzie pan na głupca. Dokumenty są prawdziwe; za dzień lub dwa potwierdzą to niezależni eksperci. Może pan również wysuwać wyssane z palca zarzuty co do śmierci Papu Rapawy, ale nie ma na to żadnych dowodów. — Przejrzał się w małym lusterku nad głową Anglika i poprawił rondo kapelusza, szykując się do występu przed kamerami. — Nie. Moim zdaniem najlepiej będzie, jeśli pozwolę panu po prostu oglądać to, co się potem wydarzy.

• Nic się nie wydarzy — stwierdził Kelso. — Niech pan nie zapomina, że rozmawiałem z tym waszym humunkulesem. W momencie kiedy otworzy usta, ludzie pękają ze śmiechu.

• Może się załóżymy? — Mamantow wyciągnął rękę.—

Nie? Nie jest pan taki głupi. Najważniejszą rzeczą w każdym przedsięwzięciu, powiedział Lenin, jest podjąć walkę i w jej trakcie dowiedzieć się, co robić dalej. I tak właśnie postąpimy. Po raz pierwszy od dziesięciu lat będziemy zdolni podjąć walkę. Wiktor.

Młody człowiek podniósł się niechętnie z kuszетки, posyłając ostatnie tęskne spojrzenie historykowi.

Na korytarzu roilo się od mężczyzn w czarnych skórzanych kurtkach.

396

- To była miłość — powiekał Elso kiedy Mamantow stanął w progu przedziału.

- Co?

Rosjanin odwrócił się i wlepił w niego wzrok.

— Mówię o Rapawie. To był powód, dla którego nie zabrał mnie ze sobą. Powiedziałem panu, że zrobił to dla pieniędzy, ale nie wydaje mi się, żeby pragnął tych pieniędzy dla samego siebie. Chciał je oddać córce. Wszystko jej wynagrodzić. Zrobił to z miłości.

— Z miłości? — powtórzył z niedowierzaniem Mamantow. Posmakował to obce słowo, jakby było nazwą jakiejś groźnej nowej broni albo świeżo odkrytego światowego kapitalistyczno-syjonistycznego spisku. — Z miłości?

Nie. To nie miało sensu. Potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

Drzwi zamknęły się i Kelso opadł na siedzenie. Po minucie albo dwóch usłyszał dźwięk przypominający szum wiejącej przez las wichury i przycisnął twarz do szyby. Przed sobą, przy torach, zobaczył falującą masę, której skład stopniowo, w miarę jak wjeżdżali na peron, coraz łatwiej było zdefiniować — twarze, plakaty, powiewające flagi, podium, czerwony dywan, kamery, ludzie czekający za sznurami. Zinajda...

Zobaczyła go w tej samej chwili i na kilka długich sekund ich oczy spotkały się ze sobą. Zobaczyła, że Kelso wstaje, mówi coś i daje jej jakieś znaki, ale po chwili straciła go z oczu. Procesja zabłoconych po długiej podróży zielonych wagonów przetoczyła się ze szcękaniem kół i w końcu stanęła. Tłum, który przez ostatnie pół godziny hałaśliwie świętował, teraz nagle ucichł.

Młodzieńcy w skórzanych kurtkach wyskoczyli z pociągu tuż przed nią. W jednym z okien zobaczyła cień przesuwanej się marszałkowskiej czapki.

Pistolet wyjęła już z torebki i ukryła pod kurtką. Czują w dłoni jego chłodny kształt i dodawało jej to otuchy. Coś ścisnęło ją bardzo mocno w piersi, ale to nie był strach. To było napięcie, które musiała rozładować.

397

Zachowany pod powiekami obraz ojca był bardzo wyraźny. Każda szrama na jego ciele była znakiem miłości, którą do niej żywił.

Kto jest twoim jedynym przyjacielem, dziewczyno?

W drzwiach wagonu coś się poruszyło. Dwaj mężczyźni wychodzili razem na peron.

Ja sama, papo.

Stanęli na najwyższym stopniu, unosząc dłonie w pozdrowieniu, tak blisko, że mogła ich dotknąć. Ludzie wiwa-

towali. Tłum napierał na jej plecy. Nie mogła chybić.
I kto jeszcze?
Wyciągnęła bardzo szybko pistolet i wycelowała.
Ty, papo. Ty...

Spis treści

Prolog — Opowieść Rapawy .	7
Część pierwsza — Moskwa . .	41
Część druga — Archangielsk .	219